

**Bohdan Petecki**

# **Tu Alauda z Planety Trzeciej**

**1988**

## Tato, co to?

Kończył się długi lipcowy dzień. Górską, zygzakowatą szosą jechały wzdłuż jeziora dwa samochody. Prowadził biały polonez, nieco oklapły pod unoszonym ciężarem. Za polonezem ambitnie nadażał żółty fiacik.

Kiedy droga spadała ku brzegowi, ukazywało się wielkie słońce, to w przełęczach między zalesionymi grzbietami, to znowu tuż nad powierzchnią wody. Jednak przy zmianie kierunku, gdy wypadło omijać nową zatoczkę lub wspinać się ostrą serpentyną na kolejne wzgórze, krajobraz raptownie ciemniał. Cienie skakały przez asfalt jak straszdyła, drzewa się wydłużały, a trawa na stokach na przemian gasła i płonęła czerwonym ogniem. Na wschodzie od dawna czekał księżyc. Zaświeciła Wenus.

— Widzisz, jak tu ładnie? — spytał mężczyzna siedzący za kierownicą fiacika.

— Bardzo ładnie — przytaknął grzecznie jadący obok mężczyzny chłopiec.

— Przed nami ostatnie wzniesienie. Za chwilę zobaczysz cały Górka jak na dłoni. Potem tylko długi, prosty zjazd i jesteśmy na miejscu. Dom państwa Piotrowiczów stoi przed wsią, między drogą a jeziorem. Pływać już dzisiaj nie będziemy, ale skoczmy splukać z siebie trudy podróży.

Cieszysz się? — w głosie mówiącego zabrzmiała nieśmiała zachęta.

— Tak, tato.

Usłyszawszy tę odpowiedź kierowca umilkł. Nie, Łukasz się nie cieszy...

Chłopiec nie zauważył, że twarz ojca zmieniła wyraz. Patrzył na drogę, która omijała szczyt wzgórza i łagodnym łukiem obniżała się znowu w stronę jeziora. Biały polonez ukazał się ponownie, niezbyt daleko w przodzie. Chłopiec odwrócił wzrok.

To niestety prawda. Łukasz wcale się nie cieszył...

A przecież wszystko zdawało się przemawiać za tym, że powinien kipieć radością. Był nieco chudawym, lecz zdrowym dryblasem, który niedawno ukończył z powodzeniem czternasty rok życia, a całkiem niedawno, z niemniejszym powodzeniem, siódmą klasę sympatycznej szkoły w pięknej dzielnicy Krakowa. Jego spokojna, pociągła twarz oraz więcej niż powściągliwy sposób bycia, jednały mu nauczycieli i kolegów, a wzrost krucza czupryna przyciągały oczy koleżanek. Często wypuszczał się na rowerze na Sowiniec i Bielany, do Tyńca, nawet do Ojcowa. Dobrze grał w siatkówkę. No a dzisiaj jechał na wakacje do Górka, zaproszony tam wraz z ojcem przez wspomnianych przed chwilą państwa Piotrowiczów, do ich letniskowego domu. Jezioro, góry, w perspektywie dwa miesiące beztrudnych harców. Czego chcieć więcej?

Łukasz, przy całej swojej wrodzonej skromności, a mówiąc otwarcie i nieśmiałości, nie był malkontentem. Nie należał do specjalistów od wynajdywania dziury w całym. Jeśli wobec wszystkich tak bardzo sprzyjających okoliczności nie potrafił patrzeć na świat pogodnie i wesoło, musiało to oznaczać, że coś mu doskwiera. Coś, co należało do zjawisk całkowicie realnych, a nie li tylko do majaków cierpiętniczej wyobraźni.

Tak rzeczywiście było.

Towarzystwo ojca nie wróżyło kłopotów. Przeciwnie, Rafał Polowy, wysoki chudzielec, zawsze przygarbiony, zawsze jakby trochę zahukany, był z zawodu chemikiem, z natury flegmatykiem, a z charakteru poczciwcem. Umiał słuchać i nie uciekał się do prędkich, zdawkowych odpowiedzi, nawet gdy pytania syna dotyczyły spraw zwyczajowo zastrzeżonych dla dorosłych. Nigdy nie wpadał w ton wiecznie wszystko przewidującego opiekuna. Najczęściej był cichym, starszym kompanem.

Ale jego obecność w Górku nie zmieni faktu, że będzie to pierwsze w życiu lato spędzone bez matki.

Niebawem minie rok.

Nie, matki Łukasza nie spotkała żadna zła przygoda. Sama zdecydowała się opuścić ich wspólny dom. Chłopiec nie wiedział, czy matka musiała tak postąpić, a jeżeli tak, to dlaczego. Powtarzała tylko: „kiedyś zrozumiesz”, poprzestając na niejasnych napomknieniach o ojcu, a ten ostatni był tak przybity i tak niezdarnie próbował podtrzymywać syna na duchu, że Łukasz, po kilku urwanych rozmowach, które niczego mu nie wyjaśniły, postanowił wstrzymać się od dalszych pytań. Było mu jednak bardzo smutno.

Cóż, w życiu zdarza się i tak.

Ale Łukasz miał jeszcze inny problem i inny powód, dla którego wakacje w Górku nie wydawały mu się ani trochę pociągające. Ten drugi powód pozostawał w ścisłym związku z białym polonezem. Państwo Piotrowiczowie. To, co pan Marek powiedział o jego ojcu, kiedy myślał, że słuchają go wyłącznie domownicy. I jeszcze ten niegrzeczny zarozumialec. Paweł. Siostrze Pawła, Mirze, też niczego nie brakuje. Tylko że Mira jest taka ładna...

Kierowca poloneza zerknął w lusterko.

— No i co? Jada? — spytał starszy mężczyzna o siwych włosach postrzępionych przez wiatr.

— Co? — mruknął z roztargnieniem zagadnięty. — A tak, jada.

— No proszę — odezwał się z tylnego siedzenia ironiczny głosik. — Nie pamiętacie przypadkiem, kto to nas zapewniał, że będziemy na nich czekać z kolacją do północy?

— Miro... — powiedziała z łagodnym wyrzutem kobieta, wciśnięta w kąt między oparciem a drzwiami.

— Pamięć mamy lepszą niż niektórzy z obecnych tutaj — odciął się chłopiec zajmujący miejsce po przeciwnej stronie. — Rzecz w tym, że my powinniśmy na nich czekać do północy. To nie moja wina, że tato zamiast jechać robi dzisiaj kolarską „stójkę” i że...

Mira zaśmiała się głośno. Była rzeczywiście bardzo ładna.

— Co? Pawle, proszę cię!... — rozgniewał się kierowca.

— ...i że ci tam, z tyłu, zamęczają swoje pudełko, żeby nam dotrzymać kroku — dokończył bez zająknięcia Paweł. — Pewnie tak już będzie przez cały czas. W domu, na wodzie, na spacerach. Bez przerwy zechcą nam pokazywać, że nie są od nas gorsi.

— A czy oni są gorsi? — spytał spokojnym, życzliwym głosem najstarszy pasażer poloneza, siedzący obok kierowcy.

Paweł i tym razem nie dał się zbić z tropu.

— E, dziadku! — prychnął lekceważąco. — Ten cały Łukasz z jego ponurą, końską gębą! Nieodrodny syn swojego ojca!

— Naprawdę, dość tego! — zaprotestował bez przekonania mężczyzna przy kierownicy. — Pan Polowy jest naj... Jest jednym z najzdolniejszych pracowników naszego instytutu.

— E, tato! Sam mówiłeś, że to dziwak, ślamazara i że ani rusz nie można go zmusić do napisania doktoratu.

— Nie denerwuj mnie, kiedy prowadzę samochód! Ja mówiłem? Nie mówiłem.

— Mówiłeś.

— Jeśli nawet, to nie do ciebie.

— Co z tego? A poza tym, skoro jest taki nadzwyczajnie zdolny, to dlaczego ty zostałeś kierownikiem pracowni, a nie on?

— Pawle, przestań! — zawołała cicho kobieta. Miała drobną, młodą twarz o dużych piwnych oczach i czarne włosy nierównomiernie przetykane srebrnopolielatą siwizną. — Pan Rafał i Łukasz będą naszymi gośćmi — mówiła dalej tonem raczej proszącym niż ostrym. — Przeżyli niedawno... — zawahała się — przeżyli trudne chwile... Wszystkim nam powinno zależeć na tym, żeby spędzili u nas naprawdę przyjemne wakacje. Zresztą nie rozumiem, o co ci chodzi. Obaj są bardzo mili...

— Dobrze już, mam, dobrze — sarknęła Mira. — Wiemy, że ty ich lubisz — podkreśliła z przekąsem.

— Ja także ich lubię — powiedział dziadek.

Przed szybą fiacika załśniło na moment jezioro, po czym droga wpadła w ciasny łuk Kierowca poloneza zapalił światła. Ojciec Łukasza zrobił to samo. Chłopiec patrzył przed siebie, tam, gdzie między czarnymi sylwetkami świerków widniał prostokąt fioletowego nieba zjedną maleńką gwiazdką pośrodku. Powoli rozstęp między owymi świerkami stawał się większy, a gwiazdka bledsza. Wreszcie świat znowu odrobinę pojaśniał. Tyłne światelka poloneza zniknęły za zakrętem, by niemal natychmiast zabłysnąć ponownie, tylko dalej i trochę z boku. Droga zwijała się tam jak dżdżownica, omijając szczyt wysokiego wzgórza.

— To właśnie tutaj — powiedział ojciec — Uważaj teraz.

Łukasz pomyślał, że na podziwianie widoków jest jednak odrobinę za ciemno, ale zachował tę myśl dla siebie, a chwilę później aż uniósł się w fotelu. Panorama była przepyszna i właśnie tym piękniejsza, że mroczne światło przydawało jej głębi i tajemniczości, jak niektórym starym obrazom.

— Tato, zwolnił! — Państwo Piotrowiczowie nie będą wiedzieli, co się z nami stało — na przekór tym słowom fiacik potoczył się jeszcze kilkanaście metrów i przystanął. Jego kierowca znał już to miejsce. Marek Piotrowicz przywoził go tutaj dwa lub trzy razy, gdy uważał, że muszą także w soboty i niedziele ślęczeć nad jakimiś planami lub obliczeniami związanymi z działalnością instytutu. Ale dla Łukasza ten widok stanowił zupełną nowość.

Z jednej strony nisko w dole jezioro, rozplaszczone wśród wzgórz jak ogromny, srebrzysty liść o fantazyjnie wyciętych brzegach. Z drugiej szeroka kotlina, przecięta rzeką, podobną do lśniącego węża. A na wprost zabudowania Górka, maleńkie jak zabawki, przytulone do półkolistej zatoki, poprzerastane czarnymi kępami drzew, spod których błyskały wesołe światelka. Im dalej brzegu, tym wyżej pięły się domy i domki. Słońce przestało już czerwieńić powierzchnię wody, za to od plaży prosto ku dziwnej, stożkowej wysepce, wiodła przez jezioro migotliwa księżycowa ścieżka — Jak tu pięknie! — wyrwało się chłopcu.

— Pięknie — cicho przytaknął ojciec — Pięknie i spokojnie.

Łukasz byłby może dodał jeszcze parę przysłówków i przymiotników, ale raptem zobaczył coś niezwykłego. Naturalnie, nie mógł przewidzieć, że to coś zapowiada przygodę, która odmieni jak w bajce całe tegoroczne wakacje, jednak zjawisko było dostatecznie osobliwe, by zapomnieć o wszystkich częściach mowy poza wykrzyknikami.

— O! O! Tato!

Jezioro między plażą a szpiczastą wyspą przeszło oślepiające światło. Ułamek sekundy później powstało na wodzie wielkie koło, gorejące srebrnobiałym ogniem. Koło zaczęło się wybrzuszać, utworzyło najpierw półkulę a następnie kulę, która z początku powoli, a potem coraz szybciej pomknęła w niebo, gdzie zniknęła równie nagle, jak się pojawiła. Tuż przed zniknięciem zdążyła zmienić barwę z srebrzystej na jasnożółtą, potem na pomarańczową, czerwoną, wreszcie fioletową.

— Tato! Co to?

Ojciec poruszył bezradnie głową.

— Nie wiem — powiódł wzrokiem po okolicy, która znowu stała się senna i niewinna. — Może to żeglarze się bawią, a może jest tutaj jakieś sportowe lotnisko... Albo gospodarze Górka przygotowują dla letników pokaz ogni sztucznych...

— O. O.

W tym samym miejscu co przedtem błysnęło znowu. Tym razem zapaliły się dwa kręgi. Chwilę potem dwie kule poszybowały w górę identycznie jak pierwsza, kłując oczy jaskrawymi kolorami. Chłopiec przełknął ślinę. Stanowczo nie wyglądało mu to ani na figle wodniaków, ani na nocne loty zapaleńców z aeroklubu, ani na ognie sztuczne. Było jakieś... inne.

— Musimy jechać — ojciec zapalił silnik. Samochód ruszył i nabierając szybkości zaczął się toczyć w dół — Na miejscu dowiemy się, kto puszcza te świecące bańki i dlaczego Ej! — to ostatnie dotyczyło także światła, które jednakże zabłyśło nie w jeziorze, a we wstecznym lusterku i oślepiło kierowcę Rycząc klaksonem wyprzedził fiacika rozklekotany mikrobus — Ci na pewno dogonią państwa Piotrowiczów — powiedział oburzony Łukasz — Że też ludzie zawsze muszą się tak śpieszyć — zauważył z westchnieniem ojciec.

Jednak wbrew przewidywaniom i oni bardzo szybko dogonili zarówno poloneza, jak i mikrobus. Ostatni zjazd był wprawdzie istotnie prosty jak komin, ale obsadzony drzewami. Ich korony zasłaniały niższe odcinki drogi Toteż dopiero z niewielkiej odległości dostrzegli przed sobą czerwoną lampkę, zataczającą małe kółka.

— Milicja? — spytał zdziwiony Łukasz.

— Milicja — ojciec zahamował łagodnie na wyboistym poboczu.

Lampka zgasła. Chłopiec zauważył zaparkowany po przeciwnej stronie radiowóz.

— Kontrola drogowa — powiedział ktoś w ciemności — Proszę chwileczkę poczekać.

Z przodu dobiegł podniesiony męski głos, który wydał się Łukaszowi znajomy.

— Mogę wysiąść! — uchylił drzwiczki.

— Tylko nie odchodź od samochodu.

Chłopiec nie musiał odchodzić, by się upewnić, że znajomy głos należy rzeczywiście do Marka Piotrowicza.

— Co, ja? Wcale się nie denerwuję — mówił pan Marek, najwyraźniej w świetle mocno poirytowany. — Ale mogę chyba jechać, dokąd mi się podoba. Co? Przecież powiedziałem, że do siebie. Co w dowodzie? Adres w dowodzie? Mieszkam w Krakowie, ale tutaj mam małą daczę. Jest lato, proszę pana! Czy zostają? Tak. Nie. To znaczy rodzina zostaje. Ja wracam jutro do pracy. Co? Oczywiście, że panu wolno pytać. Przecież odpowiadam. Całe szczęście. Już myślałem, że Górek stał się nagle ścisłym rezerwatem albo czymś w tym rodzaju. Co? A tak, do widzenia.

Zawarczał silnik i polonez odjechał.

Milicjanci podeszli z kolei do mikrobusu.

— Dobry wieczór. Jestem naczelnikiem gminy — mówił nie czekając na pytania mężczyzna w ciemnym ubraniu. — Wracam właśnie z Nowego Sącza, od wojewody. Byłem także u was, w wydziale spraw wewnętrznych. Zawiadomiliśmy wojsko. Czy zamkniecie wjazd do Górka?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Kto jedzie z panem?

— Zabrałem z przystanku autobusowego trzy osoby. Taki ścisk, że czekali by pewnie do rana. Musicie coś zrobić. Musicie coś zrobić — w przeciwieństwie do pana Marka naczelnik nie był zagniewany, raczej zatroskany i przybity.

— Dziękuję — przeprowadzający kontrolę zwrócił się teraz do trzech mężczyzn, którzy kolejno wyskoczyli z mikrobusu na drogę. — Panowie?

— Jestem dziennikarzem — oświadczył pierwszy. — Oto moja legitymacja i delegacja służbowa do Górka.

— Ja mam paszport dyplomatyczny — drugi pasażer autobusiku był korpulentnym wesołkiem. — Złapał mnie pan na gorącym uczynku, ha, ha, ha! — zarechotał. — Zamiast pilnować interesów wypuszczam się na zieloną trawkę, ha, ha, ha! Proszę. Moje nazwisko brzmi: Kuncki.

— Paszport nie dyplomatyczny, tylko konsularny — sprostował milicjant przyświecający sobie małą latarką.

— Dyplomatyczny, konsularny, co za różnica, ha, ha, ha. I tak ściśle współpracuję z ambasadą mojego państwa...

— Nazwisko. Kuhncky — poprawił znowu spokojnie kontrolujący. — Pan John Kuhncky. Bardzo dobrze mówi pan po polsku — dodał uprzejmie. — Czy ma pan w Górku zamówiony pokój?

— Tak. W pensjonacie „Rusałka”. To podobno tuż nad jeziorem. Może uda mi się zrzucić kilka kilogramów wagi, ha, ha, ha! A w każdym razie obiecano mi łódkę, ciszę, spokój...

— Ciszę, spokój... — powtórzył dziwnym tonem milicjant. — Dziękuję. A pan? Trzeci mężczyzna podciągnął pasek, na którym zwisał nieduży chlebak.

— Nie mam przy sobie żadnej legitymacji — rzekł krótko.

— Ach, tak. Wobec tego muszę pana poprosić do radiowozu.

— Uhm. Proszę na mnie nie czekać — człowiek podróżujący bez dokumentów podał rękę naczelnikowi. — Dziękuję za podwiezienie. Dalej pójde pieszko. Taki ładny wieczór.

— Nigdy nie powinno się wyjeżdżać bez dowodu osobistego — pouczył go na pożegnanie Kuncki vel Kuhncky.

— Do widzenia. Życzę miłego urlopu — odpowiedział z nie zmaconym spokojem zatrzymany.

Łukasz wrócił na swoje miejsce we fiaciku. W głowie huczały mu strzępki zasłyszanych rozmów. „Wracam od wojewody... Zawiadomiliśmy wojsko... Musicie coś zrobić... Zamkniecie wjazd do Górka... Delegacja służbowa... Paszport dyplomatyczny... Nie mam legitymacji”...

I to wszystko zaraz po tym, jak ze środka jeziora wystrzeliły trzy płomienne kule o jaskrawych barwach.

Dziwne.

— Trochę to dziwne — zauważył tato, odbierając papiery od mężczyzny w białej czapce. — Pierwszy raz mi się zdarza, żeby milicja pytała mnie, dokąd jadę i po co. Czy zaszło coś niezwykłego?

Chłopiec nastawił uszu.

— Do Górka przybyło ostatnio bardzo dużo ludzi — padła odpowiedź. — Nie ma już wolnych kwater. Wobec tego doradzamy turystom i letnikom, którzy nie mają skierowań na wczasy, by rozejrzeli się za czymś gdzie indziej. W pobliżu jest dużo ładnych miejscowości. Ale skoro pan jedzie do prywatnego domu, to, oczywiście, wszystko w porządku. Pan naprawdę o niczym nie słyszał? — w głosie milicjanta zabrzmiała nutka niedowierzania.

— O czym?

— Nic, nic. Dziękuję, proszę jechać — czerwona lampka znowu zaczęła zataczać kółeczka. Na wzgórzu błysnęły reflektory dwóch samochodów. Do przeludnionego Górka śpieszyli następni goście.

— Tato, co to jest, o czym ty nie słyszałeś?

— Hmm...

Łukasz zdał sobie sprawę, że jego pytanie nie zabrzmiało zbyt mądrze, i musiał się uśmiechnąć.

— Dobrze już, dobrze — mruknął.

— Zaraz będziemy na miejscu — pocieszył go ojciec.

Zrobiła się prawdziwa noc. Minęli kilka oddalonych od szosy domów z jasnymi kwadracikami okien, aż wreszcie ostrożnie skręcili w lewo, wjeżdżając na polną drogę, która wiodła w dół, przez płytki wawóz o gliniastych ścianach. Tu i ówdzie w świetle reflektorów ukazywały się warstwy pokruszonych skał. Po prawej stronie wychynał z ciemności pękaty głaz, podobny z profilu do hipopotama. Łukaszowi zrobiło się nieswojo. Samochód podskoczył na kamieniach. Pod kołami raz i drugi chlupnęły kałuże.

Raptem ojciec zahamował. Fiacik sunął chwilę po mokrym żwirze, aż stuknął o jakąś przeszkodę i stanął niemal dokładnie w poprzek drogi.

W ostatnim momencie, gdy światło reflektorów biegło jeszcze w kierunku jazdy, Łukasz dostrzegł zarysy nienormalnie wielkiej postaci.

Silnik zgasł. Zapadła przejmująca cisza.

— Pech — westchnął w końcu ojciec. — Przestraszyłem się, że kogoś potrącę — wysiadł i zaczął oglądać nierówną nawierzchnię. Nagle wyprostował się. — Nie słyszał pan, że jedziemy? — rzucił w mrok. Nie widział pan świateł?

— Świateł...? — odpowiedział czyjś zachrypnięty głos. — A może były światła...

— To dlaczego szedł pan dalej środkiem?

Łukasz bez pośpiechu opuścił auto i zatrzymał się pół kroku za ojcem.

Dopiero stąd zobaczył mglistą sylwetkę majaczącą w ciemności. Teraz intruz nie wyglądał już na olbrzyma. Mimo to jego głos i zachowanie nie budziły zaufania.

— Nie szedłem — sprostował. — Stanałem i czekałem. Nie wiedziałem, co świeci...

— A cóż mogło świecić, jak nie samochód? — rzekł z wyrzutem ojciec. — Niech mi go pan pomoże dźwignąć i ustawić tak, żebyśmy mogli jechać dalej... Dobrze?

— Niby to pan nie wie, co mogło świecić? — zachrypnięty mężczyzna zdecydował się wreszcie ruszyć z miejsca. Jednak im bliżej podchodził, tym mniej się podobał Łukaszowi. Górną część twarzy nieznanego zakrywała kryza okrągłego kapelusza, natomiast broda niknęła w podniesionym kołnierzu zapiętej pod szyją kurtki. Szedł bezszelestnie jak zjawa.

W dodatku okazało się, że nie był sam. Postępowała za nim druga postać, równie cicha, choć niższa i z odkrytą głową. Dopiero gdy człowiek bez twarzy pochylił się nad maską unieruchomionego wozu, Łukasz odgadł raczej, aniżeli zobaczył, że tym drugim był kilkunastoletni chłopiec.

Rozległ się pisk, coś zaskrzypiało i zanim zaskoczony właściciel fiacika zdążył powiedzieć słowo, samochód stał na powrót we właściwej pozycji. Kapelusznik flegmatycznie otrzepał dłonie i mruknął: — Zrobione. Nie ma nawet żadnego wgięcia. Tu jest zawsze moko.

Silny — pomyślał bez entuzjazmu Łukasz.

— Siłacz z pana — rzekł głośno ojciec. — Ale mogliśmy przecież zrobić to razem.

— Ee... — wychrypiał mężczyzna. — Mój kuzyn ma mercedesa. Temu i we dwójkę nie dalibyśmy rady. Ale to... — machnął ręką. — Pan do profesora?

— Do... Tak. Do państwa Piotrowiczów. Skąd pan wie?

— Przecież nie pchałby się pan o tej porze nad jezioro. A oni też tylko co zajechali. Widziałem. Mieszkam tu zaraz, za drzewami — wskazał głową kierunek.

— Siostra żony ma dom obok. Zachodzi do profesora. Sprząta, dogląda. A kiedy przyjeżdża, to nosi tam ser, jajka, mleko. Na wakacje?

— Na wakacje. Z synem.

— No to się napatrzycie...

— Napatrzymy...? — powtórzył zdziwiony ojciec.

— Wczoraj było po tej stronie zatoki, to myślałem, że i dzisiaj będzie tak samo. Dlatego tu przyszedłem. Tam koło mnie kopali kiedyś żwir i teraz jest glina. Syn niesie... — wskazał ręką za siebie.

Łukasz przestał cokolwiek rozumieć.

— Nie bardzo wiem, o czym pan mówi — powiedział słabym głosem jego ojciec.

— Ja nic nie mówię — odzębął się kapelusznik. — To inni mówią... jeden tak, drugi tak... A żyć jakoś trzeba, no nie?

Zapadło milczenie. Łukasz przeniósł wzrok na chłopca, stojącego nieruchomo tam, gdzie wynurzył się z mroku. Miał jasne włosy, które w świetle reflektorów sprawiały wrażenie białych. Z pleców zwisał mu duży worek, chyba ciężki, bo podtrzymywał go obiema rękami.

Ojciec Łukasza westchnął.

— Zrobiło się późno — powiedział, zrezygnowany. — Musimy jechać.

— A no, późno — zgodził się miejscowy sąsiad państwa Piotrowiczów. Skinął na syna, po czym sam ruszył przodem. Chłopiec poszedł w pewnej odległości za nim. Miał okrągłą twarz, zaciśnięte usta i patrzył prosto przed siebie. Mijając fiacika wykonał nieznaczny ruch głową i fachowo splunął przez zęby. Może chciał wyrazić swój stosunek do przyjezdnych w ogóle, może tylko do tych przyjezdnych, którzy akurat przyglądali mu się z niemiłym zaskoczeniem, a może na swój sposób obwieszczał światu, że dźwiganie worka pełnego ciężarów jest dla niego najzupelniejszą błahostką.

— Kwiczół — burknął Łukasz. Nie wiedzieć dlaczego nazwa tego rzadkiego i sympatycznego ptaka od dawna służyła mu jako wyzwisko, używane wobec osób oraz sytuacji budzących jego skrajną niechęć. — Taaki kwiczół — pokazał rękami rozmiary kwiczola, po czym zamyślił się i powiedział zmienionym tonem: — Tato, wiesz? Czy to, o czym ten człowiek mówił, i to, o czym ty nie słyszałeś — zrobił znaczącą przerwę — nie ma czegoś wspólnego z tamtymi świecącymi kulami? Z milicją i w ogóle?

— Z „w ogóle” na pewno ma coś wspólnego — przyznał ojciec.

— Tato, ja nie żartuję... Tato, uważaj!

— Widzę.

Fiacik podskakując na garbach koleiny, ominął nową postać, która ukazała się w blasku reflektorów. Był to mężczyzna, w krótkich spodenkach i jasnej, sportowej koszuli. Niósł skórzaną torbę, aparat fotograficzny i wyglądał na zwykłego urlopowicza. Dziwne było tylko to, że najpierw odwrócił się tyłem do nadjeżdżającego samochodu, a potem wędrował powoli wokół własnej osi, tak, aby siedzący w aucie ani przez moment nie widzieli jego twarzy.

Łukasz już nic nie powiedział. Zresztą, na rozmowę nie starczyłoby czasu. Dosłownie dziesięć metrów od miejsca, gdzie minęli człowieka, który udawał, że go nie było, ściany wąwozu opadły i ukazał się otoczony drzewami duży, drewniany dom, z oszkloną werandą na dole, obszernym tarasem wyżej i stromym, góralskim dachem. Wszystkie okna dosłownie buchały światłem. Za domem, nisko w dole, lśniła pomiędzy zarośmi księżycowa ścieżka na jeziorze.

— Staniemy z boku, żeby nie przeszkadzać — mruknął ojciec. Przecisnęli się między rozłożystym modrzewiem a samochodem gospodarzy.

Polonez, porzucony z szeroko otwartymi drzwiami, przypominał ptaka o czterech rozczapierzonych skrzydłach i zadartym ogonie. Ojciec skręcił za narożnik i wyłączył silnik.

— Jesteśmy — odetchnął.

Z domu dobiegł jazgotliwy gwar zmieszanych głosów. A no, jesteśmy — pomyślał Łukasz.



W przestronnym pokoju centralne miejsce zajmował kominek wykładany marmurem. Na kominku stał złocisty zegar, którego tarczę podtrzymywały powyginane smoki. Towarzyszyły mu srebrne lichtarze. Między wygodnymi, niskimi fotelikami znajdował się długi stół, w tej chwili zarzucony torbami, pudełkami i paczkami różnych kształtów i rozmiarów.

Jeden fotel ustawiono w pobliżu kominka, obok stojaka z łopatką i pogrzebaczem, drugi, po przeciwnej stronie, wspierał się o niepokalanie białą ścianę. Prawy narożnik zajmowała szafka, na której półkach płaski, kolorowy telewizor sąsiadował z ozdobnymi lampami naftowymi, telefonem, samowarem i wazonami, a podłużne radio, strzeżone przez czarne kolumny głośników, z prehistorycznym gramofonem, zaopatrzonym w wygiętą tubę, stało obok nieszczęsnego żaglowca, uwięzionego w butelce i kilkoma ładnymi, ludowymi laleczkami. Ściany były ozdobione portretami i kolorowymi talerzami. Całości dopełniał puszysty dywan miodowej barwy oraz lampy z bufiastymi abażurami, malowniczo rozrzucone po całym pokoju. W kącie, blisko otwartych drzwi do kuchni, drewniane schody prowadziły na piętro.

Łukasz od razu odniósł wrażenie, że czegoś jest tutaj za dużo, jednak to wrażenie dotyczyło nie tyle sprzętów, ile nóg, niewątpliwie należących do ludzi.

— W tej chwili oddaj mi moje książki! — zgrabne skądinąd nogi zamigotały białymi sandałkami przemierzając drogę między kominkiem a półką. Pech chciał, że natrafiły na wystającą spod stołu walizkę i, jak mówią samochodziarze, utraciły przyczepność. Huknęło i zawrzęszczało.

— Oddam, jak ty mi oddasz moje kasety! — nogi w dżinsach wykonały przedwczesny unik. Palnęły piętami o barylkową torbę, by następnie przebyć lotem koszącym na wstecznym biegu przestrzeń dzielącą je od lampy, umieszczonej na smukłej kolumnie. Na szczęście właściciel innych nóg, stojący obok szafki zdążył złapać świecąca najspokojniej lampę dosłownie włos nad podłogą.

— Przestańcie, zaraz! Helu, zrób coś z nimi! Oszaleć można. Gdzie jest mój śrubokręt?! Dopiero co tutaj go położyłem!

Smukłe nogi, drepczące raczkami w stronę kuchni, ledwie widoczne spoza tobołu, który jechał za nimi, zatrzymały się.

— Dzieci, słyszałyście, co powiedział ojciec? Bardzo was proszę!

Marku, naprawdę nie widziałam śrubokrętu...

— Poczekaj, Helu, pomogę ci — nogi spoczywające dotąd bezpiecznie przy kominku podeszły statecznie do tobołu. Ten uniósł się jak oklapły balon i zaczął podróżować znacznie raźniej.

— Potłukłam się przez tego osła!

— Oddaj kasety!

— Co z tym śrubokrętem?! Bo nie naprawię wtyczki i nie będziecie oglądać telewizji!

— Gdybyż to mogła być prawda! O, jesteście — męskie nogi, które wyszły z kuchni zatrzymały się na moment, po czym ruszyły ku werandzie.

Łukasz zamrugał oczami i spojrzał wyżej. Już parę ładnych minut stali obaj z ojcem w otwartych drzwiach, przez nikogo nie zauważeni.

Stateczne nogi unosiły, jak się okazało, siwowłosego dziadka Miry i Pawła. Stał teraz przed nimi i uśmiechał się przyjaźnie. Był drobny, średniego wzrostu, ujmująco spokojny. Miał czerstwą, opaloną twarz i jasnoniebieskie oczy, w których często zapalały się wesołe ogniki.

— Czemu nie wchodzić? — spytał. — Przestraszyliście się, że zostaniecie stratowani? Niebezpieczeństwo istnieje, ale zachowując najdalej posuniętą ostrożność można ocaleć. Gdzie wasze rzeczy?

— Zostawiliśmy je w samochodzie — powiedział ojciec Łukasza. — Potem zaniemiemy od razu do pokoju...

— Wobec tego siadajcie, obejrzyjcie do końca inauguracyjne przedstawienie w wykonaniu rodzinnej trupy Piotrowiczów i powtarzajcie sobie w duchu, że jutro będzie lepiej.

Zaproszeni posłusznie zajęli wskazane im miejsca w fotelach obok kominka. Tu zostali odkryci przez głównych członków „trupy”, jak się wyraził dziadek Klemens. Nestor rodu Piotrowiczów miał na imię Klemens.

— O! — zawołała Mira. — Widzisz, tato?! — obejrzała się na mężczyznę dłubiącego przy telewizorze. — A mówiłeś, że ich zamknęli!

Mira skończyła właśnie szóstą klasę z odznaką „Wzorowego Ucznia”.

Jej długie, miękkie włosy okalały drobną śniadą buzię z dużymi oczami i delikatnym noskiem, tylko odrobinę sterującym w niebo. Kiedy się śmiała, na jej policzkach występowały dwa dołeczki, dokładnie takie, jakie od wieków opisują zakochani poeci.

— Ja mówiłem? Nie mówiłem. To znaczy, żartowałem! — zaprotestował nieszczerze ojciec niedyskretnej piękności. — A, Rafale, dobrze, że jesteś. Czy mógłbyś mi pomóc przy tej wtyczce? Ktoś zabrał śrubokręt...

Wezwany wstał i obejrzawszy rozbebeszony kontakt ruszył w stronę drzwi.

— Chwileczkę — powiedział. — Przyniosę narzędzia z samochodu...

— Świetnie — ofertę przyjęto z zadowoleniem, acz bez wdzięczności. Nie mając chwilowo nic do roboty pan Marek Piotrowicz odwrócił się twarzą do pokoju i wygodnie oparł o szafkę. Coś spadło na podłogę. — Śrubokręt — zostało obwieszczony niechętnym tonem. — Ciekaw jestem, kto go tu rzucił!

— Sam go położyłeś za telewizorem, a teraz strąciłeś — wyjaśnił rzeczowo Paweł, po czym zwrócił się do Łukasza: — Rzeczywiście długo was trzymali. Wlepili wam mandat? — zagadnął z nadzieją w głosie.

Paweł był o dwa miesiące starszy od Łukasza, chodził do tej samej szkoły co Mira i skończył siódmą klasę z bardzo dobrymi stopniami. Miał włosy jaśniejsze od siostry i lekko zadartą brodę, co podkreślało pełen wyższości ton, jakiego używał w rozmowach z rówieśnikami i nie tylko rówieśnikami. Budową ciała przypominał swojego ojca. Był krępy, nie za wysoki, i sprawiał wrażenie silnego.

— Nie wlepili nam mandatu — Łukasz chciał dodać, że ich fiacik przedstawił się milicjantom z jak najlepszej strony, ale wspomnienie czerwonej lampki skierowało jego myśli ku wszystkim tajemniczym zdarzeniom, które sprawiły, że ostatni odcinek drogi zajął im tyle czasu — Tu zaraz przed waszym domem, spotkaliśmy mężczyznę bez twarzy To znaczy w takim jakimś kapeluszu! — zawołał z nagłym zapałem — Tato o mało go nie potracił i musieli przesuwac samochód Mówił, że wczoraj coś było z tej strony zatoki, a dzisiaj nie. U niego kopali żwir i teraz jest glina. Jego syn niósł worek. Za nimi szedł ktoś, kto na nasz widok zasłonił sobie głowę żebyśmy go nie widzieli A przedtem zobaczyliśmy świecące kule. No, te, co wystrzeliły z jeziora i poleciały w górę. Zmieniały kolory jak neonowe reklamy. Czy wiecie, co to było?

Mira zatrzymała się na pierwszym stopniu schodów. Postawiła walizkę i powiedziała rozmarzonym głosem.

— Oczywiście. Mamy tu pod wodą specjalną wyrzutnię świecących kul. Lepimy je z gliny i wypuszczamy, ilekroć przyjadą nadzwyczajni goście.

— Przedtem musimy wykopać żwir — przypomniał Paweł.

— Nosimy go w workach, a jak zagrozi nam drogę jakiś samochód, to go przestawiamy.

— Potem odwracamy głowy i zasłaniamy twarze Na wszelki wypadek zmieniamy jeszcze kolory Przybieramy barwy ochronne.

— To byłoby chyba wszystko — Mira wdzięcznie skinęła główką, wzięła walizkę i poszła na górę.

Łukasz najchętniej zapadłby się pod ziemię. Nigdy nie był gadułą, ale w razie potrzeby potrafił znaleźć właściwe słowa i umieścić je obok siebie we właściwej kolejności. A tu proszę, jak się popisał. Zaraz pierwszego wieczoru.

— Nic przejmuj się — usłyszał nagle miły głęboki głos. — Pewien mój znajomy filozof, kiedy natknie się na jakiegoś zadufka, ma zwyczaj mawiać „im głupszy, tym mądrzejszy”. Zadufek nie wie, o co chodzi, mój znajomy jest dumny z błyskotliwej reprimendy, jakiej mu udzielił i obaj rozchodzą się zadowoleni z siebie.

Łukasz był zbyt wytrącony z równowagi, aby dociekać, dlaczego jakiś filozof uważa, że głupszy jest mądrzejszy, ale spojrzął z wdzięcznością na starszego mężczyznę, który najwyraźniej zauważył, co się w nim dzieje.

Zaczerpnął tchu i składniej już opisał przebieg zajścia, jakie miało miejsce w wąwozie.

— Znam tego człowieka w kapeluszu i jego syna — powiedział z namysłem pan Klemens, gdy chłopiec skończył — Nazywają się Cielicowie. Ów młodzieniec z workiem ma na imię Jacek. Siostra jego ojca wyszła za mąż za gajowego, ale te dwie rodziny nie przepadają za sobą. Gajowy powiada o swoim szwagrze, że jest łgarzem i że zdarłby skórę z własnego syna, gdyby tylko ktoś chciał mu za nią zapłacić. Myślę, że trochę przesadza. O tym drugim, który na wasz widok zakrył sobie twarz, wiem, naturalnie, nie więcej od ciebie. Rzeczywiście, mieliście dziwne spotkania. Wspomniałeś o jakichś kulach...?

Dopiero teraz wrócił ojciec Łukasza, niosąc pudełko z narzędziami.

— Niepotrzebnie się tak śpieszyłeś — powitał go ironicznie Marek Piotrowicz. — Dawno sam sobie poradziłem. Znalazł się śrubokręt.

— Przepraszam. Nie mogłem ich odszukać. Były pod bagażami.

— Narzędzia trzeba mieć zawsze pod ręką!

— Tak, oczywiście.

— No więc co z tymi kulami? — upomniał się dziadek Klemens.

— Zobaczyliśmy je ze szczytu wzgórza, skąd jest taki ładny widok na jezioro i Górek — tu Łukasz wiernie odmalował obraz wylatujących z wody wielobarwnych ognistych tworów.

— Nie. Niestety. Nie widzieliśmy — słuchający z uwagą pan Klemens bezradnie rozłożył ręce. — Ale to zrozumią. Kiedy wy byliście na górze, my jechaliśmy już w dół, między drzewami.

— Ujrzeście światła na przystani albo na zagłówkach — zawyrokował kategorycznym tonem ojciec Miry i Pawła. — W okolicy nie ma żadnego lotniska. Czasami wodniacy puszczają latawce i ciągną je za łodziami. Może dzisiaj też ktoś tak się zabawiał. Nic prostszego, niż przyczepić do latawca lampion z latarką czy świeczką. Przepraszam, muszę pójść do siebie — otworzył drzwi znajdujące się po przeciwnej stronie wejścia do kuchni i z ręką na klamce dodał — w poniedziałek oddaję sprawozdanie. Chcę jeszcze przejrzeć materiały... nie wszystko mi się podoba.

— Ciśnij w kąt papierzyska i zostań z nami w Górku — poradził dziadek Klemens — Jeśli nie możesz spokojnie wyjechać na urlop, bo boisz się, że twoi współpracownicy narobią bałaganu albo wygryzą cię ze stanowiska, to jesteś kiepskim kierownikiem.

— Nie jestem kiepskim kierownikiem, tylko patrzę trzeźwo na świat i życie. Ojciec niczego nie rozumie — pan Marek głośno zamknął za sobą drzwi.

W pokoju zrobiło się naraz bardzo cicho. Paweł bawił w łazience. Z otwartej werandy napływało orzeźwiające powietrze.

Ale spokój nie trwał długo. Na piętrze coś trzasnęło, po czym rozległ się tupot

drobnych kroków i ze schodów zbiegła Mira. Nic dostrzegając nikogo stanęła przed kuchennymi drzwiami i zawołała ze złością.

— Mamo!

— Co się stało? — pani Helena niezwłocznie ukazała się w progu. Posrebrzane włosy przylgnęły jej do czoła zlepionymi kosmykami. W jednej ręce trzymała dymiący garnek, w drugiej długą drewnianą łyżkę.

— Mamo, chodź na górę i zobacz! Rozpakowałam dopiero jedną torbę a już nie ma gdzie palca włożyć! Gdzie dam resztę rzeczy, sukienki, książki, w ogóle wszystko? Dlaczego Paweł ma mieć swój pokój dla siebie, a ja muszę mieszkać z kimś?! To męka, nie wakacje!

— Nie z „kimś”, tylko ze mną...

— Ale dlaczego? Dlaczego?

— Dlatego, że... Dlatego... — mama złościcy musnęła przestraszonym spojrzeniem obu zaproszonych na lato gości i umilkła.

Dlatego, że my z ojcem mamy spać w jej pokoju — dopowiedział sobie w myśli Łukasz. — Kwiczoł. Kwiczoł, kwiczoł, kwiczoł...

— A ja się cieszę, że będę mieszkać z tobą — po chwili ciszy pani Helena wznowiła próbę rozładowania atmosfery. — Codziennie przed zaśnięciem troszkę sobie porozmawiamy. W mieście stale jesteśmy zajęte...

— Eee...

— Moi panowie — odezwał się głośno dziadek Klemens. — Najwyższy czas, żebyście się zadomowili. Idźcie po bagaże, a potem zaprowadzę was do waszego pokoju. Gospodyni, jak widzicie, jest zajęta i nie powinniśmy jej przeszkadzać, jeśli chcemy dostać kolację.

Łukasz wraz z ojcem skwapliwie skorzystali z propozycji.

Rozpakowali się w milczeniu, unikając nawzajem swojego wzroku. Jasna, obudowana boazerią szafa bez trudu pomieściła ich wakacyjny dobytek. Tu na górze ściany były z desek pomalowanych bezbarwnym lakierem. Z naturalnym kolorystem drewna niezbyt dobrze harmonizowała śnieżna biel mebli. Biała szafka z lustrem, biała półeczka, białe regały, biały stolik i także dwa krzesła z wygiętymi oparciami. No tak, był to przecież pokój dziewczęcy. Wyposażenia dopełniały wygodna wersalka i, oczywiście biały, tapczan.

Kiedy skończyli, ojciec otworzył okno. Łukasz z ponurym wyrazem twarzy wyjrzał na zewnątrz. Najpierw poczuł zapach powietrza i głęboko odetchnął. Potem przebiegł wzrokiem leżącą po lewej stronie płaszczyznę jeziora. „Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą i dwa obaczysz księżycy” — pisał wieszcz. To właśnie obaczył Łukasz. A ponadto czarnogranatowe zbocza gór i dalekie lampy przeświecające przez liście.

Chłopiec westchnął. Jakież wspaniałe mogłyby być tutaj wakacje, gdyby nie ci Piotrowiczowie. To znaczy wyłączając panią Helenę i pana Klemensa, bo oni to zupełnie co innego. Gdyby tato był weselszy i potrafił czasem dać po nosie na przykład panu Markowi. Gdyby mama...

Gdyby, gdyby, gdyby...

Ojciec dotknął jego ramienia.

— Zobaczysz... — zaczął cicho, ale nie skończył. Nie z jeziora tym razem, a spomiędzy wzgórz trysnęło w górę kolorowe światło.

— Patrz! — odkrzyknął ojciec, jakby Łukasz mógł robić cokolwiek innego. Snop światła nieznacznie tylko rozszerzał się biegnąc wciąż wyżej w niebo i choć stał prosto jak maszt, to jednak nie był nieruchomy. Musiał kręcić się wokół własnej osi. Inaczej nie mogłyby się w nim tak mieszać i przepływać przez siebie setki migotliwych plamek, podobnych do kolorowych szkiełek. Tamte ogniste kule prezentowały widzom zaledwie kilka barw, tu było ich mnóstwo, we wszystkich

możliwych odcieniach.

— Tato, co to?... Tato, teraz chyba widzą wszyscy!

Ojciec z powątpiewaniem pokręcił głową.

— Z dołu widok zasłaniają drzewa i krzaki. A tutaj chyba tylko nasze okno wychodzi na tę stronę...

— To zawołajmy ich! Prędko!

Ale było za późno. Z podnóża świetlistego słupa buchnął pomarańczowy dym. W następnym ułamku sekundy przestreliły go jaskrawe promienie, po czym wszystko zniknęło równie nagle, jak się pojawiło. Zapadła nieprzejrzana ciemność, gęstsza niż kiedykolwiek.

— Tato, co to było?

— — —

— No, tato! Co to?!

## Tato, oni!

Śniadanie przebiegło spokojnie. Byłoby może inaczej, gdyby Łukasz opowiedział o świetlistym słupie z równym przejęciem i równie płynnie, jak wczoraj o ognistych kulach i tajemniczych nieznanym, ale on zbyt dobrze zapamiętał lekcję. Zaraz rano bąknął coś od niechcienia o lampach na przystani, po czym, stwierdziwszy, że wątpliwości ojca były uzasadnione, to znaczy że oprócz nich dwóch nikt niczego nie zauważył, szybko zmienił temat. Prędej czy później i tak się przecież dowie co świeciło i co tkwi za wszystkimi wieczornymi przygodami.

Dziadek Klemens odsunął patelnię z resztką jajecznicy.

— „...rozbito mu dwadzieścia jaj do rynki, gdyż na więcej nie chciała przez ostrożność Jagienka pozwolić” — powiedział.

— Cóż to znowu? — Mira czujnie uniosła brwi podejrzewając zaczepkę.

— Cytat z uczonej książki profesora Piotrowicza — orzekł Paweł.

— Nie. Z „Krzyżaków” Sienkiewicza — wyjaśnił pogodnie dziadek, po czym mówił dalej: — Nieodgadnione są ścieżki, którymi chadzają ludzkie myśli. Dlaczego akurat teraz rozkosze podniebienia przypomniały mi o rozkoszach lektury? Ile jaj zjadłby Macko z Bogdańca, gdyby Jagienka była mniej ostrożna? Wyznam wam w sekrecie, że to pytanie dręczy mnie od chwili, gdy w zamierzonych czasach po raz pierwszy przeczytałem „Krzyżaków”. Ale na tym właśnie polega urok książek, że zostawiają człowieka z pytaniami, na które sam może wymyślać różne odpowiedzi, roztrząsać je, szukać innych, kłócić się ze sobą...

Pani Helena zaśmiała się cicho.

— Co do mnie, nie lubię jajecznicy — powiedziała Mira przeciągając sylaby. — To dobre dla rozbitków albo dla tragarzy.

Jej mama przestała się śmiać.

— Wielka szkoda — zafrasował się dziadek Klemens. — Zauważyłem, że jajecznicą znakomicie służy moim szarym komórkom. Potężne umysły nie potrzebują, naturalnie, takiej podniety więc niechęć niektórych moich bliźnich muszę przyjąć z pokorą. Ale ja jestem zaledwie prostym, starym belfrem... a pragnąłbym podczas wakacji napisać przynajmniej jeden rozdział nowej powiastki, żebyście znowu mogli czegoś nie przeczytać.

Klemens Piotrowicz był profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Był także znanym autorem książek, w których lekko i arcyciekawie przedstawiał historię prawa, poczynając od starożytnych Sumerów, a kończąc...

Nie wiadomo na czym, ponieważ pisał nadal i stale sięgał do innej epoki lub innych ludów. Mogłoby się wydawać, że w dziejach mieszkańców Ziemi nie ma nic nudniejszego nad ustawy i paragrafy, jednak pod piórem dziadka Klemensa paragrafy zachowywały się jak żywi ludzie, natomiast kodeksy oraz ustawy nabierały dramaturgii rycerskich wypraw przeciw wszelkiej nieprawości. Ojciec Łukasza przeczytał kiedyś synowi fragment szkicu o Hammurabim, zwycięskim królu Babilonii, ale przede wszystkim prawodawcy, i chłopiec musiał przyznać, że była to lektura trudna, lecz porywająca. Zresztą, mniejsza o Hammurabiego. Dość, że książki profesora Piotrowicza cieszyły się ogromną popularnością i że przyniosły ich autorowi zasłużoną sławę oraz niemało pieniędzy. Łukasz wiedział, że to właśnie za te pieniądze został kupiony i wyposażony dom w Górku.

Wiedział też, że dziadek Klemens urządzenie tego domu i gospodarowanie w nim pozostawił swojemu synowi, ojcu Miry i Pawła.

— Skoro mówimy o kuchni, chciałbym wam coś zaproponować — pan Klemens

powiódł wzrokiem po obecnych, zatrzymując się dłużej na twarzach wnuczki i wnuka. — Dlaczego mamy tu zbijać baki wszyscy, z wyjątkiem naszej kochanej gospodyni? Postuchajcie. Śniadania i kolacje będziemy przygotowywać na zmianę, codziennie kto inny. A obiady zamówimy w sąsiedztwie, u tej pani, która prowadzi pensjonat. Na pewno się zgodzi. Co wy na to?

— Przecież mama lubi gotować — powiedziała niechętnie Mira.

— Wolę jeść suchy chleb, niż patrzeć stale na zegarek, żeby się nie spóźnić do jakiejś baby — poparł siostrę Paweł. — Ani dalej wypłynąć, ani pójść w góry...

— Ciągłe się czyta o zatruciach pokarmowych — bąknął pan Marek.

Łukasz i jego ojciec dyplomatycznie milczeli.

Pani Helena uśmiechnęła się do dziadka Klemensa. Ten odpowiedział jej uśmiechem i pokiwał głową. Jego przezorny syn pokręcił się nerwowo, po czym wstał.

— A propos zegarka — burknął, najwyraźniej uznając temat za wyczerpany. — Najwyższy czas, żebym się zaczął zbierać. Muszę jeszcze wpaść do instytutu, a potem popracuję w domu. No to, tego...

— Przyjedź do nas przynajmniej na dwa tygodnie — poprosiła pani Helena. — Odetchniesz, popływasz sobie...

— Rzeczywiście. Nie mam nic innego na głowie, tylko myśleć o pływaniu! Niczego nie rozumiesz, moja droga.

— Widzisz, Helu — ucieszył się dziadek. — Jeszcze jedna rzecz, która nas łączy. Oboje niczego nie rozumiemy.

Ale pan Marek nie słuchał. Zmarszczył brwi i wbił wzrok w ojca Łukasza.

— Rafale — zaczął wreszcie. — Ten punkt w sprawozdaniu...

— Dzień dobry — przerwał młody głos.

— Dzień dobry — zawtórował drugi, jeszcze młodszy.

Wszyscy odwrócili się w stronę werandy.

— A, to wy! Dzień dobry! — odpowiedziała serdecznie pani Helena. — Chodźcie, usiądźcie.

— Nie, dziękuję, musimy lecieć — odrzucił zaproszenie piegowaty chłopiec z rudymi włosami. — Mama kazała tylko spytać, czy czegoś nie trzeba? Sera nie zdążyła zrobić, bo ciągle coś się dzieje. Mleko przyniesiemy później. Teraz idziemy do ojca. Całą noc chodził z jakimiś dyrektorami. Przyjechali nawet z Warszawy. Nic, tylko szukają i szukają... Ale jak pójdą nad wodę, to to się pokazuje w lesie, a jak są na górze, to znowu muszą zbiegać na brzeg.

— Tato ma kręć-ka — uzupełniła mała, pyzata dziewczynka.

— Nie „ma kręć-ka” — zaśmiał się chłopiec — tylko powiedział, że dostaje już kręćka z tego wszystkiego. Żartował — wyjaśnił, żeby nie było nieporozumień.

— Podziękujcie mamie — odezwała się pani Helena — i powiedzcie, że prosimy o to co zwykle, tylko trochę więcej. Nasza gromadka stała się nieco liczniejsza. Czego szuka twój ojciec?

— Co się pokazuje? — nie wytrzymał Łukasz.

— No, przecież...

— Najmocniej przepraszam. Można na sekundę? — powiedziała zza framugi głowa nowego przybysza. Zaraz po niej ukazała się cała reszta, w osobie przysadzistego mężczyzny w średnim wieku, z plackowatą łysiną.

— Prosimy — rzekł bez entuzjazmu dziadek Klemens.

Łukasz jęknął w duchu.

Natret, który pojawił się tak bardzo nie w porę, stanął kilka kroków za progiem i zaczął recytować:

— Dzień dobry, panie profesorze. Dzień dobry pani. Dzień dobry, panie doktorze.

Dzień dobry panu. Dzień dobry dzieci.

— Dzieci, przywitajcie się — powiedziała z naciskiem Mira, spoglądając życzliwie na rudego i jego małą towarzyszkę. — To syn i córka pana gajowego — trudno było jaśniej dać do zrozumienia, że poza wymienionymi żadnymi innymi dziećmi tu nie ma. Dzieci się nie przywitały, ale mężczyzna, którego Mira przedstawiła jako pana Kutynię i tak obdarzył je swym zainteresowaniem.

— O, my się przecież znamy! — zawołał. — Wasz ojciec obiecał znaleźć mi w Górku parcelę albo domek. Oczywiście, nic z tego... — westchnął wodzą zazdrosnym wzrokiem po pokoju pełnym cennych wspaniałości.

— Jeśli dobrze pamiętam, rok temu oglądał pan jakieś wolne budynki, podobno ładnie położone? — spytała pani Helena.

— Tak, ale to nie to. Nie to — słowem towarzyszył lekceważący gest. — Przyjechała żona, zobaczyła, potem przyprowadziłem ją tutaj... Oczywiście nie wchodziliśmy do środka... — podkreślił pośpiesznie — no i powiedziała, że albo taki jak państwa Piotrowiczów, albo żaden — człowiek nie posiadający domu zaśmiał się boleśnie i umilkł. Korzystając z tego Łukasz powtórzył bardzo głośno:

— Co się pokazuje?

Zapadła cisza.

— W podobnych sytuacjach pokazuje się zwykle coś, czego nie pokażę, żeby nie zostać posądzonym o złe wychowanie — rzekł Paweł patrząc przez sufit w niebo. — Potrzebne są czoło i palec...

Musiało minąć trochę czasu, zanim Łukasz mógł podjąć próbę naprawienia efektu, jaki osiągnął.

— Bo... bo... — odchrząknął. — Właśnie była mowa o tym, że pan gajowy czegoś szuka...

— Szuka? — podchwycił z błyskiem w oczach łysy. — Naprawdę?

To dobrze. To bardzo dobrze. A gdzie szuka?

— Tato ma kręć-ka — wyjaśniła dziewczynka.

Łukasz poczuł się uratowany.

— Właśnie do niego idziemy — powiedział rudy. — Jak nie biega nad jeziorem albo po górach, to siedzi u naczelnika gminy. Naczelnik urzęduje teraz w szkole. Ludzi tam tyle, że nie można się przepchać.

— No właśnie! — zawołał z rozpaczą bezdomny. — Potrzebna mi była jeszcze tylko ta awantura! Ale pójdę z wami, dzieci. Pójdę. A nuż wśród tylu ludzi znajdzie się ktoś, kto potrafi mi pomóc. Do widzenia, panie profesorze, do widzenia pani... Jeśli wolno, wpadnę kiedyś znowu, żeby choć popatrzeć. Oczu nie można oderwać...

— Do widzenia — odrzekła grzecznie pani Helena, ale w drzwiach nie było już nikogo.

Dziadek Klemens pochwycił pytające spojrzenie ojca Łukasza.

— Nazywa się Kutynia, jest zastępcą dyrektora jakiegoś przedsiębiorstwa i przyjacielem mojego syna.

— Zaraz przyjacielem! — obruszył się pan Marek. — Jego firma załatwia naszemu instytucji dostawę odczynników, bez których musielibyśmy przerwać bardzo ważne prace. To wszystko.

— Jeśli tak handluje odczynnikami, jak domkami letniskowymi, to obawiam się, że wkrótce na drzwiach waszego instytucji pojawi się napis: zamknięte z powodu naiwnej wiary w Kutynię.

— Przepraszam! Co w tym złego, że ktoś chce mieć domek?

— W zasadzie nic — przyznał pan Klemens. — Ale on mógł mieć już w Górku dziesięć domów. To za blisko drogi, to za daleko, to brakuje paru pokoi, to miejsca na garaż...



— Ma pieniądze i chce za nie kupić coś porządnego.  
— Skąd on bierze te pieniądze? — rzuciła pogardliwie Mira.  
— Pewnie ma bogatego ojca — podsunęła nieśmiało jej mama.  
Dziadek Klemens uśmiechnął się mimo woli, ale natychmiast spoważniał.  
— Rodzice Andrzeja, tego co był u mnie niedawno, wyglądają jak ostatnie ofiary, a właśnie kupili synowi komputer — Paweł nie podzielał niechętej opinii dziadka oraz siostry o Kutyni i jego niezaspokojonych pragnieniach. — Przyjaźnią się z ministrem...  
— Wiceministrem — poprawił pan Klemens.  
— Wszystko jedno. Razem pojechali na wakacje do Grecji...  
Łukasz przestał słuchać. Nie pojmował, dlaczego nikt nie interesuje się tym, co najważniejsze. Wczoraj nie widzieli tajemniczych świateł, zgoda, ale dzisiaj nie mogli nie usłyszeć, co mówił syn gajowego, a nawet Kutynia. Ważni przybysze ze stolicy, całonocne poszukiwania w górach i nad jeziorem. Coś się pokazuje. Tłum. Zamieszanie. Awantury. A oni tu rozmawiają o domkach, o pieniądzach, o komputerach i o znajomościach... Tymczasem nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w Górku dzieje się coś niezwykłego.  
— Tato — odezwał się cicho — chciałbym pójść nad jezioro. Dobrze?  
Ojciec otworzył usta, ale ubiegła go pani Helena:  
— Naturalnie. Musisz zobaczyć naszą plażyczkę, przystań, rozejrzeć się po Górku. Taki ładny dzień. Mira i Paweł pójdą pewnie z tobą? — uśmiechnęła się zachęcająco do swoich pociech.  
— Teraz, zaraz po śniadaniu? — skrzywiła się piękniejsza połowa rodzeństwa. — Ani mi się śni.  
— A niby z jakiej racji ja miałbym się rozglądać po Górku! — Paweł wzruszył ramionami.  
— Dziękuję, pójde sam... — Łukasz starał się nie okazać zadowolenia.  
Być może, gdyby Mira...  
— Panie Rafale, skoro moje dzieci są aż tak znudzone życiem to niech pan przynajmniej towarzyszy synowi — powiedziała ciepło pani Helena. — Chętnie podjęłabym się roli przewodniczki, ale muszę zajrzeć do sklepu, a potem porządkować w kuchni.  
— Jeśli chodzi o mnie, będę pływać, żeglować, zdobywać szczyty, palić ogniska i wdrapywać się na drzewa, tylko jeszcze nie dzisiaj — zastrzegł się wesoło dziadek Klemens.  
— No cóż... — zaczął ojciec Łukasza, jednak i tym razem nie pozwolono mu skończyć.  
— Wszyscy będziecie tu spacerować, pływać, wdrapywać się i tak dalej, ale ja przed wyjazdem muszę porozmawiać z Rafałem — zdecydował pan Marek. — Wspomniałem o pewnym punkcie w sprawozdaniu, zanim napatoczyły się te dzieciaki gajowego. Potem gadaliście wszyscy tak, że nie mogłem zebrać myśli. Chodź, chodź...  
Za ojcem Łukasza cicho zamknęły się drzwi sąsiedniego pokoju.  
— Nie ma tego złego, co by nie wyszło na dobre — powiedział szybko pan Klemens. — Dwie godzinki wytchnienia od bliźnich dodadzą ci apetytu.  
— Obiad będzie o drugiej — uściśliła pani domu. — Aha, gdybyś chciał pójść do Górka, to idź albo szosą, albo dołem, wzdłuż jeziora — przypomniała sobie. — Inaczej przejść nie można. Na stoku, między nami a wsią znajduje się kolosalne zwałowisko porzuconych elementów budowlanych. To prawdziwy, wielopiętrowy labirynt i straszna pułapka. Wystarczy jeden nieostrożny krok, żeby zepchnąć na siebie betonowe płyty albo ugrzęznąć jak w studni. Pamiętaj, że to zwałowisko trzeba

omijać z daleka. Zawsze wszystkich o to proszę. Tam naprawdę można połamać nogi albo napytać sobie jeszcze gorszej biedy. Nie zapomnisz?

— Nie zapomnę — przyrzekł Łukasz. — Dziękuję. Przepraszam — dodał i wyszedł.

W świetle dnia wąwóz, który późnym wieczorem sprawiał wrażenie posepnego tunelu, i w którym co krok czyhały niespodzianki w postaci tajemniczych nieznanomych, w świetle dnia zmienił się nie do poznania.

Po prostu polna droga rozcinała niewysoki garb zbocza spadającego ku brzegowi jeziora.

Łukasz postanowił zejść na plażę, skrócić w stronę przystani, a potem odnaleźć ową szkołę, o której wspomniał syn gajowego. Jeśli nie wcześniej, po drodze, od spotkanych ludzi, to tam już na pewno dowie się wreszcie, co tu w trawie piszczy.

Przeszedłszy kilkanaście metrów po coraz bardziej stromym stoku przystanął i obejrzał się. Nie było stąd widać ani grzbietu wzniesienia, ani tym bardziej biegnącej nim szosy. Za to dom Miry i Pawła stał się wyższy i niedostępny. Wyraźnie górował nad okolicą. Chłopca ogarnęło nagle zdziwienie, że tam był, spędził tam noc i ma tam zostać na całe wakacje. Dom wydał mu się zupełnie obcy.

Dom — tak nazywał go krótko dziadek Klemens. Nasz dom — dodawała miękko pani Helena. Jej mąż używał określenia: „dacza”. Mój dom — mówili i Mira, i Paweł. Oboje nadzwyczaj lubili słówka mój, moja, moje.

Mira — pomyślał Łukasz i szybko zaczął iść dalej. Wakacje. Mira.

Całe wakacje — powtarzał w duchu. Przez jego twarz przebiegł przelotny uśmiešek, a potem ukazał się na niej wyraz przygnębienia. Tak już bywa z niektórymi imionami, że ich dźwięk, choćby zabrzmiał jedynie w wyobraźni, każe się na zmianę uśmiechać i smucić.

Łukasz nie miał złudzeń.

Ten okropny wieczór w Krakowie...

W Krakowie państwo Piotrowiczowie mieszkali także razem z dziadkiem Klemensem i także we własnym domku, na Woli Justowskiej. Łukasz odwiedził ich tam kilka razy, jeśli czekanie w eleganckim holu lub w ogródku, aż ojciec skończy rozmawiać z panem Markiem, można nazwać odwiedzinami. To prawda, pani Helena i dziadek Klemens zawsze odnosili się do niego bardzo życzliwie, ale oboje byli zwykle zajęci, a on przecież miał tam jakoby „swoje” towarzystwo, w osobach Miry i Pawła. Towarzystwo po minucie lub najdalej dwóch zniknęło pod byle jakimi pretekstami albo i bez pretekstów. Jeśli chodzi o Pawła, działało się to ku obojmu zadowoleniu. Natomiast co się tyczy Miry...

Cóż. Mira była rzeczywiście śliczna.

Owego wieczoru ojciec poszedł po fiacika, a Łukasz czekał na niego przed furtką, w sąsiedztwie otwartego okna.

— No, masz, czego chciałaś — dobiegł go ironiczny głos pana Marka. — Pojadą z nami i będą u nas siedzieć bite dwa miesiące. Rafał wziął dodatkowo zaległy urlop. Moje gratulacje!

— To dobrze — powiedział pogodnie dziadek Klemens. — Dostrzegam w nich cechy charakteru, których wyraźnie nie dostaje moim kochanym potomkom. Rzadko, bo rzadko, ale zalety także bywają zaraźliwe. Nie tylko wady. Wiążę z tym pewne ciche nadzieje.

— Cechy charakteru! — zaśmiał się nieprzyjemnie jego syn. — Jeśli ojciec ma na myśli to, że jeden bez popychania nie załatwiłby sobie kalendarza na biurko, nie mówiąc już o lepszym mieszkaniu czy samochodzie, a drugi potrafi z biedą wydukać dwa słowa: przepraszam i dziękuję, to wszystko się zgadza. Jednak ja wołałbym

poszukać innych przykładów dla moich dzieci.

— Innych przykładów nie trzeba daleko szukać... — uwaga dziadka Klemensa przeszła bez echa.

— Przecież Łukasz bardzo dobrze radzi sobie w szkole — powiedziała pani Helena. — Jest skromny, ale inteligentny, wysportowany i tylko przybity tym, co stało się u nich w domu. Chciałabym, żeby miał przynajmniej wesołe wakacje. A jego ojciec, jak sam kiedyś mówiłeś, jest doskonałym specjalistą...

— ...który woli pitrasić kolacje dla żony i syna... To znaczy teraz już wyłącznie dla syna, niż opracować wyniki doświadczeń i pokazać się z nimi na poważnej, międzynarodowej konferencji — podchwycił z drwiną pan Marek. — Dlaczego nie sposób wydusić z niego pracy doktorskiej?

— Gdyby wcześniej uzyskał doktorat — wtrącił znowu pan Klemens — on byłby teraz twoim zwierzchnikiem, a nie ty jego.

— To jeszcze nie wiadomo... Wy co? Podśłuchujecie!?

Z głębi domu odpowiedział przytłumiony głos Pawła:

— Nie podśłuchujemy, tylko mama wołała na kolację. Zatrzymaliśmy się przed drzwiami powodowani jedynie delikatnością. Przypadkiem usłyszeliśmy, że zakładacie w Górku przytułek.

Przecięcie wstęgi w lipcu — dorzuciła Mira. — Oczywiście ja, ponieważ chwilowo mam i mamę, i tatę, nie zasługuję na żadne względy.

— Ani ja. Czy będziemy ich codziennie nosić nad jezioro, czy raz na jakiś czas zechcą pójść na własnych nogach?

Łukasz odszedł na palcach spod okna. Ujrawszy znajomego fiacika rzucił się w jego stronę jak oparzony. Piekły go uszy, szumiało mu w głowie, gardło miał ściśnięte tak, że nie mógł od razu powiedzieć ojcu, co myśli o uprzejmym zaproszeniu państwa Piotrowiczów.

A potem nie powiedział tego już nigdy. Nie podejrzewający niczego ojciec zaczął bowiem z taką ulgą i radością mówić o urokach Górka, że chłopca słowa uwięzły w krtani. Dotąd wszystkie dłuższe wyjazdy organizowała mama. Nagle zabrakło jej i jej przedsiębiorczości. Mijały dni i widmo lata w mieście stawało się coraz bardziej realne. Łukasz widział, że ojciec z troską myśli o jego wakacjach. Ale cóż. Myślał, martwił się, jednak jakoś nic z tego nie wynikało. Wreszcie do końca roku szkolnego został jeden, ostatni tydzień i wtedy właśnie spadło z nieba to zaproszenie. Łukasz nie mógł, po prostu nie mógł wydusić z siebie, że nie chce.

Uderzył głową o mokrą od rosy gałąź i zatrzymał się ponownie. Zatopiony w gorzkich rozmyślaniach nie zauważył, kiedy zboczył z właściwej drogi. Musiał z niej zejść dobrą chwilę temu, bo teraz otaczały go zewsząd zarośla, przez które nigdzie nie przeświecał najmniejszy skrawek jeziora. Mógł zawrócić, ale nie chciało mu się na powrót wspinać pod górę. Stracił już tyle czasu.

Nie namyślając się dłużej zaczął przedzierać się przez krzaki prosto w dół, trochę na łeb, na szyję. Nagle potknął się o korzeń, usiadł gwałtownie i zjechał na jakąś wąską ścieżynkę, wprost pod płotek, opleciony kolczastym drutem. Podniósł się i przeczytał napis na krzywej tablicy: „Miejsce niebezpieczne. Wstęp wzbroniony”.

Niebezpieczne miejsca nie dla wszystkich są jednakowo niebezpieczne — Łukasz zauważył, że nie on pierwszy odkrył tę prawdę. Nad ścieżką drut był przygięty, a ślady po jego obu stronach zdradzały, że już niejeden śmiałek zlekceważył przestrożę. Toteż chłopiec dzielnie przekroczył płotek i poszedł dalej. Przez rzadziejące zarośla zaświeciło jezioro.

Raptem, w ułamku sekundy skończyły się krzaki i skończyła się ziemia. Przed nim nie było nic prócz powietrza, a pod nim kilkunastometrowa przepaść, najeżona

kanciastymi głazami, które opływały ciemne wody zatoczki. Łukasz spadając najpierw wrzasnął, potem rozpaczliwie zamachał rękami, potem wrzasnął, potem prawą dłonią trafił na gałąź, potem wrzasnął, potem uczepił się owej gałęzi tak, jak jeszcze nigdy w życiu niczego się nie uczepił, potem wrzasnął, potem, zatrzymany gwałtownie w locie, wykonał iście cyrkowy piruet, potem wrzasnął, no i wreszcie zawisnął bezwładnie niby zwinięty sztandar na cienkim drzewcu. Niżej złowrogo zahurkotały kamienie.

— Trzymaj się! — zawołał ktoś w dole.

Łukasz nie potrzebował zachęty. Udało mu się nawet pochwycić gałąź także drugą ręką. Jednak na wszelki wypadek odkrzyknął.

— Lecę!

— Dobrze, ale za chwilę — nieznajomy drapał się widać gorączkowo w kierunku wisielca, bo dyszał jak staroświecki parowóz. — Jeszcze nie, jeszcze, jeszcze. No, dosyć. Dalej nie wyleżę. Ja też podlegam prawu powszechnego ciężenia. Na co czekasz? Spadaj!

— Jak to, spadaj?

— Przecież już zacząłeś i szło ci to całkiem składnie. Odpocząłeś chwilę, podumałeś o tym i owym, a teraz czas dokończyć dzieła. Puścisz w końcu ten patyk?

Co było robić. Łukasz puścił. Niestety. Człowiek czekający dwa metry niżej z wyciągniętymi ramionami przecenił wytrzymałość oparcia, jakie dawała jego stopom skalista stromizna. Chwycił wprawdzie chłopca, ale zanim zdołał postawić go na nogach zaczął zjeżdżać tyłem, coraz prędzej i prędzej, aż kamienie pod nim ustąpiły miejsca trawie. Dwugłowy kłęb wykonał pełne salto demonstrując światu, jak wygląda walący się wiatrak o ośmiu skrzydłach, i wylądował z impetem na zielonym placyku, gdzie stały dwa namioty, pomiędzy których snuł się apetyczny dymek. Coś szcęknęło, coś chlupnęło, coś się potoczyło.

— A! A! Aaa! — na przekór wszystkiemu, czego można by się spodziewać po kimś, kto właśnie spadł w przepaść, Łukasz zerwał się jak na sprężynie i zaczął biegać w kółko, manewrując rękami w okolicy własnego siedzenia. Ale gdy tylko dotknął wiadomych wypukłości, od razu uciekał z dłońmi i zwiększał tempo.

— Au!!! Aaaa!!!

Jego wybawca pozbiierał się również. Usiadł na trawie, skrzyżował ramiona na piersi i patrzył. Młoda, opalona twarz przybrała wyraz życzliwego zainteresowania.

Z niewielkiego namiotu wyczołgał się drugi mężczyzna. Wstał, przeciągnął się leniwie, utkwił wzrok w roztańczonym Łukaszu i spytał:

— Co tu się dzieje?

— Tu? — zdziwił się pierwszy. — Nic. Człowiek wpadł do zupy. Normalnie.

— To tak — zgodził się chętnie nowy. — Nie jest natomiast normalne, żeby w środku nocy ktoś ryczał pod cudzym namiotem jak zarzynany osioł. Hej, ty — podniósł głos. — Wejdz no z łaski swojej do wody i przykucnij. Zamoczysz jeden koniec, to może drugi przestanie wrzeszczeć.

— I jezioro się podgrzeje — dodał z powagą pierwszy. Łukasz zmienił kierunek, pognał do wody, buchnął w nią wzbijając fontannę srebrzystego pyłu i zaczął wykonywać przysiady.

Z namiotu wychynęła głowa następnego obozowicza. Wyciągnął się na brzuchu, położył brodę na łokciach i z marzycielskim uśmiechem obserwował leczniczą kąpiel sprawcy katastrofy, a zarazem jej ofiary. Choć w pewnym sensie sam również miał prawo uważać się za ofiarę. Wszyscy tutaj zostali poszkodowani. Łukasz uprzytomnił to sobie, gdy tylko wrócił na brzeg i zobaczył przewrócony kociołek, płamę rozlanej mlecznej zupy oraz dokładnie rozorane ognisko. Ten widok sprawił, że stanął, jeszcze raz pomacał się po spodniach, następnie otworzył usta, potrzymał je jakiś czas

otwarte, po czym bezgłośnie zamknął je na powrót.

— On nie mówi — stwierdził tonem znawcy mężczyzna, który jako ostatni wytknął głowę z namiotu. — Ciekawe.

Pierwszy uznał, że czas opowiedzieć towarzyszom przebieg wypadków.

— Ja byłem tu — pokazał palcem długi pień obok dymiących resztek. — On był tam — wycelował w punkt na krawędzi urwiska, gdzie jeszcze teraz kołysała się długa gałąź. — Wisiał sobie wygodnie, ale darł się, że leci. Co mi pozostało? Niestety mam taką naturę, że na czczo nie łapię sprawnie spadających ciężarów. Toteż obydwaj ślicznie potoczyliśmy się w dół. Nie rozumiem tego młodzieńca. Postanowił zaraz z rana sfrunąć ze skały, jego sprawa. Potem mu się odmieniło. Trudno. Sam niebacznie wyciągnąłem do niego ramiona, więc nie mogę mieć pretensji, że skorzystał z oferty. Ale nikt go nie upoważniał do siadania w naszej zupie i na naszym ognisku. Teraz on jest tu i ja jestem tu, tylko nigdzie nie ma śniadania. Nieładnie.

Łukasz zwilżył językiem wargi.

— Przepraszam — wychrypiał. — Dziękuję.

— Jednak mówi — ucieszył się leżący. — O, znowu! Co? Nie dosłyszałem?

Łukasz powiedział „kwiczoł”, ale za cicho. Głośno powtórzył:

— Przepraszam...

Pięć minut później, otulony kocem, siedział na gładkim pniu i patrzył w chybotające płomienie. Na kamieniach wokół uporządkowanego ogniska suszyły się jego rzeczy. W rękach ścisnął kubek z gorącą herbatą. Wrażenia osiadały wolno w jego pamięci, uspokoił się, fatalna przygoda należała do przeszłości.

Miejsce, w którym się znalazł, było piękne i niezwykle. Ścieżka prowadząca z Górka brzegiem jeziora, kończyła się ślepo na płaskim, półkolistym podwyższeniu. Od strony łądu zamykała je wysoka, wklęsła skała podsypana piargiem. Z góry kipiały splecione pędy zarośli. Ciężką skalnego łuku stanowił podcięty brzeg jeziora. Do wody można było skoczyć, jak z trampoliny, wprost z placyku, albo z powrotem zejść przybrzeżną dróżką na plażę. Tam właśnie Łukasz chłodził sobie niedawno poparzone tyły. Tam także, do połowy wyciągnięta na piasek, spoczywała gumowa łódź z przyczepionym silnikiem. W łodzi leżały płetwy i aparat do nurkowania. Nieco dalej duży kłęb bagaży szczelnie okrywała nieprzemakalna płachta.

Środek ogrodzonej skałami i jeziorem równinki porastała trawa. Na niej ustawiono dwa namioty. W każdym stały po dwa składane łóeczka, na których leżały nadmuchiwane materace. Przed namiotami wietrzyły się cztery śpiwory.

Łukaszowi bardzo się tu podobało. Podobali mu się także weseli mieszkańcy ustronia, wyglądający na studentów. Najwyższy z nich, chyba dwumetrowy dryblas z czarną wiechą na głowie, nosił, naturalnie, przydomek Mały. Jemu to właśnie Łukasz przerwał przyrządzanie śniadania i on pośpieszył mu na ratunek. Tego, który tak trafnie doradził nasiadówki w jeziorze, nazywano Reksiem. Był on jasnym blondynem o oczach śmiejących się zza drucianych okularów i żółtawych, puszystych wąsach. Trzeci z obozowiczów miał budowę atlety i być może dlatego przezwano go Zefirkim.

Mały zauważył, że nieproszony gość badawczo rozgląda się po biwaku.

— Widzisz — powiedział — tak sobie tu we trójkę żyjemy. Nie chcemy nic wiedzieć o świecie i o ludziach. Kontemplujemy widoki, oddajemy się marzeniom, leniuchujemy...

W głowie Łukasza zabrzączał ostrzegawczy dzwoneczek. We trójkę... Hm... Cztery łóeczka, cztery materace, cztery śpiwory...

— Pewnie nie spadłbym tak głupio z tej skały — zaczął chytrze — gdyby nie to, że bardzo mi się śpieszyło. Przyjechałem wczoraj wieczorem i zaraz zauważyłem, że w

Górku jest zamieszanie, że czegoś szukają, że coś się pokazuje i świeci... Co to wszystko znaczy?

Młodzi mężczyźni wymienili spojrzenia.

— Zamieszanie? — powtórzył Zefirek takim tonem, jakby go spytano o niebieskiego wielbłąda.

— Mnie dzisiaj pokazał się anioł bez skrzydeł — rzekł Mały. — Wczoraj Reksio miał więcej szczęścia. Pokazała mu się rusałka, ale zniknęła, zanim się obudził. Można to nazwać zamieszaniami lokalnym i ściśle wewnętrznym. Jednak jeśli chodzi o zamieszanie innego rodzaju, to nie możemy ci służyć żadnymi informacjami. Przykro mi.

Łukasz odstawił kubek, wstał i pozbierał swoje rzeczy. Były już suche.

— Jeszcze raz bardzo przepraszam — ubierał się szybko. — I dziękuję.

— Wpadnij znowu kiedyś — zaproponował uprzejmie Reksio. — Wpadnij, nie znaczy: spadnij...

— Opowiesz nam o cudach, które dzieją się w Górku — dorzucił od niechcenia Zefirek. — Posłuchać można...

— Do widzenia — Łukasz odwrócił się. Czuł, że twarz zaczyna mu płonąć. Piotrowiczowie z obsadzonej drzewami drogi, a potem z parteru swojego domu mogli nie dostrzec tajemniczych kul ani kolorowych świateł. Ale ci tutaj, stąd, spod skały, z wysokiego brzegu, nie. Oni musieli widzieć. Dlaczego udają ślepych? Każdy, kogo się tylko spotka, mówi o jakichś niezwykłych zjawiskach, tylko oni o niczym nie słyszeli.

Dziwne. W letni, gorący dzień, o dziesiątej, Reksio narzekał, że pod jego namiotem ktoś krzyczy „w środku nocy”. Czyżby kładli się także razem z kurami? „Nie chcemy nic wiedzieć o świecie”... Hm...

Co tam! — zreflektował się nagle. Niech sobie robią, co chcą. Niech śpią czterdzieści osiem godzin na dobę, albo chodzą z zamkniętymi oczami i zatykają uszy. Gdyby ich tu nie było...

Nie. Lepiej nie myśleć, co by się stało, gdyby ich tu nie było...

Wzdrygnął się i przyśpieszył.

Szedł cały czas dolnym skrajem plaży, tam gdzie stopy nie grzęzły w zwilżonym piasku. Skalista kotlinka pozostała daleko w tyle. Zbocze z prawej strony było coraz łagodniejsze. W pewnym miejscu zbiegała z niego stroma, ale wygodna ścieżka. U jej podnóża leżał wyrzucony przez wodę pień, tak gładki, jakby siadywano na nim od czasów pierwszych Piastów.

Kąpielisko państwa Piotrowiczów. Łukasz odgadł to na pierwszy rzut oka. Tą ścieżką zszedłby na brzeg, gdyby nie zboczył z właściwej drogi.

Przeklęty pech. Od godziny byłby pod szkołą. Wszystkie zagadki dawno by się doczekały rozwiązania.

Puścił się biegiem, ale po chwili wrócił do szybkiego marszu. Dystans był jednak nieco za długi, a dzień zbyt upalny.

Wreszcie ominął ostatnią wąską zatoczkę i ujrzał przed sobą przystań.

Przy pomoście tłoczyły się unieruchomione żaglówki. Nikt się nimi nie interesował, nikt nie wypływał na jezioro, nikt się nie kąpał, ani nie opalał. Górek, ponoć pękający w szwach od nadmiaru gości, wyglądał jak wymieciony.

Łukasz wszedł na chodnik, prowadzący do letniej kawiarenki. Po prawej stronie szeroka alejka wiodła w górę, ku szosie. W głębi, na wzniesieniu, stał pawilon handlowy. Jeszcze trochę dalej wycierał zza drzew płaski dach większego budynku. To pewnie będzie szkoła — pomyślał chłopiec.

Jak okiem sięgnąć śladu żywego ducha. Tylko w kawiarence przy jednym ze stolików siedział pod czerwonym parasolem gruby mężczyzna w kracastej

marynarce. Jedyńy w całej okolicy człowiek, którego można było zagadnąć.

Łukasz przekroczył niski płotek, pomalowany na biało, zawahał się, po czym z obojętną miną usiadł, nie za daleko i nie za blisko samotnego grubasa. Ale ten od razu wyszczerzył zęby w szerokim, radosnym uśmiechu i zawołał: — Ojciec cię po mnie przysłał, prawda? Chodź tu bliżej, pogwarzymy sobie, ha, ha, ha! Będę u was mieszkać, wiesz? Miałem pokój w pensjonacie „Rusałka”, ale tam tyle ludzi! Nie mogę cię niczym poczęstować, bo kawiarnia nieczynna. To znaczy niby czynna, tylko nikt nie podaje.

Wszyscy pobiegli do... no, wiesz dokąd, ha, ha, ha!

Łukasz dopiero teraz przypomniał sobie tego człowieka. Wczoraj wieczorem też tak rechotał rozmawiając z milicjantami, którzy kontrolowali samochody. Miał paszport dyplomatyczny. Nie, nie dyplomatyczny. Jakiś inny. Wymieniono wtedy jego nazwisko. John. A dalej? Dalej było prawie po polsku...

— No, chodź tu do mnie! — nalegał wesolek. — Zaraz pójdziemy, nie pali się. Świeci, ale nie pali, co...? Ha, ha, ha! Zaprowadzisz mnie do was, po drodze weźmiemy moje rzeczy, a potem będziesz mógł znowu pobiec do ojca. Słyszałem, że wczoraj nie wróciliście z pustymi rękami? Brawo! A gdzie masz to, co nosisz ze sobą? Zostawiłeś w domu? Pewnie, za dnia i tak nie można się kręcić po tych miejscach, bo ktoś od razu zwąchałby pismo nosem i zaczął wam robić konkurencję. Ludzie to spryciarze, ha, ha, ha!

Łukasz milczał. „Świeci, ale nie pali...” Otóż to. Niemal odruchowo wstał i przysiadł się do gadatliwego cudzoziemca. Nie miał zamiaru wkradać się w cudzą skórę. Postanowił po prostu słuchać.

— Widzę, że nie lubisz darmo mleć językiem — zauważył z uznaniem grubas. — Bardzo słusznie. Biznes to biznes. W interesach lepiej nie mówić nic niż słówko za wiele. Ale ze mną nie musisz być taki ostrożny.

Ja jestem uczciwy kupiec, ha, ha, ha! Za to, co znajdziecie, nikt nie zapłaci wam więcej niż ja. Pod warunkiem, że towar będzie naprawdę ekstra, tak jak obiecał twój tatuś...

Łukasz zaryzykował subtelny uśmieszek. Uśmieszek, to tylko uśmieszek.

Uśmiechnąć można się zawsze i do każdego. Wszyscy tak mówią.

Dwa uśmiechy, jeden poufały, szeroki i tłusty, drugi chudy i mglisty, zgasły jednakowo szybko, zadając kłam temu, co mówią wszyscy.

— Przyszedłem — odezwał się z tyłu wysoki, niechętny głos. — Tata kazał mi zaprowadzić pana do domu.

Grubas otworzył usta. Jego oczy pobiegły w górę i w dół, w dół i w górę, po czym nagle zrobiły się z nich szparki. Łukasz wstał i daleko odsunął krzesło. Wolał, żeby nic nie zagradzało mu drogi, na wypadek, gdyby trzeba było dokonać gwałtownego odwrotu.

— Ja... — rozpoczął. — Pan... — przerzucił się pośpiesznie. — Ja... Pan... To znaczy, ja przepraszam. Ja nie wiedziałem, czego pan ode mnie chce — trochę oprzytomniał i uznał, że stanął na wysokości zadania. Skutecznie przedstawił się jako głupek. Nie szkodzi, że nie całkiem z rozmysłem. W zaistniałej sytuacji trudno o lepszy manewr taktyczno-dyplomatyczny. Zwłaszcza wobec wytrawnego wyjadacza, mającego jakieś konszachty z ambasadą, który z takim znanstwem mówi o interesach, a który teraz miał prawo poczuć się wystrychnięty na dudka.

Doszedłszy do wniosku, że nic mu już nie grozi, natychmiast odsunął krzesło jeszcze kawałek dalej. Przed nim stał chłopiec spotkany wczoraj w wąwozie. Jego włosy także teraz, kiedy padało na nie słońce, były niezwykle jasne. Niemal białe. Dokładnie jak wieczorem, w świetle reflektorów fiacika. Ich właściciel miał minę też dokładnie taką, jak wczoraj. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że tylko obecność

grubasa powstrzymuje go przed splunięciem przez zęby.

Łukasz wycofał się za sąsiedni stolik, po czym wypiął pierś i opuścił kawiarenkę z wyrazem twarzy klienta niezadowolonego z obsługi. Już w alejce, łączącej przystań z centralną częścią Górka, dobiegły go słowa: — To ty miałeś po mnie przyjść? Więc po co ja mówiłem? Zaraz...

Co ja mówiłem? — wbrew swemu zwyczajowi, witając właściwego pośląca tłuścioch nie zarechotał ani razu.

Mówił. Mówił — powtarzał sobie w duchu Łukasz usiłując forsownym marszem nadrobić stracony czas. Tyle że niczego nowego nie powiedział. Co kogo obchodzi, gdzie taki chichotek zamieszka i z kim będzie robić jakieś interesy? Okazuje się, że to coś, czego tu szukają, a w każdym razie czego szuka ten Plujek ze swoim ojcem, można sprzedać i to nie byle komu. Bardzo dobrze. Ale bez porównania lepiej byłoby wreszcie usłyszeć, co właściwie dzieje się w Górku.

Skrzyżowanie spacerowej alejki z główną drogą także zionęło zupełną pustką. Łukasz zatrzymał się, popatrzył w lewo, popatrzył w prawo, popatrzył tam, skąd przyszedł. Ścieżką nad jeziorem oddalają się dwie postacie. Jedna przypomina literę O, druga odwrócony wykrzyknik z białą kropką. Poza tym absolutne bezludzie...

Ni stąd, ni zowąd, w największy, upał, Łukasza przeniknął chłód.

Ciarki przeszły mu po plecach. Przypomniał sobie sceny z jakiegoś filmu.

Nie pamiętał, co to był za film, ale roilo się tam od opryszków, upiorów i najróżniejszych okropności. A rzecz dzieła się w wymarłym miasteczku...

Kiedy tak stał, z głową pełną mrocznych wizji, usłyszał nagle daleki pomruk zmieszanych głosów. Gwar narastał powoli, chwilę szumiał wysoko, po czym opadł i znowu zrobiło się cicho. Ale nie była to już ta sama cisza co przed chwilą, kiedy w samo południe widział przemykające po pustkowiu złowieszcze cienie. Tu jednak są ludzie.

Głosy odezwały się gdzieś za zakrętem szosy. Szkoła. Naturalnie, tam jest szkoła.

Zapewne dla rozgrzewki Łukasz znowu puścił się biegiem. Ale i teraz nie ubiegł więcej niż sto kroków. Ludzie byli znacznie bliżej, niż się spodziewał. Przynajmniej jeden człowiek. Wskoczył zza narożnika pawilonu handlowego tak, jakby specjalnie czekał na ten właśnie moment.

Chłopiec wpadł na niego z całym impetem, zatoczył się i gruchnął jak długi, lądując na twardym chodniku.

— Przepraszam — wydyszał od razu, jak tylko udało mu się wstać.

Nieznajomy cofnął się i powiedział z ubolewaniem: — To ja przepraszam. Nic sobie nie zrobiłeś?

— Nic — odburknął machinalnie chłopiec, po czym nagle zrobił krok do tyłu. Nieznajomy nie był tak całkiem nieznajomy. Wprawdzie Łukasz widział jego twarz raz w życiu, w nikłym światełku milicyjnej latarki, ale dobrze ją zapamiętał. A zwłaszcza ten podejrzanie spokojny głos. „Nie mam przy sobie żadnej legitymacji”... Zaraz potem osobnik, który wyrzekł te słowa, musiał udać się do radiowozu. — A! — zawołał teraz Łukasz. Chciał powiedzieć: A, to pan? Puścili pana? — jednak w ostatniej chwili ugryzł się w język. Kto wie? Jeśli ten człowiek uciekł milicji, a teraz ukrywa się, błędząc po wyludnionym Górku? W takim razie mógł wpaść na pomysł pozbycia się niewygodnego świadka. Lepiej mu się nie przypominać. Pozbywanie się niewygodnych świadków, to operacja raczej nieprzyjemna dla tych, którzy mają zniknąć.

— A — przytaknął zbieg i uśmiechnął się bezwstydnie. — Widziałem cię stąd przed chwilą w kawiarence na przystani. Czy coś się tam wydarzyło, że tak szybko przybiegłeś aż tutaj?

Proszę, byłem obserwowany — Łukasz umocnił się w swych podejrzeniach.



— Nic się nie wydarzyło. Co miałyby się wydarzyć? — burknął wzruszając ramionami.

— Właśnie nie wiem. A gdzie twoi przyjaciele?

— Kto?!

— No, ten miły, tęgi pan i chłopiec z takimi jasnymi włosami?

Łukasz zatrzęsł się ze złości. „Przyjaciele”, też coś! Już miał wystąpić z ostrą odprawą, kiedy nagle doznał olśnienia. Przecież ten typ chce go tylko pociągnąć za język. Wystarczy spojrzeć na jego minę. A więc proszę bardzo...

Niegdyś wielcy zdobywcy chętnie radzili sobie ze swoimi najgroźniejszymi wrogami w ten sposób, że podstępnie napuszczali ich na siebie.

Dziś tak samo postępują wielcy spryciarze. Plujek i jego ojciec mają powody, by lękać się konkurencji, która mogłaby zepsuć ich wspólne interesy z grubym wesołkiem. Wobec tego należy dostarczyć im takiej konkurencji. Któż lepiej nadaje się do tego celu, niż uciekający przed milicją opryszek? Nie przepuści okazji. Troskliwie zajmie się i Kapelusznikiem, i jego partnerem, a to znaczy, że oni z kolei będą musieli zająć się nim. W efekcie zapomną o takich drobiazgach jak niewygodni świadkowie.

Szatański pomysł.

Łukasz spuścił oczy, by jego ofiara nie wyczytała w nich uczucia dumy i głębokiego zadowolenia.

— To nie są moi przyjaciele — rzekł uprzejmym tonem. — Nawet ich nie znam. To znaczy nie znałem do wczoraj. Tyle tylko że ten gruby pan wziął mnie za kogoś innego i... — tu wiernie powtórzył wszystko, co usłyszał od niesympatycznego wesołka. O jego przeprowadzce, o tym że jasnowłosa i jego ojciec nie wrócili wczoraj z pustymi rękami, ale że mimo to dalej szukają czegoś, co posiadacz specjalnego paszportu chciałby kupić, o sekretnych „interesach”. Mówiąc o Plujku wyjaśnił, w jakich okolicznościach ujrzał go po raz pierwszy. Nie zapomniał nawet o worku i o glinie. A skoro już był przy wczorajszym wieczorze, opisał nadto wylatujące z jeziora ogniste kule i ów przedziwny snop kolorowego światła. Wreszcie wyznał, że jego jedynym pragnieniem jest odkryć w końcu tajemnicę zamieszania w Górku i że poza tym nic, ale to nic go nie interesuje. Ani ludzie z jakimiś specjalnymi paszportami, ani ludzie bez żadnych paszportów, ani czyjeś lepsze lub gorsze interesy.

Wzmiankę o osobnikach pozbawionych legitymacji uciekinier skwitował ledwie dostrzegalnym uśmiechem, ale w ogóle słuchał bardzo uważnie. Kiedy chłopiec skończył, odczekał jeszcze jakiś czas, po czym spytał:

— To znaczy że teraz biegłeś do szkoły?

— Tak.

— Rzeczywiście o niczym nie słyszałeś? Były informacje w radiu i w gazetach...?

— O czym? — ciekawość przemogła w Łukaszu dumę i zadowolenie z siebie. — Nie słuchałem radia — dodał szybko. — Przedwczoraj pakowaliśmy się, a wczoraj jechaliśmy prawie cały dzień.

— Wobec tego chodźmy tam razem — mężczyzna wykonał gest, jakby chciał go chwycić za łokieć. Chłopiec odskoczył. — Nie bój się. Drugi raz cię nie przewrócę.

— Wcale się nie boję.

Chwilę szli obok siebie w milczeniu. Za zakrętem wyludniony Górek nie był już tak całkiem wyludniony. W pewnym momencie usłyszeli głośnie plaśnięcie. Ktoś krzyknął.

Obok pawilonu, na małym placu stała stara ciężarówka, która przywiozła jeszcze starszy drewniany budynek z długim oknem, świadczącym o jego handlowym przeznaczeniu. Dwóch mężczyzn usiłowało ściągnąć ładunek na ziemię po pochyłym pomoście sporządzonym z desek. Jedna z nich, widocznie źle umocowana, obsunęła

się właśnie i spadła.

Mężczyzna na dole złapał się obiema rękami za nogę i podskakując niezgrabnie na drugiej, chrapliwym barytonem obwieszczał światu, co myśli o takiej robocie. Jego kompan wychylony z platformy ciężarówki ryczał ze śmiechu.

— Mówiłeś o interesach — powiedział obojętnie towarzysz Łukasza. — To dopiero będzie naprawdę złoty interes — wskazał opartą o koła samochodu tablicę z napisem: „Placki ziemniaczane”. — Do Górka wałą teraz tłumy... O, następny — po przeciwnej stronie drogi, koło niemal identycznej budki, krzątał się inny kupiec. Zobaczył, że nadchodzący zwrócili na niego uwagę, i zawołał: — Jeszcze zamknięte! Dopiero od jutra! Piwko, lemoniada, napoje — słowu „napoje” towarzyszyło smakowite mlaśnięcie.

Łukasz zatrzymał się jak wryty. Zapomniał, z kim idzie. Zapomniał o swoim diabelskim podstępnie. Wiedział tylko jedno. Jego cierpliwość, wystawiana na wciąż nowe i nowe okrutne próby, wreszcie się wyczerpała.

Ostatecznie i nieodwołalnie.

— Proszę pana! — wykrzyknął z rozpaczą. — Ja już nie mogę! — Czemu do Górka wałą tłumy?! Co mówili w radiu? Czego tak szukają? Co świeci? Co się pokazuje? No...?

Teraz z kolei człowiek bez legitymacji próbował odskoczyć na bezpieczną odległość, ale nie zdążył. Łukasz chwycił go za ramię i potrząsnął nim jak drzewem, z którego nie chcą spadać owoce.

— No? — powtarzał w zapamiętaniu.

— Puść mnie! Puść, to ci powiem.

Chłopiec na wszelki wypadek potrząsnął nim jeszcze raz, po czym puścił i odstąpił o krok.

— Podnosisz ciężary czy co? — napadnięty odruchowo potarł sobie ramię. — To nienormalne, w twoim wieku mieć taką krzepę

— No?!...

— Zaraz, niech odsapnę. Już, już, dobrze! — przestraszył się widząc, że Łukasz na odmianę robi krok do przodu. — Posłuchaj. Trzy dni temu, w Górku...

Dziadek Klemens zamierzał początkowo spędzić dzień w towarzystwie swoich ukochanych książek, ale pogoda była tak piękna, że parę minut po jedenastej sam zaproponował Mirze i Pawłowi oraz ojcu Łukasza przechadzkę nad jezioro. Nikomu więcej nie mógł jej zaproponować, bo jego syn odjechał już z powrotem do Krakowa, a pani Helena nie wróciła jeszcze z zakupów.

Dom państwa Piotrowiczów leżał co prawda na uboczu, ale o tej porze roku na plażyczce, którą jego sezonowi mieszkańcy przywykli uważać za własną, zawsze spotykało się kogoś, kto przekładał ciszę nad radosny zgiełk panujący w pobliżu przystani. Dzisiaj było tu pusto. Pusto było także na wodzie.

— Spójrzcie — powiedział zdziwiony pan Klemens. — Ani jednej łódki.

Dlaczego? Lubię dziewicze jeziora, ale na jeziorze opasany letniskami powinien panować ruch. Ta cisza ukrywa jakąś tajemnicę.

— Zaraz tajemnicę — prychnął Paweł. — Po prostu w tym roku przyjechały do nas same lenie — zawyrokował. W jego głosie odezwało się jednak wahanie.

— No i co dalej? Przyszliśmy, jesteśmy, bawimy się wysmienicie, ale nawet najlepsza zabawa nie może trwać wiecznie — zakpiła po chwili Mira. — Drapiemy się z powrotem do góry? Czy też są jakieś inne propozycje?

Ojciec Łukasza westchnął.

— Obawiam się, że zbyt lekko potraktowaliśmy wczoraj opowieść pańskiego syna — zwrócił się do niego dziadek Klemens. — Może w Górku rzeczywiście dzieje się

coś aż tak ciekawego, że ludzie zapomnieli o słońcu, plaży i jeziorze...

— Przyleciała dobra wróżka — podchwyciła z przekąsem Mira. — Codziennie między dziewiątą a dwunastą siedzi w kiosku „Ruchu” i spełnia wszystkie życzenia. Cały Górek stoi w kolejce i dlatego tutaj nikogo nie ma.

— Nie, moja droga — zaprzeczył łagodnie dziadek. — Gdyby ta wróżka urzędowała tu naprawdę, oglądalibyśmy teraz zupełnie inny widok. Ilu ludziom zdażyłaby od wczoraj dać to, czego zapragnęli? Czy myślicie, że na przykład jeden pan Kutynia marzy o pałacowej rezydencji? Na pewno nie. Wobec tego już dzisiaj cały brzeg jeziora byłby upstrzony wspaniałymi willami. Oczywiście, bez przerwy dochodziłoby do awantur, ponieważ każdy, komu wróżka już podarowała dom, życzyłby sobie żeby ten jego dom był w okolicy jedyny, najpiękniejszy, niepowtarzalny i żeby nie miał blisko sąsiadów, którzy psuliby mu krajobraz. Zamiast lasów i ogrodów mielibyśmy kolosalny parking, zatłoczony superkrążownikami szos, spalającymi zamiast benzyny wodę. A jeśli mowa o wodzie, to kąpać moglibyśmy się wyłącznie w wannach. Przecież całe jezioro pokryłyby luksusowe jachty. Pomiedzy tym wszystkim przeciskaliby się z trudem mężczyźni w królewskich gronostajach i kobiety z brylantami wielkości dyni, bo jeszcze większe byłyby za ciężkie. Ale czy mieliby zadowolone miny? A o co wy poprosilibyście dobrą wróżkę, gdyby udało wam się do niej dopchać?

— Ee...! — Mira energicznym machnięciem ręki przepłoszyła wyraz rozmarzenia, który odbił się w jej oczach.

— E...! — Paweł odwrócił głowę.

Dziadek zaśmiał się cicho.

— Panie profesorze — rzekł półgłosem ojciec Łukasza — znam ludzi, którzy mieliby także inne życzenia... Przede wszystkim inne...

— Ja też — pan Klemens spoważniał. — Ale ludzie zaspokajają swoje pragnienia również bez udziału wróżek... a świat wygląda tak, jak wygląda. Czy czytaliście kiedyś bajkę, w której dobra wróżka pokazuje się nie jakiemuś jednemu samotnemu wybrańcowi, tylko, dajmy na to, mieszkańcom całej wsi? Albo całego miasta? Albo całej Ziemi?... Prawda, że nie? No więc spróbujcie sobie wyobrazić taką właśnie bajkę. Miro? Pawle? Spróbujecie?

— Ee!... — prychnęła już bez rozmarzenia Mira.

— Ee!... — zawtórował jej Paweł. — Mamy wakacje — zaznaczył z naciskiem.

Dziadek pokiwał głową.

— Szkoda. Okazałoby się, że kwestia, o co prosić dobrą wróżkę, aby jej nie postawić w sytuacji bez wyjścia, a sobie zamiast przyjemności, nie napytać biedy, jest bardzo zawiła i wysoce pouczająca.

— Tak... — westchnął ojciec Łukasza. — To prawda. Robimy swoje i bez dobrych wróżek. — Właśnie.

Zaległo milczenie.

Pani Heleny wciąż jeszcze nie było w domu. Nie wrócił także Łukasz.

— Dziadek ma rację — Mira zajrzała do kuchni i wyszła z niej niezadowolona. — Nie ma tu żadnej wróżki. Jest zły potwór. Usadowił się w sklepie spożywczym i kiedy zjadł wszystko, co tam było, zaczął pożerać kupujących. Mama widziała go z daleka, ale pomyślała, że biedak musi być strasznie głodny i sama szybko rzuciła mu się w paszczę.

— To możliwe — rzekł z namysłem dziadek. — Wasza mama rzeczywiście ma słabość do potworów.

— Szczególnie lubi obgryzać kości — Mira uznała, że dziadek nic nie powiedział.

— Czy Łukasz nie miał czegoś do załatwienia w sklepie? — spytała przymilnie.

Przez twarz pana Polowego przebiegł króciutki, bolesny skurcz.

— Nie wiem...

— Ani wróżka, ani potwór — ogłosił tonem wyroczni Paweł. — Ktoś kopał żwir i dokopał się do podziemnej rzeki. Powstał kolosalny lej, aż do środka ziemi. Ludzie nosili w workach glinę, żeby go zatkać, ale lej wchłonął wszystkich. Byłem na japońskim filmie...

Słuchacze nigdy się nie dowiedzieli dlaczego Paweł zaczął mówić o japońskim filmie, skoro to właśnie Japończycy robią frapujące filmy o potworach, a nie o kopaniu żwiru, bo w tym momencie z zewnątrz dobiegło ogłuszające wołanie:

— Tato! Tato!

— Widzisz?! — ucieszyła się Mira. — Jednak potwór!

„Potwór” wpadł do pokoju jak bomba, potknął się o dywan, przewrócił krzesło, po czym porwał ojca za rękę i zaczął go z całej siły ciągnąć ku drzwiom.

— Tato! Tato! — dyszał gorączkowo. — To ONI! Wiesz? Wiesz? ONI!!!... Chodź zaraz do szkoły! Tam jest cały Górek, wszyscy czekają na nowe wiadomości. Przyjechało wojsko! Są dziennikarze, uczeni!

Być może Łukaszowi udałoby się wywlec na dwór oszołomionego ojca, który stawiał jedynie bierny opór, gdyby nie to, że drogę zagroziła mu pani Helena. Ona i Łukasz spotkali się przypadkiem tam, gdzie dzisiaj spotykali się wszyscy, i razem wrócili do domu. To „razem” polegało na tym, że biedna pani Helena usiłowała nadażyć za galopującym chłopcem.

Chwilę ciszy wykorzystał dziadek Klemens, by prędko zapytać: — Jacy „oni”? Co się dzieje?

Łukasz zaczerpnął powietrza, ale jego z kolei ubiegła teraz mama Miry i Pawła.

— Po prostu oni — powiedziała. Rzuciła na fotel prawie puste Siatki i odruchowo poprawiła swoje śliczne posrebrzane włosy. — Słuchajcie — mówiła z niezwykłym jak na nią ożywieniem — albo ja zwariowałam, to znaczy oboje z Łukaszem ulegliśmy jakiemuś szaleństwu, albo zwariował cały świat dokoła nas. Ale jeśli przypadkiem nikt nie zwariował, to znaczy, że w Górku wylądowali kosmici. Tacy jak na obrazkach, mali, zieloni, skośnoocy. Byli, a przynajmniej jeden z nich był w kilku domach. Mnóstwo ludzi widziało latające spodki. Kosmici. Przybysze z gwiazd. Co wy na to?

## Tu Alauda z planety trzeciej

— Wykluczone — sprzeciwiła się pani Helena. — Nawet kosmonauci nie startują z pustymi żołądkami. Normalnego obiadu nie zrobię, bo sklepy były zamknięte, ale są jeszcze konserwy. Coś zjeść musicie, inaczej was nie puszczę.

— Jak to „nas”? — obruszył się dziadek Klemens. — Czyżbyś ty zamierzała zostać w domu?

— Ależ pójdę. Naturalnie że pójdę — odpowiedzi, która dobiegła już z kuchni, zawtórował szczęk naczyń. — UFO w Górku. Pomyśleć tylko...

— To znaczy, że kolacji także nie będzie — rzekł dobitnie Paweł.

— Tato... — powiedział błagalnie Łukasz mrugając nerwowo oczami. — Tato... Ojciec położył palec na ustach.

— Mnie się nie śpieszy — podkreśliła Mira. — Mam nadzieję, że te stwory odlecą, zanim wszyscy dostaniemy kręcka, jak gajowy.

Na stole pojawiły się dymiące talerze.

— No — pierwszy skończył Paweł. — Jeśli koniecznie chcecie biegać z wywieszonym językiem za jakimiś zieleniuchami, to ja jestem gotowy. Chętnie się pośmieję. Trzeba wziąć aparat fotograficzny — zerwał się i pobiegł do szafki. — Dlaczego nie mamy kamery? Wszyscy moi koledzy mają kamery — szybkimi ruchami wyrzucał z półek zbędne przedmioty. — Ale mnie oczywiście wystarczy aparat. No! Są wreszcie filmy — odsapnął. — Wezmę dwa zapasowe...

Mira z hałasem odsunęła krzesło.

— Chodźmy w końcu! — wybuchnęła, zapominając, że jakieś tam gwiazdne zielonuchy nic a nic jej nie obchodzą.

Dziadek Klemens uśmiechnął się nieznacznie, po czym bez słowa ujął swoją synową pod ramię i ceremonialnym krokiem tancerza, który prowadzi partnerkę na parkiet, powiodł ją w stronę wyjścia.

Pięć minut później nikt z szóstki śpieszącej na spotkanie Wielkiej Przygody nie posuwał się już krokiem ceremonialnym. I nikt nie udawał, że lądowanie kosmitów stanowi jedynie nużącą przeszkodę w statecznym, wakacyjnym leniuchowaniu.

Mama Miry i Pawła zdążyła powtórzyć wszystko, czego dowiedziała się od ludzi oblegających budynek miejscowej szkoły i od Łukasza. Ten ostatni słuchał opowieści pani Heleny z nie mniejszym zainteresowaniem niż pozostali, poprzestając na pełnych treści przerywnikach w rodzaju: „właśnie, właśnie!”, „widzisz tato, widzisz?” lub „tak, tak!”

Trzy dni temu, późnym wieczorem, mieszkańcy trzech gospodarstw leżących na przeciwległym skraju Górka ujrzeli w oknach jaskrawe światło. Wybiegli na dwór i zobaczyli w chmurze opadającego jasnego dymu dużą bryłę przypominającą dwa złożone ze sobą spodki. Przez uchyloną klapę u góry wyglądała czyjaś głowa. Miała włosy, ale ich barwy nikt nie potrafił potem określić. Natomiast czoło pod tymi włosami oraz cała reszta twarzy były z całą pewnością zielone. Co do tego zgadzali się wszyscy. Przez otwór spod klapy sączyła się niezwykła poświata, toteż oblicze i popiersie tajemniczej postaci zdawały się promieniować wewnętrznym lśnieniem. Szczegóły zielonej twarzy były doskonale widoczne. Na przykład kościste policzki i duże, wyraźnie skośne oczy.

— UFO! — zabrzmiał zdławiony okrzyk, po czym nastąpiła przejmująca cisza.

Kosmici dobrze wybrali miejsce lądowania. Owe trzy gospodarstwa tworzyły mały przysiółek, oddzielony od zabudowań miasteczka pierścieniem lasu i półokrągłym

grzebieniem połączonych pagórków. Dlatego nikomu nie przyszło na myśl pobiec i zaalarmować cały Górek. Ktoś wprawdzie mówił potem, że owszem, przyszło mu to na myśl, tylko bał się spłoszyć nieziemskich gości, ale inni go zakrzyczeli powiadając, że sam był za bardzo spłoszony, aby cokolwiek mogło mu przyjść na myśl.

Łukasz miał przed oczami tę scenę, tak jak przedstawił mu ją po raz pierwszy mężczyzna bez legitymacji.

Był wieczór równie piękny jak wczoraj. Zapadła ciemność. Na niebie poniżej gwiazd pozostała półprzeźroczysta wstążka purpury. Skraj lasu był czarny, a głębiej, między drzewami, czerń stawała się niesamowicie głęboka. Trzy domy z oświetlonymi oknami stały w pewnej odległości od siebie, na łagodnym zboczu porośniętym trawą. W czasie dnia chętnie szczypało tę trawę nieliczne stadko owiec. Teraz była ze srebra, o co postarał się księżyc.

Na tej właśnie łące, pomiędzy domami a lasem, siadł kosmiczny spodek.

Cisza, jaka nastąpiła po owym urwanym „ufo!”, musiała być co się zowie martwa, uroczysta, złowroga i jak tam jeszcze można nazwać ciszę nad ciszami. Wychylony z wjazdu mieszkaniec gwiazd nie ruszał się, wodził tylko sierpowatymi oczami po twarzach mieszkańców Ziemi.

Trudno ustalić, jak długo to trwało. Niektórzy utrzymują, że minutę, inni gotowi są przysięgać, że pół godziny. Wreszcie spomiędzy grupy ludzi, zresztą dość licznej, bo na lato przyjmowano tu zawsze gości z miasta, wybiegło przeciągłe westchnienie. Zaraz potem jakiś drżący głos powiedział „Dzień dobry”. Śmiałek wyszedł pewnie z założenia, że kosmitom, którzy przemierzają wszechświat, jak my przemierzamy drogę z domu do szkoły i z powrotem, wypada mówić „dzień dobry” o każdej porze ziemskiej doby. Po „dzień dobry” nastąpiło jeszcze „Witaj-taj-taj”, ale to, niestety, było już wszystko. Człowiek, który chciał rzec „witajcie”, niejaki Franciszek Kowal, stale przyjeżdżający na urlopy do Górka, i tak chodził potem opromieniony sławą stuprocentowego mężczyzny, co to w żadnej sytuacji nie traci zimnej krwi.

Na nieszczęście jego „taj-taj-taj” nie spodobało się Zielonemu. Być może w jego języku oznaczało akurat „do widzenia”. A może po prostu minął czas, jaki przybysze przeznaczyci na pierwszy kontakt z ludźmi. Dość, że niesamowita postać zniknęła, kłapa zamknęła się bezgłośnie, po czym spodek stanął w ogniu. Nie na ogniu, jak startujące rakiety, tylko w ogniu. Jakby w cichą polankę uderzył piorun i zamiast spłynąć w ziemię, trwał przez chwilę w pełnym, okrutnym blasku, pokazując całą swą niszczycielską potęgę.

Ale ogień, który objął spodek, nie zniszczył niczego. Widzowie musieli mocno zacisnąć powieki, żeby ochronić oczy przed raptownym, rażącym światłem. Kiedy je otworzyli, łąka była pusta. Na niebie uciekała szybko malejąca błyszcząca kula. Przed nimi pozostał czarny krąg wypalonej trawy.

Tak mniej więcej przebiegło inauguracyjne wystąpienie kosmitów, które zapoczątkowało straszliwe zamieszanie w cichym dotąd Górku. Po pierwszym lądowaniu nastąpiły dalsze. Jeśli nie spodki, to pokazywały się niepodobne do niczego światła. Widywano wyskakujące z jeziora ogniste bańki. Znajdowano ślady, stóp nie stóp, narzędzi, nie narzędzi, odcisnięte w ziemi. Właśnie owych śladów szukano tak gorączkowo dniami i nocami. Szukali ich nie tylko gajowy z naprędce zorganizowaną rzeszą pomocników, nie tylko wezwani stróże porządku publicznego, naukowcy i reporterzy, lecz także samozwańczy amatorzy sensacyjnych pamiątek. A przed budynkiem szkoły, w której rezydował sztab akcji „Kosmici” stale kotłował się coraz liczniejszy tłum, spragniony najświeższych nowin.

Ojciec Łukasza starał się dotrzymać kroku swojemu szybkocongiemu synowi. Tuż za nimi rażno pomykał Paweł. Nieco z tyłu biegła truchcikiem Mira, ciągnąc za rękę

mamę. Karawanę zamykał dziadek Klemens.

— Ja już nie mogę... — wyjęczała w pewnej chwili pani Helena. — Zlitujcie się... Przecież oni nam nie uciekną...

— Mama akurat zna się na ufitach! — wyrzucił z siebie jednym tchem Paweł, który lubił fantastyczne filmy, czytywał artykuły o zagadkach kosmosu i uważał się za eksperta. — Oni zawsze tak robią — wyjaśnił. — Gdzieś się pokażą, coś sobie obejrzą i zaraz znikają.

— Fatalne — dziadek Klemens odsapnął i zwolnił. — Byłaby niepowetowana szkoda, gdyby nie zdążyli nas sobie obejrzeć.

Szóstka, śmiało zasługująca na miano grupy pościgowej, pokonała w końcu zbocze i wybiegła na szosę. Tutaj wreszcie Łukasz przystanął.

Pusto. Cicho. Czyściutkie niebo. Słońce jak otwarty piec. Wielka, stara lipa wydaje się sztuczna. Jej zawsze szemrzące liście milczą. Powietrze jest nieruchome.

— Czemu stoimy? — spytał nieswoim głosem Paweł.

— Stoimy, ponieważ natura dała nam oprócz nóg jeszcze i głowy.

Wprawdzie niektórym głowom poskąpiła... — dziadek Klemens nie powiedział nic więcej. Od strony centralnej części Górka dobiegł gwałtownie narastający hałas. Nagle ukazały się samochody. Jeden za drugim i jeden obok drugiego. Pędziły szosą nie zważając na nic i zbliżały się niewiarygodnie prędko.

— Z drogi! — krzyknęła przerażona pani Helena. — Natychmiast z drogi!

Nikomu nie trzeba było tego powtarzać. Na szczęście tuż przy szosie rósł młody, sosnowy zagajnik. Wystarczyło dać susa przez trawiaste pobocze.

— Aparat! Prędko! Eee! — zapewne po raz pierwszy w życiu czcigodny profesor zawołał „e!” dokładnie tak, jak mogliby zawołać Mira lub Paweł. Następnie sam porwał aparat fotograficzny dyndający na piersi wnuka, otworzył go, nastawił i zaczął pstrykać. — Kiedyś — powiedział po chwili — te zdjęcia będziecie oglądać z nie mniejszym przejęciem niż wizerunki kosmitów. Przekonacie się...

Ale jego głos utonął w straszliwym zgiełku. Samochody wyły, trąbiły, piszczały, przepychały się i pędziły na złamanie karku. W nosy widzów, odbierających tę przeraźliwą defiladę z ukrytej trybuny, uderzył ciężki odór spalin.

Wszystkie auta były pełne pasażerów. Twarze ludzi za szybami zdradzały skrajne podniecenie i napięcie. W ich oczach odbijała się jedna jedyna myśl: szybciej, szybciej, szybciej...

Przemarsz miejscowych oddziałów zmotoryzowanych trwał nieznośnie długo. W końcu jednak czoło kolumny zaczęło znikać za koronami drzew, na prostym wzniesieniu.

— Ludzie uciekają z Górka! — pani Helena zakrztusiła się dymem i zakaszłała. — Tam... tam... — nie mogła powiedzieć nic więcej.

Ale słowa były zbędne.

Obcy.

Dotąd pokazywali się, świecili, wzbudzali ciekawość. Teraz odsłonili przyłbice. Atakują. Cóż innego mogłoby zmusić wszystkich posiadaczy samochodów do tak panicznej rejterady?

Z szaroniebieskiej mgły wyłonił się jeszcze jeden pojazd. Sunął cicho, jeśli nie brać pod uwagę chrapliwych jęków wydawanych przez trzech mężczyzn i tęą kobietę, mozolnie pchających auto pod górę.

Ojciec Łukasza wybiegł na szosę.

— Co się stało? — krzyknął.

— Starter nawalił...

— Starter? Aha, starter... Przykro mi... Ale co się dzieje? Dlaczego uciekacie?

— Kto ucieka? — zachnął się inny żywy składnik napędu. — Panie, nie zawracaj

pan głowy! Lepiej niech nam pan pomoże. Tylko potem i tak pana nie zabierzemy, bo mamy komplet.

Ojciec Łukasza jak zahipnotyzowany zrobił parę kroków i dołączył do popychaczy.

— Panie Rafale! — zawołał z bezgranicznym zdumieniem dziadek Klemens. Napomniany zreflektował się, odjął dłonie od karoserii i spytał: — To dlaczego wszyscy jadą do Sącza?

— Kto jedzie ten jedzie — burknął właściciel czy też pasażer samochodu z zepsutym starterem. — Nie do Sącza, tylko zaraz za najbliższą górkę, bo tam wylądowały spodki. Widziano całą gromadę Zielonych...

— Jak to? Więc w Górku nic... — ojciec Łukasza nie skończył. To że w Górku „nic” i tak stało się już aż nazbyt oczywiste.

Obcy nie zaatakowali. Jeśli ktoś kogoś ścigał, to nie kosmici ludzi, tylko na odwrót.

— No jasne — rzekł ze złością Paweł. — Parę kilometrów stąd lądują spodki, a my nie mamy samochodu.

— Mamy fiacika — bąknął nieśmiało Łukasz.

— Fiacika! — Mira zaśmiała się szyderczo. — Pewnie! W szóstkę wypchalibyśmy go pod górę szybciej niż tamci.

— Chodźmy — powiedział dziadek Klemens.

Wyszedł na szosę i beztrąsko ruszył w tym samym kierunku, w którym szli przedtem.

— Dlaczego tam? — Paweł pokazał na lewo — skoro oni są tam! — odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

— Bo jeśli oni naprawdę zechcą zawrzeć bliższą znajomość z ludźmi, to polecą nie w górki, tylko do Górka — odrzekł przez ramię dziadek. — A Górek jest tam.

— Ee! — powiedział Paweł.

— Poza tym na razie nie pójdziemy ani z górki, ani do Górka — dodał niezmiennym tonem pan Klemens — ale z powrotem w krzaki.

Nadciąga piechota...

W dole spomiędzy zabudowań wybiegli ludzie. Pierwsi ukazali się dwaj mężczyźni w sportowych koszulkach. Zaraz za nimi walił zbity tłum.

Na Wzgórzu Kosmitów śpieszyli ci, którzy nie mieli samochodów i nie zmieścili się w samochodach swoich znajomych.

— Pawle, przygotuj aparat. Sporządzisz fotograficzną dokumentację wizyty Zielonych i za jednym zamachem zostaniesz milionerem. Takie zdjęcia kupi każda gazeta na całym świecie.

Dziadek wyrzekł te słowa z taką miną, że nie bardzo było wiadomo, czy mówi serio. Ale Paweł, który w pierwszej chwili wzruszył ramionami, zastanowił się, po czym zaczął pieczołowicie regulować obiektyw aparatu.

Następnie, już znowu spomiędzy przydrożnych sosen, gdzie wraz z resztą towarzystwa przeczekiwał kolejną nawałnicę, pstrykał raz za razem, przybierając pozy wytrawnego operatora kroniki filmowej.

Ludzie biegli i biegli. Jezdnię młóciły i młóciły grube półbuty, sandały, trampki, tenisówki, a także szykowne pantofelki na wysokich obcasach. W powietrzu rozbrzmiewały odgłosy przypominające pracę starego tartaku.

Wreszcie na drodze przejaśniało. Przed zamaskowaną widownią przeciągały już tylko luźne grupki maruderów i pojedynczy spóźnialscy. Chrapliwym, świszczącym postępowaniem protestowali przeciw nieubłaganej sile, która zmuszała ich do morderczego wysiłku. Protestowali, ale biegli dalej.

— Czy nadal macie do mnie żal o to, że poszedłem tam, a nie tam? — spytał dziadek Klemens.



Paweł mruknął coś pod nosem, ale nie powiedział „e!”

— Przecież my także jesteśmy ciekawi i także chcielibyśmy zobaczyć kosmitów — odezwała się z wahaniem pani Helena. — Dlaczego nie biegniemy do nich razem ze wszystkimi?

— Uważasz, że powinniśmy?

— Nie... Ojciec ma rację. Jeśli oni zapragną spotkać się z nami, to nie polecą w tym celu gdzieś na odludzie. Myślałam o czymś innym. Wśród tych, którzy resztkami sił gonią teraz pod górę, jest na pewno wiele osób wcale nie mniej rozsądnych niż my. A jednak biegną...

— Tłum — dziadek rozłożył ręce. — Tłum. Owczy pęd. Ktoś przyniósł wiadomość, że na wzgórzu wylądowały spodki. Ktoś drugi zawołał, że trzeba tam natychmiast pojechać albo pójść. Jeszcze ktoś inny pierwszy puścił się biegiem i pociągnął za sobą całą resztę. W tłumie trudno o rozsądek.

— Czy to znaczy, że gdybyśmy byli pod szkołą, kiedy rozeszła się wieść o kosmitach, to w tej chwili gonilibyśmy jak szaleni ze wszystkimi?

— Moja droga, bardzo chciałbym móc powiedzieć, że nie. Ale będąc uczciwym, muszę powiedzieć: nie wiem...

— To smutne — szepnęła pani Helena.

Zrobiło się cicho. Odgłosy biegnącego tłumu oddaliły się i zlały w jednostajny, gasnący szum. Na środek jezdni sfrunął samotny wróbel. Długo kręcił łebkiem we wszystkie strony, po czym otrzepał piórka, ćwierknął głośno i odleciał, zostawiając na pamiętkę biały placuszek.

— Chodźmy! — ocknął się w końcu Paweł. — Wprawdzie jesteśmy tak strasznie mądrzy, że musimy iść w przeciwną stronę, ale lepsze to niż nocowanie w krzakach. No...?

Od czasu do czasu mijali ich jeszcze pojedynczy długodystansowcy, którzy albo byli mniej ciekawi niż inni, albo później wyruszyli, albo nie mogli biec szybciej. Wreszcie, kiedy wyglądało na to, że nie spotkają już nikogo, nagle ukazał się przed nimi jeszcze jeden osobnik.

— Kutynia — powiedziała pani Helena, przystając mimo woli.

— Owszem — przytaknął dziadek Klemens. Zatrzymał się również i dodał: — Patrzcie. Tak wygląda człowiek, który już zawarł bliską znajomość z Zielonymi.

— Nie! — zaprotestował w pierwszym odruchu Łukasz. Żarty z kosmitów wydały mu się stanowczo nie na miejscu.

Samotnym maruderem był rzeczywiście pan Kutynia, który rano dał się poznać jako namiętny poszukiwacz letniskowego domu. Widać szukał nadal, pytanie tylko, czy wyłącznie domku, czy również latających spodków.

Na odpowiedź nie trzeba było czekać zbyt długo. Przysadzista postać z białą łysiną na widok nadchodzących zrobiła wprawdzie w tył zwrot i odbiegła truchcikiem kilkanaście metrów, ale niezwłocznie wykonała dwa beczkowate piruety i rzuciła się w przeciwną stronę. Tuż przed Pawłem zahamowała.

— UFO... — wypłynęła pomiędzy grubych warg przejmująca skarga. — Kosmici... Takie już moje szczęście...

— Co panu zrobili? — zatroszczył się dziadek Klemens.

— Panie profesorze — zawołała ofiara Ufitów. — Miałem dwa! Dwa!

Wreszcie je miałem...

— Spodki? — wtrącił z niedowierzaniem Paweł.

— Jakże tam spodki! — pulchna ręka zatrzepotała jak spłoszony gołąb. — Domy! Do-my! D-o-m-y!!!

— I co? Odfrunęły? — spytał dziadek.

— Dotąd mieszkali w nich dwaj bracia. Niedawno obaj się wyprowadzili i teraz

chcą je sprzedać. Podobno prześlicznie położone. Naturalnie, są już kupcy. Na pewno mnie ubiegną — nieszczęśnik znowu wydał przeciągły jęk. — Właśnie miałem je pójść oglądać, kiedy przybiegł jakiś bęcwał i powiedział, że za górą wyładowali kosmici. No i jeden z braci poleciał tam jak szalony. A ja nie wiem, co teraz zrobić! Zacząć pertraktować z tym bratem, który został? No a co będzie, gdy potem się okaże, że właśnie dom tego drugiego jest większy i ładniejszy? Tak długo szukałem, wreszcie nadarzyła się okazja, a tu naraz kosmici! Czysta rozpacz...

— Kosmici to także pewnego rodzaju okazja — próbował pocieszyć pana Kutynię dziadek.

— Kosmici, panie profesorze, przylecą i odlecą, a ja znowu zostanę na lodzie — zauważył nie bez pewnej racji człowiek, targany dramatyczną rozterką. — Dziadku! — Mira już od pewnej chwili wierciła się niecierpliwie, aż wreszcie nie wytrzymała. — Nie wiem jak komu, ale nam okazja ucieknie na pewno!

— Minuta krócej czy dłużej, żadna różnica skoro oni i tak są teraz całkiem gdzie indziej — rzekł z przyganą w głosie Paweł. — Nie wtrącaj się, kiedy mowa o poważnych interesach, moja mała.

— Mała!... — fuknęła Mira. — Mała!...

— Mira nie jest mała... — powiedziało się Łukaszowi. Właśnie „powiedziało się”. „Powiedział” znaczyłoby, że zrobił to, co chciał zrobić.

— Proszę, proszę... — wycedził z uznaniem Paweł.

— Co?! Nie potrzebuję!

— Dzieci!...

— Nie wiem, doprawdy nie wiem. Biec tam gdzie wszyscy, czy wrócić z wami...

Łukasz poszedł przodem. Kroczył sztywno i pilnie zważał, by nie pokazywać twarzy idącym za nim. Był czerwony jak najczerwieńsza róża.

Zamykał pochód pan Kutynia. Ten na odmianę odwracał się często. A im częściej się odwracał, tym bardziej zostawał z tyłu. Wreszcie zatrzymał się i nerwowo zatarł ręce.

— Chyba jednak spróbuję pójść na tę górę — oświadczył z desperacją. — Przepraszam. Do widzenia, panie profesorze, do widzenia pani...

Szkoła stała pośrodku rozległego placu, otoczonego drzewami. Od szosy, która tutaj stanowiła główną drogę, przecinającą zabudowania Górka, oddzielała je metalowa siatka. Oba skrzydła bramy były szeroko otwarte.

Wbrew temu, co można by sądzić, obserwując najpierw kawalkadę samochodów, a potem podążający ich śladem tłum, nie wszyscy popędzili stąd na Wzgórze Kosmitów. Zostało kilka aut, zostali ludzie. Nieliczni, ale zostali. Zgrupowali się wokół wejścia do szkoły. W głębi placu widniało siedem samochodów. Mikrobus, którym wczoraj wracał naczelnik gminy wioząc przygodnych pasażerów, wóz strażacki z błyszczącymi sikawkami i drabiną, dwa zielone łaziki, karetka pogotowia ratunkowego, radiowóz milicyjny oraz furgonetka z napisem: „Telewizja”. Na stopniach tworzących przed drzwiami budynku coś w rodzaju tarasu przechylony do tyłu mężczyzna celował trzymaną na ramieniu kamerą w grupkę osób stojących najwyżej. Z boku drugi mężczyzna usłużnie podtykał mikrofon jakiemuś elegantowi w dobrze skrojonym szarym ubraniu i białej koszuli z bordowym krawatem.

Łukasz odzyskał normalną barwę, ale na wszelki wypadek wołał trzymać się na uboczu. Wciąż jeszcze odzywało się w jego głowie to wysyczone z wściekłością „nie potrzebuję!”. Pewnie. Kto jak kto, ale Mira na pewno nie potrzebuje obrońcy. Żadnego. A już z całą pewnością nie takiego jak on. Westchnął nieznacznie, pomyślał melancholijnie: „kwiczol”... i rozejrzał się po szkolnym placu.

Od razu zapomniał o wdychaniu. Proszę — zawołał w duchu. — Starzy znajomi!

Zaraz. Czy to możliwe, żeby akurat ci ludzie byli mądrzejsi od pana Klemensa? Niemożliwe. No to dlaczego są tutaj, a nie biegną razem z całym tłumem, skoro w tłumie tak trudno jest zachować zdrowy rozsądek?

A może podobnie jak pana Kutynię nie obchodzą ich kosmici, bo mają głowy nabite jedynie własnymi, najzupełniej ziemskimi interesami i tylko one są dla nich ważne? Właściwie, to nawet wyglądają na takich...

Ukryty w cieniu opierał się o drzewo mężczyzna bez legitymacji. Z tym sprawa była jasna. Został, żeby śledzić grubego wesołka. Połknął haczyk — pomyślał z uciechą autor szatańskiej intrygi, bo opasły cudzoziemiec również nie dał się porwać tłumowi. Zostawił gdzieś, pewnie już w domu Kapelusznika, swoją kraciastą marynarkę i wrócił pod szkołę razem z białowłosym Plujkiem. Pomiędzy nimi stał ojciec tego ostatniego. Kapelusz miał ten sam co wczoraj, tylko minę jeszcze bardziej ponurą. A już że zgoła grobowym wyrazem twarzy przyglądał się telewizyjnemu reporterowi dziennikarz posiadający delegację służbową do Górka. Wśród osób stojących na najwyższym stopniu straszło zmęczonymi, zapadniętymi oczami oblicze naczelnika gminy.

Ludzie przed szkołą zachowywali się cicho i spokojnie. Wyraźnie rozbrzmiewały słowa eleganta mówiącego do mikrofonu, a w przerwach wykonującego przyjazne gesty pod adresem kamery.

— Starzy znajomi — powiedział szeptem dziadek. Łukasz drgnął i spojrzał na starszego pana z niekłamanym przestraczem. Okazało się jednak, że dziadek nie posiada cudownego daru czytania w cudzych myślach. Chodziło mu o jego własnych znajomych. — Ten człowiek na górze to profesor Roman Turbo, geofizyk — dokonał prezentacji. — Był kiedyś konsultantem archeologów prowadzących wykopaliska na Starym Mieście. Wtedy go poznałem. Obok stoi jego asystent, bardzo miły chłopak.

Posłuchajmy...

— ...zanim nie będziemy mieć przynajmniej wstępnych wyników badań — wytworny profesor rozłożył ręce. — Na razie mogę panu i telewizjom powiedzieć tylko tyle, co mógłby powiedzieć każdy przypadkowy obserwator zjawisk, z jakimi, jeśli wierzyć relacjom świadków, mamy tu do czynienia.

— Czy pan profesor wątpi w autentyczność tych zjawisk? — spytał reporter. — Skoro świadków jest aż tak wielu, to czy może istnieć inne wytłumaczenie, aniżeli to, które wszystkim nam się nasuwa?

— Nie wszystkim — zastrzegł się skwapliwie uczony. — Nie wszystkim. Co do mnie, na przykład, w tej chwili nie znajduję absolutnie żadnego wytłumaczenia. Z punktu widzenia nauki fakty, o których pan wspomina, nie są jeszcze faktami. Dopóki obserwowane tu jakoby fenomeny nie zyskają pełnej i sprawdzonej dokumentacji, mogę co najwyżej podejrzewać zbiorową sugestię. Ale nawet takie stwierdzenie byłoby dziś przedwczesne.

— Dziadku — szepnął Paweł — co to znaczy?

— Nic nie znaczy. Oto jak wystawiają się wielcy, prawdziwi profesorowie. Kochani, zlitujcie się; czy ja też jestem taki?

— Psst... — zasyczał ktoś niecierpliwie.

Dziadek Klemens wznosił oczy do nieba i umilkł.

— Panie profesorze — reporter nieco jakby przywiądnął — proszę nam przynajmniej zdradzić, czy zostanie pan w Górku do wyjaśnienia zagadki?

— Mam zaszczyt przewodniczyć grupie ekspertów, którą tu skierowano w celu nadzorowania badań. A raczej nie tyle badań, bo te będą prowadzone w wielu laboratoriach, ile gromadzenia materiałów. Chodzi o próbki popiołu pobrane z miejsc, gdzie zostało spalone coś, do spalania czego nikt się nie przyznaje, odciski domniemanych śladów i tak dalej.

Zapewniam pana i widzów, że prace naukowe będą przeprowadzone wszechstronnie i rzetelnie, a ich rezultaty niezwłocznie ogłosimy publicznie. To chyba wszystko, prawda? — elegancki ekspert uśmiechnął się przeprasząco do kamery.

Reporter cofnął mikrofon, ale nagle, jakby sobie o czymś przypomniał, z powrotem podsunął go profesorowi.

— Jeszcze ostatnie pytanie, jeśli wolno — rzekł przymilnie. — Proszę sobie przez moment wyobrazić, że nie jest pan uczonym, tylko jednym z bezimiennej rzeszy letników spędzających urlop w Górku. Co wówczas myślałby pan o tych światłach, płomienistych kulach i zielonych postaciach wyglądających ze spodków?

— Nie mogę nic dodać do tego, co powiedziałem — odpowiedź brzmiała chłodno.

— Panie profesorze! — przysłuchujący się do tej pory w milczeniu młody mężczyzna z włosami opadającymi na czoło i okularami w jasnych oprawkach zrobił szybki ruch w stronę udzielającego wywiadu naukowca i spoglądając na przemian to na niego, to na reportera, wołał: — Panie profesorze! Niech pan powtórzy to, co mówił mi pan dzisiaj rano, kiedy rozmawialiśmy we dwójkę! Że pan nie wierzy, by tak wiele naraz niezwykłych zjawisk miało naturalne przyczyny!...

— To właśnie jest ten jego asystent, o którym wspominałem — szepnął dziadek Klemens, znowu narażając się na ostre „psst” ze strony któregoś z sąsiadów.

— ...Że w tym wypadku trudno podejrzewać halucynacje czy sugestie! — zakończył wyraźnie podniecony asystent.

Jego mistrz zbladł i zamachał rękami.

— Panie redaktorze! — krzyknął. — Proszę to wyciąć! Żądam kategorycznie, żeby pan usunął ostatnią scenę ze swojego reportażu! Kolego! — huknął na speszonego asystenta. — Czy pan zwariował? Chce mnie pan skompromitować? Ośmieszyć? Nie spodziewałem się tego po panu!

Dziękuję — rzucił jeszcze w powietrze, po czym odwrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami szkoły. Jego młody pomocnik, który musiał sobie uświadomić, jak nieskończenie wiele mu brakuje, by stać się prawdziwym uczonym, podreptał chwilę w miejscu, a następnie poszedł w ślady swego chlebodawcy.

— Tato — odezwał się Łukasz — czy on w końcu wierzy w kosmitów, czy nie?

Ojciec niepewnie wzruszył ramionami.

— Dziadku? — spytał nieufnie Paweł. — A ty wierzysz w kosmitów?

— Czy jestem indagowany jako twój krewny, z którego to tytułu, tak czy tak bywam nieustannie kompromitowany, czy też jako profesor?

— A cóż to za różnica? — zirytowała się Mira.

— Różnicę mogliście poznać przed chwilą. Helu, panie Rafale, słyszeliście? Mamy się zdeklarować. Wierzymy w kosmitów, czy nie wierzymy?

— Ja pytałem o to ciebie, a nie mamę ani kogoś innego — zaprotestował nieprzyjemnym tonem Paweł.

— Wierzę, że ludzie widzieli coś, co przypominało im wszystkie znane opowieści o latających spodkach, a nie przypominało niczego innego.

— Ee! — powiedziała Mira.

— Proszę o ciszę! — rozległo się stanowcze wezwanie reportera. Po profesorze Turbo przyszła kolej na naczelnika gminy. Stał już przygotowany, trochę przygarbiony, z wymizerowaną twarzą smętnie zwieszoną nad mikrofonem.

Jak to właściwie jest? — pomyślał Łukasz. — Obydwaj z tatą patrzyliśmy na wylatujące z wody kule i nieziemskie światła, mnóstwo ludzi na własne oczy oglądało spodki i Zielonego, a nawet taki mądry pan Klemens wierzy tylko w to, że ludzie coś widzieli. Profesor Turbo w ogóle nie chce wierzyć. Łysy Kutynia biega jak opętany, żeby kupić dom i złości się na „zamieszanie”. Gruby cudzoziemiec chce robić jakieś

interesy... chyba nie z kosmitami. Ciemny typ bez legitymacji interesuje się na odmianę bardziej owym cudzoziemcem niż istotami z gwiazd. Ci, co sprzedają tu placki, lody i napoje, też nie pobiegli na górę, gdzie dostrzeżono spodki, tylko zostali, by więcej zarobić. Kapelusznik mówił, że „żyć trzeba...” W jego ustach brzmiało to co najmniej dwuznacznie.

Teraz również sterczy pod szkołą. A przecież w Górku są obce, rozumne istoty z kosmosu. Muszą być. Iluż wspaniałych rzeczy można by się od nich dowiedzieć. I nie tylko dowiedzieć, ale także nauczyć. Oni na pewno potrafią wszystko. Wszystko mają. Czemuż nie mieliby się z nami podzielić swoimi osiągnięciami, skoro już do nas przylecieli? Tymczasem tutaj...

— Słyszysz? — zabrzmiał obok niego przyciszony głos ojca. — To dlatego wczoraj milicjanci pytali, czy mamy w Górku zamówione mieszkanie.

Łukasz wyrwany raptownie z zamyślenia rozejrzał się nieprzytomnie, trafił wzrokiem na jasnowłosego Plujka, potrząsnął głową i zaczął słuchać.

Naczelnik mówił właśnie o kłopotach wynikających z niebywałego natłoku przyjezdnych.

— Od dzisiaj drogi dojazdowe są zamknięte — oświadczył. — Wpuszczamy wyłącznie miejscowych i osoby posiadające skierowanie na wczasy. Ale nie możemy przecież siłą usunąć ludzi, którzy już tutaj są. Dlatego dostaliśmy specjalne przydziały od wojewody. Postaraliśmy się o dodatkową opiekę lekarską — wskazał oczami karetkę — nie dopuścimy do pożaru lasu, gdzie pokazują się jakieś ognie. Pomagają nam — przeniósł wzrok na czerwony wóz strażacki — siły porządkowe i wojsko. Jednak mimo wszystko jest nas o wiele, wiele więcej niż zwykle w sezonie urlopowym, toteż korzystając z okazji — spojrzał do kamery — chciałbym zaapelować o spokój i rozwagę.

Z dalszych słów naczelnika wynikało, że do Górka nadal ciągną ciekawscy z całego kraju i że dla nich pośpiesznie urządza się w okolicy pola namiotowe, których pojemność jest wszakże również ograniczona, wobec czego przed wyruszeniem w drogę należy się dobrze zastanowić.

Po gospodarzu miejscowości wzięto na spytki przedstawiciela armii.

Był to wysoki, szczupły mężczyzna w połowym mundurze z dystynkcjami majora. Ten, patrząc na reportera trochę jak na dziecko, zaprzeczył kategorycznie, jakoby wojsko miało tu za zadanie odparcie ataku kosmitów.

Słowa: „ataku kosmitów” powtórzył aż trzy razy z wyraźnym upodobaniem. Żołnierze będą pomagać naukowcom, współdziałać z urzędem gminy w takich sprawach, jak dowóz żywności czy utrzymanie porządku w lasach, zapewnią łączność, a w razie potrzeby uruchomią swoje kuchnie polowe. Przysłuchujący się tej wypowiedzi oficer milicji kiwał potakująco głową, ale gdy reporter po rozmowie z wojskowym próbował pociągnąć za język i jego, uśmiechnął się i odmówił wywiadu. Powiedział potem nie do mikrofonu, że milicja w Górku robi to, co zawsze, oraz że owszem, zamknęła już od przedwczoraj paru złodziejasków, ale niestety wszyscy oni należeli do gatunku zamieszkującego Ziemię, a nie bezdenne otchłanie wszechświata.

Operator zaniósł kamerę do telewizyjnego samochodu. Reporter kręcił się jeszcze na tarasie zapisując coś w swoim notesie. Zgromadzeni wokół stopni ludzie ożywili się i zaczęli rozmawiać.

— Dziadku, znasz tego profesora, który jest tutaj jakąś szyszką. Idź, spytaj go, co się dzieje tam, gdzie wylądowały spodki — zażądał Paweł. — Przecież musieli kogoś posłać i coś już pewnie wiedzą. Skoro mają taką dobrą łączność.

— Gdyby tam rzeczywiście były spodki, tutaj nie zobaczyłbyś żadnego reportera. Ci poleciliby pierwsi. A uczeni, wyprawivszy w drogę asystentów, siedzieliby teraz przy biurkach ze słuchawkami na uszach i nad grubymi zeszytami — odrzekł pan

Klemens.

— To nie pójdziesz?

— Dziadek ma ważniejsze sprawy na głowie — oznajmiła Mira wydymając wargi.

— Gdyby w tej chwili stanął przed nami kosmita, musiałby najpierw obiecać, że następnym razem przywiezie ze sobą stos starych książek. Potem usłyszałyby jakieś łacińskie przysłowie i mógłby uznać wizytę za zakończoną.

— Rzeczywiście, zapytałbym go o książki... jeśli je mają — przyznał dziadek Klemens. — A także o to, jak u nich wygląda prawo i jak jest przestrzegane. To znaczy, jak istoty należące do ich społeczności odnoszą się nawzajem do siebie.

— My z Mirą i Pawłem chcielibyśmy się dowiedzieć także paru innych rzeczy — odezwała się z nieśmiałym uśmiechem pani Helena.

Łukasz spojrział na nią z sympatią. Jeszcze ilu innych rzeczy!

— Właśnie — mruknął z przekąsem Paweł. — Więc co? Pójdziesz?

— Może za chwilę — powiedział dziadek. — Widzieliście sami, że mój uczony kolega jest podenerwowany. I nic dziwnego. Ma tyle pracy.

W dodatku grozi mu ośmieszenie ze strony nieobliczalnego entuzjasty, którego niebacznie wziął do pomocy. Cierpliwości. Na pewno co jakiś czas podają komunikaty, inaczej ludzie nie oblegaliby szkoły.

Ale ludzie, jakby na złość, właśnie zaczęli się powoli rozchodzić. Ganeczek przed wejściem do szkoły opustoszał już chwilę temu. Osobistości zatrudnione w „sztabie” wróciły do swoich zajęć. Na schodach pozostał jedynie reporter przeglądający swoje notatki.

Wtedy podszedł do niego dziennikarz, który wczoraj przyjechał mikrobusem.

— Mam nadzieję, że magnetofon był zepsuty, mikrofon nie działa, kamera potargała taśmę, a tobie, zanim dojedziesz do miasta, odpadną w samochodzie wszystkie cztery koła — wysyczał jadownicę, dostatecznie głośno, by wszyscy zbierający się do odwrotu stanęli i spojrzeli na taras z nowym zainteresowaniem.

— Co to znaczy? Jak to? — napadnięty omal nie upuścił swego drogiego notesu. — Co to?

— To, to, że jesteś świnia!

— Nie przypominam sobie, żebyśmy byli na ty — napuszył się reporter. — Bezcelność!

— Bezcelność, to mało powiedziane! — odbił piłeczkę posiadacz delegacji służbowej do Górka. — Ryc mi się z tym sitkiem i z tą korbką wtedy, kiedy ja przygotowałem sobie teren do wywiadów! Po prostu draństwo!

— Człowieku, przecież ty pisziesz, a ja robię reportaż dla telewizji! — mężczyzna z zapiskami zapomniał, że nie jest po imieniu ze swoim przeciwnikiem. — Czy ja ci przeszkadzam w pracy?

— Ale ja tu byłem pierwszy! Tłukłem się czym popadło, byle prędzej. Ty przywoźłeś swoje tłuste brzuszysko dopiero dzisiaj! Patrzcie go! On „nie przeszkadza!” Tylko wieczorem miliony ludzi obejrzą twój reportaż, a mój gazety zamieszczą dopiero jutro! Raz wreszcie miałbym prawdziwą bombę. Mówiłoby się o mnie na całym świecie. Mnie się to należało! — pokrzywdzony zaperzał się coraz bardziej, nie bacząc, że prócz winowajcy słucha go chciwie wiele par uszu. — Gdyby nie ja, nakręciłbyś guzik, a nie rozmowy! W takim tłumie i wrzasku? A kto stąd przepędził ludzi? Kto puścił w kurs wiadomość o tych Zielonych na wzgórzu, co? Może ty?! Oczyszciliśmy teren: ja, ja, nikt inny! Musiałem na chwilę odejść, żeby udawać, że właśnie przybiegłem z tej górki, ale zanim zdążyłem wrócić, ty już wykorzystałeś sytuację. Świnia!

— Cham!

— Dwa razy świnia! Dziesięć razy!

Ktoś nie wytrzymał i parsknął głośnym śmiechem, dając hasło pozostałym. Przez plac przetoczyła się fala powszechnej wesołości.

— Quod erat demonstrandum — powiedział dziadek Klemens nie tając głębokiego zadowolenia.

— Co to znaczy? — spytał podejrzliwie Paweł.

— To znaczy że możemy spokojnie opuścić to miejsce i pomyśleć, co zrobić z resztą tak mile rozpoczętego popołudnia — odrzekł dziadek kierując się w stronę bramy. — To, co powiedziałem, w wolnym przekładzie brzmi: „co było do okazania”. Tu było do okazania, że żadni kosmici nie baraszkują na okolicznych pagórkach. A także to, że nie ma po co chodzić do znakomitego profesora Turbo, jak tego chcieli niektórzy moi życzliwi krewni — pan Klemens był wyraźnie rozochocony. — Spytałbym: czcigodny kolego, co porabiają kosmici? — i wystawiłbym się na pośmiewisko. Przecież również muszę dbać o moją akademicką godność. A swoją drogą, nie zdziwiłbym się, gdyby temu dziennikarzowi, który wymyślił lądowanie spodków, żeby odciągnąć ludzi spod szkoły, ktoś spuścił tęgie lanie. Solennie sobie na to zapracował. A w dodatku przyznał się publicznie do swojego szalbierstwa. Strach, co człowiek może powiedzieć, kiedy wpadnie w złość — dziadek wyprowadził panią Helenę przed bramę i nagle umilkł.

Na ławeczce po drugiej stronie drogi siedział mężczyzna z nisko opuszczoną głową i twarzą ukrytą w dłoniach. Obok stał inwalidzki wózek, zajęty przez kobietę o wychudłej twarzy. Jej nogi były szczelnie okryte cienkim kocem.

— Dzień dobry państwu — smutną parę zasłonił sobą człowiek w zielonym mundurze. Spieszył się, ale przystanął, żeby się przywitać. — Czy żona zdążyła przynieść mleko i jajka? — zdjął furazerkę i otarł spocone czoło. — Już ledwie zipię — poskarżył się.

— Słyszeliśmy, że pan ma... Jak to było? — uśmiechnęła się do niego pani Helena.

— Kręć-ka — skwapliwie podpowiedziała Mira.

— Właśnie. Były u nas wasze dzieci. Niech się pan nie martwi o nasze żołądki. Macie teraz urwanie głowy. Podobno pracował pan przez całą noc?

— Nie ja jeden — gajowy głęboko westchnął. — Dziesiątki osób. Szukaliśmy śladów, jakichś pozostawionych przedmiotów... To znaczy ja, oczywiście, zajmowałem się lasem. Jeszcze parę takich dni, a nic z niego nie zostanie. Wszystko zادةpczą. Popiół, tu, popiół tam... Kto to widział, palić ogień w lesie! Gdzie popatrzą są okopane dziury, połamane gałęzie, zniszczone poszycie. Wojsko pomaga, ale przecież pod każdym drzewem nie postawi się żołnierza. A ludzie wążą wszędzie, w dzień czy w nocy, wszystko im jedno. Nawet więcej ich po nocach, bo w ciągu dnia przychodzą tutaj i czekają na komunikaty.

— Znalazł pan coś? — spytał prędko Łukasz korzystając z okazji, że mężczyzna zatroskany o dobro lasu musiał zaczerpnąć tchu. Nawet dziadek Klemens, czekając na odpowiedź, spojrział na gajowego z żywym zaciekawieniem. Ale on wzruszył ramionami i mruknął, że ciągle ktoś coś znajduje, tylko nikt nie wie co. Uczni nie puszczają pary z ust, a ludzie, jak ludzie, wymyślają niestworzone rzeczy, powtarzają plotki i w ogóle wariują. — Po prostu wariują — powtórzył zmęczonym głosem i dodał: — Kogo tu nie przyniosło, proszę państwa. Naukowcy, dziennikarze, fantaści, ufolodzy, jacyś niby to znawcy... Tłumy! Do tego handlarze, różni kombinatory no i tacy, o... prawdziwa bieda — wskazał wzrokiem postać w inwalidzkim wózku. — Ta kobieta — zaczął mówić ciszej — jest ciężko chora i lekarze nie potrafią jej pomóc. Mąż wyjeżdżał z nią już do Anglii i do Szwecji. Nie ma jeszcze lekarstwa na to, co jej dolega. No i wczoraj, proszę sobie wyobrazić, przywiózł ją tutaj. Dowiedział się z radia, że w Górku wylądowali kosmici i postanowił poprosić ich o pomoc. Przyszło

mu do głowy, że skoro potrafią latać między gwiazdami, to na pewno przedtem znaleźli sposób na wszystkie możliwe choroby. Wiem, bo z nim rozmawiałem. Prosił mnie, żebym wziął ich do lasu, tam gdzie najczęściej coś się pokazuje, bo on przecież nie może po ciemku pchać tego wózka z jednego końca wsi na drugi. Przepraszam, muszę iść. Czekają na mnie — ukłonił się i szybko odszedł.

Zrobiło się bardzo cicho. Łukasz patrzył przez chwilę na chorą kobietę, a następnie przeniósł spojrzenie na jej męża. Mężczyzna trwał w niezmienionej pozycji, podobny trochę do figurki w starej, przydrożnej kapliczce.

O co prosić dobre wróżki?

Czego można by się dowiedzieć od kosmitów?

Te dwa śmieszne, dziecinne pytania odezwały się nagle znowu w umyśle chłopca, ale zabrzmiały zupełnie inaczej niż przedtem.

Odruchowo poszukał wzrokiem ojca. Ten jednak oddalił się już o parę metrów wraz z całą grupką Piotrowiczów. Łukasz potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić od siebie jakieś mroczne, błędne obrazy lub myśli i już zamierzał ruszyć za wszystkimi, gdy raptem spostrzegł coś, co kazało mu się zatrzymać.

W ocienionym rogu, między ścianą pawilonu handlowego a schodami prowadzącymi do wejścia dla kupujących, dokładnie tam, skąd przed obiadem wypadł osobnik bez legitymacji, by spowodować idiotyczną katastrofę, stał w dziwnej pozycji wysoki, sądząc z sylwetki młody mężczyzna.

Ustawił się twarzą do muru i mówił coś do trzymanego w ręku pudełeczka z wystającym metalowym prętem. Nawet gdyby tak przezornie nie chował głowy w kącie byłby znakomicie zamaskowany. Miał bowiem wręcz niesłychanie bujną brodę, równie czarną jak spadająca z czoła czupryna, które wraz z sumiastymi wąsami tworzyły jeden gęsty kożuch. Spomiędzy włosów zaledwie przeświecały nos, oczy i skrawki policzków. W pierwszej chwili te wolne od zarostu skrawki wydały się Łukaszowi skądś znajome, ale powiedział sobie, że to złudzenie, bo takiej brody na pewno nie widział dotąd nigdy i u nikogo. Zaintrygowało go jednak, że kudłacz najwyraźniej starał się zejść ludziom z oczu. Przedmiot, który trzymał na wysokości ust, nie mógł być niczym innym niż krótkofalówką. Krótkofalówkami posługują się milicjanci, żołnierze, strażacy, budowlani, lekarze pogotowia... Oczywiście, musiano dać je również wszystkim, którzy w Górku tropią kosmitów, aby mogli szybko zawiadamiać „sztab”, że tam a tam coś się właśnie pokazało. Ale przecież w tym miejscu pokazali się teraz jedynie państwo Piotrowiczowie. A nawet gdyby ktoś chciał zameldować o takim wiekopomnym wydarzeniu, nie musiał sięgać po krótkofalówkę, bo szkoła była o dwa kroki stąd. Nie. Brodacz nie pracuje dla „sztabu”. Ciekawe, komu i o czym mówi do tego pudełeczka.

Łukasz przybrał obojętny wyraz twarzy i niedbałym krokiem zaczął przechodzić przez jezdnię. Nie kierował się przy tym wprost ku Czarnemu, a trochę na ukos, jakby miał zamiar odwiedzić drewnianą budę z napisem: „Placki ziemniaczane”. Buda stała już na ziemi, ciężarówka zniknęła, tablica zawisła na swoim miejscu. Zezując ukradkiem chłopiec osiągnął wreszcie punkt, do którego docierał głos kudłacza. W jego głosie odzywały się także tony jakby już kiedyś słyszane, ale skoro broda była obca, to i wybiegający spod niej głos nie mógł być znajomy.

— ...się na wszelki wypadek na małpę i zasuway — mówił Czarny. — Ćwierknij dwa razy, to wystarczy. Ćwierkania nie wsadzą do probówki.

Niech potem kogoś przekonają, że ptaszek miał dziób i skrzydła. Jak to ptaszek, nie? Koniec. Bez odbioru... Zaraz, jeszcze jedno. Uważaj na...

— Łukaszu! — zagłuszyło ostatnie słowa wołanie ojca. — Łukaszu, czekamy na ciebie!

Chłopiec skrzywił się. Akurat w takiej chwili. Wyteżył słuch, ale tamten już



skończył. Przepadło. Nigdy się nie dowie, przed czym ten ponury typ ostrzegał jakiegoś swojego kompana. Mogło to być wreszcie coś zrozumiałego, co by pozwoliło odgadnąć i czym w ogóle mówił. Posługiwał się szyfrem, to jasne. „Na małpę, ćwierknie, próbówka, ptaszek...” Takim językiem porozumiewają się szpiedzy. Brodacz jest szpiegiem!

Ale w takim razie trzeba uważać. Trzeba bardzo uważać. Narazić się szpiegowskiej szajce to już całkiem kiepska sprawa. To o wiele gorzej, niż wejść przypadkiem w drogę jakiemuś zbyt wesołemu grubasowi i jakiemuś chciwemu Kapelusznikowi, razem z jego białowłosym Plujkiem.

Szpiedzy pozbywają się niewygodnych świadków z taką łatwością, jakby strzepywali pyłek z rękawa wiatrówki. Tyle się o tym czytało. Tyle było filmów...

Łukasz skupił całą uwagę na tablicy informującej o plackach. Najważniejsze, nie dać nic po sobie poznać.

— Co, jeszcze zamknięte? — zawołał głośno. — Jaka szkoda! — brnął dalej, choć z placyku obok pawilonu nie przyszła żadna odpowiedź.

Odpowiedź należało zresztą z góry wykluczyć, ponieważ w pobliżu zamkniętej na cztery spusty budki nie było żywego ducha. Jednak brodacz nie mógł tego widzieć ze swojego kąta za narożnikiem. — Dobrze, przyjdę jutro — zakończył chłopiec, po czym nie śpiesząc się rozpoczął odwrót. Wakacje u Piotrowiczów, kosmici, a teraz szpiedzy. Stanowczo za dużo naraz.

— Łukaszu!

— Idę, idę! — odskrzyknął weselej. Kątem oka dostrzegł bowiem, że kudłacz schował krótkofalówkę i spokojnie odchodzi w przeciwną stronę.

— Wpadłeś na placki? — spytał życzliwie Paweł, gdy Łukasz, nieco tylko kołując, dołączył do reszty towarzystwa. — Ja cię rozumiem. Po takim obiedzie...

— Placki? Nie. Tato, tam był... Tato...

Nie. Nie można przy wszystkich opowiadać o wykrytych przez siebie szpiegowskich aferach. Trzeba poczekać, aż zostaną z ojcem sami.

— Tato, co teraz będziemy robić? — nie wypadło to może najzręczniejszemu, ale przynajmniej nie wyrwał się z czymś, co w wypadku niedyskrecji słuchaczy, mogłoby się zakończyć bandycką rozprawą z niepożądanym świadkiem.

— To co wszyscy — po raz któryś ubiegł ojca dziadek Klemens. — Pospacerujemy, popatrzymy, podumamy. A nuż doczekamy się komunikatu z nowymi rewelacjami. Na razie przekonajmy się, co proponuje ta oto firma. Zaschło mi w gardle od nadmiaru atrakcji...

Przechodzili akurat koło sprzedawcy napojów. Ale nie tego, który rano, krzątając się przy swoim świeżo przywiezionym kiosku, zapraszał Łukasza i jego przygodnego towarzysza na dzień następny. Tuż obok inny, bardziej obrotny kupiec nie czekał, aż jego budka będzie gotowa na przyjęcie klientów, tylko od razu ustawił wózek z potężnym syfonem i dwiema przezroczystymi bańkami wypełnionymi musującym płynem.

Z saturatora dobiegało co chwilę głośne „pfsss...”, po czym rozlegał się okrzyk: — „Napój firmowy! Zimny napój firmowy!...”

Przed wózkami czekało w kolejce kilkanaście osób. Słońce prażyło jeszcze silniej niż przed obiadem. Na niebie w dalszym ciągu darmo byłoby szukać najmniejszej chmurki.

— Nie ma pan wody mineralnej? — spytał dziadek Klemens, gdy stanął wreszcie oko w oko z zaradnym sprzedawcą.

— Napój firmowy — powtórzył z naciskiem mężczyzna w niegdyś białym kitlu, dając do zrozumienia, że jego usługi są przeznaczone dla ludzi o wyższych aspiracjach.

— Ja jutro będę mieć sodową — wtrącił ponuro właściciel sąsiedniej budki, śledzący powodzenie swojego konkurenta z nie ukrywaną złością.

— Jutro — futro! — zawołał w odpowiedzi, całkiem bez sensu, jego szczęśliwy rywal wręczając dziadkowi napełnioną szklankę. Czy to z natury, czy w wyniku długiego obcowania z pluszczącymi aparatami, miał głos dziwnie przypominający bulgotanie. — Ludzie chcą pić już dzisiaj!

— Ludzie! — parsknął tamten. — Tobie tyle chodzi o ludzi, co mnie o dziurawy garnek! Tylko forsa ci w głowie!

— A ja to co, nie człowiek? — zarechotał tryumfalnie Bulgotek. — Szanowna młodzież także po szklaneczce? — zagadnął uprzejmie Mirę i Pawła.

— Jakbyś był człowiekiem, to stanąłbyś choć trochę dalej! Nie mogłeś?

— Mogłem, ale nie musiałem. Służę, służę — zwycięski kupiec żonglował naczyniami z wprawą cyrkowca.

Łukasz był bardzo spragniony jak wszyscy, ale gdyby nie to, że dziadek i pani Helena wypili swoje porcje do dna, oddałby szklankę nie tkniętą. Napój wcale nie był zimny, za to mdły, słodkawy i dokładnie nijaki.

— Paskudztwo — powiedział dobitnie Paweł.

— Trudno zaprzeczyć — potwierdziła jego siostra, sprawiając niewysłowioną przyjemność posiadaczowi nieczynnej budki. Ale Bulgotek zachował się tak, jakby miał niezbitą pewność, że jakiegokolwiek niepoehlebne uwagi o nim i o towarze pochodzącym z jego firmy mogą być jedynie żartem. Uśmiechnął się szeroko do Miry i Pawła, po czym z tym samym uśmiechem zaczął obsługiwać następnych w kolejce.

— Ciekaw jestem, co u nas pijają kosmici? — zainteresował się dziadek Klemens, przystając po chwili pod następnym kioskiem, ozdobionym wizerunkiem dwóch skrzyżowanych karpi i napisem „Smażalnia ryb”. Także i ten kiosk dziś był jeszcze zamknięty. — Żywność mają pewnie w tubkach i pastylkach, ale wodę? Czerpanie jej z naszego jeziora, choć ono tak pięknie wygląda, to śmierć. Nad rzeką, która do niego wpada stoją fabryki... Tymczasem nikt jakoś dotąd nie zdybał Zielonego, kiedy chyłkiem podbiera komuś wodę ze studni.

— Co też dziadek opowiada — rzekł z wyższością Paweł. — Oni sami robią wodę, na przykład ze skał. Poza tym mają specjalne filtry.

— Chciałby ojciec spróbować ich napoju firmowego? — spytała z uśmiechem pani Helena.

— Chciałbym — odpowiedział dziadek Klemens. — A potem, w rewanżu, zaprosiłbym ich tutaj. Jeśli knują względem nas coś złego, to od razu by im się odechciało. Musieliby dojść do przekonania, że istoty, które mogą bez nieodwracalnych następstw łykać takie okropieństwo, są absolutnie niezniszczalne... Oho! — zawołał nagle zmieniając głos. — Żegnajcie spacerki! Koniec przerwy. Albo zawczasu uciekajmy, albo chodźmy szybko z powrotem pod szkołę, żeby zająć dogodny punkt obserwacyjny.

Za chwilę już się tam nie dopchamy. Osobiście głosuję za tym pierwszym.

— Naaapój firmowy! Naaapój!

— Wrrr... Hrrr... Tu-tu-tuuu...

Za późno było i na ucieczkę, i na szukanie dobrego miejsca pod szkołą. Po bezowocnych poszukiwaniach wrócili do Górka zmotoryzowani łowcy kosmitów. No i, naturalnie, okazali się szybsi. Zostawiali auta byle gdzie i byle jak, po czym biegli ku otwartej bramie. Cichy do tej pory placyk rozbrzmiał wrzawą.

— To dopiero początek — rzekł obiecującym tonem pan Klemens. — Wkrótce przybędą piechurzy. Wtedy dopiero zrobi się wesoło...

— Dziadku — odezwała się z namysłem Mira. — Dlaczego powiedziałeś przed chwilą, że oni knują coś złego?...

— Ja mówiłem, że oni...? — zdumiał się dziadek, ale zaraz twarz mu się rozjaśniła. — Aha, wtedy gdy zapraszałem ich na nasze firmowe napoje? Nie bój się, kobieto, żartowałem...

— Ja się nie boję, tylko...

— ...trzęsą mi się łydki — podrzucił Paweł. — Ale to dlatego, że jestem żarłok i mam grube nogi...

Łukaszowi już, już znowu coś by się powiedziało. W ostatnim momencie zamknął na powrót usta. W pośpiechu kłapnął zębami, ale tego, na szczęście, nikt nie usłyszał. A Mira, naturalnie i tym razem obeszła się bez obrońcy.

— Mam grube nogi, bo muszą nosić głowę z dużym, ciężkim mózgiem — wyjaśniła nieco piskliwie. — Natomiast mój brat w ogóle nie potrzebuje nóg, ponieważ jego pusta głowa unosi go w powietrzu jak balon. Kretyn! — postawiła kropkę nad „i”.

— Ha, ha! — wymówił dwie suche sylaby Paweł. — Przekąska dla potwora! Zamiast musztardy...

— Baran! Glista! Nadęta purchawa!

— Ha, ha!

— Wracając do kosmitów — podjął jakby nigdy nic dziadek Klemens — żeby ich odstraszyć, nie trzeba nawet żadnych cudownych napojów. Wystarczy, że obejrzą sobie ten widoczek, teraz, tu, pod szkołą.

Czmychną i nie pokażą się więcej w tej części Galaktyki. Zresztą — dodał poważniejąc — moglibyśmy im zaoferować tyle naszych ziemskich dań firmowych...

Paweł przestał udawać, że się śmieje. Mira ochłonęła. Łukaszowi zrobiło się nieswojo. Zapomniał o nikczemnym oszczerstwie rzuconym pod adresem najpiękniejszej pary nóg w całym... no, całym Górku. „Obejrzą sobie ten widoczek...” A jeśli go oglądają? Na pewno mają jakieś fenomenalne instrumenty do obserwacji planet, na których lądują. Jeśli widzą ten tłum pędzący to tu, to tam, kłócących się dziennikarzy, samochody, brodatego szpiega. Kapelusznika, Plujka, spoconych handlarzy? Do tego jeszcze pana Kutynię i... I tę chorą kobietę, której nikt nie może pomóc?

Co sobie o nas pomyślą?

Z zamyślenia wyrwała go nowa fala wrzawy i nowe zamieszanie. Wróciła pierwsza grupa piechurów. Jeszcze nieliczna, ale z za zakrętu słychać już było następne.

Nagle wszystko się urwało.

Powietrzem targnął potężny łomot, przypominający huk odpalonej petardy. Dobiegł skądś od strony przystani. Ludzie znieruchomieli. Zapadła martwa cisza. Tym okropniej zabrzmiał przeciągły zgrzyt, jakby jakiś olbrzym przejechał po szybie ogromnym nożem. Łukasz odruchowo uniósł dłonie do uszu. Przerażliwy dźwięk umilkł, ale minęła dobra chwila, zanim zdołał wykrztusić: — Co to, tato...?

Zawtórowali mu inni.

— Co to było?

— Dziadku, co to?!...

— Czy to aby...?

Drzwi szkoły otworzyły się raptownie. Mignęły mundury, zielone, błękitne i granatowoszare. Przemknęły białe fartuchy. Zaraz potem zaczynając od basowego pomruku wzbily się ku wyżynom alarmowe gamy syreny. Ryknęły silniki samochodów.

Nastał sądny dzień. Syreny mogły wyc w niebogłoty, co zresztą czyniły, ale łąziki, wóz strażacki, karetka i radiowóz posuwały się w tempie nie tyle żółtym, co żadnym. Plac był przecież szczelnie nabity ludźmi.

Stojący najbliżej próbowali wprawdzie przepuścić auta, jednak nie pozwalali im na

to ci, którzy tłoczyli się za ich plecami. Na domiar złego szosą nadciągały wciąż nowe grupki maruderów, powracających z niefortunnej wyprawy na Wzgórze Spodków. Sytuacja pogarszała się z sekundy na sekundę. Nagle na siedzenie unieruchomionego łoża wyskoczył ów major, który tłumaczył reporterowi, co będą robić przybyli do Górka żołnierze. W rękę trzymał tubę. Podniósł ją do ust i zawołał: — Proszę o spokój! Nie stało się nic złego! — zwielokrotniony głos ogarnął morze głów i zapanował nad wrzawą. Zamęt ustał. — Słuchajcie — mówił dalej oficer — dostaliśmy wiadomość, że przed chwilą, koło przystani zauważono światło i dym. Potem ktoś się odezwał i przedstawił jako przybysz z gwiazd. Jedziemy to sprawdzić i na wszelki wypadek zabezpieczyć teren. Strażacy muszą zlikwidować źródło dymu. Przepuście nas!

No i major osiągnął co chciał. Ludzi wymiotło spod szkoły, jakby porwała ich trąba powietrzna. Jakimś cudem nie podeptali się wzajemnie.

Wszystkim i każdemu z osobna w tym samym momencie i w tym samym stopniu zaczęło się naraz bardzo śpieszyć na przystań. Ruszyli równocześnie, jak kto stał, i tak biegli zachowując względny porządek.

Samochody mogły swobodnie opuścić plac, by następnie, jadąc opłotkami, zdążyć na przystań, zanim tam z kolei robi się tłoczno.

Tak. Major wiedział co robi, gdy wskazał miejsce, gdzie znowu dali o sobie znać kosmici. Liczył na przemożną siłę ludzkiej ciekawości i nie przeliczył się.

— Oni! — wrzasnął Paweł i dał nura w tłum.

— Mówią! — Łukasz rzucił się za nim.

— Miro, czekaj! — krzyknęła rozpaczliwie pani Helena, usiłując złapać córkę za rękę. Ponieważ jednak upatrzony przez nią przedmiot właśnie usunął sobie z drogi dwóch naraz współzawodników i zniknął za plecami trzeciego, jej wysiłek poszedł na marne. Wobec tego nieszczęsna mama oddała sarni skok i pognąła w ślad za umykającą znajomą sukienką. Dziadek Klemens i ojciec Łukasza nie pozostali w tyle.

Łukasz szybko dogonił Pawła. Biegli ramię w ramię, równo wybijając rytm nogami i ciągle zostawiali kogoś za sobą. Nic dziwnego. Ich rywale płacili za swój morderczy maraton na wzgórze i z powrotem.

W głowie Łukasza huczała jedna jedyna myśl. Nareszcie. Nareszcie!

Dziwny był ten dzień. Najpierw zmitrężył całe przedpołudnie, zanim wreszcie ktoś zająknął się o kosmitach. Stale spotykały go głupie przygody. Potem obiad. Tak jakby w obliczu latających spodków człowiek nie miał nic innego do roboty, tylko najspokojniej napychać sobie brzuch.

No i w końcu ten długi spacer. Niby się spieszyli, ale jakoś bez przekonania. Przyglądali się innym ludziom, komentowali ich zachowanie, słuchali mądrych uwag pana Klemensa. Kosmici co chwilę schodzili na dalszy plan.

Teraz nareszcie jest inaczej. Nikt nie filozofuje. Nikt nie udaje, że w takim dniu ma ochotę klócić się z siostrą. Teraz nareszcie ich zobaczy.

Mieszkańców gwiazd. Nareszcie. Na własne oczy. A może i usłyszy. Co też będą mieli nam do powiedzenia...?

Biegli szeroką alejką, odchodzącą od głównej drogi prosto ku przystani. Nie było daleko. Ludzie zaczęli się rozpraszać, jakby na piaszczystym stoku ktoś coraz szerzej otwierał żywy, kolorowy wachlarz. Zwolnili. Jeszcze zwolnili. Od czoła szła narastająca cisza. Nagle nastał zupełny spokój. Byli na miejscu.

Strażacy rzeczywiście przyjechali wcześniej. Stali obok kawiarenki zagradzając wejście na pomost. Ani oni, ani milicjanci, ani żołnierze nie wykonywali żadnych ruchów, które mogłyby świadczyć, że przygotowują się do likwidacji jakiegoś zagrożenia.

Tłum opasał przystań wielkim łukiem. Jego skrzydła dotykały brzegu jeziora.

Środek nie przekroczył pozycji zajętej przez radiowóz, karetkę, dwa łaziki i wóz strażacki. Zaległo milczenie. Takie specjalne milczenie, pełne oczekiwania, jak w sali koncertowej, kiedy dyrygent podniesie pałeczkę dając znak, że zaraz zabrzmie muzyka.

Łukasz i Paweł znaleźli się w pierwszym szeregu. Z miejsca gdzie stali widać było jak na dłoni pomost z przycumowanymi do niego łodziami, długie odcinki plaży po obu stronach, oraz rozległą połąć jeziora. Jego powierzchnia była gładka jak szkło i lśniła jak szkło, na które pada światło.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Raptem rozległ się głośny, pojedynczy plusk. Zaraz za pomostem wyskoczył z wody ciemny przedmiot, podobny do niewielkiej boi. Opadł z powrotem na powierzchnię jeziora i zakołysał się.

— Tu Alauda z Planety Tsieciej — poniosło się w martwej ciszy.

Głos brzmiał obco. Język był swojski, ale wymowa niektórych spółgłosek, akcent i melodia zdań świadczyły, że nie był swojski dla tego, kto przemawiał. Mógł należeć do mężczyzny, obdarzonego przez naturę koloraturowym sopranem. Odzywały się w nim wysokie tony, nieoczekiwanie przechodzące w miękkie pomruki. Dźwięczał obco, lecz nie przykro. — Tu Alauda z Planety Tsieciej — padło ponownie. — Pozdrawiamy was, mieszkańcy Ziemi. Nie psibywamy w złych zamiarach. Nie podejmujcie psieciw nam wrogich kroków. Chcemy was poznać. Dowiedzieć się, ci dla dobra obu naszych cywilizacji możemy nawiązać z wami bliższe stosunki.

Niedługo odezwiemy się znowu. Mówi Alauda z Planety Tsieciej. Pozdrawiamy was, mieszkańcy Ziemi...

Ciemny przedmiot zniknął pod powierzchnią wody równie nagle, jak się ukazał. Pozostały drobne, koliste fale. Biegły coraz dalej, coraz wolniej, aż stopiły się z błękitną płaszczyzną.

## Tato? Czy oni to widzą?

Kosmita wychylony do pasa z wody był wielki jak góra. Miał płonące rogalowate oczy i szpiczaste uszy. Jego korpus porastało zielone futro.

Łukasz postanowił przywitać go grzecznie, ale po męsku i z godnością.

— Taj — taj — taj... — powiedział.

Stwór błysnął lampkami w szczelinach oczodołów i zaśmiał się pogardliwie.

— Trzeba to bardzo dokładnie zbadać — udało się wymówić Łukaszowi.

— Nie masz letniskowego domu i jesteś ostatnią ofertą — odparł Zielony. — Biwakujemy tu we trójkę. Miejsce niebezpieczne. Przyniosłeś to chociaż? Ubijemy interes?

— Pojadę po to autem — Łukasz postanowił zyskać na czasie.

— Fiacikiem! — prychnął ironicznie kosmita. — Ja nie będę cię pchać na Wzgórze Spodków. A ty jesteś mały i masz grube nogi.

Chłopca aż podniosło.

— Może ja tak, ale Mira nie!

— Ha, ha, ha! — przybysz z gwiazd zarechotał głośno. — Spróbuj waszego napoju firmowego! — czterema krzywymi rączkami ochlapał Łukasza wodą z jeziora. — Ha, ha, ha!

Nagle za plecami chłopca zawyły syreny. Rozległ się wrzask nadsięgającego tłumu. Łukasz zamrugał oczami, po czym jak stał, w ubraniu, wpadł do jeziora i roztrzając wodę biegł z wyciągniętymi przed siebie rękami, żeby zasłonić kosmicie jego świecące oczka. Niech nie widzi...

W tym momencie wszystko ucichło. I zniknęło.

Chłopiec jeszcze raz zamrugał oczami, a następnie ostrożnie uniośł powieki. Jasno. Przed chwilą było ciemno. Niby przezroczysta noc, niby dzień bez jednego promyka słońca...

— Zbudziłeś się? — spytał znajomy głos. — Taka piękna pogoda.

Łukasz machinalnie otworzył dłonie, które zaciskał na oczach kosmity. Naturalnie, żadne oczy i żaden kosmita. Po prostu rogi poduszki.

Wtulił w nią twarz i obejmował ją jak skarb. Cienki koc leżał skopany na podłodze. Przeniknął go ziąb. Po upalnym dniu noc była widać chłodna. Jak woda z jeziora.

Podniósł się i nie patrząc na ojca z obojętną miną wykonał kilka przysiadów. Idiotyczny sen.

— Co chciałbyś dzisiaj robić? — zagadnął ojciec, gdy Łukasz, po powrocie z łazienki, wciągał świeżą koszulkę.

— Jak to? — zdziwił się chłopiec. O co tu pytać. Program dnia może być tylko jeden. Wczoraj, po powitalnym występie Alaudy, kosmici zamilkli. Nie było więcej spodków, głosów ani świateł. Ale zapowiedzieli przecież, że wkrótce odezwą się znowu. Trzeba trzymać rękę na pulsie, aby czegoś nie przegapić. Oczywiście, że pójdą pod szkołę. Poczekają na komunikaty. Porozmawiają z ludźmi. Może po tym co zaszło profesor Turbo i inni uczeni przestaną bawić się w ciuciubabkę.

— Może... — ojciec pokiwał głową z powątpiewaniem. — Dobrze, pójdziemy pod szkołę. Pewnie wszyscy tam się wybiorą.

Wszyscy, to wszyscy — pomyślał Łukasz i zajął się doprowadzeniem do porządku swojej czupryny. Lustro w białej ramie było na pewno dziewczęce, ale tak samo dobrze odbijało męską głowę. Mira pewnie nie musiała się schylać czesząc swoje śliczne włosy...

— Eee... — burknął ni stąd, ni zowąd na głos otrząsając się, jakby przeganiał natarczywą osę.

— Co ci się stało?

— Nic — chłopiec szybko odwrócił oczy od lustra. — Śniły mi się jakieś bzdury — wyjaśnił, w pewnym sensie zgodnie z prawdą. — Chodźmy na dół — zamaszystym krokiem ruszył w stronę drzwi. Niechcąc uderzył stopą o tekturową teczkę, która stała oparta o bok szafki. Teczka osunęła się na podłogę. Błysnęły narożniki białych arkuszy bristolu.

— Niczego nie ruszaj — przestraszył się ojciec.

— Nie ruszam — Łukasz podniósł teczkę, otworzył ją, i ostrożnie wyrównywał plik kartek. W pewnym momencie jego ruchy stały się wolniejsze. Nagle wyciągnął jeden z arkuszy, podniósł go i pokazał ojcu. — Popatrz, tato — powiedział — ładne, prawda?

Na kartce widniał rysunek przedstawiający skrawek jeziora z żaglówką. Maszt łodzi dotykał nieba, z którego patrzyła promienna jak słońce twarz dziadka Klemensa. Na dziobie siedziały dwa krasnoludki z zadartymi do góry głowami. Jeden miał rysy Pawła, a drugi Miry. Rysunek był czarno-biały, wykonany ołówkiem lub węglem, prościutki, ale patrząc na niego widziało się barwy gór w dalekim planie, czuło się zapach wody, czystość powietrza, życie przyrody. Tylko Mira i Paweł uśmiechali się do słońca-dziadka, tak jak zdaniem Łukasza mogli się uśmiechać jedynie na rysunku.

— Bardzo ładne — przytaknął ojciec. — Słyszałem, że pani Helena świetnie maluje, ale nigdy dotąd nie widziałem żadnego z jej obrazów. Studiowała w akademii sztuk pięknych. Przerwała naukę, kiedy miał urodzić się Paweł. Potem w domu robiła śliczne laleczki w ludowych strojach. Sprzedawały je sklepy z pamiątkami. Pan Klemens nie był wówczas takim znanym autorem, a mąż pani Heleny stawiał dopiero pierwsze kroki w naszym instytucie. Potrzebowali pieniędzy...

— Pani Helena...? — powtórzył Łukasz jakby z odcieniem rozczarowania. — Myślałem... Przecież to jest pokój Miry?

— Nie wiem, może Mira także rysuje. Ale ten obrazek... nie wydaje mi się... — ojciec zająknął się i umilkł. Jednak Łukasz odgadł, co chciał powiedzieć i w duchu przyznał mu rację. Jeśli nawet Mira odziedziczyła po mamie zdolności plastyczne, to nie przedstawiłaby tak ciepło i serdecznie dziadka, a już na pewno brata. Nie przepuściłaby okazji, żeby przypiąć mu jakąś łatkę.

Chłopiec zagryzł wargi, potrząsnął głową i przełożył kartki. Następny szkic wyobrażał dom, w którym się znajdował. Otaczała go burza delikatnych kreseczek. Ale z tego pozornego chaosu znowu wyłaniał się bogaty, swojski krajobraz, w całej jego urodzie. I znowu na pierwszym planie figurowały dwie malutkie postacie. Były jedynie zaznaczone łamanymi liniami, lecz ich pochwycone w ruchu pozy świadczyły wyraźnie, że chodzi o Mirę i Pawła.

— Nie powinienesz bez pozwolenia przeglądać cudzych rzeczy — powiedział trochę nerwowo ojciec. — Myślę, że pani Helena nie miałaby nic przeciwko temu, ale wypadałoby ją przedtem zapytać...

Łukasz puścił to napomnienie mimo uszu. A właściwie nie usłyszał go wcale.

Z kolejnego arkusza bristolu patrzyła na niego uśmiechnięta twarzyczka. Wraz z rozsypanymi włosami zajmowała niemal całą powierzchnię kartki. Portret najmilszej w świecie osóбки. To znaczy zrobiony przez kogoś, komu ta osóбка była najmilszą na świecie.

— Łukaszu...

Chłopiec drgnął i szybko odłożył rysunek. Zaraz za wizerunkiem Miry znajdował się portret jej ojca.

Zamknięta teczka wróciła na dawne miejsce.

— Tato...

Przez chwilę w pokoju panowała cisza.

— Co, synu?

Chłopiec odchrząknął.

— Tato, dlaczego tym dyrektorem czy kierownikiem został pan Piotrowicz, a nie ty?

Cisza trwała teraz znacznie dłużej.

— Skąd ci to przyszło na myśl akurat dzisiaj? — odezwał się w końcu ojciec zmienionym głosem. — Każdy ma swoje obowiązki. Czy to ważne, kto za jakim biurkiem siedzi?

— Nie wiem. Ale dlaczego?

Z miejsca, gdzie stał ojciec, dobiegło ni to westchnienie, ni to pomruk zniecierpliwienia.

— Pan Piotrowicz jest bardzo zdolnym naukowcem — nie, ojciec nie był zniecierpliwiony. Mówił spokojnie. Może odrobinę za spokojnie. — Spędza w pracy po kilkanaście godzin, jeździ na konferencje, wygłasza referaty, rozmawia z ludźmi na wysokich stanowiskach. Niedawno obronił doktorat.

— Właśnie. To znaczy, chciałem powiedzieć... Tato...? Czemu ty nie napiszesz doktoratu?

Tym razem ojciec niewątpliwie westchnął.

— Łukaszu — miało to zabrzmieć żartobliwie, ale zabrzmiało zupełnie inaczej. — Łukaszu, czy to naprawdę odpowiednia pora na zasadnicze rozmowy? Kosmici, rozgorączkowane tłumy, niesamowite zagadki, a ty bierzesz mnie na przesłuchanie. Zupełnie jak...

— Jak mama — dopowiedział bez zastanowienia chłopiec. Przestraszył się i zawołał: — Tato! Tato, przepraszam! Tato, ja nie... Ja...

— Nic, nic — przerwał mu głucho ojciec. — Kiedyś zrobię przecież ten doktorat... Dotąd jakoś się nie składało... Może za bardzo ciągnęło mnie zawsze do domu? Nie wiem... Nie. Po prostu się nie składało...

Wiesz co — uśmiechnął się z przymusem. — Naprawdę chodźmy już na dół. Inaczej przegadamy tu cały dzień.

— Dziadku, skąd oni mogą być? — spytała Mira z niezbyt świetną dykcją, jako że to bulwersujące pytanie nasunęło jej się w chwili, gdy miała usta pełne placka z jagodami. Kiedy i jakim cudem pani Helena zdążyła upiec placek, pozostanie na zawsze jej tajemnicą.

— Bez komentarzy — odparł urzędowym tonem dziadek. — Nie zostałem przez moich przyjaciół z... otóż właśnie, nie powiem skąd, upoważniony do ujawniania ich sekretów.

— Ee! — zachnęła się dziewczyna. — Z tobą nie można poważnie rozmawiać!

— Przepraszam — zaprotestował dziadek. — Z nimi rozmawiam poważnie. Powiedziałem im wszystko o ludziach. Bardzo się ucieszyli, bo dotąd myśleli, że tylko oni w całym wszechświecie miewają wnuczki, które przy śniadaniu plują na nich resztkami pożywienia.

— Ee!

— O, właśnie. Wprawdzie w ich wypadku sprawa przedstawia się jeszcze gorzej, bo na deser jadają lawę z wulkanów na gorąco. Tam jest mnóstwo wulkanów. Będę im musiał dać kilka ziemskich przepisów. Pomożesz mi, Helu?

— Bez komentarzy — zagadnięta zrobiła surową minę. — Nie wolno mi zdradzać najtajniejszych ludzkich sekretów. Nie czuję się upoważniona.

— Wyhodowałem żmiję na własnym łonie — uzalił się nad sobą dziadek. — Jaka



córka, taka matka...

Ojciec Łukasza zaśmiał się cicho. Z jego oczu uciekły cienie, pozostałe po porannej rozmowie z synem.

— Kochanie — „zmija” zwróciła się do Miry — nikt z nas nie wie, skąd oni są. Gdyby był Paweł, to pewnie powiedziałby nam, które gwiazdy mają planety, które nie, gdzie w kosmosie może istnieć życie i tak dalej...

— Eee...

Pawła nie było. Z obecnych widziała go dzisiaj jedynie jego mama. Kiedy wczesnym rankiem opuszczała sypialnię, on właśnie wychodził z domu w pełnym rynsztunku, z aparatem fotograficznym i chlebakiem. Na pytanie, dokąd idzie, odpowiedział „Jak to dokąd?” Następnie mruknął, że wróci na śniadanie i zniknął. Ale nie wrócił.

— Słuchajcie — odezwał się nagle dziadek Klemens. — Może spróbowałibyśmy zadzwonić do Marka? Musi już wiedzieć, co się u nas dzieje. Jeśli nie zwabią go latające spodki i gadający kosmici, to nie przyjedzie już nigdy. Poczekaj — wstał, mrugnął znacząco do pani Heleny i podszedł do telefonu. — Sam to zrobię. Ty jesteś za uczciwa. A ja go zapewnię, że nasi Zieloni są najznakomitszymi chemikami w kosmosie, że przodują w sporządzaniu planów oraz sprawozdań i że jest z nimi sam najgłówniejszy minister galaktycznego imperium. Tak się chyba mówi, prawda? Galaktyczne imperium... Halo? Chciałbym zamówić rozmowę z Krakowem — powiedział do słuchawki. Potrzymał ją chwilę przy uchu, po czym bez słowa odłożył na widełki. — Niestety, nic z tego — potrząsnął głową. — Łączność zastrzeżona dla funkcjonariuszy „sztabu” i dla prasy. Można co najwyżej wezwać pogotowie lub straż pożarną. Stan oblężenia. Spodek ante portas... Częściowo łacina — wykrzywił się komicznie do Miry, która odpowiedziała wzruszeniem ramion. — Hannibal... to znaczy nie Hannibal, a kosmita przed bramami. Żadnych podróży, wizyt, nieostrożnych rozmów i tak dalej. Żadnych telefonów.

W tym momencie telefon zadzwonił. Dziadek Klemens i pani Helena spojrzeli po sobie, po czym oboje wybuchnęli śmiechem.

— Mimo wszystko niech ktoś łaskawie podniesie tę słuchawkę — wycedziła Mira. — Mnie tam nie zależy, ale a nuż to tato...

Słuchawkę podniosła jej mama, a dzwonił rzeczywiście pan Marek.

Niestety, ani mu się śniło przyjeżdżać do Górka. Nie miał czasu na głupstwa. Osobiście radia nie słuchał, ale telefonował do niego znajomy, który wiedział, że Piotrowiczowie posiadają dom w słynnej teraz na cały świat miejscowości, nawiedzanej przez kosmitów. Pan Marek rozprawił się z nim po męsku, po czym wyłączył aparat. Jednak po zastanowieniu uruchomił go znowu i wykręcił kolejno numery dwóch osobistości w urzędzie wojewódzkim. Pierwsza osobistość obiecała mu zamienić kilka słów z kimś ważnym w Nowym Sączu, a druga załatwiła błyskawicznie połączenie z Górkiem. Do tego ostatniego wałą podobno dzikie tłumy gapiów, więc mogą wystąpić kłopoty z zaopatrzeniem. Dlatego, gdyby rodzina pana Marka czegoś potrzebowała, powinna udać się prosto do naczelnika gminy, który dzięki wspomnianej pierwszej osobistości będzie o tym uprzedzony i natychmiast pośpieszy z pomocą.

— Dodał jeszcze, że może uda mu się zadzwonić znowu za dwa, trzy dni — zakończyła pani Helena relację z rozmowy.

— Będzie to wymagało z jego strony nadludzkiego poświęcenia — rzekł z ubolewaniem dziadek Klemens.

— Tato rzeczywiście ciężko pracuje... — poczuła się w obowiązku oświadczyć Mira.

— Naturalnie, kochanie, naturalnie — powiedziała szybko jej mama.

Przez otwarte drzwi od werandy wszedł Paweł. Mruknął coś pod nosem i nie patrząc w stronę siedzących przy stole zaczął przetrząsać szafkę.

Wyglądał, jakby wracał prosto z błotnej kąpieli. Dosłownie lepił się od gliny i mokrej ziemi. Jego drogę od drzwi znaczyły grube, tłuste ślady.

— Znowu ktoś ruszał moje filmy! — zezłościł się. — Były tu, o tu! Trzy, może nawet cztery. Niczego nie można przy was zostawić.

O! No... — odkrył leżące na wierzchu pudełeczko, westchnął, dając do zrozumienia, jak trudne jest życie człowieka osaczonego przez nieodpowiedzialną rodzinę, po czym bez zwłoki skierował się do wyjścia.

— Co to, to nie! — zawołała pani Helena.

Kiedy Paweł wyszedł z łazienki, do której udał się po wyczerpującej wymianie argumentów i kiedy po następnej wymianie argumentów zasiadł przy stole, dziadek Klemens powiedział: — Niedawno spytano tutaj, skąd przybywają kosmici. Żałowaliśmy wówczas, że cię nie ma, bo jesteś jedynym wśród nas znawcą przedmiotu.

Czy wobec tego teraz nie zechciałbyś nas oświecić? Co na temat rozumnych istot we wszechświecie mówi nauka?

Paweł, wciąż jeszcze naburmuszony, skrzywił się i burknął: — Trudno rozmawiać o tym z kimś, kto nigdy nie przeczytał żadnego dzieła poświęconego kosmosowi i nie zna nawet najprostszych teorii.

— A, to co innego — wycofał się dziadek. — Przepraszam — powiódł po obecnych skruszonym spojrzeniem, po czym rzekł: — Ja dzisiaj zostaję w domu. Wezmę najgrubsze dzieło o kosmosie, zaszyję się w kącie i nie wyjdę z niego, dopóki Urania, muza astronomii, nie szepnie mi do ucha: „Już!” A wy?

— Moje plany są ściśle związane z muzą patelni, jeśli taka istnieje — uśmiechnęła się pani Helena. — Zrobię naleśniki z serem, skoro na razie nie można niczego kupić.

Ojciec Łukasza zerknął niepewnie na syna.

— Prawdę mówiąc ja też nie mam ochoty chodzić po Górku — powiedział z wahaniem. — Ścisk, hałas... Jeśli wolno...

— Tato! — wykrzyknął Łukasz. Przypomniał sobie, że musi opowiedzieć ojcu o człowieku z krótkofalówką. Wczoraj, po wystąpieniu Alaudy, zupełnie wywietrzały mu z głowy wszystkie szpiegowskie afery. A dziś, kiedy się zbudził, od razu zaczął myśleć o czymś innym. — Tato! — powtórzył i umilkł. Jak to zrobić, żeby nie zdradzić się przed wszystkimi?...

Ojciec patrzył na niego chwilę wyczekująco, po czym doszedłszy do wniosku, że w tym wypadku „tato” nie oznaczało żadnego ważnego wezwania, zwrócił się ponownie do mamy Miry i Pawła.

— Jeśli wolno — podjął — dotrzymam pani towarzystwa. Umiem robić naleśniki.

Przepadło. W tej sytuacji nie sposób przecież spytać: „A czy tato przypadkiem nie wolałby mojego towarzystwa?” Trudno. Porozmawiają później.

— Dziękuję. Z naleśnikami poradzę sobie sama — oferta została odrzucona z ujmującym uśmiechem. — Na razie mam inny pomysł. Panie Rafale, znamy się już dosyć długo, będziemy razem przez całe wakacje, najwyższy czas, żebyśmy zaczęły mówić sobie po imieniu. Helena...

Mira i Paweł znieruchomieli. Ich brwi jednocześnie powędrowały do góry. Następnie wymienili znaczące spojrzenia.

— Znakomicie! — dziadek Klemens lekko klasnął w dłonie.

Ojciec Łukasza wstał, następnie usiadł znowu i z niezbyt mądrą miną zajrzał do swojej filiżanki, gdzie nie pozostało już ani kropli herbaty.

Wreszcie bąknął: „Rafał”, po czym nagle uśmiechnął się i powiedział: —

Wzywam na świadka mojego syna, że naleśników, które wyszły spod mojej ręki nie powstydziliby się kucharz na „Batorym”. Od dawna jestem za pan brat z fartuchem i rondlami — pochwyił spojrzenie „świadka” i jego twarz raptownie zmieniła wyraz. Ale nikt prócz Łukasza nie zwrócił na to uwagi.

— Wypróbujemy twoje talenty innym razem — obiecała pani Helena.

Paweł podniósł się z hałasem.

— Idę!

— Nie poczekaś na Mirę i Łukasza? — spytała mama. — Myślałam, że wybierzecie się we troje. Skoro „wapno” zostaje w domu...

— Dzisiaj nie mówi się już „wapno” — mruknęła Mira.

— A jak się mówi?

— Zlituj się, kobieto, po co ci to wiedzieć? — zawołał z przestraszeniem dziadek Klemens.

— I tak nie powiem — uspokoiła go wnuczka.

— Nie poczekam na nikogo — rzucił Paweł idąc ku drzwiom. — Mam coś do załatwienia. Nie w głowie mi szczeniackie figle — zapewnił i wyszedł.

— Zupełnie jakbym słyszał jego ojca — dziadek pokręcił głową. — I po kim oni to mają?

— Na pewno nie po mamie — Mira podniosła się również i z nagłym zainteresowaniem zaczęła szukać czegoś na suficie. — Zdaje się, że zostaliśmy we dwoje?

Upłynęła dobra chwila, zanim Łukasz zrozumiał, że to opatrzone pytajnikiem stwierdzenie padło pod jego adresem.

Mira prowadziła Łukasza nie znaną mu dotąd ścieżką, biegnącą do szosy nie prosto w górę, tylko skosem, przez zbocze. Pomiędzy właściwym Górkiem a przysiółkiem złożonym z trzech domów: państwa Piotrowiczów, wyżej gajowego i jeszcze trochę wyżej Kapelusznika, ciągnęła się tu nie zamieszкана przestrzeń, porośnięta drzewami i kępami wysokich krzewów. Był to niewątpliwie skrót, ale skrót zakazany. Idąc tędy trafiało się bowiem na rozległe zwałowisko elementów budowlanych, tworzące istny labirynt, gdzieniegdzie trzypiętrowy, pełen groźnych pułapek, ślepych uliczek i nagłych uskoków, grożących lekkomyślnym szperaczom połamaniem wszystkiego, co nadaje się do połamania, nie wyłączając karków. Zresztą szperacze nie mieli tu czego szukać. Nie były to przecież starożytnie ruiny, odwiedzane przez duchy dawnych rycerzy, zbójników czy krwawych kasztelanów. Całą tę kupę żelaza i cementu zwieziono kiedyś ogromnymi ciężarówkami, by wznieść na tym stoku kilka nowoczesnych ośrodków wczasowych. Zapomniano jednak zapytać przedtem o zgodę leśników, których opiece powierzony był ten teren, oraz urzędników, odpowiedzialnych za przestrzeganie przepisów o ochronie przyrody. A kiedy owi leśnicy i owi urzędnicy stanowczo zaprotestowali przeciw ośrodkom, zapomniano z kolei o przedwcześnie przywiezionych prefabrykacjach.

Tak państwu Piotrowiczom przedstawił historię zwałowiska gajowy, i tak teraz powtórzyła ją Łukaszowi Mira. Oczywiście po swojemu. Gdyby winowajcy mogli słyszeć choć część celnie dobranych słówek, które padły pod ich adresem, ani chybi pochorowaliby się ze wstydu. Kiedy skończyła, chłopiec pozwolił sobie nieśmiało napomknąć, że jej mama nie pozwalała tędy chodzić.

— Przecież jest biały dzień, droga jak stół, a po śmieciach i tak nie będę łązić. Mama przesadza. Ona się wszystkiego boi — zawyrokowała Mira tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Z bliska porzucone płyty, ściany i konstrukcje przedstawiały widok wysoce nieprzyjemny. Pod ich pokruszonymi krawędziami otwierały się gdzieniegdzie dziury

niby wrota jaskiń, ale spiętrzone wyżej bryły zdawały się czekać na pierwsze muśnięcie ręki ciekawskiego grotolaza, by runąć i przygnieść go całym swym ciężarem. Łukasz pomyślał, że jeśli nawet są rzeczy, których pani Heiena boi się na wyrost i niepotrzebnie, to to gruzowisko z pewnością do nich nie należy. Ale swoim zwyczajem nie powiedział tego na głos. W ogóle od wyjścia z domu odezwał się dotąd jeden jedyny raz.

„Droga jak stół”, czyli wąska, garbata ścieżynka, długo wiła się wśród zarośli, omijając wysunięte kanty betonowej przekładanki, po czym skręciła w górę. Szosą do centrum Górka było stąd najwyżej pięć minut marszu.

Dzisiaj mniej ludzi czuwało pod szkołą, a znacznie więcej kręciło się po drodze i najbliższych uliczkach.

Mira pociągnęła nosem.

— Śmierdzi — stwierdziła z obrzydzeniem.

Spostrzeżenie było nad wyraz trafne. Górek już wczoraj nie zdobyłby nagrody za czystość, a teraz przemienił się w istne śmietnisko. Wszystkie pośpiesznie sklecone budki i kioski pracowały już pełną parą. Od smażalni ryb zalaływało gorącym tłuszczem. Po przeciwnej stronie tablica z napisem „Placki ziemniaczane” zniknęła w obłokach burego dymu.

Dwa wózki z oszklonymi wytwórniami cukrowej waty pracowały bezwonną, ale sąsiadująca z nimi przyczepa kempingowa, w której wypiekano kruche rurki, buchała aromatyczną słodkością. Mniej więcej nad środkiem jezdni dołączała do niej mdły zapaszek „napoju firmowego” i obydwa razem biegły do miejsca, gdzie zderzały się z potężną falą spalenizny.

Winowajcą okazał się sprzedawca pieczonej kiełbasy. Ofiarą jego nieuwagi padała jednak nie sama kiełbasa, a dodawana do niej cebula, co znakomicie potęgowało efekt.

— Śmierdzi — odezwał się Łukasz niczym spóźnione echo, po czym namacawszy w kieszeni chudą portmonetkę, spytał z nadzieją w głosie: — Może chciałabyś coś zjeść?

Natychmiast połapał się, że tego rodzaju zaproszenie nie zostanie, jak piszą w gazetach, „przyjęte z zadowoleniem”. Mruknął w popłochu „kwiczol” i przygotował się na najgorsze.

— Ślicznie dziękuję — usłyszał. — Ja osobiście nie jestem amatorką takiej taniocy. — Ale jeśli ty masz ochotę, to nie krępuj się. Chętnie poczekam i powącham... Dzień dobry panu — Mira rozpromieniła się nagle ujrzawszy znajomą łysinę poszukiwacza domków letniskowych.

Łukasz odetchnął z ulgą.

— A, to wy — powiedział z roztargnieniem pan Kutynia. Wydawał się jeszcze bledszy niż wczoraj. — Dzień dobry. Przepraszam, śpieszę się...

— Załatwił pan coś z tymi braćmi? Nie...? Ojej... — zmartwiła się Mira widząc pełen rezygnacji gest pechowca, który wyraziwszy w ten sposób bezmiar swojego cierpienia zniknął za smażalnią. — On i tak nigdy nie będzie mieć takiego domu jak mój — zmieniła ton i wydeła wargi. — Tato wydał mnóstwo pieniędzy. Sam remont i urządzenie kosztowały tyle, że można by za to kupić dwa samochody.

Tato jak tato — pomyślał Łukasz ale, oczywiście, zachował to dla siebie.

— Co mówiłeś? — Mira ni stąd, ni zowąd zerknęła na niego z nagłym zainteresowaniem.

Chłopiec zląkł się nie na żarty.

— Ja? Kiedy? Nic nie mówiłem. Naprawdę.

— Coś powiedziałeś! — Mira nie była skłonna do łatwych ustępstw. — Jakieś jedno słówko, tylko nie dosłyszałam jakie. Na pewno powiedziałeś.

Zaraz potem, jak ci tu coś tak ładnie zapachniało.

— Przysięgam, że nic nie mówiłem — Łukasz zaklinał się zupełnie szczerze. Nie pamiętał, że wymruczał „kwiczoł”.

— Ee!

Szli dalej w milczeniu. Chłopiec zwiesił głowę. Był zadowolony, że dokoła panuje taki ruch i że brak odpowiedzi na ten ostatni okrzyk można złożyć na karb wszechobecnej wrzawy. Ludzie ciągle żywo komentowali wczorajsze kosmiczne wydarzenia, dzieląc się swoimi wrażeniami i domysłami. Nie przeszkadzało im to poruszać tematów bardziej przyziemnych, ściśle związanych z zawartością okolicznych bud, budek, wózków, przyczep, kramików, stoisk i kiosków.

Przed wyjazdem do szkoły, w pełnej gotowości bojowej stał samochód z napisem „Telewizja”. Obok niego czuwał reporter, który poprzedniego dnia przeprowadzał wywiady z członkami „sztabu”. Wczoraj ugrzązł w tłumie i nie zdążył na przystań, by sfilmować tajemniczą boję, przemawiającą głosem gwiazdowego Alaudy. Nauczony tym doświadczeniem zajął dzisiaj lepszą pozycję wyjściową. Jego niefortunnego rywala nie było w pobliżu.

W połowie drogi między szkołą a deptakiem odbiegającym od szosy ku przystani stał kiosk z pamiątkami. Ten był tu zawsze, ale nigdy nie cieszył się takim powodzeniem jak teraz. A to dlatego, że urzędująca w nim para zdążyła w porę umieścić za wystawowymi szybami zdumiewająco wielki wybór kolorowych śliczności, nawiązujących do ostatnich wypadków. Czego tam nie było! Plastikowe spodki i inne pojazdy międzyplanetarne, potworki, różniące się pomiędzy sobą głównie ilością palców, stacje kosmiczne, rakiety, teleskopy, sputniki, a także uzbrojone po zęby postacie z fantastycznych filmów i komiksów. Łukasz ocenił to bogactwo bez nadmiernego zainteresowania, po czym nagle zatrzymał się jak wryty.

Tuż za kioskiem umieszczono zbity z desek stół, na którym nie było nic.

Dosłownie nic. Niewidzialny towar oferował nie kto inny, jak Kapelusznik. A parę kroków za nim jego jasnowłose synalek rozmawiał przyciszonym głosem z Pawłem.

— Miro! — wykrzyknął Łukasz dając susa, żeby dogonić dziewczynę, która sztywno wyprostowana parła prosto przed siebie, nie oglądając się ani na artystyczno-kosmiczne pamiątki, ani na swojego towarzysza. — Miro!

Mira nie usłyszała albo ufała, że nie słyszy. Usłyszał za to Paweł.

Błyskawicznie przebiegł wzrokiem od Łukasza do siostry i z powrotem, a następnie szybko powiedział coś jasnowłosemu. Ten wzruszył ramionami i skrzywił się, ale kiwnął głową, jakby na znak, że ostatecznie, w drodze wyjątku, nie wyraża sprzeciwu. Paweł potrącając po drodze ludzi podbiegł do siostry i złapał ją za łokieć.

— Cóż to za zwyczaj! — fuknęła Mira wyszarpując rękę. — To ty?! Co tu robisz? Handlujesz rybami?

— Psst... — Paweł był poruszony i śmiertelnie poważny. — To tajemnica! Nikomu nie mówcie, żeście mnie widzieli.

Łukasz przystanął w bezpiecznej odległości i słuchał.

— Ty mi zabronisz! — zaśmiała się szyderczo Mira. — Jak będę miała ochotę, to powiem, a jak nie, to nie. Chyba że mi odkryjesz tę wielką tajemnicę... jeśli ci na tym zależy. Bo mnie wcale.

— Ty... — Paweł nabrał w płuca powietrza, po czym wypuścił je powoli i z przerwami, jakby naśladował psujący się właśnie zegar z kukułką.

— Słucham? Co „ty...”? Co? Idiotko? Potworze? Czy może najukochańsza siostrzyczko? No?

— Nie wygłupiaj się teraz — najukochańszy brat najukochańszej siostrzyczki robił, co mógł, żeby zapanować nad sobą. — Dobrze, powiem wam, ale jeśli komuś piśniece... Ja tu... a raczej my tu — wskazał oczami pusty stół, Kapelusznika i

Plujka — robimy fantastyczny interes. Wczoraj sfotografowałem to coś, co wypłynęło z jeziora i gadało, a ojciec Jacka — prawda, białowłosy miał na imię Jacek — zna kogoś, kto wywołuje zdjęcia. Spotkałem go rano w lesie... to jest, Jacka, kiedy szukał śladów. Miał ze sobą worek z gliną. Ten fotograf zrobi dzisiaj odbitki w formie widokówek i od jutra będziemy je sprzedawać razem z odciskami. Przystąpiłem do spółki. Będę się musiał podzielić, ale to nic. Zarobię i tak tyle, że sam kupię sobie komputer i dziesięć gier. Rozumiecie?

— Naturalnie — Mira zadarła podbródek i utkwiała wzrok w niebie. — Poszedłeś do lasu, porobiły ci się odciski, więc obłożyłeś sobie nogi gliną. Glina była, oczywiście, zielona, jak wszędzie tam, gdzie przedtem wykopie się choć trochę żwiru. Dlatego trzeba ją było nieść w worku, żeby nikt nie widział. Inaczej wzięliby cię za kosmitę. A teraz możecie już sprzedawać zdjęcia jeziora z pływającą butelką. Czy ty widzisz tu coś niejasnego? — rozłożyła ręce i spojrzała na Łukasza z wyrazem niewinnego zdziwienia.

Cios był podwójny, ponieważ przypominał o nieszczęsnej relacji z wypadków, jakie rozegrały się pierwszego wieczoru w wąwozie, ale w Łukaszu nagle obudził się jakiś czarodziejski ptak i szeroko rozpostarł skrzydła. Proszę. Najniespodziewaniej w świecie doczekał chwili, kiedy nie tylko przestał być ofiarą wspólnej zabawy rodzeństwa, ale zamienił się miejscami z jedną jego połową, zachęcony do tego przez połowę tysiakkroć piękniejszą.

— Nic. Absolutnie nic — przytaknął ochoczo. — Wszystko widać jak na stole... przepraszam, chciałem powiedzieć: na dłoni.

Mira wybuchnęła perlistym śmiechem. Twarz jej brata nabrzmiała i stała się czerwona. Mimo to, kiedy znowu mógł się odezwać, jego głos zabrzmiał prawie spokojnie.

— Jacek ze swoim ojcem szukają w lasach śladów pozostawionych przez kosmitów — mówił bardzo wyraźnie i dobitnie, jakby recytował tekst, którego przedtem musiał się nauczyć na pamięć. — Kiedy je znajdują, robią ich odciski. W tym celu noszą z sobą glinę, którą wykopują w dole powstałym po wybraniu żwiru. Potem, w domu, ostrożnie wypalają w piecu poszczególne kawałki, tak aby każdy z nich przedstawiał pojedynczy ślad. Spotkałem ich dziś rano. Opowiedzieli mi, co robią w lesie, a ja im opowiedziałem o moich zdjęciach. Założyliśmy spółkę. Pomogę im przy szukaniu i wypalaniu, a oni namówią znajomego fotografa, żeby z moich zdjęć robił widokówki. Takie widokówki i takie ślady będą iść jak woda. Wszyscy zbijemy grube pieniądze. Kupię sobie komputer. Czy tym razem wysłowiłem się dostatecznie logicznie? — odetchnął. Twarz miał ciągle czerwoną, ale poza tym był już na powrót sobą.

Bajkowy ptak w Łukaszu potulnie złożył skrzydła. Prawda. Kilka zagadek nagle przestało być zagadkami. Wtedy wieczorem Plujek z ojcem wracali z kolejnej wyprawy po ślady. Szukali ich tam, gdzie poprzedniego dnia coś się pokazało. Wiadomo już, dlaczego Kapelusznik wspominał o glinie, i co miał na myśli mówiąc: „Żyć przecież trzeba”. Miał na myśli pieniądze uzyskane ze sprzedaży tego, co interesowało wszystkich i co skrupulatnie badali naukowcy. Wiadomo, co kryło się za słowami grubego cudzoziemca, gdy biorąc Łukasza za syna Kapelusznika, napomynał o towarze i interesach. Wytropił jakimś psim śwędem dwójkę spryciarzy, zawarł z nimi znajomość, a nawet zrezygnował z apartamentu w pensjonacie „Rusałka”, by zamieszkać w ich domu i zapewnić sobie dzięki temu pierwszeństwo w zakupie bezcennych pamiątek. Pewnie. Kto by nie chciał mieć odcisku buta kosmity. A jeszcze lepiej ręki. Albo jakiegoś nie znanego na Ziemi przedmiotu, miotacza straszliwych promieni, narzędzi czy choćby naczyń, z których jada się na innych planetach. Takiego zagranicznego specjalistę od wielkich interesów na pewno stać na

kupienie od Kapelusznika po kilka egzemplarzy każdego śladu. Wróci do swojego kraju i będą o nim pisać wszystkie gazety. „Taki a taki, słynny właściciel fenomenalnej kolekcji...” Umieści swoje zbiory w pancernych gablotkach lub w skarbcu. A kiedy zechce je sprzedać, od razu stanie się miliarderem...

Łukasz utkwiał wzrok w czubkach własnych butów i myślał. Tak. Parę zagadek się wyjaśniło. Tylko że nie dotyczy to zagadek najważniejszych. W ogóle ważnych. A poza tym nie ma się z czego cieszyć.

Łatwo było naśmiewać się z Pawła razem z Mirą i u jej boku. Ale mimo wszystko należało się przez moment zastanowić, a nie z miejsca wpadać w cielecy zachwyty. Paweł był wzburzony i przejęty nie mniej niż Łukasz, kiedy pierwszego wieczoru tak bezładnie przedstawił słuchaczom to, co zobaczył z szosy, i to, co zdarzyło się w wąwozie. Wówczas ta sama Mira, na sygnał dany przez tego samego Pawła, wykpiła go bez litości. Czy rzeczywiście było to takie dowcipne i mądre? Przecież on, Łukasz, miał im wtedy do powiedzenia coś naprawdę ciekawego. W dodatku Paweł, znalazłszy się dzisiaj w podobnej sytuacji, wybrnął z niej bez porównania zgrabniej. Po prostu składnie i przejrzyście powtórzył swoją opowieść od początku do końca. Postąpił tak, jak tamtego wieczoru postąpiłby Łukasz, gdyby nie stracił głowy, jak zawsze, kiedy padał ofiarą czyjś zbyt dobrego humoru.

Jednak na to wszystko można by jeszcze machnąć ręką. Każdemu zdarzy się wygłupić, z każdego sobie czasem pożartują, raz mądrze, raz mniej mądrze, raz dłużej, raz krócej. Nikt od tego nie umiera. Ale tu chodzi o coś ważniejszego. Nie o to, jak Paweł opowiedział o swojej tajemnicy, tylko o to, co opowiedział.

Łukaszowi zrobiło się przykro. Nie podobały mu się najświeższe znajomości brata Miry, spółka, do której przystąpił, ani sposób, w jaki chciał zdobyć pieniądze na kupno własnego komputera. Przecież z tych śladów można by się dowiedzieć tylu pasjonujących rzeczy o kosmitach. Wszyscy mogliby się dowiedzieć. Sprzedawać je? Handlować nimi? To trochę tak, jakby się brało pieniądze za to, że ktoś wieczorem popatrzy w gwiazdy. Kto jak kto, ale wnuk takiego pana Klemensa i syn takiej pani Heleny, naprawdę powinien to rozumieć.

Chwilę później Łukaszowi zrobiło się jeszcze bardziej przykro.

— Widzicie teraz, że to rzeczywiście tajemnica — Paweł nie był już nawet zaróżowiony. — Oczywiście — zniżył głos — ani ojciec Jacka, ani fotograf nie mają pozwolenia na sprzedawanie pocztówek czy odcisków. Więc gdyby się to rozniosło...

Mira od pewnego czasu przyglądała się bratu z rosnącym zainteresowaniem. Najwyraźniej przeszła jej ochota do kpinek. Doraźne przymierze z Łukaszem należało do przeszłości.

— Dobrze, nie powiem — rzekła poważnie. — Ale pod warunkiem. Dostanę od ciebie po jednym z każdego śladu, który wypalicie w tym waszym piecu. Jasne?

Paweł wydał wargi.

— Postaram się — przybrał łaskawy ton. Zupełnie nie miał pretensji do siostry o jej praktyczne podejście do sprawy. — Ale nie mogę niczego obiecać — zastrzegł się. — Chyba zdajesz sobie sprawę, że to są bardzo cenne rzeczy.

— Mam nadzieję, że się postarasz — powiedziała znacząco Mira. — Inaczej... — nie dokończyła, ale było aż nazbyt oczywiste, co spotka jej brata w wypadku, gdyby starał się nie dość gorliwie. Po tym pełnym treści niedomówieniu odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie. Łukasz, omijając wzrokiem Pawła, poczłapał za nią.

Dogadali się — pomyślał ze smutkiem. Paweł to Paweł, trudno. Ale ona? Kapelusznik, Plujek i Mira? Nie. Tylko nie to. Przecież w gruncie rzeczy ona jest inna. Musi być inna.

Niestety na razie fakt pozostawał faktem. Dogadali się. Przy tym nie przyszło im nawet do głowy, że nie są sami. Jakby Łukasz w ogóle nie istniał. Pewnie. Nudziarz,

ponurak i łajza nie jest kimś, z kim trzeba by się liczyć. Nawet jeśli coś wypaple, to robi to ni w pięć, ni w dziewięć i nikt nie potraktuje go serio. A brać go pod uwagę jako ewentualnego konkurenta? Śmieszne!

Mira, która wyprzedziła go już o ładnych kilka metrów, raptem zwolniła.

— Nie martw się — powiedziała przez ramię. — Wezmę od Pawła kilka odcisków także dla ciebie.

A jednak.

— Nie trzeba — bąknął Łukasz.

— Jak nie, to nie!

Chłopiec zmarkotniał do reszty. Nie, to nie — powtórzył sobie w duchu. Tym lepiej — dodał bez przekonania, po czym postanowił dogonić Mirę, żeby nie musiała się męczyć i odwracać, ilekroć przyjdzie jej ochota szepnąć mu jakieś miłe słówko.

Wykonał swój zamiar szybciej niż sądził. Płynnym unikami wyminął dwóch snujących się przed nim ludzi, a na trzeciego wpadł z całym impetem rozpędzonego, długiego ciała. Uderzył go barkiem, zachwiał się i próbując odzyskać równowagę następny odcinek drogi przebył w pozycji szarżującego byka, wymachując rękami tuż nad asfaltem. Niestety, o ile jego głowa i ramiona były wysunięte daleko do przodu, o tyle nogi pozostały równie daleko z tyłu. W takich okolicznościach nie zahamowałby żaden as gimnastyki sportowej. Toteż ułamek sekundy później pochylone czoło Łukasza ugodziło w sam środek pleców kroczącej w dumnej postawie Miry. Rozległy się trzy specyficzne odgłosy, po których nastąpiła seria wykrzykników.

— Baran!

— Do licha!

— Kwiczół!

— Baran! Puszczaj, słyszysz?! No, puszczaj!

Łukasz uwolnił dziewczęcą stopę, której nie wiedzieć po co uczepił się kurczowo w trakcie lądowania. Czy ja tu stale będę ryc nosem, codziennie po kilka razy? — pomyślał z rozpaczą. Zerwał się i wyciągnął rękę, ale jego ofiara stała już przed nim.

— Baran! Skończony baran!

Kwiczół — tym razem słówko to zabrzmiało wyłącznie w skołowanej głowie Łukasza.

— Potłukłam sobie kolana!

— Przyrzekłem, że nie będę cię więcej przewracać, ale liczyłem na twoją wzajemność — odezwał się z tyłu zdyszany męski głos. — Widzę jednak, że się przeliczyłem. Nikomu nie można ufać.

Chłopiec odwrócił się i jęknął w duchu. No, oczywiście. Mógł z góry przewidzieć, że jeśli w tym kłębiącym się tłumie na kogoś wpadnie, to tym kimś będzie podejrzany typ bez legitymacji.

— Przepraszam — wykrztusił. — Przepraszam — powtórzył zwracając się do Miry.

— Przepraszam! — parsknęła dziewczyna. — Co pan powiedział? — zainteresowała się nagle. — To wy tak ciągle?

— Ciągle — przytaknął zagadnięty. — Krótkie dzieje naszej znajomości sprowadzają się wyłącznie do upadków. Teraz wyrównaliśmy nasze rachunki, ale obawiam się, że ten stan długo nie potrwa.

— Co to znaczy?

— Ten pan... — zaczął szybko Łukasz, ale zawałidroga równie szybko wpadł mu w słowo.

— Ten pan — uderzył się palcem w pierś — stał sobie spokojnie i patrzył ze wzruszeniem, jak niektórzy ludzie potrafią współczuć innym — palec zmienił położenie. — W takim momencie został znienacka napadnięty i stratowany. Spójrz na



swojego przyjaciela... albo może waszego wspólnego przyjaciela — uśmiechnął się pytająco do Łukasza — i sam powiedz, czy to nie rozczulający widok...

Chłopiec odruchowo zerknął we wskazanym kierunku. Na ławeczce ustawionej w sąsiedztwie pawilonu widniała zwałista sylwetka łysego obcokrajowca. Grubas ze smutnym wyrazem twarzy słuchał tego, co mówił do niego mąż kobiety cierpiącej na nieuleczalną chorobę. Obok ławki stał wózek z nieruchomą sylwetką.

Łukasz skrzywił się. Też sobie znaleźli powiernika.

— Powiedziałem panu, że to nie jest mój przyjaciel ani nawet znajomy — rzekł rozdrażniony. — A Mira widzi go w ogóle pierwszy raz w życiu. Miro, ten pan... — zaczął powtórnie i powtórnie przzerwano mu w tym samym miejscu.

— Ten pan — mężczyzna znowu zwrócił palec ku sobie — stał tutaj, jako się rzekło, patrzył i rozmyślał o kwestiach wyższej natury. Ale nie miał zatkanego uszu. A obok niego trzy młode, sympatyczne osobki dzieliły się ze sobą swoimi sekretami. Na szczęście szept, jakiego używały, nosi fachową nazwę szeptu scenicznego i polega na tym, że słyhać go w najdalszych rzędach wielkiej sali teatralnej. Mówię „na szczęście”, bo inaczej temu zamyślonemu panu umknęłyby zdumiewające wiadomości.

— Pan chce powiedzieć, że pan podsłuchiwał — Mira użyła tonu, którym srogi prokurator mógłby się domagać wyroku śmierci. — To obrzydliwe.

— Obrzydliwe — zgodził się mężczyzna. — Cóż, trudno. Stało się.

— Phi!

Ale czoło Łukasza pokryło się zimnym potem. Ten typ jest stanowczo zbyt niebezpieczny. Nie można długo uciekać przed milicją. W końcu go capną, a wtedy on, ratując własną skórę...

Co gorsza sam jest wszystkiemu winien. Kto tak chytrze skierował tego człowieka na trop Grubasa, Kapelusznika i ich interesów? Chciał odwrócić jego uwagę od siebie. Jaki był dumny, że mu się to udało! Udało się, a jakże. Gdyby ten typ nie śledził obcokrajowca, nie byłoby go tutaj i nie mógłby podsłuchać opowieści Pawła. A tak?

Szatański plan nagle obrócił się przeciwko jego twórcy. Teraz przecież od Grubasa i Kapelusznika droga prowadzi prosto do Pawła, a od Pawła... do... Nie, nie.

Dość tego. Na poczekaniu nie wytrząśnie się z rękawa nowego, jeszcze bardziej szatańskiego planu. A czas biegnie. Trzeba zaryzykować.

— Chwileczkę — zaczął. — Dopiero co pan powiedział, że jesteśmy kwita.

— Jeśli chodzi o przewracanie — mężczyzna skinął głową.

— Właśnie — Łukasz ukradkiem otarł pot z czoła. — Ale możemy i być kwita także, jeśli chodzi o... No, o inne sprawy. Bo... proszę pana, ja wiem, kim pan jest!

— Naprawdę?

— Naprawdę. Pan nie ma żadnej legitymacji i ukrywa się pan przed milicją.

— Ja stąd idę — oświadczyła dobitnie Mira odwracając się plecami. — Ścisk, smród i pełno zakazanych typów. Do widzenia panom! — z wdziękiem zamachała ręką i ruszyła w drogę. Dziwna rzecz. Zrobiła to bardzo zdecydowanie, a mimo to na nikogo nie wpadła.

— Poczekaj sekundkę! — zawołał gorączkowo Łukasz, ale dziewczyna była już daleko. — Proszę pana — zwrócił się znowu do mężczyzny, który stał spokojnie i patrzył na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy. — Widzi pan, że wiem. Ja coś wiem i pan coś wie. Ja nikomu nie powiem i pan niech nikomu nie mówi. Znowu będziemy kwita. A jeśli pan mi da wasze złodziejskie słowo honoru, że nie zdradzi Pawła, to opowiem panu jeszcze o szpiegu. Tu, w Górku. Z brodą i krótkofalówką. No?

— Dlaczego, u licha, mam ci dawać złodziejskie słowo honoru?

- A jakie? — stropił się Łukasz.  
— Uważasz, że złodzieje są tacy honorowi?  
— Podobno... Przynajmniej niektórzy. Czytałem.  
— Aha. Czytałeś. No tak, to zmienia postać rzeczy.  
— No więc jak? Zgadza się pan?  
— Nie.  
— Dlaczego nie?

Mężczyzna pochylił się tak, że jego wargi omal nie dotknęły ucha zgnębnionego odkrywcy tylu naraz tajemnic.

— Ponieważ ja też chcę mieć pamiątki po kosmitach — szepnął. — Jeśli będziecie się mnie bać, to mi kilka odstąpicie. Nie załamuj się — musiał zauważyć, że chłopca ogarnia najczarniejsza rozpacz, bo przemówił łagodniej. — Cóż znaczy dla potężnej spółki ofiarować komuś parę drobiazgów... w zamian za dyskrecję. Załatwisz to bez trudu. Przyjdź jutro i przynieś mi coś na próbę. Nie mogę długo czekać. Kto wie, czy nie będę musiał nagle uciekać. Do jutra, kolego! — uśmiechnął się beztrudnie. — Teraz biegnij już, bo to nieładnie porzucać kobiety na środku drogi.

Łukasz nie kazał sobie tego powtarzać. Ostatnie słowa nieznanego, a właściwie już jakby znajomego, przestępcy nieco go uspokoiły. Może Kapelusznik naprawdę nie będzie robić wielkich historii z odstąpieniem trzech czy czterech śladów, jeśli usłyszy, że to jedyny sposób, by nie znaleźć się za kratkami.

Dogonił Mirę i chwilę szedł obok niej zastanawiając się, co i jak jej powiedzieć. Coś powiedzieć musi. I to coś tak czy owak bardzo nieprzyjemnego.

Uspokoił się trochę, ale nie był z siebie zadowolony. Paweł wszedł w paskudną spółkę z Kapelusznikiem i Plujkiem. A on sam? On zaproponował swego rodzaju spółkę ukrywającemu się przed milicją kryminaliście. Bo czymże innym była w gruncie rzeczy taka umowa: „Ja nie powiem i pan nie powie”? Pięknie, nie ma co.

Pewnie. Nie postąpiłby tak, gdyby nie chodziło o Mirę. Ale mimo wszystko...

— Masz interesujące znajomości — przerwała milczenie nieświadoma sprawczyni jego upadku. Skręciła na chodnik prowadzący do przystani i zatrzymała się nagle. — Wiesz co, idź lepiej przodem. Nie wiadomo, czy jeszcze kogoś nie spotkasz, a ja nie chciałabym więcej służyć za tarczę rozpedzonemu bykowi.

Bykowi — przemknęło Łukaszowi przez głowę. Ha! Lepszy byk niż baran.

Jednak okoliczności nie pozwalały na dłuższe rozważania dotyczące hierarchii obowiązującej w rodzinie rogaczy.

— Mówiłaś przedtem — rozpoczął — że poprosisz Pawła o kilka odcisków także dla mnie. Mówiłaś...

— A ty mówiłaś, że nie potrzebujesz — przerwała Mira. — Potem ja mówiłam, że jak nie, to nie.

— Ale teraz potrzebuję.

— Dla tego szantażysty?

— Uhm... Nie. Czy to nie wszystko jedno?

— W takim razie sam to powiedz Pawłowi. Niby dlaczego ja miałabym się wysługiwać twoim przyjaciołom.

— Przyjaciołom! — Łukasz aż podskoczył. Jednak natychmiast ochłonął i zasepił się. Właściwie ona ma rację — pomyślał. — Gra może stać się niebezpieczna, gdyby na przykład Kapelusznik doszedł do wniosku, że człowieka ukrywającego się przed milicją można spokojnie usunąć z drogi metodami przyjętymi w świecie wielkich gangsterów i wielkich interesów. A potem przyszłaby kolej na niewygodnych wspólników. Ojciec Plujka jest na pewno zdolny do wszystkiego. Nie będzie zadowolony, że Paweł naraził go na straty. Tak. Ona ma rację... Choć nie wie dlaczego.

No to niech nie wie. Lepiej jej do tego nie mieszać.

— Dobrze — mruknął. — Powiem.

— Dziwny jesteś — Mira musnęła go przelotnym spojrzeniem, po czym wzruszyła po swojemu ramionami, odwróciła się i zamarła.

Tym razem huknęło nie na jeziorze, a gdzieś wśród zboczy opadających do brzegu. Zza drzew rosnących na wzgórzu wzbił się w niebo nikły obłoczek białego dymu. Jednak głos, który się odezwał, dobiegał z miejsca położonego znacznie bliżej. Skąd? Niesamowite. Gdziekolwiek spojrzeć, wydawało się, że mówiący stoi właśnie tam. Jakby było tych mówiących tysiąc i jakby otoczyli cały Górek regularnym pierścieniem.

— Tu Alauda z Planety Tsieciej. Tu Alauda z Planety Tsieciej — w dłoń Łukasza niespodziewanie wcisnęła się inna rączka, o drobnych, smukłych palcach. Przez chwilę chłopiec nie wiedział, czy myśleć o kosmitach, czy o stojącej obok niego rodaczce z planety Ziemia, ale na ten raz, kosmici wzięli górę. Ostatecznie, rodaczki nie odlatują tak łatwo do gwiazd. — Psiziekliśmy, zie się odezwiemy, więc jestem — dzisiaj ludzie nie pędzili w stronę przystani, tylko skamienieli w bezruchu, każdy tam, gdzie stał. Głos, dobiegający ze wszystkich kierunków naraz, był doskonale słyszalny w całym Górk. — Chcemy poznać zicie Ziemi. Może będziemy mogli się z wami zapsijażnić, ale psiedtem musimy lepiej poznać ludzki świat — mówił dalej Alauda. — W tym celu wysłaliśmy w różne strony aparaty badawcze. Na razie dostajemy od nich bardzo dziwne informacje. Wydaje nam się niemożliwe, zieby rozumne istoty, zamieszkujące jedną i tę samą planetę były aż tak podzielone i zieby odnosiły się nawzajem do siebie tak wrogo. Są jeście inne zagadki, budzące niepokój. Nasię badania trwają. Pozdrawiam was, ludzie. Tu Alauda z Planety Tsieciej.

Niebawem usłyszcie mnie znowu.

Rozległ się zgrzyt, trzask, po czym nastąpiła cisza. Więcej niż cisza.

Gdyby na szczycie stożkowej wyspy pośrodku jeziora usiadła mucha, ludziom wydałoby się, że uderzył piorun.

Ale ten martwy bezruch nie trwał długo. Zabrział przeciągły szmer.

Z kilku setek piersi jednocześnie wyrwało się ciężkie westchnienie. Następnie jakiś zdławiony głos zawołał: — Najpierw strzeliło zaraz za najbliższą górką! Widziałem! Musieli tam być! Może jeszcze są! Biegnijmy!

Coś szarpnęło Łukasza za rękę, ale on pozostał na miejscu. Westchnął jak wszyscy, jednak nie uległ powszechnemu szaleństwu. Znowu lecą na jakąś górkę — pomyślał niechętnie. Tylko po to, żeby znowu niczego nie znaleźć. Przecież ten huk, to był tylko sygnał, że Alauda będzie przemawiać. Wystrzelili ślepym nabojem albo wysłali jakiś aparat.

Dlaczego nikt w tym tłumie, który gna teraz nie wiadomo dokąd i po co, nie zastanowi się raczej nad tym, co usłyszał? Niby każde dziecko wie, że ludzie się kłóca, biją i zabijają. Ale usłyszeć to tutaj, tak nagle, od obcych? Teraz, kiedy człowiek spodziewa się po nich kosmicznych rewelacji, wiadomości o rzeczach, które dotąd nikomu na Ziemi nie mogły się nawet przyśnić?

— Noo! — zabrzmiał tuż koło niego zirytowany głosik. Równocześnie znowu coś szarpnęło go za rękę. Zamrugnął oczami, spojrzął nieprzytomnie na Mirę, zrobił machinalnie kilka kroków i zatrzymał się ponownie.

— Dlaczego stoisz? Wszyscy są już daleko!

Chłopiec przemógł się i powiedział, że jego zdaniem nie ma się do czego śpieszyć.

— Mówisz jak dziadek — zauważyła Mira. W jej ustach nie musiało to oznaczać najwyższego uznania, ale zabrzmiało zupełnie inaczej niż „baran” lub choćby ich ukochane, rodzinne „ee!”. Poza tym wzmianka o dziadku otworzyła jakąś kłapkę w mózgu Łukasza. Nagle zrozumiał, dlaczego przed chwilą oparł się wezwaniu tego

człowieka, który pierwszy zawołał, żeby lecieć na najbliższą górkę. Przemówiło w nim echo wczorajszych słów pana Klemensa. O tłumie, o owczym pędzie, o rozsądku. Myśl o świecie, ludziach i kosmitach przyszła dopiero później.

Nie wiadomo, czy Mira także przypomniła sobie nagle, co mówił dziadek, czy też wystarczyły jej argumenty wysunięte przez Łukasza.

W każdym razie przestała popędzać swojego towarzysza. Wyprostowała się i odprowadzała wzrokiem tłum znikający pomiędzy zielonymi pagórkami. Dzisiaj łowcy spodków nie mieli przed sobą zbyt długiej i wyczerpującej drogi. Wczorajsze „Wzgórze Kosmitów” znajdowało się po przeciwnej stronie Górka i leżało bez porównania dalej.

— Właściwie masz rację — powiedziała z namysłem. — A oni pognali tam jak barany.

Proszę. „Oni”.

Mimo wszystko ruszyli w stronę tego wierzchołka, zza którego Alauda zapowiedział swoje nowe wystąpienie. Szli jednak powoli i nie na przełaj. Najpierw dotarli chodnikiem do przystani, a dopiero potem skręcili na dróżkę biegnącą wzdłuż plaży. Dłuższy czas żadne z nich nie odezwało się słówkiem. Łukaszowi ciągle huczał w głowie głos przybysza z gwiazd.

„Jesteście skłócenii. Niemożliwe, aby rozumne istoty, zamieszkujące jedną planetę...”

Ciekawe, czego jeszcze dowiedzą się od tych swoich aparatów badawczych, rozsyłanych po całym świecie...

— Widzisz? Już wracają! — zawołała z satysfakcją Mira.

Chłopiec podniósł głowę. Rzeczywiście, na drodze, dróżkach i ścieżkach, a także na miedzach, widać było rozproszone grupki ludzi, którzy wyruszyli by złapać kosmitów na gorącym uczynku. Nikt nie zmierzał w stronę przystani, wszyscy kierowali się ku szosie. Chcieli pewnie szybko dotrzeć do szkoły i dowiedzieć się, co pracującemu w niej „sztabowi” wiadomo o najnowszych wydarzeniach. Wprawdzie dziś czerwone i zielone auta pozostały na swoich miejscach, a tłumowi towarzyszył jedynie samochód telewizji, ale przecież bawiący w Górku specjaliści musieli mieć posterunki obserwacyjne, które przekazywały im informacje telefonicznie albo przez radio.

Dochodziło południe. Słońce świeciło ostro ze szczytu nieba i zapach bliskiej wody, po wszystkich innych zapachach, których się tak niedawno nawąchali, stanowił pokusę nie do przezwyciężenia. Łukasz, ciągle zamyślony, zaczął bezwiednie zwalniać. Mimo to Mira nie wyprzedziła go ani o krok. Nagle stanęła.

— Gorąco — sapnęła, po czym paroma zgrabnymi ruchami pozbyła się dzinsów i błękitnej bluzeczki. Pod nimi miała jednoczęściowy kostium, o jeden ton jaśniejszy od bluzki, jeszcze ładniej kontrastujący z jej śniadą buzią i opalonymi ramionami. — Poczekaj — krzyknęła zbiegając do brzegu. Wpadła w wodę i roztrzając ją jak dziób łodzi, długimi krokami maszerowała przez płycznę. Dotarła wreszcie do głębszego miejsca, zanurzyła się i zaczęła pływać.

Na szczęście Łukasz też miał na sobie kąpielówki. I to nowiutkie, granatowo-bordowe z białymi wypustkami i białym paseczkiem. Ojciec kupił mu je w Krakowie dzień przed wyjazdem. Stare, które dostał jeszcze od mamy, okazały się już przyciasne.

Woda była cudowna, nie zimna i nie za ciepła, czysta jak kryształ.

Nie tylko spłukiwała z człowieka upał, pot i kurz, lecz także jakby obmywała go od wewnątrz. Topiła duże i małe troski. Po raz pierwszy, odkąd w klasie zabrzmiał dzwonek po ostatniej lekcji, Łukasz poczuł, że są wakacje.

Kiedy wyszedł na brzeg. Mira z odchyłoną do tyłu główką roztrzepywała

zmoczone koniuszki włosów. Zmierzyła krytycznym spojrzeniem zbliżającą się do niej długą, kościstą postać, ale nic nie powiedziała. Po chwili podniosła bluzeczkę i dzinsy i wymachując nimi jak chorągiewkami wróciła na ścieżkę. Chłopiec zatrzymał się na moment, podążając oczami za zgrabną sylwetką w pociemniałym od wody kostiumie. Wspaniała kąpiel nie straciła jeszcze swojej czarodziejskiej mocy. Uśmiechnął się, porwał ubranie i w paru susach dopędził swoją towarzyszkę.

Przybrzeżną dróżkę zagroziła stercząca z jeziora stromizna niby olbrzymia zjeżdżalnia, zbudowana specjalnie dla śmiałków, którzy zapragnęliby wpadać do wody dopiero po nabraniu straszliwej szybkości.

Ostatni poszukiwacze opuścili już tę okolicę. Od strony Górka dobiegał głuchy gwar, ale tutaj nie było żywej duszy.

Mira bez wahania skręciła na dróżkę prowadzącą do niskiego siodełka między dwoma najbliższymi wzgórzami. Jakiś czas wspinali się noga za nogą skrajem łąki, po czym weszli między rzadko rosnące sosny. Minęli siodełko i chwilę później zobaczyli przed sobą okrągłą dolinkę, otoczoną ze wszystkich stron zalesionymi kopcami. Dziewczyna zatrzymała się.

— To musiało być tutaj — mruknęła jakby do siebie.

A więc przyprowadziła Łukasza w miejsce, z którego kosmici prawdopodobnie wystrzelili tę swoją petardę, na znak, że będą mówić.

— Skąd wiesz?

Mira wzruszyła ramionami.

— Znam tu każdy kąt. Na lewo jest jezioro, dalej tylko lasy, a na prawo szosa. Po cóż mieliby się przedzierać przez chaszczę. A znad jeziora czy z drogi musiano by ich zobaczyć. Przecież Górek jest tuż...

Łukasz rozejrzał się ciekawie. Te drzewa, ta trawa, te ożyny tworzące kolczastą zaporę przed ścianą lasu widziały tak niedawno istoty z gwiazd.

Przymknął oczy i próbował wyobrazić sobie, jak to było. Pusto. Nagle ukazuje się jakaś postać. Może dwie postacie. Zielone twarze, skośne oczy... Niosą dziwnego kształtu przedmiot. Skierowują go w górę. Pada strzał.

A może rzeczywiście wysłali tylko ze swojej kryjówki mały aparat, który sam wybrał to ustronie i w odpowiednim momencie narobił hałasu?

Już ziemskie roboty i automaty potrafią bardzo wiele, a co dopiero maszyny budowane przez kosmitów. Swoją drogą, gdzie oni mają tę kryjówkę? Pod wodą? W jakiejś nieznannej nikomu jaskini? W lasach? No, dziewiczej puszczy tutaj nie ma. Czyżby potrafili stawać się niewidzialni?

— Baran!

Łukaszowi błyskawicznie uciekły z głowy tajemnice kosmitów. Czego ona znowu ode mnie chce? Stoję spokojnie w miejscu, nie odzywam się...

Spojrzał z ukosa na Mirę. Ta jednak nie zdradzała objawów rozdrażnienia. Przeciwnie, wyglądała na zamyśloną. Rzuciła ubranie na trawę i obojętnie błędziła oczami po malowniczej dolince.

— Dwa barany... — wymruczała.

To już przesada! — zbuntował się w duchu chłopiec. Nagle usłyszał tępy odgłos, jakby ktoś uderzył w ziemię drewnianym młotkiem. Źródło tego dźwięku znajdowało się gdzieś blisko. Ale tu przecież nikogo nie ma.

Odruchowo pobiegł wzrokiem tam, gdzie patrzyła Mira, i westchnął trochę z ulgą, a trochę z rozczarowaniem. Powyżej jeżyn, w cieniu, pasły się dwa barany, biały i czarny. Jeden z nich tupnął widać kopytkiem.

Mira rozejrzała się wokół siebie, wybrała odpowiednią kępę trawy i usiadła.

— Czy nie powinniśmy już wracać? — spytał nieśmiało Łukasz sadowiac się obok niej. — Twoja mama będzie czekać z obiadem...

— Nie pali się. I tak wszyscy będziemy czekać na Pawła. Jak go znam, nie pokaże się przed podwieczorkiem.

Chłopiec powstrzymał kolejne westchnienie i umilkł. Zatem przed podwieczorkiem będzie musiał porozmawiać z Pawłem. Albo pójść wprost do Kapelusznika.

Kątem oka pochwycił ruch między drzewami. A ponieważ myślał właśnie o niebezpiecznych sprawach i niebezpiecznych ludziach, zachował się niczym bohater westernu. Nie spojrzał wprost w podejrzone miejsce, tylko zrobił obojętną minę, a nawet uśmiechnął się do bielejącej w trawie okazałej purchawki, po czym zaczął zezować tak, że natychmiast stanęły mu łzy w oczach. Ale nie przeszkodziły mu dostrzec zaczajonej w cieniu postaci człowieka. Mężczyzny.

Nieznajomy patrzył prosto w ich stronę. Czy przyszedł tutaj przypadkiem? Gdyby tak było, nie chowałby się pod drzewami na widok dwojga młodych wczasowiczów najspokojniej wygrzewających się w promieniach słońca.

Łukasz podniósł się ospale i niedbałymi ruchami wciągnął dżinsy.

Bohaterowie westernów stają czasem do śmiertelnego boju bez koszuli, ale nigdy bez spodni. W trakcie tej czynności, wciąż psując sobie wzrok, spostrzegł, że tajemnicza postać opuściła swoją kryjówkę i trzymając się brzegu lasu idzie powoli w kierunku pasących się baranów. I w tym samym momencie przestała być dla Łukasza tajemniczą. Poznał szantażystę. Człowieka bez legitymacji.

— Udawaj, że nigdy nic i nie patrz tam — ostrzegł Mirę nie przestając darzyć uśmiechem nieczułej purchawki.

— Co takiego?

— Nie–patrz–tam–skąd–przysz–liś–my — wyskandował szeptem.

Niestety, kobiety rzadko bywają bohaterkami westernów, a jeśli się w nich pojawiają, to tylko po to, żeby mężczyźni mogli w ich obronie walczyć z nieprzeliczonymi bandami opryszków. Mira niezwłocznie wlepiła wzrok w zakazane miejsce.

— Odwróć się!

— Zwariowałaś? Niczego nie... A, widzę! — odkryła intruza i prychnęła lekceważąco. — To ten twój znajomy! Czego on tu szuka?

— Pewnie nas — powiedział ponuro chłopiec. — Nie patrz na niego — powtórzył.

O ile jednak jego pierwsze ostrzeżenie zostało puszczone mimo uszu za sprawą bliżej nieokreślonych cech kobiecego charakteru, o tyle drugie nie mogło być wzięte pod uwagę z powodów zgoła konkretnych. W tej chwili bowiem na zboczu cichej polanki zaczęły się dziać zdumiewające rzeczy.

Spod lasu dobiegła cała seria odgłosów podobnych do tego, który w pierwszej chwili Łukasz porównał w myśli do uderzenia młotka o ziemię. Wtedy był to jednak pojedynczy dźwięk. Teraz następowały po sobie coraz szybciej, aż zwały się w drobnutki werbel. Biały baran zbiegał po stoku prosto w kolczastą zaporę, jaką stanowiły zrosnięte ze sobą krzaki jeżyn. W jego ruchach było coś bardzo dziwnego. Coś, chciałoby się rzec, absolutnie niebaraniego. Biegł z każdą sekundą szybciej i cudacniej. Właściwie nie był to już bieg, a spadanie. Nie chciało się wierzyć własnym oczom, ale nie ulegało wątpliwości, że nieszczęsny stwór po prostu nie może się zatrzymać. Przednie nogi zwijały się pod nim w trąbki i choć usiłował nimi przebierać, to jednak przebieranie trąbkami żadnemu stworzeniu nie jest w stanie zapewnić pożądanej równowagi. Tylne nogi wlokły się po ziemi jak dwa sparaliżowane ogony. Jeszcze moment i powietrze przeszył złowrogi trzask rozrywanych gałązek, któremu towarzyszył głośny, przepojony strachem i bólem okrzyk:

— Uuuu! Aaaa! O rany!

Widząc co się dzieje, drugi baran stanął słupka. Łukasz, oczywiście, wiedział, że słupka stają nie barany, tylko zajęce. Co z tego, skoro nie wiedział o tym sam zainteresowany.

— Auuu! — rozbrzmiewało bez przerwy w krzakach.

— Me-e-e-e!... — powiedział z gorączkowym pośpiechem czarny, wracając do pozycji horyzontalnej, to znaczy opadając z powrotem na przednie nogi.

— Uuuu! Aaaa! Na pomoc!

To nie są zwierzęta! — odkrycie tej prawdy wzbudziło u chłopca dreszcz emocji. Kosmici! Przebrani kosmici!

Zaraz. Kosmici? W baraniej skórze? To dlaczego jeden meczy jak czysto ziemską koza, a drugi wrzeszczy po ludzku: „o rany”!

— Ratunku! Uuuu!

— Me-e-c-e-e... — czarny baran zaczął ostrożnie schodzić w stronę kolczastej pułapki, która pochłoneła jego towarzysza. — Me-e-e-e-e... — płacz kozy brzmiał coraz natarczywiej. Odzywało się w nim żywe niezadowolenie, nagana i gniewny wyrzut.

— Czarny baranie! — zawołał męski głos z góry. — Gdzieś ty bywał, żeś zapomniał rodzinnej mowy? A może coś ci się pomyliło?

Zwierz ponownie stanął słupka. Przez chwilę trwał nieruchomo, po czym machnął przednią nóżką i z desperacją zrzucił z siebie kosmatą głowę ozdobioną rogami. Oczom widzów ukazała się złana potem i przeraźliwie czerwona twarz dziennikarza, tego samego, któremu wczoraj nie udał się okrutny podstęp, a raczej, który nie zdążył zebrać owoców owego podstępu.

— Auuu! Chodźcie tutaj! Na pomoc!

— Nic mi się nie pomyliło — dziennikarz spojrział z niesmakiem w stronę, z której dobiegało rozpaczliwe wezwanie, po czym kopnął z rozmachem swój barani czerep i zaczął się mozolnie uwalniać z dolnej części futra. — Zresztą, niech będzie, pomyliło się — przyznał po namyśle. — Zapomniałem chwilowo, że jestem baranem, a nie kozłem. — Pan by się nic pomylił w tej sytuacji? Musiałem jakoś przestrzec tego zwariowanego ufologa, żeby nie wrzeszczał, bo nas zdradzi. Łamaga! Nie umie się utrzymać na czterech nogach, a na dwóch chciałby dopaść kosmitów! Uff... — westchnął z ulgą pozbywszy się wreszcie resztek kożucha. — Myślałem, że się rozplęnę.

Człowiek bez legitymacji, dowiedziawszy się czemu baran przemawiał kozim językiem, zgrabnie zbiegł po zboczu. Przystanął tuż obok zziąjanego dziennikarza i uśmiechnął się do niego.

— Ufologa? — podchwycił. — Gdybym był rzeczywiście taki wścibiśki, za jakiego uchodzę w oczach niektórych spośród tu obecnych — musnął wzrokiem Łukasza i Mirę — rzekłbym, że pożera mnie ciekawość, dlaczego to dziennikarz i ufolog biegają po tej zacisznej łączce w baranich skórkach?

— No, niechże mi ktoś w końcu pomoże! Co za ludzie! Auuu! — wzmożona fala trzasków i szamotaniny zagłuszyła kolejny okrzyk bólu.

— Zdaje się, że nic mnie nie uratuje przed nurkowaniem w jeżynach — powiedział dziennikarz. Odłożył na trawę otwarty aparat fotograficzny i skórzaną torbę, które dotąd wisały mu na piersiach. — On nigdy stamtąd nie wyjdzie o własnych siłach.

Łukasz bezwiednie zaczął iść pod górę. Spomiędzy zarośli nie przeświecał najmniejszy skrawek barana ani człowieka. Jedyne spazmatyczne trzepotanie gałązek wskazywało miejsce, gdzie ofiara wypadku toczyła dramatyczną walkę o życie.

Chłopiec zatrzymał się przed kolczastą zaporą w tym samym momencie, w którym z przeciwnej strony dotarli do niej dziennikarz i towarzyszący mu mężczyzna, umykający przed wymiarem sprawiedliwości. Cała trójka zawahała się. Jeżyny były

bardzo gęste.

— Hej tam, w środku! — zawołał szantażysta.

— Nooo... — odpowiedział z głębi przeciągły jęk.

— Niechże się pan przestanie kokosić! Zaraz panu pomożemy! — złożywszy tę obietnicę mężczyzna pozostał jednak tam, gdzie stał i tylko bacznie spoglądał na zielone zasieki.

— Jesteście...? — w głosie więźnia zadźwięczała nuta nadziei. — Prędzej... — ponaglał.

— Co robiliśmy tutaj w baranich skórach? — powtórzył, być może dla zyskania na czasie, dziennikarz. — To proste. Kosmici na razie unikają ludzi, prawda? Ale nie mają powodów, żeby unikać, na przykład baranów. Z naszymi zwierzętami i tak nie próbowaliby się przeciw zaprzyjaźnić. Wobec tego postanowiliśmy udawać bezrozumne okazy ziemskiej fauny. Nawiasem mówiąc pomysł wyszedł od tego tam... — wskazał oczami chaszczę. — On zdaje się wypróbował tę metodę już przedtem. Od lat tropi latające spodki. Należy do towarzystwa badaczy UFO... i wierzy, że oni stale odwiedzają Ziemię. Przypadkiem byłem w pobliżu, kiedy pożyczał owczą skórę od miejscowego gospodarza. No i pożyczyłem drugą. Pomyślałem sobie, że spróbować nie zaszkodzi. Gdyby się udało, miałbym zdjęcia na wagę złota. Co ja mówię? Stokroć cenniejsze. Nie ma rady — westchnął — Trzeba tam wleźć. Że też barany nie noszą rękawiczek.

Łukasz musiał poprzestać na okazaniu dobrej woli. Obaj mężczyźni mieli znacznie bliżej do niefortunnego tropiciela kosmitów. Zaczął wprawdzie okrążyć rozciągniętą kępę krzaków, ale zanim dotarł na miejsce akcji, pokłuty ufolog został wydobyty na wolność. Chłopiec nadszedł akurat w momencie, kiedy zdjęto z niego żalosse pozostałości zwierzęcej powłoki.

— Właściwie dlaczego pan tak wrzeszczał — zainteresował się człowiek bez legitymacji — Przecież miał pan na sobie skórę.

Ufolog jęknął wyciągając kolejny cierń. Jego gole ramiona i nogi przypominały szczotkę.

— Było mi za gorąco, więc rozpiąłem kozuch na brzuchu. A potem ześliznął mi się z rąk i z nóg. Aj! — zasyczał — Piecze!

To ostatnie wyznanie dopełniło miary. Łukasz poczuł, że coś dzieje się z jego twarzą. Nie piekła go ani nie paliła, tylko nagle zaczęła żyć własnym życiem, nie czekając, co postanowi jej właściciel. Zdał sobie sprawę, że widział już kiedyś te nogi, choć wówczas znajdowały się w znacznie lepszym stanie, że zna te krótkie spodenki, aparat i torbę. Oblicza mężczyzny, do którego należały wszystkie te rzeczy nie mógł wtedy zobaczyć, ponieważ odwracało się uparcie w przeciwną stronę. Wąwóz. Pierwszy wieczór. Naturalnie. Ufolog wypatrzył Kapelusznika i śledził go w nadziei, że ten naprowadzi go na ślad kosmitów.

— Wie pan — odezwał się zrzedliwym tonem dziennikarz — żeby z gołymi nogami taranować jeżyny, to trzeba być...

— ...baranem — uzupełnił dziewczęcy głosik. Mira opuściła w końcu swój punkt obserwacyjny i podeszła bliżej.

Twarz Łukasza, wciąż działając bez porozumienia z jej posiadaczem rozciągnęła się od ucha do ucha.

— Ha, ha, ha! — gruchnął śmiech, od którego zatrzęsły się gałązki okolicznych sosen.

— Bufh — policzki szantażysty wydeły się jak banie, po czym raptownie wypuściły powietrze. Dalej było już mniej więcej normalnie.

— Hu, hu, hu!

— Hi, hi, hi! — wtórował srebrzysty głosik z przeciwnej strony jeżyn.



Dziennikarz wyciągnął szyję, zmarszczył brwi, i nagle, bez najmniejszej oznaki zapowiadającej eksplozję, huknął tak, że od razu zagłuszył tamtą trójkę.

— He, he, he, he!

— Ho, ho, ho! — dołączył do chóru niewidzialny mężczyzna skądś z dołu.

Ale tu nikt nie zwrócił na to uwagi. Nagle nastąpiła cisza.

— Nie ma się z czego śmiać — powiedział grobowym głosem utolog — Aj! — trafił palcem na następny cierń.

Odpowiedzią była wesoła salwa, przy której poprzednie hihi hehy i hały mogły się wydać szemraniem strumyczka.

— Gdyby teraz wylądował tu jakiś kosmita — udało się w końcu wykrztusić przerywanym głosem niebezpiecznemu przestępcy — miałby o czym opowiadać na wszystkich gwiazdach!

— Nie trzeba kosmity! Ojej — wyjęczał dziennikarz — Sam napiszę reportaż, który przejdzie do historii. Albo nie! Napiszę sztukę! Pod tytułem „Ufolog w jeżynach”! Będą walić tłumy!

Nastąpił nowy przypływ entuzjazmu, jednakże ostatni. Sytuacja stawała się dramatyczna. Dziennikarz rzeził, zbir dostał czkawki. Mira kucnęła i tylko cichutko pochrapywała. Łukasz posiniał i czuł, że się dusi.

Na okrągłej polance zapanował spokój. Nie potrafiło go ponownie zmącić nawet gorzkie wspomnienie doznanych krzywd, które wypłynęło z ust ufologa.

— Głupie dowcipy.

— Ho, ho ho ho! — teraz wszyscy usłyszeli przytłumiony śmiech, dobiegający z dołu, od strony jeziora.

— Ktoś tu jest — wysapał dziennikarz.

Łukasz odwrócił się i ocierając oczy spojrzął tam, gdzie powinien znajdować się świadek, a sądząc z odgłosów także i uczestnik ich wesołego szaleństwa. W pierwszej chwili nie zobaczył nikogo. Jednak wkrótce dalekie „ho, ho, ho” umilkło i wtedy między drzewami na przeciwległym skraju dolinki zamajaczyła męska sylwetka. Nieznajomy już odchodził, ale w pewnym momencie popatrzył za siebie. Zamiast twarzy mignęła w cieniu jakaś czarna plama. Broda? Człowiek z krótkofalówką? Szpieg?

Tajemniczy mężczyzna zniknął Łukaszowi z oczu i już się więcej nie pokazał. Ale to wystarczyło, żeby chłopiec przypomniał sobie o niekosmicznych zagadkach, na jakie w Górku natrafił, i o sprawach, które musiał załatwić. Oprzytomniał, głęboko wciągnął w płuca powietrze, wypuścił je do ostatniego grama i zaczął oddychać równiej. Równocześnie patrzył z uwagą na osobnika bez legitymacji. Przyszedł tu za nimi, to znaczy za Mirą i za nim. To jasne. Tylko właściwie po co? Przecież już wymusił na Łukaszu obietnicę, że jutro otrzyma swój łup w postaci glinianego odcisku. Ryzykował zupełnie bezsensownie. Pierwszy odezwał się do dziennikarza nie dbając o to, że żaden sławy reporter w mig pojmie z kim ma do czynienia, złapie go, odda w ręce milicji i napisze tryumfalny artykuł o nim i o sobie. Potem pomógł wydobyć z jeżyn ufologa a następnie żartował i ryczał z uciechy jak zwykły przyzwoity człowiek Tak nie zachowałby się żaden ścigany przez prawo przestępca.

A zatem...

Chłopiec poczuł, że staje się lekki, jakby podróżował prawdziwym kosmicznym statkiem, gdzie człowiek musi uważać, żeby nie zasnąć głową na dół, ponieważ nie waży absolutnie nic. Po kłopotcie! Przynajmniej jedna paskudna sprawa została rozwiązana. Właściwie rozwiązała się sama.

Malownicza łączka, która dziś widziała już tak wiele, zobaczyła nową, arcyciekawą scenę.

Długi, chudy chłopiec, w samych spodniach, stojący dotąd spokojnie na zielonym

zboczu, odwrócił się raptownie plecami do dwóch mężczyzn, zajętych składaniem baranich skór i wyciągnął przed siebie ramię, wskazując oskarżycielskim gestem trzeciego mężczyznę, patrzącego na tamtych z pogodnym uśmiechem.

— Wiem wszystko! — wrzasnął. — Pan nie jest zbrodniarzem!

Zaskoczony znieca szantażysta, który nagle przestał być szantażystą, odruchowo uskokzył do tyłu. Jego twarz przybrała wyraz całkowitego osłupienia. Dwaj pozostali mężczyźni znieruchomieli pochyleni nad swoimi kozuchami i powoli zwrócili głowy w stronę, z której dobiegł ów niezwykle okrzyk. Jeśli z oblicza zdemaskowanego nie-zbrodniarza dało się wyczytać osłupienie, to ich rysy zdradzały osłupienie do kwadratu.

— Wiem wszystko! — rozległo się ponownie. — Pan po prostu zapomniał dokumentów! Pan wcale nie uciekł milicji! Pan się nie ukrywa! To znaczy, że ja nie muszę niczego panu dawać! Bo skoro pan nie jest przestępcą, to nie może mnie pan szantażować! Porządni ludzie tego nie robią! Rozumie pan?!

Napadnięty dziwnie szybko odzyskał zimną krew.

— Dziękuję — powiedział z uczuciem — świetnie mnie przestraszyłeś. Nie ma lepszego lekarstwa na czkawkę. Męczyła mnie okropnie, od kiedy przestałem się śmiać. To po pierwsze. Teraz po drugie. Przypuśćmy nawet, że dotąd szczególnym zbiegiem okoliczności rzeczywiście nie byłem zbrodniarzem. Ale to przecież nie znaczy, żebym w każdej chwili nie mógł nim zostać. Przypomnij sobie. Co wiem, to wiem. O bracie twojej towarzyszkii, o jego współnikach...

— To niech pan sobie wie! Do widzenia!

— Poczekaj chwileczkę.

— Nie ma na co. Miro, chodź. Wracamy — Łukasz wciąż jakby w gorączce podbiegł do dziewczyny i chciał chwycić ją za rękę. Mira cofnęła się, ale nic nie powiedziała. Zapomniała nawet choćby gestem dać do zrozumienia, co sądzi o tak niestosownej poufałości. Odwróciła się i ruszyła z powrotem w stronę siodełka.

— Do widzenia — mruknął posepnie ufolog.

Minęła trzecia. Paweł, jak przepowiedziała jego siostra, nie dawał znaku życia. Naleśniki nie mogły dłużej czekać.

Mira skończyła jeść i wstała.

— Idę do siebie — burknęła. — To znaczy do mamy — sprostowała. — Może nie sprawię nikomu kłopotu, jeśli się tam na chwilę położę.

Rozbolała mnie głowa.

— Co ty mówisz, kochanie — powiedziała współczującym tonem mama. — Naturalnie, że musisz się położyć. Przyniosę ci herbatę, dobrze?

Pewnie za długo byłeś na słońcu.

— Nie chcę herbaty. Niczego nie chcę.

Kiedy na górze głośno zamknęły się drzwi, pani Helena westchnęła i zaczęła zbierać naczynia.

— Nie pozwolono mi dotykać naleśników — ojciec Łukasza zerwał się i odebrał jej tacę — ale nikt mnie nie pozbawi przyjemności pomycia garnków — z tymi słowami zniknął w kuchni. Pani domu uśmiechnęła się i podążyła za nim. Dziadek Klemens i Łukasz zostali sami.

— A więc nie podoba im się nasz świat... — odezwał się dziadek, nawiązując do sprawozdania z przedpołudniowego spaceru, jakie chłopiec złożył zaraz po powrocie do domu. Opowiedział o wszystkim, pomijając jedynie kwestie, dotyczące Kapelusznika i domnianego szantażysty. — No cóż, ja także nie jestem nim zachwycony — ciągnął pan Klemens. — W gruncie rzeczy nikt z nas nie jest nim zachwycony. To i źle, i dobrze.

Źle, bo powinniśmy mieć więcej powodów do zadowolenia z siebie. To znaczy z

tęgo, jak gospodarujemy na naszej Ziemi. No a dobrze, bo jeśli widzimy, że narobiliśmy głupstw, to jest nadzieja, że w przyszłości przestaniemy je robić. Pan Alauda — dziadek wymówił to imię czy nazwisko jakby z niechęcią i z przekąsem — musi wziąć pod uwagę tę nadzieję, skoro chce wyrokować, jacy naprawdę jesteście. Za nadzieją idą przecież czyny. Alauda. Hm... Alauda z gwiazd. Też wymyślili.

Łukasz słuchał z roztargnieniem. Nie zastanowiło go, dlaczego dziadek Klemens powtarza takim szczególnym tonem: „Alauda, Alauda”. Jeszcze podczas obiadu zaczął myśleć o czymś bardzo nieprzyjemnym. Teraz ta myśl opanowała go całkowicie. Właściwie skąd tam, w baraniej dolince, wzięła mu się ta pewność, że Mirze już nic nie grozi? Szantażysta nie jest szantażystą i nie wyda Pawła wraz z jego współnikami. Co z tego? Może to zrobić każdy inny. Trudno sprzedawać kosmiczne pamiątki tak, żeby nikt tego nie zauważył. Paweł wdał się w przestępcze interesy, a Mira o tym wie. Wie, ale nie powie, bo chce zdobyć gliniane odciski dla siebie.

Wyobraził sobie śliczną, zgrabną osóbkę w ponurej sali, na ławie oskarżonych i ciarki przeszły mu po plecach. Koniecznie trzeba się dowiedzieć, co jej może grozić. Zaraz. Dziadek Klemens jest przecież prawnikiem.

— Proszę pana — zaczął niepewnie — jak to jest, kiedy się coś wie i nie powie?

Dziadek Klemens oniemiał ze zdziwienia, ale tylko na chwilę.

— Jak to jest, kiedy... — powtórzył machinalnie, po czym na jego twarzy ukazał się figlarny uśmiech. — W każdym razie lepiej, niż kiedy się powie, a nie wie. Z tą drugą okolicznością mamy niestety do czynienia bez porównania częściej.

— Mnie chodzi o... Czy można pójść za to do więzienia?

— Do więzienia... Rozumiem — dziadek spoważniał. — Mówisz o kimś, kto wie, że dzieje się coś złego i nie zawiadamia o tym milicji? Tak?

— No.

— Nie wiem, czy od razu do więzienia. To zależy.

— Od czego?

— Zdaje się, że ciebie rzeczywiście prześladowa widmo kryminału. W takim razie sprawa jest nagląca. Posłuchaj. Czy nie byłoby prościej, gdybyś mi zaufała i zaczęła od tego, co wiesz o czymś lub o kimś, a co powinni wiedzieć także funkcjonariusze wymiaru sprawiedliwości? Wówczas łatwiej przyszłoby mi cię objaśnić, czy powędrujesz za kratki już dzisiaj, czy dopiero jutro albo pojutrze?

Łukasz bezwiednie zerknął w stronę schodów, po których chwilę temu wchodziła Mira. Następnie szybko odwrócił głowę i wbił wzrok w dywan.

— Nie mogę — wychrypiał. — Naprawdę nie mogę.

— Mira? — dziadek okazał się człowiekiem przerażająco spostrzegawczym.

— Nie! Nie! — Łukasz oderwał oczy od podłogi i gwałtownie zamachał rękami.

— Ona nic nie zrobiła! To nie ona!

— W takim razie Paweł — w głosie pana Klemensa zabrzmiała całkowita pewność.

— Skąd pan... Nie — zaprzeczył słabo chłopiec. — Dlaczego...?

— Dlatego, że dzisiaj rano nie wybierałeś się jeszcze do więzienia — rzekł stary prawnik. — Potem byłeś na spacerze z Mirą. Zatem dowiedziałeś się czegoś podczas tego spaceru. Mówisz, że nie o Mirze. Wobec tego w grę może wchodzić tylko Paweł. Wspomniałeś, że widzieliście go w pobliżu szkoły. Bo kimś zupełnie obcym nie przejmowałbyś się przecież do tego stopnia. Od razu narobiłbyś krzyku i wezwał milicję. Słucham. Co takiego popełnił Paweł, że ktoś, kto o tym wie i nie powie, może zawisnąć na stryczku?

Wobec tak przygniatającej logiki Łukasz poczuł się bezbronny. Pomilczał jakiś czas, pogryzł sobie wargi, dwa razy potarł dłonią czoło, po czym skrzywił się i powtórzył:

— Nie mogę.

Dziadek uniósł brwi i zatrzymał je w górze. Sprawa wymagała widać tego, by jej się przyjrzeć bardzo szeroko otwartymi oczami. Nagle jego twarz przybrała chytry wyraz.

— Dobrze — opuścił brwi i skinął głową. — Przyjmuję do wiadomości że jesteś człowiekiem dyskretnym. Ale rzecz trochę się skomplikowała. Czy tego chciałeś, czy nie, coś niecoś mi już powiedziałaś. Mógłbym z głupia frant zagadnąć Pawła: „A wiesz, Łukasz wszystko mi wygadał”... Zapewniam cię, że wtedy on wygadałby się naprawdę. Naturalnie ze złości. Nie bój się — wtrącił szybko widząc, że stojący przed nim chłopiec zmienia kolor na białozielony — nie zrobię tego. Jednak, wnosząc z twojej miny, tajemnica, której tak —chwalebnie strzeżesz, jest natury ganstersko–prokuratorskiej, a ja nie życzyłbym sobie ujrzeć moich rozkosznych wnucząt w roli dobranej pary młodocianych skazańców. Wobec tego chcę ci zaproponować umowę. Ja zapomnę, że cokolwiek od ciebie usłyszałem, a ty w zamian za to porozmawiasz ze swoim ojcem i spytasz go, czy możesz lub powinieneś mi powiedzieć to właśnie, o czym zapomniałem. Tylko przyrzeknij, że zrobisz tak, jak poradzi ci ojciec. Dobrze?

Łukasz zawahał się. Znowu jakaś umowa? Ale dziadek Klemens to bądź co bądź ktoś zupełnie inny niż człowiek bez legitymacji. Poza tym ta umowa jest uczciwa. Jest nawet wielkoduszna.

— A co będzie, jak tata powie, że nie? — wołał się jednak upewnić.

— Trudno — dziadek Klemens rozłożył ręce. — Wówczas pozostanie mi tylko czekać na syrenę radiowozu, który przyjedzie tutaj po Mirę i Pawła. Zwłaszcza Miry byłoby mi żal — dodał z ubolewaniem, kryjąc twarz w dłoniach. Łukasz odniósł przez moment wrażenie, że dziadek uśmiecha się zza palców, ale to musiało być przywidzenie. W chwili, gdy snuł wizję aresztowania Miry...?

Chłopiec wdrygnął się i wykrztusił:

— Dobrze.

— Znakomicie — profesor odjął ręce od twarzy i splótł je na piersiach. — Więc o czym to gawędziliśmy? Aha, o Alaudzie. Alauda. Hm...

Łukasz spojrzał na niego z wdzięcznością. Ten dziadek naprawdę był szalenie sympatyczny.

— Dobrze — powtórzył raźniejszym głosem, znowu przechodząc do porządku nad sposobem, w jakim pan Klemens wymawiał słowo „Alauda — Zresztą i tak muszę z tatą porozmawiać. Widziałem w Górku szpiega— chłopcu było mimo wszystko trochę przykro, że musiał zataić Prawdę przed tym miłym starszym panem i postanowił mu to wynagrodzić opowieścią o brodaczu z krótkofalówką. Ten sekret też nie nadawał się do szerszego rozpowszechniania, ale dziadek na pewno nie narazi się lekkomyślnie na zemstę szpiegowskiej bandy. No i nie narazi na nią również nikogo innego.

Pan Klemens słuchał i zaciekawieniem. Gdy Łukasz skończył zamyślił się, a następnie rzekł:

— Hmm... Z tego wynika, że ten szpieg znajdował się blisko przystani i rozmawiał z kimś na odległość tuż przed pierwszą mową Alaudy, wygłoszoną z jeziora. A dzisiaj na odmianę odwiedził waszą polankę zaraz potem, jak z niej właśnie kosmici zapowiedzieli wystrzałem nowe przemówienie do ludzi. Interesujące...

— Panie profesorze! — Łukasz zachłysnął się z wrażenia. — A mnie nie przyszło to do głowy! Naturalnie! Ten brodacz porozumiewał się z nimi! Może to w ogóle przebrany kosmita! Trzeba się na niego zacząć i...

— A jeśli rzeczywiście porozumiewał się z Alaudą, ale mimo to jest szpiegiem...? — przerwał dziadek.

Łukasza na moment zatkało. Cóż to ma znaczyć?

Na szczęście pan Klemens energicznie potrząsnął głową.

— Nonsens — zaprzeczył sam sobie. — Nonsens. Szpieg trzymałby się tłumu. W tłumie człowiek nie rzuca się w oczy i może usłyszeć mnóstwo ciekawych rzeczy. Jednak w takim razie... — urwał.

— Co? — nie wytrzymał chłopiec.

— Nic... — dziadek zrobił uspokajający gest dłonią. — Nic, nic. Tylko... — znowu umilkł i zamyślił się. Z głębokiej zadumy nie wyrwało go nawet wejście Pawła. A było to wydarzenie, które mogło wstrząsnąć najbardziej roztargnionym matematykiem, w momencie, gdy tworzył właśnie nową teorię względności.

Brat Miry z pewnością nie spędził całego dnia w sąsiedztwie pustego stołu Kapelusznika. Świadczył o tym dobitnie stan jego koszuli i spodni, oraz smoliste plamy na twarzy. Nie był zablocony, jak rano. Przypominał raczej kominiarza, śpieszącego po pracy do najbliższej łaźni. Przez ramię miał przewieszony worek, bliźniaczo podobny do tego, który zwykł nosić jasnowłosa Plujek. Worek był równie brudny jak koszula.

Paweł podszedł do stołu i ostrożnie złożył swój ciężar na honorowym miejscu, obok talerza z ciasteczkami. Śnieżnobiały obrus zniknął pod chmurą czarnego pyłu. Dopiero ten widok sprawił, że myśli dziadka Klemensa powróciły z górnych rejonów z powrotem na ziemię.

— Był pożar? — zagadnął. — Z narażeniem życia wyniosłeś z pożogi bezcenne skarby? Brawo! Mama zemdleje z radości!

Paweł wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Wsunął rękę do worka i wyjął z niego niezbyt regularną bryłę, przypominającą nieforemną cegłę. Po chwili na stole leżało już pięć czerwonych, chropowatych wypieków. Każdy z nich posiadał na górnej ścianie niezbyt wyraźnie wgłębienie.

— No, no... — odezwał się znowu dziadek. — Szkoda, że to tylko falsyfikaty.

Dostarczyciel skarbów nagle utracił swój olimpijski spokój. Gwałtownym ruchem cofnął się od stołu i spojrzał na pana Klemensa, jakby zobaczył widmo.

— Jak... Co... — wybełkotał. — Skąd...?

Łukasza tknęło dziwne przeczucie. Wydało mu się nagle, że „interesy” Pawła są jeszcze odrobinę bardziej zawile, niż sądził do tej pory.

— Oglądałem podobne rzeczy w muzeach — wyjaśnił pan Klemens. — Wiele starożytnych ludów miało zwyczaj zapisywać na glinianych tabliczkach ważne dla nich wydarzenia. Sumerowie, Kreteńczycy...

Te tabliczki, starannie potem wypalone, przechowały się do dzisiaj i rzeczywiście są dla nas bezcennymi skarbami, bo odczytujemy z nich dzieje praprzodków. Ale to tutaj zostało wykonane bardzo niedawno. A poza tym nie przypomina pozostałości po żadnej znanej nauce cywilizacji.

Paweł odtajał. Otrząsnął się i odetchnął z ulgą.

— Bo tych „pozostałości” — rzekł z przekąsem — nie może znać ziemską nauka. To są ślady kosmitów.

— Aha. Kosmitów. Że też nie domyśliłem się od razu — dziadek uniósł ręce ubolewając nad własną tępotą. Obejrzał przyniesione przez wnuka osobliwości, po czym wbił wzrok w bryłkę leżącą najbliżej. — Zdumiewające! — zawołał z zachwytem. — Popatrzcie. Oni także używają korkociągów. Tylko czemu zamiast trzonka widzę tutaj szczątki stłuczonej żarówki, a zamiast ostrza pędzelek?

Łukasz okrążył stół i przyjrzał się przedmiotowi, który wzbudził taki entuzjizm pana Klemensa. Rzeczywiście. Był korkociąg, był pędzelek, było to, co zostaje po zbitej żarówce.

— Ee... — burknął ponuro Paweł. Rzucił się do swoich skarbów i szybko pakował je na powrót do worka. — Pędzelek! Pędzelek! — mamrotał. Raptem znieruchomiał.

— Czy tego... Czy to tak widać? — spytał zmienionym głosem.

Niejasne podejrzenia Łukasza stały się trochę mniej niejasne.

— Nie. Skądże — zaprzeczył łagodnie dziadek. — To tylko mnie nie dopisuje wyobraźnia. Człowiek mimo woli szuka znanych sobie kształtów nawet tam, gdzie nie może ich znaleźć. Czy mógłbyś nam zdradzić, skąd masz te fenomenalne przedmioty?

— Z lasu — mruknął Paweł, ciągle jakiś nieswój. — A niby skąd? Stamtąd, gdzie łądowały spodki.

— Naturalnie, naturalnie. Czy oni są tak uprzejmi, że sami od razu utrwalają swoje ślady w glinie, żeby nie przysparzać pracy mieszkańcom planety, którą odwiedzili?

— Ee! Znajduje się je, robi odciski, potem te odciski wypala się w piecu, a potem jeszcze raz, bo te pierwsze to są przecież tylko wypukłe formy No i gotowe.

— Zbudowałeś w lesie specjalny piec! Rozumiem teraz, dlaczego będziemy musieli kupić nowy obrus.

— Niczego nie budowałem.

— A zatem masz współników. No pewnie. Tak poważne przedsięwzięcie byłoby ponad siły jednego człowieka. Dokąd z tym idziesz?

Paweł z workiem na plecach kierował się ku schodom.

— Do siebie — odburknął. — Pokażę to Mirze. A potem schowam.

— Słusznie — zgodził się dziadek. — Nie brak w Górku przeróżnych niebieskich ptaszków. Za takie cuda niejeden zapłaciłby majątek. W drodze powrotnej zajrzyj do łazienki. Jeśli możesz teraz myśleć o tak przyziemnych sprawach.

— E... — z tą odpowiedzią Paweł zniknął na górze.

W pokoju przez dłuższą chwilę panowała cisza, przerywana jedynie brzękiem naczyń, dochodzącym zza kuchennych drzwi. Dziadek Klemens stał bez ruchu, wpatrzony we wspomnienie po obrusie. W pewnym momencie spytał.

— Kogo to spotkaliście blisko naszego domu pierwszego wieczoru? Wtedy, kiedy rozmowa zesłała na żwir i glinę?

— Kapelusznika — odrzekł machinalnie Łukasz. — To znaczy pana...

— Cielicę. Szwagra gajowego — przypomniał sobie dziadek. — Prawda. Wracali z miejsca, gdzie przedtem coś się pokazało, a syn Cielicy niósł wypchany worek. Wiesz co? Myślę, że możemy unieważnić naszą umowę.

— Umowę? — nie zrozumiał Łukasz.

— Zawarliśmy ją parę minut temu. Propozycja wyszła ode mnie, więc teraz ją wycofuję.

— Jak to? — zdziwił się chłopiec. — Pan nie chce, żebym pomówił z tatą?

— Ależ nie — zaprzeczył dziadek. — Porozmawiaj z ojcem. Oczywiście, że porozmawiaj. Tylko jeśli chodzi o tę tajemnicę, którą ewentualnie miałeś mi powierzyć, to nie musisz się już tak bardzo spieszyć.

Paweł zjadł spóźniony obiad i poszedł okopcić następną koszulę. Mira leczyła głowę w swoim pokoju. Dziadek Klemens zaniósł cichaczem obrus do piwnicy, gdzie znajdowała się domowa pralnia, a następnie wsadził nos w książki. Wcześniej wyprawił na spacer swoją synową. Powiedział, że ma dość nieustannego strzelania garnkami, że czuje się, jakby siedział w składnicy złomu, oraz że nieznośny ruch panujący w domu szybkimi krokami popycha go do grobu. Pani Helena udała, że nie rozumie, o co chodzi, uśmiechnęła się, włożyła kostium kąpielowy i poszła nad jezioro. Łukasz z ojcem dotrzykali jej towarzystwa.

Nad plażą z ogłuszającym łoskotem przeleciał helikopter. Z otwartych drzwi kabiny wychylały się sylwetki dwóch mężczyzn w mundurach, z lotniczymi kaskami.

Oni też szukają spodków — pomyślał Łukasz. Wszyscy ich szukają. Może poza jednym panem Kutynią. Gdzie też ci kosmici siedzą?

Pytanie na razie musiało pozostać bez odpowiedzi.

Łukasz odpoczywał po długiej kąpieli. Oparł się plecami o przyniesiony przez wodę pniak i obserwował pływackie wyczyny pani Heleny i ojca. Oboje wracali właśnie, po dalekim rajdzie. Niebawem dopłynęli do przybrzeżnej płytcizny i stanęli na nogach.

— Bosko! — zawołała mama Miry i Pawła. Była lekko zdyszana, ale uśmiechnięta i szczęśliwa.

— Boo—o—osko! — potwierdził jej towarzysz. Łukasz zdziwił się. Kiedy tata był z czegoś nadzwyczaj zadowolony, mawiał: bardzo przyjemnie. Albo bardzo miło. A dzisiaj nagle „bosko”? Nawet „boo—o—osko!”

— Jeszcze raz? — rzuciła zachęcająco pani Helena.

— Pytanie! — ojciec pochylił się i szybkimi wymachami ramion wygarniał na niespodziewającą się napaści kobietę potężne kaskady wody. Mama Miry i Pawła natychmiast oddała mu pięknym za nadobne.

Jak dzieci — przemknęło chłopcu przez głowę. Nigdy dotąd nie widział ojca w takim nastroju. Jego twarz zrobiła się nagle młoda. Był swobodny i rozbawiony. Ba, wręcz rozbrykany. Łukasz próbował sobie przypomnieć, jak to bywało dawniej, na wakacjach, które spędzali z mamą. Ojciec bawił się z nim, brał go na ciekawe spacerki, razem pływali, chodzili na grzyby, palili ogniska. Ale nigdy nie zachowywał się tak jak dzisiaj. Ani razu tak się nie śmiał i nie wołał „boo—o—osko!”

— Dostyc tego, próżniaku! — zakrzyknęła pani Helena.

— Płyniemy?

— Płyniemy! — Ale teraz już tylko wzdłuż brzegu, dobrze? Jestem trochę zmęczona. Starość nie radość, a w dodatku brak mi treningu. Moglibyście zostać bez kucharki.

— Przynajmniej naleśniki byłyby lepsze — po tej okrutnej odpowiedzi ojciec Łukasza zatoczył jednak pośpiesznie koło i dołączył do „zgrzybiałej” pływaczki, która w tej chwili wyglądała jak niewiele starsza siostra własnej córki.

Chłopiec znowu został sam. Ciągnęło go do wody, a równocześnie nie chciało mu się ruszać z miejsca. Tak cudownie cicho...

Helikopter zniknął za wzgórzami i stał się niesłyszalny. Jak okiem sięgnąć, ani jednej łódki, ani skrawka żagla. Tak samo jak wczoraj.

Cicho. A jednak coś człowiekowi nie daje spokoju.

Gdzieś tutaj, niedaleko, tkwi rozwiązanie tajemnicy, największej, z jaką kiedykolwiek ludzie mieli do czynienia. Może za tą kępą drzew na prawo, może pod sterczącym nad wodą głazem, za którym zniknęły głowy ojca i pani Heleny. Albo w najbliższym lasku. Kosmici. Pierwszy raz nie tylko pokazali się, ale zechcieli również przemówić. Do wszystkich, nie do jakiegoś jednego wybrańca, mieszkającego na uboczu, o którym potem czytało się w gazetach ironiczne artykułiki i któremu nikt nie wierzył. Przylecieli, żeby zaprzyjaźnić się z ludźmi, jeśli ci im się spodobają. Alauda wyraźnie to powiedział...

Tak. Ta cisza nie jest tak błoga, jak by się chciało.

Łukasz odniósł nagle wrażenie, że słyszy nadąsany głos Pawła i złośliwe przycinki Miry. Tu obok, w tym pięknym domu, zasłoniętym przez zielone zbocze. Nieco dalej rozbrzmiewają inne głosy. Kapelusznika, Plujka, zatroskanego gajowego, rechoczącego obcokrajowca, pana Kutyni, obu dziennikarzy, domniemanego szantażysty, eleganckiego profesora i jego niesfornego asystenta, pomyłonego ufologa, energicznego majora, naczelnika gminy. Do tego dochodzi słaby głos męża chorej kobiety, zagłuszany przez nachalne nawoływania sprzedawców ryb, placków,

kiełbasy, napojów firmowych, słodkiej waty, pamiątek, rurek z kremem, lodów... czego tam jeszcze. Nagle wszystkie te dźwięki toną w chóralnym krzyku. Tłum pędzi na Wzgórze Spodków. Biegnie do przystani. Napełnia wrzawą ustronną dolinkę. Wraca pod szkołę i domaga się komunikatów. Powietrze nad jeziorem i lasami jest sine od spalin.

Z kim właściwie kosmici mieliby się w Górku zaprzyjaźnić? Z dziadkiem Klemensem... Tak, na pewno. Z ojcem, z panią Heleną, z gajowym... może jeszcze z majorem, naczelnikiem, niechby ostatecznie z owym niefortunnym dziennikarzem, ufologiem, nawet z człowiekiem bez legitymacji, bo koniec końców okazał się zupełnie do rzeczy. Ale czy tłum by im na to pozwolił? Jednym i drugim? Każdy chciałby i c h mieć tylko dla siebie, żeby załatwić z nimi własne sprawy i interesy.

Im dalej, tym więcej głosów. Do Górka nie wpuszczają już nowych przybyszów. Gdzieś na obrzeżach wsi zrobili dla nich pola namiotowe. Tam dopiero muszą się dziać niesamowite sceny! Przecież ci nieszczęśnicy, którzy tam koczują, nie mogą bodaj popatrzeć na słynne jezioro, gdzie lądowały spodki. Nie słyszą Alaudy. Są zawiedzeni i wściekli. Łatwo to sobie wyobrazić.

Jeszcze dalej są miasta, miasteczka i wsie, pełne ludzi, łączywie sięgających po gazety, słuchających radia, oglądających dzienniki telewizyjne. Choćby nie chcieli, muszą teraz myśleć o Ziemi i o gwiazdach. Równocześnie mają swoje zwykłe kłopoty, zarabiają pieniądze, naradzają się, podróżują, pracują, jak na przykład ojciec Miry i Pawła. Potem są granice. — Potem inne państwa, kontynenty. Potem świat... Potem kończy się świat... Właściwie, co to znaczy: „kończy”? Człowiek był na Księżycu, wysłał aparaty na dalekie planety, przez ogromne teleskopy podgląda gwiazdy. Na pewno niejednen astronom widział już na niebie ojczyznę Alaudy, tylko o tym nie wie...

Myśl Łukasza odbyła gigantyczną podróż od brzegu jeziora, przez dom państwa Piotrowiczów, centrum oraz przedpola Górka, przez kraj, Europę, świat, Księżyc, planety, do najodleglejszych zakątków kosmosu i z powrotem. Znalazłszy się na powrót w punkcie startu opadła jednak, jakby ze zmęczenia. Chłopcu prześwitywało w głowie, że coś z tego wszystkiego powinno wynikać, ale ani rusz nie mógł się zdobyć na wysiłek, żeby uporządkować okrucy układanki, rozrzucone w jego umyśle i wyobraźni. To pewnie z powodu upału — usprawiedliwił się w duchu.

Dzień był istotnie upalny. Piasek na brzegu parzył stopy jak popiół z ogniska. Najlżejszego tchnienia wiatru na ziemi. Najmniejszego obłoczka na niebie.

Znowu odezwał się helikopter. Nadlatywał wolniutko nad wodą, trzymając się linii brzegu. Być może jego załoga wypatrywała teraz śladów, które pozwoliłyby jej ustalić miejsce, gdzie kosmici wychodzili na plażę.

W górze zagrzmiało. Prąd powietrza bijący z potężnego śmigła zmarszczył powierzchnię wody. Ławica malutkich rybek błysnęła jak rój żywych, sprężystych igiełek i zniknęła w głębinie.

Łukasz posiedział jeszcze chwilę, po czym podniósł się i powoli ruszył przed siebie. Helikopter małał w oczach. Wracała cisza. Chłopiec nie zatrzymując się wszedł do wody, a kiedy sięgnęła mu do pasa, wyciągnął ramiona i dał nurka. Po chwili wypłynął i rozejrzał się. Zza owego głazu, który zwisał z brzegu jak naturalna kamienna trampolina, wychynęły właśnie dwie znajome głowy.

— Hop! Hop! — zabrzmiał nieco przytłumiony głos ojca. Łukasz odpowiedział. Woda była cieplejsza niż przed obiadem, ale wciąż cudowna. W ogóle całe te wakacje mogłyby być naprawdę cudowne...

Lipcowe dni są długie. Pani domu przeciągnęła swoje pływackie igraszki, w wyniku czego kolacja była gotowa później, niż nakazywały obowiązujące w rodzinie



zwyczaje. Swoje niezadowolenie z tego powodu najdobitniej okazywał Paweł. On z kolei pojawił się wcześniej, niż można się było spodziewać. Był bardziej niż kiedykolwiek skory do opryskliwych odpowiedzi, rozdrażniony, a przy tym jakiś niespokojny. Kręcił się po pokoju, wzruszał ramionami, potrząsał głową i nie mógł sobie znaleźć miejsca. Wrócił w idealnie czystym ubraniu, co świadczyło, że piec wypalający skarby był tego popołudnia nieczynny, albo że go do niego nie dopuszczono. Ale właściwie dlaczego miano by go nie dopuszczać? Jak spółka, to spółka...

Po kolacji ni stąd, ni zowąd wziął z szafki kieszonkową latarkę i oświadczył, że idzie do lasu.

— Teraz? — przestraszyła się mama. — Niedługo zrobi się ciemno!

Pośліżniesz się gdzieś, upadniesz...

— Ee! Równie dobrze i tu mogę spaść ze schodów.

— Co racja, to racja — powiedział dziadek Klemens. — Idziesz sam? — spytał naiwnie.

— A niby z kim?

Wiadomo z kim — pomyślał Łukasz. W gruncie rzeczy nie miałby nic przeciwko temu, żeby także wziąć latarkę i pójść razem z Pawłem. A jeszcze lepiej troszeczkę za nim i zobaczyć jak też on wespół z Plujkiem i jego ojcem znajdują ślady i jak zdejmują ich odciski. Tak właśnie tamtego pierwszego wieczoru musiał deptać Kapelusznikowi po piętach ufolog w krótkich spodenkach. Pewnie niczego wtedy nie podpatrzył, skoro następnego dnia nie przejawiał już najmniejszego zainteresowania pustym stołem obok kiosku z pamiątkami, tylko szukał na własną rękę... A raczej na własne baranie kopytko. No, pięknie, ale nie można przecież teraz z głupia frant powiedzieć: „Ja także idę”. Paweł burknąłby zaraz, że nie jest niańką albo coś w tym rodzaju. A wyjść tuż za nim nie wypada. Pomyśleliby... Kto wie, co by sobie pomyśleli. Zwłaszcza Mira.

— Przynajmniej wróć szybko — pani Helena skierowała tę prośbę do pleców syna, które właśnie zniknęły za drzwiami. Plecy odpowiedziały pogardliwym ruchem.

Łukaszowi wpadła do głowy szczęśliwa myśl.

— Jutro ja wybiorę się wieczorem na spacer. Dobrze, tato? — zagadnął z niewinną miną.

Ojciec spojrział na niego niepewnie.

— Dlaczego by nie — rzekł dziadek Klemens. — Każdemu wolno pomarzyć przy świetle księżycy, z dala od kosmitów i krewnych. Zwłaszcza tych ostatnich. Wiecie co — zmienił temat — obejrzymy dziennik.

A nuż pokażą reportaż z Górka — wstał i włączył telewizor.

Łukasz tryumfował. Wprawdzie dzisiaj nici z detektywistycznej wyprawy, ale za to jutro nic go nie zatrzyma, choćby sto Pawłów wyszło sekundę wcześniej. Powie po prostu: „Przecież wczoraj mówiłem”... i nikt nie będzie się dziwić. A teraz rzeczywiście warto popatrzeć i posłuchać. Wywiady z profesorem Turbo, przedstawicielem wojska i naczelnikiem gminy zostały na pewno nadane już wczoraj, ale przecież dzisiaj Alauda odezwał się znowu. A może naukowcy wynioskowali już coś ze śladów, które poddają takim skrupulatnym badaniom?

— Jeśli mówili coś o Górku, to na samym początku — zauważyła z powątpiewaniem pani Helena. — Ostatecznie, chodzi o kosmitów...

— Jeśli w ogóle powiedzą coś o Górku, to na samym końcu — rzekł dziadek Klemens. — Tuż przed prognozą pogody albo nawet po niej. Ostatecznie, chodzi zaledwie o kosmitów.

Łukasz pomyślał, że obawy pani Heleny nie są bezpodstawne. Kiedy dziadek wpadł na pomysł włączenia telewizora, dziennik nadawano już od dziesięciu minut.

— Mnie i tak nie powiedzą więcej, niż sama widziałam — wycedziła Mira wlepiając oczy w ekran. Przy kolacji błysnęła wybornym apetytem, ale niestety głowa bolała ją nadal. Oświadczenie tej treści złożyła natychmiast po opuszczeniu swojego pokoju. Spotkało się ono z powszechnym ubolewaniem, a mama pobiegła po termometr, który jednakże pacjentka ze wstrętem odtrąciła.

Nienagannie ubrana para spikerów informowała właśnie telewidzów o tym, co wydarzyło się w świecie. Zmieniały się obrazki, zmieniały się słowa: Wojna tu. Wojna tam. Walki w Libanie. Bomby podłożone przez terrorystów. W Afryce susza. Dzieci umierają z głodu. Żeby zapewnić im dostatek żywności, wystarczyłoby wydać na ten cel jedną tysięczną tych pieniędzy, za które kupuje się śmiertelne rakiety. Jakieś zakłady chemiczne zatruiły powietrze i rzeki. Na dalekich pięknych wyspach policja złapała gangsterów handlujących narkotykami. Królowa w bogatej karecie, otoczona gwardzistami w paradnych mundurach, udaje się do parlamentu, by wygłosić mowę tronową. Nowa moda dla pań i panów...

Łukasz sposepniał i zamyślił się. Nie usłyszał nawet, kiedy, dokładnie tak, jak przewidział dziadek, między wiadomościami sportowymi a prognozą pogody, oddano głos reporterowi w Górku. Ocknął się dopiero wówczas, gdy pan Klemens wyłączył telewizor.

— Powiedział, co wiedział — mruknął dziadek wracając na fotel.

— Przecież mówiłam! — prychnęła Mira.

— Dlaczego on nie wierzy, że tu wylądowali kosmici? — spytała z zadumą jej mama. — Tylu ludzi widziało spodki...

— Kto nie wierzy? Dziennikarz? — zdziwił się Łukasz.

— Nie słuchałeś? — ojciec zerknął na niego podejrzliwie. — Zapytano o zdanie wybitnego specjalistę ze stolicy.

— To jeden z tych, którzy „badają sprawę” — wyjaśnił dziadek Klemens. — Proszę się z nich nie śmiać, bo od jutra ja też zacznę ją badać. Zaraz rano pójdę dyżurować pod szkołą. Dzisiaj zrobiłem sobie wolny dzień, to muszę go odpracować, prawda? Przy okazji postaram się zamienić kilka słów z o ileż ucześniejszym ode mnie panem Turbo. Zresztą i tak mam w Górku coś do załatwienia. Ale chcę iść sam, jasne? — rzucił niespodziewanie. — Muszę zrobić użytek z moich szarych komórek, a one mają zwyczaj pierzchać w nieładzie na wasz widok. Dobranoc — zakończył i zamknął za sobą drzwi.

W panińskim pokoiku na górze zgasło światło. Za oknem, na ciągle bezchmurnym niebie, migotało mrowie gwiazd. Noc, choć tak pogodna, była ciepła.

Łukasz leżał przykryty do pasa cienkim prześcieradłem i patrzył na ojca stojącego przy oknie. W pewnym momencie spytał:

— Tato, czy oni to widzą? To wszystko...

Czarna sylwetka na tle nieba zmieniła położenie.

— Chodzi ci o to, czy kosmici oglądają nasze dzienniki telewizyjne? — ojciec nie pomyślał o nocy ani o gwiazdach, tylko od razu utrafił w sedno.

— Tak. Dzienniki i to, o czym się tam mówi. I w ogóle...

Ojciec westchnął.

— Być może widzą — rzekł ściszym głosem. — Ale, wiesz, ja myślałem teraz o tym, że my to widzimy...

## W pułapce

Od progu dobiegło ciche chrząknięcie. Łukasz szybko zamknął teczkę i odłożył ją na miejsce. Unosząc pod powiekami obraz ślicznej, uśmiechniętej twarzyczki, podszedł do okna i zainteresował się krajobrazem. Wiedział, że za jego plecami ojciec kończy swoją skromną poranną toaletę, ale nie odwracał się. Czuł, że jego oczy powiedziałyby więcej, niż pozwalala na to godność piętnastoletniego mężczyzny.

Ale tego poranka myśli ojca biegły własnymi drogami. Chłopiec poczuł nagle na ramieniu lekki dotyk dłoni i usłyszał słowa, wymówione zaskakująco ciepłym tonem: — Pięknie to jest narysowane, prawda? I tak świetnie zgadza się z osobą artystki. Cała He... pani Helena.

Łukasz przełknął ślinę. Przyszło mu do głowy, że gdyby pani Helena sporządziła swój portret, to kto wie, czy na odmianę on nie zdybałby ojca, przeglądającego ukradkiem wiadomą teczkę. Była to przelotna wizja, która zaledwie musnęła jego wyobraźnię. Rzecz jasna, nie zająknął się na jej temat. Coś jednak powiedzieć musiał.

— Bardzo ładna pogoda — rzekł grubym głosem.

Na dole zastali nie znaną im, tęgą kobietę w jasnoszarej, kretonowej sukience, z włosami zawiązanymi cienką chustą. Przy drzwiach czekał na nią piegowaty syn gajowego, który pierwszego dnia po przyjeździe przyprowadził tu swoją małą siostrzyczkę. Okazało się, że tęga kobieta jest jego matką. Wyszła właśnie z kuchni i odprowadzana przez panią Helenę zmierzała ku werandzie.

— Bardzo dziękuję — mówiła mama Miry i Pawła. — Brakowało nam sera, a zwłaszcza jarzyn. W Górku niczego nie można kupić. Ale na przyszłość to ja będę przychodziła do was. Pani ma teraz tyle spraw na głowie... Przecież mąż jest stale poza domem.

— Tato wpadł wczoraj wieczorem, włożył czystą koszulę, powiedział sto razy „koniec świata!”, zjadł pół surowego kartofla, który przypadkiem leżał obok chleba i poleciał z powrotem — oznajmił radośnie rudzielec.

— A ty pomagasz mamie, czy chodzisz z ojcem? — spytała z uśmiechem pani Helena.

— Jak mam chodzić z ojcem, skoro wszędzie muszę ze sobą taszczyć tę smarkulę — odpowiedział chłopiec. — Powtarza w kółko: „Tata ma krę-ć-ka” i nadyma się jak ropucha, bo przypadkiem usłyszała, że kosmici latają okrągłymi spodkami. No to udaje, że jest spodkiem. Wciąga powietrze i przestaje oddychać, tylko macha łapami. Już trzy razy o mało się nie udusiła.

— No właśnie — żona gajowego załamała ręce, ale zaraz uspokoiła się i objęła syna ramieniem. — Prawdę mówiąc, pomaga — spojrzała na piegusa zatroskanym wzrokiem. — Opiekuje się siostrą, nosi ojcu jedzenie, pracuje w ogrodzie. Pewnie że ciągnie go do lasu i do tych wszystkich nadzwyczajności. Wczoraj wymiotło go nagle z domu i musiałam sama iść na łąkę po krowy.

— Wcale nie szukałem żadnych nadzwyczajności — odrzekł niestropiony piegus — tylko chciałem popływać w jeziorze. Znam dobre miejsce, tu, niedaleko. Kiedyś wybierali tam kamień, a teraz jest jakby taka jaskinia bez sufitu. Naokoło skały, nad wodą też skały i można z nich skakać jak z wieży. Tuż przy brzegu głęboko, że dna nie widać. Nikt tam nie chodzi, bo nie ma przejścia. Ale w tym roku, jak na złość, zajęli to miejsce jacyś turyści. Rozbili namioty, mają łódkę, aparaty do nurkowania, w ogóle wszystko. Spytałem grzecznie, czy szukają kosmitów, a oni na to, że kosmici... Nie, tego nie powtórzę. Powiedzieli jeszcze, że badają wodę, czy jest czysta i że

wobec tego nie wolno tam się kąpać, bo to zepsułoby im badania. Odszedłem, wlałem do jeziora gdzie indziej, popływałem pięć minut i wróciłem do domu. A mama zaraz, że nie było mnie pół dnia.

„Niebezpieczne miejsce” — odgadł natychmiast Łukasz. Moi trzej znajomi ze skalnej półki. Ale mnie nic nie wspomnieli o tym, że prowadzą jakieś badania. Przeciwnie, sami posłali mnie do wody, żebym splukał z siebie zupę. Dziwne...

Pani Helena leszcze raz podziękowała sympatycznej żonie gajowego, po czym ta zabrała syna i poszła. Rzeczywiście musiała mieć teraz niełatwe życie.

Po śniadaniu dziadek Klemens, zgodnie z wczorajszą zapowiedzią, wybrał się do Górka. Paweł najpierw burknął, że nigdzie nie pójdzie, następnie przez nikogo nie pytany oświadczył, że ma po dziurki w nosie tych ciągłych, nieznośnych „A dokąd?”, „A kiedy?”, „A z kim?”, „A po co?”. Wreszcie z miną człowieka bezgranicznie zmęczonego życiem opuścił dom, znikając na ścieżce skręcającej do wąwozu. Jego mama odprowadziła go melancholijnym wzrokiem, po czym powiedziała, że zamyka się w kuchni, nareszcie jako tako zaopatrzonej, i że nie życzy sobie widowni ani pomocników. Mira zabrała książkę, litrową butelkę coca-coli, której obfity zapas przyjechał z Krakowa w bagażniku poloneza i tak uzbrojona poszła na leżak. Łukaszowi i jego ojcu nie pozostało nic innego, jak tylko udać się nad jezioro.

Wrócili wcześniej, ale nie byli pierwsi. Po dużym pokoju na dole krążył samotnie Paweł. Chodził z kąta w kąt z rękami założonymi na plecach i wyglądał jak wódz, który najniespodziewaniej dla samego siebie przegrał walną bitwę. Był czysty, ponury i zły. Ale bardziej ponury niż zły.

Wkrótce nadszedł pan Klemens a zaraz potem podano obiad. Przy stole najbardziej ożywiona była Mira. Zgubiła gdzieś wyniosłą obojętność dla marnych spraw tego marnego świata i zasypywała dziadka pytaniami. Zaczęła między owocowym chłodnikiem a kurczakiem z sałatą.

— Rozmawiałeś z tym profesorem... jak mu tam?

— Turbo? Rozmawiałem.

— Wyniuchał już coś?

— On nie niucha, tylko bada, poznaje, porównuje, jeszcze raz bada, poznaje, porównuje, po czym czeka pięć lat i wysnuwa wnioski.

— To dlaczego poszedłeś do niego dzisiaj, a nie za pięć lat?

— Chodziłem w sprawie czegoś, co badał pięć lat temu.

— Ee... Kosmici się nie pokazali?

— Czekają na lepszych ode mnie. Wybieracie się po południu do Górka?

— Ee... Dziadku, jak oni właściwie mówią?

— Tak: ap-ap-ap — pokazał pan Klemens kłapiąc dolną szczęką.

— Ee...

W tym momencie na stole ukazały się zapowiedziane kurczaki, co chwilowo uniemożliwiło konwersację. Jednak cisza nie trwała długo.

— Ja pytałam, jak oni to robią, że kiedy mówią, to słychać w całym Górku? — przypuściła nowy atak Mira, wymachując przyrumienionym udkiem.

Dziadek przełknął i powiedział: — Opuść rękę, bo się przestraszę, udławię, umrę i będę cię potem straszyć. Nie wiem, jak to robią, ale nam wystarcza do tego celu jeden mikrofon i kilka głośników.

— A właściwie czemu oni przestali się pokazywać? Na początku ludzie wszędzie widywali spodki, ktoś w nich zawsze siedział, potem były kolorowe kule i światła... Teraz nic, tylko mówią.

Dziadek wyprostował się i spoważniał.

— Wiesz — rzekł powoli, z zastanowieniem — to wcale niegłupie. Właśnie,

dlaczego zrezygnowali z prezentowania swoich ogni sztucznych, pojazdów i zielonych, skośnookich twarzy?

— No?

— Być może — pan Klemens zmarszczył brwi — ten poprzedni etap był jedynie wstępem. Chcieli zwrócić na siebie uwagę, ściągnąć tutaj jak najwięcej osób, żeby mieć odpowiednią liczbę słuchaczy. Kiedy im się to udało, kokieteryjne światelka przestały być potrzebne. Z tego by wynikało, że w gruncie rzeczy ważne jest dla nich nie to, czego dowiedzą się o ludziach, a to, co sami mają im do powiedzenia.

— Jak to? — nie zrozumiała Mira. — Przecież wyraźnie oświadczyli, że badają ziemię, że wysyłają te swoje aparaty. Ale jak je wysyłają, skoro od dwóch dni nikt nie widział żadnego ognia ani światła? Takie aparaty się wystrzeliwuje, prawda?

— O to powinnaś zapytać Pawła. On jest tutaj ekspertem od wystrzeliwania. Ja tylko próbuję od czasu do czasu trochę pomyśleć. Niekiedy mi się nawet udaje, czego i wam serdecznie życzę.

— Ee... — Mira odruchowo zwróciła się jednak w stronę brata.

Ten wzruszył ramionami, burknął: — albo się wystrzeliwuje, albo się nie wystrzeliwuje — po czym ostentacyjnie włożył do ust ogromny kłęb kapiącej śmietaną sałaty. Mira straciła dobry humor, skrzywiła się z obrzydzeniem, powiedziała: — wstrętne prosię — i ponownie spojrzała na dziadka.

— A może mają inne powody — podjął ten ostatni, gładko przechodząc do porządku nad kwestią sałaty i prosięcia. — Osobiście pewny jestem tylko jednego. Byłbym szczerze zadowolony, gdyby ci kosmici poszukali sobie miejsca gdzie indziej.

— Co takiego? — wykrzyknęli chórem obecni, z wyjątkiem ojca Łukasza, który swoje „co takiego” powiedział szeptem, oraz Pawła, który zrobił minę, jakby w tym jednym jedynym wypadku był skłonny podzielić opinię dziadka.

Pan Klemens skwapliwie zajął się resztkami kurczaka. Skończył, odsunął talerz, po czym rzekł: — Mam do was prośbę. Możecie ją potraktować jako dziwactwo dziecienniałego staruszka, ale w przyzwoitych rodzinach ustępuje się dziecienniałym staruszkom, chociażby dla świętego spokoju. Dopóki nie dowiemy się czegoś więcej o naszych kosmitach, trzymajcie się z daleka od wszystkiego, co zalatuje spodkami i ma zielone gęby. Dotyczy to również miejsc, gdzie przeróżnej maści badacze, poszukiwacze, ufolodzy i kombinatorzy... kombinatorzy — powtórzył muskając spojrzeniem czuprynę Pawła — znajdują jakieś ślady. Powiadają, że przestępca wraca na miejsce zbrodni, więc przypadkiem moglibyście się tam natknąć na pobratymca Alaudy, a tego właśnie, tak przynajmniej sędzę w tej chwili, nie życzyłbym nikomu. Dixi. Powiedziałem — postawił kropkę, po czym swoim zwyczajem błyskawicznie przeskoczył do innego tematu, zmieniając ton na lekki, a nawet żartobliwy. — No, dzieci, czas pomyśleć o przyjemnościach. Co do mnie, złożę teraz strudzone ciało na kanapie, a po drzemce pójde zamoczyć kości w jeziorze. A wy?

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Wszyscy byli pod wrażeniem dziwnej prośby pana Klemensa, a zwłaszcza sposobu, w jaki została przedłożona.

Pierwszy ocknął się ojciec Łukasza.

— Powtórzmy wczorajsze popołudnie? — uśmiechnął się do pani domu. — Cudowne jest to wasze jezioro. Naprawdę powinnaś mniej przesiadywać w kuchni, a więcej myśleć o sobie.

— Święte słowa — przytaknął dziadek.

Pani Helena odwzajemniła uśmiech, skinęła głową na znak zgody, a następnie szybko zerknęła w stronę Pawła. Ten nasrożył się, popatrzył na Łukasza, przeniósł wzrok na jego ojca, wydał pogardliwie wargi, po czym wstał i powiedział nosowym głosem: — Ja pójde popływać. Ale nie będę taplać się w błocie przy samym brzegu.

Wezmę ponton.

— Nie masz dzisiaj nic do załatwienia w lesie? — zagadnął życzliwie dziadek.

— Ee... — Paweł wzruszył ramionami i opuścił pokój. Do komórki, w której przechowywano sprzęt wodniacki, wchodziło się z przeciwnej strony domu.

— A ty, kochanie? — mama zwróciła się do Miry.

— Nie wiem. Może później też zdecyduję się na kąpiel. Choć właściwie nie lubię tłoku.

Łukasz pomyślał, że on także nie lubi tłoku, zwłaszcza gdy sam ma być jednym z tych, których jest za dużo. Już chciał oświadczyć, że nigdzie się nie wybiera, gdy nagle przypomniał sobie opowieść syna gajowego o turystach, okupujących najlepsze w okolicy miejsce do kąpeli. Od razu przyszło mu do głowy, żeby odwiedzić mieszkańców nadbrzeżnej jaskini bez dachu, czyli dawnego kamieniołomu. Oni coś kręcą. Pójdzie tam. To będzie ciekawsze, niż siedzieć na piasku i oglądać kwaśne miny Pawła. Przywita się jakby nigdy nic i powie, że chciał im jeszcze raz podziękować. Za to go przecież nie zjedzą...

— Przejdę się trochę, dobrze tato? — spytał. — Potem przyjdę do was na plażę. Ojciec nie miał zastrzeżeń.

Zbiegał drobnymi kroczkami po zboczu ciesząc się, że jest sam i że czeka go interesujące popołudnie. Oczywiście, dzisiaj nie przedzierał się przez zarośla do pamiętnej tablicy. Postanowił zejść prosto na plażę, a potem skręcić w lewo, to jest nie w kierunku Górka, tylko przeciwnym. Będzie na miejscu za dziesięć minut.

Nie wiedział, że za nim, tą samą ścieżką i w tym samym tempie podąża na palcach drobna postać, która najwyraźniej ma go na oku. Inaczej nie przemykałaby tak cicho od drzewa do drzewa jak leśny, zielony duszek. Co nie znaczy, że ten ktoś był zielony. Wcale nie. Był brązowy i niebieski.

Łukasz mijał właśnie ostatnie zarośla. Pod nimi dróżka spadała raptownie, przecinała kamienisty garb i łagodnie lądowała na wąskiej plaży. Krzaki i młode drzewka zostawały z tyłu. Odstąpił się rozległy widok na jezioro i góry. Tylko sama nadbrzeżna ścieżka była jeszcze zakryta przez wypukłość stoku. Chłopiec przebiegł kilka metrów i nagle zatrzymał się jak wryty. Zaraz potem skoczył do tyłu i w bok, chowając się z powrotem za najniższą rosnącą sosenkę. Następnie ostrożnie rozgarnął gałęzie i jeszcze ostrożniej wysunął głowę. Za sobą usłyszał odgłos, jakby ktoś potknął się o kamień, ale nie spojrzął w tę stronę. Zupełnie go teraz nie obchodziło, co dzieje się za jego plecami.

Brzegiem jeziora szedł w kierunku Górka bardzo wysoki mężczyzna w dżinsach i granatowej marynarce. Marynarka, w taki upał! Naturalnie. Krótkofalówka nie zmieściłaby się w kieszonce sportowej koszuli. Zresztą, ktoś, komu w największy letni skwar nie przeszkadza taka kożuchowata broda, równie dobrze mógłby tu paradować nie tylko w marynarce, lecz i w wełnianej jesionce.

Szpieg? Człowiek w służbie kosmitów? Przebrany kosmita?

Na tego ostatniego dryblas mimo wszystko nie wyglądał. Jego sylwetka i ruchy były zanadto ludzkie. Chyba tym razem pan Klemens się pomylił. Za wcześniej skojarzył sobie obecność brodacza z występami Alaudy. Nie. Jednak szpieg. Prowadził zaszyfrowane pogaduszki ze swoimi kompanami. O „małpach”, o „ptaszkach”, o „ćwierkaniu”. Poczekaj — obiecał mu w duchu Łukasz. — Już ja ci ćwierknę.

Oczywiście, że pójdzie za nim. Na pewno znowu spróbuje przekazać jakieś wiadomości albo odebrać nowe rozkazy. Wyjmie krótkofalówkę i... zostanie schwytany na gorącym uczynku. Wystarczy wrzasnąć. Przybiegnie milicja i będzie po wszystkim. Naturalnie, w domu ani pary z ust. Dzisiaj albo jutro dziadek Klemens

znowu włączy telewizor i dopiero wtedy wszyscy nagle usłyszą, że w Górku grasowali nie tylko kosmici. Ten dziennikarz z kamerą zrobi z nim wywiad. Paweł osłupieje. Mira...

A jeśli brodacz akurat śpieszy na jakieś potajemne spotkanie? Tym lepiej. Można by za jednym zamachem nakryć całą bandę tych ptaszków.

Szpieg oddalił się już na tyle, że chłopiec mógł bezpiecznie zejść nad samo jezioro i ruszyć za nim. Na wszelki wypadek szedł kocim chodem miękko stawiając nogi, i tylko kątem oka rejestrował mijane głązy oraz pnie, za którymi mógłby się w razie czego schować. Ale brodacz, jak dotąd, nie obejrzał się ani razu.

Chwilę później na plażycze pojawiła się brązowo-niebieska postać z dużym ręcznikiem i kostiumem kąpielowym przewieszonym przez ramię. Ale ten ktoś nie przyszedł się kąpać, a nawet jeśli tak, to teraz zmienił zamiar. Kostium i ręcznik spoczęły na piasku, a postać pomaszerowała w ślad za Łukaszem.

Brodacz szedł śmiało, nadal nie oglądał się na boki ani tym bardziej za siebie, a w pewnym momencie zaczął beczelnie pogwizdywać pod nosem wesołą melodyjkę. Kiedy ujrzał przed sobą przystań, bez wahania skręcił w stronę kawiarenki, pomimo że ta pękała dziś od natłoku gości pod kolorowymi parasolami. Wzgardził wygodnym chodnikiem i brnąc w piachu zmierzał najkrótszą drogą ku pawilonowi handlowemu, którego dach widać było już od dawna na tle drzew otaczających szkołę. Czyżby zamierzał uruchomić swoją krótkofalówkę w tym samym kącie co wtedy? Jakiś niewydarzony szpieg — pomyślał Łukasz z pewnym rozczarowaniem. Wolałby przyskrzynieć starego wyjadacza, mistrza w swoim przestępczym fachu. Porządni szpiedzy za każdym razem zmieniają swoje punkty obserwacyjne, miejsca gdzie spotykają się ze sobą i gdzie nadają zaszyfrowane depesze. Naturalnie, lepszy marny szpieg niż żaden, ale mimo wszystko chłopiec trochę zmarkotniał. Taka płotka...

Jednakże mężczyzna w marynarce nie szedł do pawilonu. Dotarł do dużego drzewa, rosnącego u wylotu ślepej uliczki i raptem, w ułamku sekundy, zniknął Łukaszowi z oczu. Dosłownie, jakby zapadł się pod ziemię.

Chłopiec stanął. Iść dalej? A jeśli ten typ jest wbrew pozorom wytrawnym szpiegiem? Jeśli tylko udawał, że go nie zauważył? A teraz zaczął się i kiedy Łukasz będzie przechodził obok jego kryjówki, wyskoczy, porwie go za gardło i udusi, zanim ofiara zdoła zipnąć, nie mówiąc już o wezwaniu pomocy? Trzeba pomyśleć...

Do takiego samego wniosku doszła postać skradająca się za detektywem. Była w jeszcze gorszej sytuacji niż Łukasz. W każdej chwili mogła zostać zauważona nie przez jedną, a przez dwie osoby, którym dyskretnie deptała po piętach. W dodatku, gdy brodacz zniknął za drzewem, a sunący za nim cień stanął zdezorientowany, znalazła się na odkrytej przestrzeni, z dala od jakiegokolwiek schowka. Powoli, jak człowiek, który na mnóstwo czasu i który przechadza się bez żadnego celu, ot, tak, dla zabicia czasu, ruszyła w stronę najbliższych zarośli. Najbliższych, co wcale nie znaczy, że te zarośla były blisko. Ale przed ich ścianą rósł wysunięty, pojedynczy krzak tarniny, jakby postawiony na straży. Dostatecznie rozłożysty, by można się za nim ukryć.

Łukasz również nie zwlekał zbyt długo. Rozejrzał się obojętnie po niebie, po czym niespiesznie ruszył przed siebie. Przyszło mu bowiem do głowy, że przecież brodacz go nie zna, nigdy go nie widział, a jeśli nawet przypadkiem zauważył go w tłumie kłębiącym się pod szkołą, to nie wie, że sam został dostrzeżony i podsłuchany. A w takim razie, dlaczego niby miałby się na niego rzucać i dusić, ryzykując, że ofiara zdąży jednak narobić hałasu?

Drzewo było tuż. Łukasz kroczył powoli, jak najedzona czapla, niedbale

rozglądając się w prawo i w lewo. Nagle usłyszał głośny szelest liści i trzask łamanych gałązek, po których nastąpiło zrzędlive mamrotanie.

Zadarł głowę i zobaczył nad sobą buty spoczywające na grubym konarze.

Nad butami ciągnęły się wzwyż dzinsy, nad nimi granatowa marynarka, a jeszcze wyżej majaczyła wśród zieleni straszliwa broda. Raptem broda zmieniła położenie z pionowego na poziome, a na chłopca spojrzwały niezyczliwie szeroko otwarte oczy, obwiedzione jasną plamą twarzy, a raczej tego kawałeczka twarzy, któremu natura poskąpiła czarnego zarostu.

Pod drzewem i na drzewie zapanował idealny bezruch. Łukasz patrzył prościutko w górę. Z góry szpieg, z brodą częściowo ukrytą w marynarce, patrzył prościutko w dół. Trwało to wieki. Tak przynajmniej zdawało się chłopcu. Wreszcie znowu zaszeleściło, zatrzeszczało, zamamrotało, a następnie z drzewa spłynął gruby, ochryply głos:

— No...? Czego...?

— Iii... — powiedział Łukasz. Odchrząknął, jeszcze raz odchrząknął i wyjaśnił:

— Ni-i-i-c... Przepraszam...

No bo jak tu w takiej sytuacji zawołać: „Ha, mam cię, szpiegu”! Wątpliwe, czy zdobyłby się na to najprawdziwszy detektyw. A jeśli już chodzi o to, kto kogo ma, to sprawa jest co najmniej otwarta. Teraz ten łotr nie musi nawet skakać. Wystarczy, żeby puścił gałąź, której się trzyma...

— Proszę — odburknięto z góry. — A teraz zjeżdżaj, bo rozdepczę cię jak robaka. No właśnie.

Łukasz wyprostował szyję. Łupnęło mu w karku i zobaczył wszystkie gwiazdy. Ale nie czekał, aż do jego oczu powróci obraz jasnego błękitnego dnia, tylko posłusznie „zjechał”.

Chociaż „zjechał” to mimo wszystko przesada. Opuścił wprawdzie punkt, w który zgodnie z prawem powszechnego ciężenia musiał trafić brodac, gdyby postanowił w najprostszy sposób powrócić na ziemię, ale uczynił to spokojnie, a nawet z godnością. Skoro szpieg od razu nie spadł na niego jak krwiożerczy sęp, to widać wlaź na drzewo nie po to, żeby się zasadzać na człowieka, który go śledził. Wobec tego, po co?

Łukasz szedł coraz wolniej i myślał. Co może robić szpieg na drzewie? Naturalnie, obserwować coś, czego nie wolno obserwować. Sfotografować to coś albo sporządzić jakiś rysunek czy mapę. Czego w Górku nie wolno obserwować? Szkoły z zamkniętym w niej „sztabem”? Ależ tam są zawsze tłumy i wszyscy wszystko doskonale widzą. Ludzi? Są tacy jak wszędzie. Więc czego? Bo przecież nie Bulgotka z jego napojami firmowymi ani Kapelusznika za pustym stołem.

Z tyłu zaszeleściło gwałtowniej niż przedtem, a następnie coś głucho wyrznęło w ziemię. Chłopiec odwrócił się błyskawicznie. Brodac leżał jak długi i wyrzucał z siebie brzydkie słowa. Widać jednak wyszedł z upadku bez uszczerbku, bo szybko stanął na nogach. Zmierzył Łukasza morderczym spojrzeniem, poprawił na sobie marynarkę, otrzepał spodnie i odszedł. Maszerował energicznym krokiem przez puste pole, kierując się w stronę samotnego krzaka, rosnącego kilkanaście metrów przed zbitą ławą zarośli. Były to te same zarośla, przez które przebiegał skrót z domu państwa Piotrowiczów do centrum Górka. Tym skrótem, brzegiem budowlanego zwałowiska, prowadziła wczoraj Łukasza Mira.

Chłopiec bez zastanowienia ruszył za nim. Nie próbował już udawać, że tylko przypadkiem idzie w tę samą stronę. Teraz to nie miało znaczenia. Teraz szpieg i tak już go widział i na pewno dobrze go sobie zapamiętał. A poza tym jest tak pewny siebie, że wcale nie będzie się oglądać.

Rzeczywiście. Uszli już spory kawałek drogi, a mężczyzna w marynarce ani razu



nie zerknął za siebie.

W pewnym momencie Łukaszowi wydało się, że za pojedynczym krzakiem, ku któremu celował brodacze, coś się poruszyło. Ale miał ważniejsze sprawy na głowie, niż zagłębienie pod krzaczki.

Nagle obaj ludzie, przecinający łagodnie, nagle zbrocze zatrzymali się i jak na komendę spojrzeli w górę. Skądś, a właściwie zewsząd, chrupnęło, po czym w powietrzu poniósł się znajomy głos: — Tu Alauda z Planety Tsieciej. Pozdrawiam was, ludzie. Wcioraj oglądaliśmy was dziennik telewizyjny...

Miałem rację — jęknął w duchu Łukasz. — Oni słyszeli...

— ...telewizyjny i wysłaliśmy aparaty tam — ciągnął kosmita — gdzie na Ziemi dzieje się coś, co nas zainteresowało. Na przykład sprawa narkotyków i narkomanii. Zorientowaliśmy się, że sami zwalczacie tę plagę. Że policje wszędzie ścigają i zamykają tych, co robią narkotyki i je spsiedają. To rozumiemy. Ale dlaczego w tych samych krajach, w których policje łapią handlazi narkotyków, można robić i spsiedawać broń? Od narkotyków się umiera i od broni się umiera. Tymczasem handlarze narkotyków idą do więzienia, a handlarze broni chodzą na wolności, są bogaci i mają władzę. Jak to może być? Ludzie! Was świat jest gorszy, niż myśleliśmy. Będziemy nadal badać Ziemię, ale boimy się, że trafiliśmy w niedobre miejsce. Odezwę się znowu. Pozdrawiam was, ludzie.

Łukasz zagryzł wargi do krwi. A to się rozgadał — mruknął niechętnie, ale w duchu poczuł się wstrząśnięty i zawstydzony. Nie rozumiał do końca tego, co Alauda mówił o broni i narkotykach, jednak w tej chwili wcale nie chciał tego do końca zrozumieć. On nie musi niczego badać. On wie, jak świat wygląda. Wystarczy właśnie włączyć telewizor albo przeczytać gazetę. Starsi bez przerwy mówią o czymś, czego nie powinno być. A teraz to wszystko widzą oni.

Jak ich przekonać, że to nieprawda? Że się mylą? Że ludzie nie są źli...?

Zaraz. Dziadek Klemens mówił coś o nadziei i o tym, że za nadzieją idą czyny. A co wczoraj powiedział ojciec? „Myślałem o tym, że my to widzimy”... No pewnie, że widzimy. Alauda nie odkrył żadnej Ameryki.

Gdyby tylko był stąd, a nie z dalekich gwiazd...

Od strony Górka dobiegł głośny gwar. Oczywiście. Głos kosmity ogarnął całą okolicę. Tysiące ludzi wysłuchało kolejnego przemówienia.

Może znowu dokądś biegać? Tylko właściwie dokąd? I po co?

Ale ten gwar zagłuszył w Łukaszu echo słów kosmity. Chłopiec westchnął i poszukał wzrokiem brodacza. Świata od razu się nie zmieni.

O jednego ciemnego typa mniej, to w każdym razie byłoby już coś.

Typ także wysłuchał przemówienia Alaudy stojąc bez ruchu, ale teraz szedł już znowu w stronę zarośli i ukrytego w nich zwałowiska. Właśnie mijał samotny krzak tarniny.

Łukasz puścił się biegiem, błyskawicznie pokonał odległość dzielącą go od owego krzaka i uskoczył w bok szukając schronienia za kolczastymi gałęziami. Nadepnął na jakiś kamień. Ten natychmiast wysliznął mu się spod stopy.

— No! — wyszczał ze złością cienki głosik. — Mógłbyś trochę uważać! Ty słoni!

Chłopca zamurowało. Wybałuszył oczy i patrzył na Mirę, jak człowiek nie wierzący w duchy, który zobaczywszy nagle stu procentowe widmo powtarza sobie po cichu: „tego tu nie ma. Tego tu nie ma...”

Dziewczyna, schowana dotąd za krzakiem, wstała i odruchowo wygładziła sukienkę. Sukienka była bez rękawów i znowu pięknie harmonizowała ze śniadą cerą swojej właścicielki. Niebieskobrazowa postać okazała się niebieskobrazową osobką.

— Co się tak gapisz? — zagadnęła osobka.

Ktoś kiedyś napisał, że większą sztuką jest stawianie pytań, niż udzielanie odpowiedzi. To spostrzeżenie potwierdziło się teraz w całej rozciągłości,

Łukasz rzekł:

— Skąd... Skąd... Skąd?

— Wyobraź sobie, że z domu! — prychnęła Mira. — Szłam nad jezioro, żeby się wykapać i zobaczyłam, jak podglądasz to brodate indywiduum — słowo „indywiduum” zostało wymówione starannie i dobitnie. — Potem ty zacząłeś śledzić jego, a ja was obu. Pomyślałam sobie, że ten typ ma coś wspólnego z Pawłem... i z tymi glinianymi pamiątkami.

Miałeś taką minę, kiedy wychodziłeś na spacer...

Łukasz ochłonął z pierwszego wrażenia i poczuł się dotknięty. Minę?

Co znowu? Napomknął przecież tak sprytnie o niewinnej przechadzce przed pływaniem...

— Nie miałem żadnej miny — powiedział.

— Miałeś, miałeś. Tak samo głupią jak teraz, tylko trochę inną.

— A potem widziałam, jak ten drab włązi na drzewo — ciągnęła gładko Mira. — Nie chciałam, żebyście mnie zobaczyli, więc schowałam się tutaj. Ty stanąłeś tam pod nim i rozmawialiście o czymś. Kiedy uciekłeś, a on i zleciał, nie mogłam już stąd wyjść, bo szedł prosto na mnie. Ty nadbiegłeś za nim, żeby mi zmiażdżyć nogę. Wiesz już teraz „skąd, skąd, skąd”, (czy powtórzyć?)

— Nie trzeba — burknął ponuro Łukasz. — Wcale z nim nie rozmawiałem. Wcale nie uciekłem.

— Uciekłeś.

Chłopiec westchnął i nagle zdał sobie sprawę, że stracił tu już tyle bezcennego czasu. Brodacz!

Wychylił się zza krzaka, w samą porę, by ujrzeć granatową marynarkę znikającą w zaroślach.

— Idź do domu! — zawołał cicho, wybiegając na otwarte pole. — Ja muszę pędzić za nim!

— Akurat!

Łukasz zatrzymał się.

— Miro, proszę cię — rzekł zrozpaczony. — To... To nie ma nic wspólnego z Pawłem. Naprawdę! Wy tłumaczę ci potem. Ten człowiek jest niebezpieczny. Nie chodź za mną...

— Ee...

Nie było chwili do stracenia. Już biegnąc krzyknął jednak ponownie: — Nie chodź za mną! Proszę cię, nie chodź!

Kiedy z odsłoniętej przestrzeni wpadł w zieloną gęstwinę, wydało mu się, że raptem zapanowała noc. Jednak niebawem zrobiło się trochę jaśniej. Zarośla tworzyły zbitą masę, ale brodacz nie przypadkiem wtargnął w nie właśnie w tym miejscu. Znał widać tutejsze skróty jeszcze lepiej niż Mira. Trafił dokładnie tam, gdzie zaczynała się wąska, ale prosta ścieżka.

Dzięki temu, że była prosta, Łukasz niemal od razu zobaczył przed sobą tego, kogo ścigał. Mężczyzna w marynarce szedł teraz wolniej, a raz nawet na moment przystanął.

Chłopiec też posuwał się bardziej ostrożnie. Odgarniał krzyżujące się nad dróżką gałęzie i wypuszczał je potem tak, jakby były ze szkła.

Czuł się mniej pewnie niż na odkrytym stoku. Tam w razie czego można było odwrócić się na pięcie i pomknąć przed siebie w górę lub w dół.

Wszędzie dokoła znajdowali się ludzie. Teraz widać jedynie plecy szpiega.

Taki dwumetrowy zbir, któremu w największy upał nie przeszkadza gruba

marynarka, na pewno biega prędej niż uczciwy człowiek.

Zbir wyszedł na pełne słońce. Nad jego głową piętrzyły się bryły betonu. Dotarł do zwałowiska. Staął i nagle, po raz pierwszy, obejrzał się za siebie. Na szczęście przed Łukaszem gałęzie akurat wychylały się na drózkę z obu stron, jak zaciągnięte firanki. Chłopiec wstrzymał oddech i właśnie wtedy ktoś dotknął jego ramienia.

— Widzisz, jaka jestem grzeczna? — zaszeptało mu jadowicie tuż przy uchu. — Kazałeś mi iść do domu, to poszłam. Nie wspomniałeś, którądy mam iść...

Mijały sekundy. Minęło ich sporo, zanim Łukasz mógł się już odwrócić. Mira była promiennie uśmiechnięta i niebywale zadowolona z siebie.

Ten obraz sprawił, że chłopiec zamrugał oczami i wreszcie wypuścił z piersi powietrze, które pozostawało tam niewiarygodnie długo.

— Oooo...

Mira zrobiła kroczek do tyłu. Jej uśmiech stał się odrobinę mniej promienny. Ale nadal była zadowolona. Pogroziła Łukaszowi palcem, po czym tym samym palcem pokazała, gdzie należy patrzeć.

Brodacz wciąż bawił w tym samym miejscu. Jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle szarobiałych płyt i konstrukcji. Nagle zdecydowanym ruchem ściągnął z siebie marynarkę, zwinął ją i umieścił pod pachą. Następnie tak samo szybko pozbył się swojej imponującej brody.

— Oooo... — długi wydech popłynął teraz w odwrotną stronę. Łukasz poczuł na karku ożywczy wiaterek, ale nie odwrócił się. Czuł, że w tej chwili spogląda właśnie tam, gdzie należy.

Niestety, nie zobaczył zbyt wiele. Brodacz... to jest, były brodacz, cały czas patrzył w przeciwnym kierunku. Ani przez moment nie pokazał swojej tak raptownie ogołoconej twarzy. Nie przyszło mu do głowy, że może być śledzony. Nie zachowywałby się aż tak swobodnie. Był to więc tylko zbieg okoliczności, szczęśliwy dla tropionego, a fatalny dla tropiących. Łukasz podobnie jak wtedy, gdy brodacz, wówczas jeszcze brodacz, czaił się ze swoją krótkofalówką pod schodami sklepu, odniósł wrażenie, że tego człowieka musiał już kiedyś widzieć. Gdyby odwrócił się chociaż trochę.

Ale szpieg się nie odwrócił. Otarł sobie czoło brodą, następnie spojrzął w niebo, jakby się chciał z nim pożegnać i zniknąć. Nie odszedł, nie odfrunął, tylko zniknął.

W dłoń chłopca znajomym ruchem wślizgnęła się inna dłoń. Łukasz machinalnie zamknął ją w palcach, ale zaraz wypuścił.

— Poczekaj tutaj — poprosił szeptem. — Zobaczę, gdzie on jest, i wrócę...

Idąc na palcach dotarł do miejsca, gdzie szpieg zrzucił kudłatą ozdobę twarzy. Zupełny spokój. Nigdzie śladu czyjejś obecności.

Nagle rozległo się przytłumione stęknienie i głuchy odgłos, jakby spod ziemi. Ale jeśli nawet pod tym, kogo szukał, otworzyła się otchłań, a potem od razu nad nim zamknęła, to nie tutaj, tylko parę metrów dalej.

Parę metrów dalej była już bezładna góra betonowych kształtów. Chłopiec przyjrzał się poszarpanym krawędziom niedoszłych ścian, sterczącym coraz wyżej i wyżej. Niektóre wspierały się na innych zaledwie rąbkami kantów.

Dziwny dźwięk odezwał się znowu. Był ledwie słyszalny, ale Łukasz pozbył się wątpliwości, co do kierunku, z którego dochodził. Szpieg znajdował się wewnątrz zwałowiska. Co gorsza wchodził w nie coraz głębiej.

Chłopiec odetchnął. A jednak pozwoliłem mu zwać — pomyślał z żalem. Już otwierał usta, żeby zawołać Mirę, gdy wtem zbuntował się w duchu. Pozwoliłem mu zwać? To się jeszcze okaże!

Przeszedł parę metrów do przodu i stanął tam, gdzie przed chwilą znajdował się tropiony przestępca. Za resztkami kwadratowego komina czy czegoś, co miało być

ślepą komórką w przyszyłym budynku, ujrzał czarną szczelinę. Biegła skośnie w górę, gdzie jedna z jej ścian wpierała się w drugą, złamaną i zwisającą na zardzewiałych drutach. Ale u dołu rozstęp między ścianami był dostatecznie szeroki, by przepuścić człowieka. Nigdzie w pobliżu nie udało się Łukaszowi wypatrzeć podobnego otworu. Zatem szpieg zniknął właśnie tutaj. Skoro on potrafił...

Po paru metrach szczelina stała się przestronniejsza. Mimo to chłopiec szedł nisko pochylony i uważnie patrzył pod nogi. Pełno tu było kanciastych odłamków, ostro zakończonych prętów, sypkiego gruzu. Ciemno jak w grobie. Z czarnych zakamarków cuchnęło wilgocią i zgniłymi grzybami.

Ramiona Łukasza pokryły się gęsią skórką. Zrobił jeszcze kilkanaście kroków i spojrzął w górę. Wysoko, wśród przypadkowo rzuconych na siebie płyt, przeblyskiwały strzępki nieba jak błękitne gwiazdy. Paskudne miejsce. Dobrze, że przynajmniej nie trzeba się już kulić. Można stanąć komuś na barkach, a i tak nie dosięgłoby się głową poszarpanego stropu.

Chłopiec zaczął iść szybciej. Szpieg na pewno dobrze znał tę jaskinię i czuł się w niej jak w domu. Trzeba ryzykować. Nie można oglądać w nieskończoność każdego kamyczka, czy aby nie wyskoczy spod buta jak nadeptana żaba.

W górze coś chrupnęło i zazgrzytało. Z tyłu zachrobotał gruz. Nie były to przyjemne dźwięki. Ale nikt nie przyszedł tu dla przyjemności.

Szczelina kończyła się gwałtownym uskokiem. Droga skręcała pod ostrym kątem, omijała płytę szczerzącą skamieniałe zęby i biegła chwilę czymś w rodzaju tunelu, gdzie było zupełnie ciemno. Skręcała znowu, zmuszając wędrowca do balansowania na kawałku śliskiej rury, potem kazała mu wciągnąć brzuch, by mógł się przepchać między dwoma chropowatymi słupami i nagle, po kolejnym zakręcie, wypadła na słońce.

Jasność nie zawsze oznacza pogodę. Zrzucone naprędce betonowe konstrukcje dziwnym trafem pozostawiły nietknięte wolne pole, na którym rosły pożółkle chwasty. Placyk z trudem pomieściłby dwa ustawione obok siebie małe samochody. Panowała tu nieznośna spiekota. Nie było czym oddychać.

Ale dopiero stąd dało się należycie ocenić rozmiary gruzowiska. Powykrzywiane, szczerbate mury okalające bezwodną studnię pomykały na wysokość co najmniej dwóch pięter. Z góry wychylały się otwarte paszcze, patrzyły zębate, ślepe krawędzie z wtopionymi końcami przewodów, czyhały skośne płyty, jakby przygotowane do zepchnięcia. Słońce paliło tu niby na Saharze.

Brodacz bez brody jeśli w ogóle tędy przechodził, to opuścił placyk już dawno. Znikąd nie dobiegały odgłosy, które mogłyby stanowić wskazówkę, gdzie się w tej chwili znajduje.

Miał do wyboru dwie drogi, o ile zwykle dziury u podnóża rumowiska zasługują na miano dróg. Jeden z otworów znajdował się po lewej ręce, drugi po prawej. Chłopiec zawahał się.

— Na lewo — pisnął za nim zdyszany głosik. Łukasz dał susa na środek placyku, potknął się o jakieś zielsko, w locie. Wykonał pełny obrót i stanął przyjmując pozycję, którą bokserzy nazywają... choć nie. Tej akurat pozycji bokserzy w ogóle nie nazywają.

— Nie będę się bić — powiedziała Mira odrobinę mniej cienko — ale mogę cię zdzielić kamieniem. Jest ich tu dosyć.

Chłopiec nie od razu opuścił ręce. Kiedy to wreszcie zrobił, natychmiast podniósł je znowu i złapał się za głowę, jakby dziewczyna już wykonała to, o czym tak uroczo napomknęła.

— Dlaczego tu przysłaś?! — zawołał z rozpaczą, zapominając o wszystkich możliwych i niemożliwych szpiegach, fałszywych brodach i prawdziwych

krótkofalówkach. — Przecież prosiłem!

— Przyszłam, bo miałam ochotę — nie zabrzmiało to zbyt pewnie.

Oczy Miry były dwa razy większe niż zwykle i strzelały we wszystkie strony z wymownym pośpiechem. Łukasz nie mógł tego nie zauważyć. A gdy zauważył, rycerz natychmiast wziął w nim górę nad detektywem.

— Właśnie chciałem wracać — skłamał. — Tu nikogo nie ma. Ten człowiek musiał wleźć gdzie indziej — brnął bohatersko. — No, chodź. Stąd nic można pójść dalej...

Oczy dziewczyny zatrzymały się na jego twarzy.

— Można — szepnęła. Nie ulegało wątpliwości, że utraciła co nieco ze swojej zwykłej pewności siebie, ale tym co zostało, mogłaby obdzielić jeszcze całą gromadkę rówieśniczek, które znalazłyby się w równie osobliwej sytuacji. — O tam — pokazała otwór po lewej ręce.

— Nie można. Byłem tam i wiem...

— Nigdzie nie byłeś i nic nie wiesz. Szłam cały czas tuż za tobą i dobrze widziałam, co robisz.

— Nie można. Wracajmy — upierał się Łukasz.

— Ee!

— Bardzo cię proszę...

— Ee...

Chłopiec odruchowo spojrział w kierunku większej z dwóch pośpnych szczelin, które mogły wchłonąć zbiega.

— Nie tam. Tam — Mira nieodwołalnie upodobała sobie dziurę po przeciwnej stronie.

— Wracajmy — teraz z kolei głos Łukasza zabrzmiał podejrzliwie cienko. Nieszczęsny tropiciel zaczynał zdawać sobie sprawę z daremności swoich wysiłków.

— Wracaj sam, skoro się boisz — usłyszał. — Ja idę. — Mira podeszła do upatrzonego otworu. Schyliła się i zajrzała do środka.

— Jeśli już, to spróbujmy przynajmniej na prawo — chłopiec podjął ostatnią próbę. — Tam jest więcej miejsca. Na pewno poszedł tamtędy...

— Przed chwilą mówiłeś, że go tu w ogóle nie było — zauważyła dziewczyna. — Ja wchodzę.

I weszła.

Łukasz nie mógł już nic powiedzieć. Nie zostawiono mu wyboru. Czy miał ją puścić samą?

Przeście między ścieżką wydeptaną na skraju zarośli, a płacykiem wewnątrz gruzowiska było mroczne, ponure i groźne, ale u porównaniu z labiryntem, jaki teraz przyszło im pokonać, mogło się wydawać reprezentacyjnym deptakiem. Posuwali się najczęściej na czworakach. Co chwilę zawadzali głowami lub łokciami o ostre przeszkody. Chłopiec nieustannie próbował wyprzedzić Mirę, jednak w przeraźliwej ciasnocie było to absolutnie niewykonalne.

Dziewczyna niezmordowanie parła do przodu. Nic jej nie zrażało.

Od dawna stało się jasne, że przed nimi nikt tędy nie szedł. To nie było żadne przejście. Po prostu ciąg przypadkowych szczelin w bezładnym zwałowisku. W każdym momencie można było wybrać inny kierunek i niczego by to nie zmieniło.

Na domiar złego ciągle wznosili się wyżej. Trafiali na płyty spoczywające na poprzednich i chcąc nie chcąc musieli na nie wpełzać. Chcąc nie chcąc, to znaczy że nie chciał Łukasz, a chciała Mira. Ale to wystarczyło, po pewnym czasie byli już tak wysoko, że kiedy przez szpary nad nimi wpadało więcej światła, pod sobą nie widzieli już ziemi, tylko czarne, bezdenne rozpadliny.

Nagle Mira zatrzymała się. Przed nią sterczał prostopadły blok zamykający drogę.

Jednak między jego górną krawędzią a płytą, stanowiącą w tym miejscu coś w rodzaju stropu, jaśniał duży skrawek nieba. Dziewczyna osądziła widać, że komin jest wystarczająco obszerny, bo stanęła na palcach, podciągnęła się na rękach i w mgnieniu oka zniknęła w górze.

Tylko przez moment jej zgrabne nogi zafurkotały na tle błękitu jak skrzydła ptaka. Chłopiec postanowił zrobić to samo. Niestety. Brzuch nie sprawiłby mu najmniejszych kłopotów, ale barki miał jednak znacznie szersze niż jego poprzedniczka. Toteż utknął beznadziejnie w połowie drogi. Gdyby ktoś przypadkiem znalazł się teraz pod nim, to na pewno nie przyszyłby mu na myśl skrzydła ptaka. Wiszące w powietrzu nogi tak gorączkowo szukały punktu zaczepienia, że co najwyżej mogły przypominać jakiegoś oszalałego dziecięcia. Tylko że dziecięta miewają twarde i ostre dzioby, a stopy Łukasza tkwiły w miękkich trampkach.

Raptem w górze rozległ się rozpaczliwy okrzyk. Był krótki, urwany, jakby wołającej głos uwiązał w gardle. Nastąpiła cisza.

Łukasz nigdy nie potrafiłby powiedzieć, jak to się stało, że wystrzelił w górę niczym korek z butelki szampana. Przeszorował dłońmi po szorstkiej płycie, zerwał się, przyskoczył do Miry i chwycił ją za ramiona. Dziewczyna wyrwała mu się i przykucnęła.

Byli na szczycie zwałowiska. Wokół panorama jak z bajki. Cudowne, spokojne jezioro. Tak blisko, a zarazem tak daleko. Senne zielone wzgórza i ich czarnozielone cienie pod przeciwległym brzegiem. Na prawo przystań. Parasole kawiarenki podobne do biedronek. Drobne figurki ludzi.

Pełno ich na chodniku biegnącym do pomostu, na szosie, pod pawilonem, koło szkoły. Widać stożkowaty dach pięknego domu państwa Piotrowiczów. Gdzie spojrzeć, wszędzie tak ładnie i bezpiecznie.

Pod warunkiem, że nie patrzy się prosto w dół. W czeluść nowej studni, której krawędź jest o krok. Na dno nowego odsłoniętego placyku.

Tam, gdzie Mira dogoniła Łukasza, z biedą zmieściłyby się obok siebie dwa samochody. Tutaj można by ich postawić co najmniej pięć. Ale nikt nie stawiał tu samochodów.

Na płaskim poletku, porośniętym dzikim zielskiem, stał wielki, okrągły bąk. Był srebrny, lecz nie błyszczał. Po jego obwodzie, w najszerszym miejscu, biegł żółty pas, nabijany wypukłymi guzami. U góry znajdowała się kłapa, mniej więcej półtorametrowej średnicy. Pozostawiono ją nie domkniętą. Jedyne widoczne zatrzask zwiślał swobodnie na wydłużonej sprężynie. Bąk nie dotykał powierzchni ziemi. Musiał spoczywać na jakichś nóżkach, niewidocznych z góry. Doskonale widać było natomiast linki podtrzymujące cienki, przezroczysty dach, rozpięty nad całą konstrukcją.

Latający spodek. Pojazd Alaudy i jego towarzyszy. Istot przybyłych z gwiazd.

Pani Helena wraz z ojcem Łukasza dopłynęli do brzegu. Od wczoraj oboje zdążyli się opalić. Kiedy tak szli roztrzając stopami coraz płytszą wodę, wyglądali jak para wytrawnych żeglarzy, która zatrzymała się na krótki odpoczynek u wybrzeży nieznanego lądu. Jednak nigdzie w pobliżu nie czekała na nich żadna łódź. Jedyne daleko na jeziorze ciemniał niewielki ponton. Leżał w nim Paweł. Na twarz nasunął białą czapeczkę, a ręce i nogi przewiesił przez poduszkowatą burtę. Cały ten obrazek tchnął absolutnie doskonałym lenistwem.

Pani Helena doszła do miejsca, gdzie tuż przy ścieżce leżały porzucone kostium oraz ręcznik, i przystanąła. Przez chwilę wpatrywała się z zadumą w te tak dobrze znane sobie rzeczy, po czym uniosła głowę i rozejrzała się. Ale właścicielki kostium i ręcznika nadal nigdzie nie było widać.

— Zaczynam się niepokoić — powiedziała do mężczyzny, który stanął obok niej.  
— Popatrz — wskazała oczami słońce. — Już pewnie szósta...  
Ojciec Łukasza spojrział na zegarek, przezornie ukryty w bucie.  
— Pół do szóstej — sprostował z ulgą. — Nie martw się, Helu. Mamy przecież lipiec.

— Powinni byli powiedzieć, dokąd idą.  
— To prawda. A może się spotkali i razem poszli do Górka...  
Pani Helena pokręciła głową z powątpiewaniem. Jej wzrok pobiegł w stronę pontonu.

— Pawle! — zawołała. — Pawle!  
Ciemny kształt zakołysał się ciężko. Na jeziorze coś zaburczało.  
— Pawle! Nie leż tak bez ruchu, bo zaśniesz! Nie wolno spać na wodzie!  
Słyszysz?

Burczenie przybrało na sile. Dało się słyszeć coś w rodzaju:— Ja na pewno nie zasnę. Ale wyraźnie zabrzmiało jedynie „ja”.

Z brzegu odpowiedziało westchnienie.

Na plażycze pojawił się dziadek Klemens. Był w samych kąpielówkach. Radośnie wywijając trzymanym w rękę ubraniem zszedł, a właściwie zbiegł ze zbocza i uśmiechnięty zmierzał ku zafrasowanej parze. Za nim podążał rudawy chłopiec, niosąc na barana małą dziewczynkę. Ta ostatnia wczepiła obie rączki w czuprynę swojego wierzchowca i wesoło zachęcała go do galopu.

— Jestem i wyzywam wszystkich na maraton pływacki! — pan Klemens zrzucił sandały, po czym wykonał kilka odważnych podskoków.

Gdyby nie biała głowa, śmiało można by go wziąć za ojca Miry i Pawła, a nie za ich dziadka. — No co? Tchórz was obleciał? — wołał tryumfująco. — A gdzie reszta? Aha, część reszty widzę — zauważył ponton. — Czy on jeszcze żyje, czy też odprawimy marynarski pogrzeb?

— Niech ojciec tak nie żartuje... — szepnęła pani Helena.

— Przepraszam, przepraszam — ukorzył się z przesadną skruchą dziadek. Nagle spojrział na synową i spoważniał. — Czy coś się stało?

— Nie, nie — powiedział szybko ojciec Łukasza. — Po prostu Mira zostawiła swoje rzeczy i dokądś poszła. Nie wiemy dokąd...

— Kostium leżał tutaj, kiedy przyszliśmy po obiedzie. Już wtedy jej nie było i dotąd się nie pokazała — wyjaśniła pani Helena. — Jestem troszeczkę zaniepokojona.

— Wszyscy chodzą teraz do Górka — pośpieszył z pociechą piegowaty syn gajowego. Zdjął z ramion siostrzyczkę i nie zważając na jej głośne protesty postawił ją na piasku. — Pewnie Mira specjalnie położyła tu ręcznik i kostium, żeby wykąpać się, kiedy będzie wracać. Po co taszczyć ze sobą rzeczy?

— Sama mądrość przemawia przez usta tego młodzieńca — wyrecytował dziadek. — Zaraz zobaczymy anielskie oblicze twojej córki i usłyszemy: „Co będzie na kolację?”

Tego popołudnia pan Klemens nie był szczęśliwym prorokiem.

— Oby — mruknęła pani Helena. — A jeśli weszła do wody? Zaraz po jedzeniu? — przestraszyła się nagle.

— Co tutaj leży? — dziadek pokazał palcem. — Kostium. Wobec tego gdzie jest Mira? Nie w wodzie. Nawet gdyby postanowiła zhańbić rodzinę i kąpać się publicznie na golasa, to co musiałoby leżeć obok kostiumu? Sukienka. Czy tutaj jest sukienka? Nie ma. Wobec tego, gdzie jest sukienka? Na Mirze. A może myślisz, że Mira poszła pływać w sukience?

— Ojciec ma rację. Mówię nedorzeczności — uśmiech na twarzy pani Heleny zgaśł jednak równie prędko, jak się pojawił. — Ale gdzie ona jest...

— Tego nie wiem — odparł lekko dziadek. — Wiem natomiast, gdzie ja zaraz będę. Mam za sobą pracowite godziny. Bronilem przed kosmitami całą ludzkość, a niektórych ludzi dodatkowo przed ziemskim kryminałem. Należy mi się odpoczynek — pan Klemens był najwyraźniej rad z siebie, z towarzystwa, w jakim się znalazł, z jeziora, gór i pogody. Zapewne dlatego stał się taki gadatliwy i, wbrew swoim obyczajom, sypał słowami bez zastanowienia. — Przypominam, że wyzwałem wszystkich obecnych na zawody pływackie. Dziesięć metrów od brzegu prosto, potem dziesięć na lewo, z powrotem, dziesięć na prawo, z powrotem, i na plażę — wyznaczył trasę „maratonu”. — Czekam!

— Jestem do dyspozycji — powiedział ojciec Łukasza.

— Znakomicie. Pański syn także jeszcze nie wrócił?

— Nie.

— Trudno. Zadowolę się rozgromieniem starszego pokolenia. A te zwłoki tam, w pontonie? Och, wybacz mi, Helu. Znowu te cmentarne dowcipy. Czy mimo wszystko pójdziesz ze mną do wody?

Pani Helena pokręciła głową.

— Pływałam już dwa razy — powiedziała przepraszającym tonem. — Jak na moje lata wystarczy. Posiedzę na brzegu i będę się wam przypatrywać.

— Tak, tak. W twoim wieku to rzeczywiście najstosowniejsze zajęcie. Spoczywaj w spoko... tfu, co też mi się dzisiaj uczepiło! Panie Rafale, hop!

Kiedy ucichł potężny plusk, a dwie wystające z wody głowy oddaliły się od brzegu, pani Helena usiadła i jakby przypadkiem położyła rękę na kostiumie Miry. Ale nie dane jej było spocząć w spo... to znaczy spokojnie odpocząć.

— Bardzo przepraszam — rudowłosy syn gajowego podszedł bliżej prowadząc za sobą siostrzyczkę. — Czy pani naprawdę nie pójdzie się kąpać?

— Nie, nie pójdę. I bardzo chętnie pobawię się chwilę z małą — zapytana natychmiast odgadła, o co chodzi. Wolnym ramieniem przygarnęła dziewczynkę i uśmiechnęła się do niej.

Piegus pokręcił siostrzyczce palcem.

— Bądź grzeczna. Zaraz po ciebie wrócę i pójdziemy do domu. Mama wybrała się do sąsiadów — uznał, że pani Helenie należy się wyjaśnienie. — Do cioci Amelii. Nie była u niej chyba dwa lata. Mój tato nie cierpi jej męża. Tego, co zawsze chodzi w takim brudnym kapeluszu. Ciotka byłaby nawet do rzeczy, ale mąż to jej się nie udał. Ani Jacek, to jest ich syn. Niby mój kuzyn, ale jak go spotykam, to zawsze boję się, że mnie opluje. No, niechby spróbował. Dzisiaj po południu przyszedł do nas pan Profesor Piotrowicz i długo rozmawiał z mamą. Wracał z Górka, ze szkoły. A potem mama zaraz poleciała do ciotki. Nie wiem, co pan profesor jej powiedział, bo wybiegła tak jak stała, a właśnie była w oborze. Zapomniałem nawet o jedzeniu dla taty. Chciałem poczekać na mamę w domu, ale wtedy pan Piotrowicz wziął mnie za rękę i przyprowadził tutaj. Mówił tak śmiesznie. Że w dole, zaraz za drzewami, jest całkiem ładne jezioro, i że powinienem je choć raz w życiu zobaczyć. A przecież ja urodziłem się w Górku... No to pójdę do wody, dobrze?

Pani Helena została na brzegu z wierzącą się niespokojnie dziewczynką i z kostiumem, którego obecność nie pozwalała jej cieszyć się beztrudnym popołudniem.

Z opowieści piegusa wynikało, że dziadek Klemens istotnie spędził dzień pracowicie. Był w szkole. Zapewne po to, żeby się spotkać ze znajomym profesorem, badającym ślady kosmitów. Następnie odwiedził żonę gajowego. Ciekawe, o czym z nią rozmawiał? Dlaczego zacna kobieta zaraz potem pobiegła do swojej siostry, pomimo że nie utrzymywała z nią bliskich, rodzinnych stosunków.

Pan Klemens stawał się tajemniczym.



W pięknym domu na zboczu nikt dzisiaj nie pamiętał o poobiedniej sjeście. Pierwszy wyszedł dziadek. Zaraz po nim Łukasz, a zaledwie minutę później Mira, choć przedtem zapowiedziała, że nigdzie się nie wybiera. Paweł napompuwał ponton. Mama i ojciec Łukasza pomogli mu go zanieść nad wodę.

Ale to wszystko działo się trzy godziny temu.

Pani Helena uspokoiła zniecierpliwioną dziewczynkę, dała jej do zabawy swój czepek kąpielowy i spojrzała przez ramię na piasek. Porzucony kostium Miry przyciągał jej wzrok jak magnes.

Łukasz niby zahipnotyzowany zrobił pół kroku do przodu.

— Nie podchodź! — drobna rączka z zaskakującą siłą wpiła się w jego koszulę na plecach.

— Nie podchodzę... — wykrztusił chłopiec. Zabrzmiało to tak, jakby w jego gardle odezwał się przeziębiony gawron.

Niesamowita cisza. W dole, obok matowego, srebrnego bąka ani śladu żywej istoty, z Ziemi czy z gwiazd. Na tle ścian, najeżonych ostrymi szczyrbami, potłuczonymi rurami, szpikulcami grubych drutów, nieskazitelna gładzizna spodka sprawiała wrażenie czegoś absolutnie nierzeczywistego.

— Ich nie ma, co? — wyszeptała Mira.

Łukasz jeszcze raz rozejrzał się po placyku.

— Nie ma nikogo — powiedział. — Odchrząknął i powtórzył: — Nie ma nikogo.

Gawron opuścił jego gardło, jednak pozostawił w nim parę łaskoczących piórek.

Dziewczyna podniosła się, ale nie wypuściła z ręki koszuli swojego towarzysza stojącego tuż przed nią. Posługując się nią jak uchwytem w tramwaju wychyliła głowę i popatrzyła w dół.

— Tędy nie zejdziemy — mruknęła po chwili, cofając się z powrotem.

W tym stwierdzeniu zadźwięczała raczej ulga aniżeli uczucie zawodu. Niemniej nie ulegało wątpliwości, że nawet gdyby bardzo chcieli obejrzeć pojazd kosmitów od spodu, to mogliby tego dokonać jedynie w wypadku, gdyby zawczasu uzbroili się w strażacką drabinę albo w spadochrony.

A przynajmniej w linę, jakiej używają alpiniści, kiedy pragną szybko zjechać z jakiegoś urwiska. Próba zejścia bez specjalnego sprzętu i bez ubezpieczenia równałaby się samobójstwu.

Gorzej, że innej drogi nie było. Płyte, na której stali, odgradzały od następnych szerokie, zdradliwe rozpadliny. Z przodu studnia, a w niej wiadomo co. Z prawej jakby jej odnoga, niby niezbyt szeroka, lecz po przeciwnej stronie czyha krawędź z wystającymi drutami, ostrymi jak widły. Z lewej coś w rodzaju zapadni. Dna szczeliny nie widać, a tu na górze jej brzegi łączył ruchomy mostek, zbudowany z popękanego i wygiętego słupka. Bezpiecznie mogłaby po nim przejść co najwyżej jaszczurka.

Pozostawało wycofać się tym samym labiryntem, którym przyszli.

Tylko że to przecież nie była żadna droga. Jeśli raz skręcą za wcześniej, albo za późno, nie za tą płytą, tylko za inną...

Łukasz kiedyś czytał, że grotolazi zapuszczający się w nieznane jaskinie zostawiają za sobą specjalne ślady albo ciągną długie, kolorowe tasiemki. Ciekawe, co zrobiliby tutaj. Tutaj — odpowiedział sobie w duchu — nie wlaźły żaden szanujący się grotolaz. W ogóle żaden człowiek o zdrowych zmysłach.

Cóż. Oczywiście prawdy mają już to do siebie, że niekiedy odkrywa się je poniewczasie.

Chłopiec poruszył się niecierpliwie. Zapięcie koszuli natychmiast wgniotło mu grdykę. Mira czuwała.

— Możesz mnie puścić... — wycharczał.  
Ale dziewczyna najpierw pociągnęła go do tyłu. Dopiero potem pozwoliła mu zaczerpnąć powietrza.  
— Co zrobimy? — spytała przyglądając się, jak niedoszły wisielec z wolna wraca do życia.  
— Wrócimy.  
— Mówisz jak Alauda. Właśnie, słuchaj, czemu dzisiaj nie huknęło?  
Łukasz przestraszył się, że Mira zwariowała i od razu odzyskał mowę.  
— Co? Alauda? Huknęło? Proszę cię, usiądź.  
— Dlaczego miałabym siadać na tym brzydactwie? — Nie, Mira była najzupełniej normalna. Trzymała się koszuli Łukasza. Zawsze można się czegoś przytrzymać, kiedy człowiekowi przyjdzie na to ochota, ale poza tym nie wyglądała na kogoś, komu ze strachu zamykają się klapki w mózgu jak płatki kwiatów przed burzą. Więc o co chodzi z tym hukaniem?  
— Przedtem, kiedy miał mówić, coś najpierw strzelało — tłumaczyła dziewczyna.  
— Przedwczoraj huknęło na przystani, wczoraj w dolince.  
A dzisiaj nie. Od razu zaczął gadać. Dlaczego?  
Łukasz oniemiał znowu. Niemożliwe. Po prostu niemożliwe, żeby ona teraz, tutaj, nie miała nic lepszego do roboty, tylko roztrząsać, czemu swojego dzisiejszego przemówienia kosmita nie poprzedził huknięciem.  
Niemożliwe...  
No tak. Ale niemożliwe już nie jest niemożliwe, kiedy staje się faktem.  
Zdumiewające. Oto właśnie właściwe słowo. Zdumiewające.  
— Pamiętasz, co mówił dzia... pan profesor — Łukasz tak przywykł nazywać w myślach pana Klemensa dziadkiem, że o mały włos dopuściłby się fatalnej poufałości.  
— Im nie zależy na poznaniu ludzi, tylko na tym, co sami chcą im powiedzieć...  
— Pamiętam.  
— Widocznie doszli do wniosku, że nie muszą huknąć, to znaczy strzelać. Kiedy zaczynają przemawiać, to i tak wszyscy ich słyszą. Poza tym...  
Oni nas chyba nie lubią. Na szczycie gruzowiska zapanowało milczenie.  
— Alauda ciągle powtarza, że nie przybyli w złych zamiarach — szepnęła w końcu Mira.  
— Powtarza. Ale dzia... ale pan Klemens nas ostrzegął.  
— Pamiętam.  
Łukasz pomyślał, że ostrzegął ich nie tylko dziadek i nie tylko przed kosmitami. Mama Miry z takim naciskiem prosiła, żeby z daleka omijać zwałowisko...  
A wracając do dziadka i kosmitów. Gdyby pan Klemens był tutaj w tej chwili i razem z nimi spoglądał na ten spodek, jakby wyczarowany z najpiękniejszego snu ufologa, czy nie zmieniłby zdania? Czy nie dałby się ponieść zwykłej ludzkiej ciekawości?  
Nie. Dziadek nie zmieniłby zdania. Przeciwnie. Miejsce, jakie sobie wybrali przybysze z gwiazd na swoją ziemską siedzibę, utwierdziłoby go jeszcze w niechęci do nich.  
Ten srebrny bąk przybył nie wiadomo skąd i nie wiadomo dokąd odleci. Czeka tylko na załogę. I doczeka się, nie ma obawy. Kosmici nie porzucą go tak, jak ludzie porzucili na tym zboczku, tuż nad ślicznym jeziorem tyle materiałów, z których można by wznieść wiele pożytecznych budowli.  
Przyjdą tutaj. Niewysocy, zielonoskórzy, ze skośnymi oczami. Naturalnie od razu zobaczą Mirę i Łukasza, przyglądających im się z góry.  
Może przyjdą jutro, może dzisiaj, może właśnie nadchodzą, jakimś wygodnym korytarzem od strony jeziora...

— Co zrobimy? — padło po raz drugi.

Łukasz jeszcze raz rozejrzył się po dalszej okolicy. Wszędzie pełno życia. Wokół domów, na drogach, koło przystani...

— Moglibyśmy zawołać — rzekł bez przekonania. — Gdybyśmy oboje głośno krzyczeli...

— A jeśli usłyszysz ten typ, który zdjął brodę? Musi być blisko.

— Nie on jeden może usłyszeć — mruknął chłopiec. — Ale na przykład ci, co siedzą w kawiarni... A nuż ktoś nas zauważy?

— Tam wszyscy gadają jeden przez drugiego. Przypomnij sobie. Hałas, ścisk, smród...

Łukasz nie mógł zaprzeczyć, że prędzej niż ludzie w kawiarni, zauważyłby ich bezbrody szpieg. Albo właściciele spodka.

Ustąpił.

Popełnił błąd. Nie pierwszy dzisiaj. I nie ostatni.

— Musimy się stąd wydostać — powiedział. — Musimy pójść do szkoły i sprowadzić tutaj uczonych, którzy nie wierzą w kosmitów. Zejdziemy tą samą drogą, którą przyszliśmy. Tylko teraz ja pójde pierwszy.

Przepuść mnie, dobrze?

W dół przecisnął się przez betonowy komin bez trudu, kosztem zaledwie odrobiny naskórka, pozostawionego na szorstkiej ścianie. Zeskoczył i usłużnie wyciągnął ręce w górę. Ale Mira wybrała głowę. Bez wahania oparła na niej stopę, następnie drugą postawiła mu na ramieniu.

Dopiero z tej wysokości pozwoliła sobie pomóc.

Zeszli stopień niżej. Następny stopień. Przejście zagroziła skośna ściana. Z jednej strony między nią a sąsiednim blokiem czerniała szczelina szeroka na mniej więcej pół metra. Z drugiej otwór był większy, a podłogę stanowiła tam pozioma płyta. Wyglądała jak kładka położona specjalnie, żeby przeprowadzić zagubionego wędrowca nad przepaścią, ziejącą spod obu jej bocznych krawędzi.

Łukasz wstąpił na kładkę.

To był ten ostatni błąd.

Mira szła tuż za nim. Zrobili kilka kroków i nagle poczuli, że płyta ucieka im spod nóg. Kładka okazała się ruchomą belką, zawieszoną pośrodku na niewidocznej podporze, niby huśtawka dla maluchów. Tylko że takie huśtawki nie mogą przyjąć pozycji pionowej. Ziemia jest zawsze zbyt blisko. Tutaj ziemi nie było.

Rozległ się przenikliwy zgrzyt. Coś zaskrzypiało i pękło z ogłuszającym trzaskiem. W dole zahurkotały odłamki betonu. Zabrzmiały dwa rozpaczliwe okrzyki. Ukryty w mroku skraj płyty ostatecznie stracił oparcie.

Płaska masa, nagle uwolniona, runęła w głąb.

Łukasz uderzył o coś barkiem. Trafił na zadarty występ i jego ciało zmieniło położenie. Spadał coraz niżej i niżej. Odbijał się od jednej ściany do drugiej, wszędzie napotykał twarde kanty lub ukośne, zębate tarki. Nagle znieruchomiał.

Ułamek sekundy leżał jak nieżywy. W następnym ułamku sekundy obok niego spadło coś miękkiego. Na pewno nie beton. Beton runie za chwilę. Ta płyta, która udawała kładkę. Przecież musi runąć. Wtedy wszystko się skończy.

Jednak płyta nie spadała. Łukasz czekał, bezwiednie obejmując głowę rękami, jakby słabe ludzkie ręce mogły powstrzymać rozpędzony wielotonowy ciężar.

W pobliżu ostatni raz zahurkotały kamienie. Nastąpiła cisza, — Ummm... — wypłynął z ciemności zdławiony jęk.

Chłopiec oderwał ręce od głowy i usiadł. Najpierw popatrzył w górę.

Połamany, czarny komin. Wysoko parę plamek światła. Ale płyta jeszcze nie spada.

— Ummm...

Łukasz odwrócił się i ukląkł. Koło niego zajaśniała owalna linia twarzy.

Błyskawicznie rzucił się w tę stronę. Jego dłoń z rozczapierzonymi palcami trafiła na coś puszystego. Odruchowo zacisnął pięść i pociągnął to coś ku sobie.

— Aa! Puszczaj!

Łukasz pociągnął mocniej.

— Puszczaj! Au... — odpowiedział wściekły okrzyk.

Chłopiec zreflektował się. Po pierwsze, żyje. Zaraz zobaczy, czy sobie czegoś nie połamał, ale żyje. Po drugie, Mira żyje także, bo szpieg nie wrzeszczałby tak cienko. Po trzecie, jeśli wrzeszczy, to znaczy, że coś jej jest.

Zląkł się, otworzył palce i spytał: — Jak się czujesz?

Nie do wiary. Jego głos zabrzmiał niemal normalnie. Głos Miry również:

— Kretyn! Dziesięć kretynów! Sto kretynów!

— Kwiczoł!

— Co?

— Jak się czujesz?

— A jak mam się czuć, kiedy wyszarpałeś mi wszystkie włosy! Co powiedziałaś?

— Przepraszam. Chciałem cię stąd odciągnąć. Ta płyta, która się pod nami zapadła, na pewno zaraz runie. Zawisła tylko na jakimś występie, ale tam nie zostanie.

Błada twarzyczka wypłynęła z mroku i zatrzymała się tuż przed jego oczami.

— Co powiedziałaś?

— Powiedziałem, że ta płyta...

— Nie, przedtem? No?

— Nic nie mówiłem... .

— Ee!

Łukasz wyprostował nogi i obmacał je od stóp do samej góry. Dotknąwszy kolan zaszczytał. Po spodniach zostało tam jedynie wspomnienie. Natomiast na opuszkach palców poczuł lepką wilgoć. Piekło paskudnie. Ale w tyłu punktach ciała go piekło, szczypało i bolało, że nad kolanami nie myślał się roztkliwiać. W końcu, od tego są.

Z kolei zajął się rękami. Stwierdził, że żadna z nich nie zwisa bezwładnie, po czym spróbował się podnieść. Zawirowało mu w oczach i szybko musiał przykucnąć.

— Możesz wstać? — nie wiedzieć czemu dopiero teraz jego głos stał się troszkę piskliwy.

— Przecież stoję. Ty byś także wstał, jakby cię ktoś powiesił za włosy.

— Nic ci nie jest?

— Wszystko mi jest. A najbardziej boli mnie głowa.

— Pokaż — wyciągnął rękę, ale trafił w pustkę. Twarz Miry odpłynęła.

— Akurat! — Zachręściły kamienie. — No? — ujrzał przed sobą wyciągniętą dłoń.

— Dziękuję — mruknął i podniósł się o własnych siłach. Łupnęło mu pod czaszką i przez chwilę myślał, że upadnie, ale zakotłosał się tylko i złapał równowagę. Za to żołądek podjechał mu pod gardło. Na wszelki wypadek zasłonił sobie usta. Mira była o krok. Jeszcze tego brakowało...

Na szczęście uczucie, tak dobrze znane początkującym marynarzom, wkrótce ustąpiło. Szok — pomyślał chłopiec. — Szok...

Ostrożnie dotknął palcami czoła. Było tak samo lepkie jak kolana i powoli zaczynały na nim rosnać charakterystyczne wypukłości.

Stopniowo dostrzegał wokół siebie coraz więcej szczegółów. Mirę widział już niemal wyraźnie. Stała, lekko pochylona w jego stronę i przyglądała mu się. Za nią, w odległości pięciu, sześciu metrów, piętrzyła się ściana betonowych szczątków. Przez szpary wpadało światło. Dlatego sylwetka dziewczyny rysowała się względnie ostro.

Na lewo i na prawo panowały nieprzeniknione ciemności. Ale pod nogami wyczuwał nie tylko kawałki gruzu. Z gruntu wystawały jakieś krzaki, nie krzaki...

Schylił się i dotknął ziemi. Mógł to już zrobić bez obawy, że upadnie albo że się skompromituje. Chwasty! Wszędzie spod załomów płyt wyłaziło zielsko. Słońce tu nie docierało, ale deszcze tak. Spadli na wysokie chwasty. Stanowczo mieli więcej szczęścia niż rozumu.

Łukasz odetchnął głęboko i poczuł się trochę lepiej. Mirze najpewniej też nic wielkiego się nie stało.

— Spróbuj obejrzeć swoje ręce, nogi i w ogóle — wołał się jednak upewnić. — Nie złamałaś sobie czegoś? Nie zraniłaś się?

— Nie będę oglądać. Po ciemku i tak niczego nie zobaczę. Poza tym wolę nie wiedzieć jak wyglądam. A jeszcze poza tym niczego sobie nie złamałam, bo zauważyłabym to do tego czasu. Ale ty? Zachowujesz się tak dziwnie — głos Miry też zabrzmiał dziwnie. Chłopcu znowu zrobiło się odrobinę lepiej i raźniej.

— Nic mi nie jest! — rzucił zuchowato.

— Nie? Oczywiście, że nie. Jesteś przyzwyczajony. Pewnie nie raz spadałeś na głowę. Żeby drugiemu wyszarpywać...

— Słuchaj — powiedział prędko Łukasz — tu naprawdę spadnie ta płyta. Za tobą widać jakieś szczeliny. Może będzie choć jedna szersza — ominą nieruchomą postać i pokuśtykał ku przeświecającej szparami ścianie. Jego nogi nie zawsze trafiały tam, gdzie chciał je postawić, niemniej w końcu doniosły go do celu. Przystanął, przytknął oko do jednego z jasnych punkcików, popatrzył, po czym nagle odskoczył i usiadł z rozmachem na złamanym badyłu. — O! — krzyknął. — O! Spodek! Spodek!

— Nie rozumiem? Coś zobaczyłeś, czy tylko narzekasz?

Łukasz przypadł z powrotem do ściany.

— Zobaczyłem! — był zbyt poruszony, by zauważyć, że Mirze zadziwiająco dopisuje dobry humor. — Tu zaraz jest ten placyk! — wołał. — Spodek! Chodź, popatrz!

Dziewczyna już bez słowa podeszła i zajęła miejsce przy sąsiedniej szparze.

Spodek znajdował się rzeczywiście blisko. I był całkiem niedostępny.

Tylko wąż zdołałby się prześliznąć przez zygzakowate prześwit w grubym zwałowisku. Ale może w innym miejscu...

Łukasz zaczął powoli iść wzdłuż osobliwego muru, zamykającego jeszcze bardziej osobliwą grootę, do której wpadli. Zaraz po kilku pierwszych krokach musiał wyminąć płat jakiejś konstrukcji, tworzący uciętą, poprzeczną przegrodę. Nagle zrobiło się zupełnie jasno. Chłopiec wysunął głowę i krzyknął z radości. Wyjście!

Wzdłuż stromej, skośnej płaszczyzny biegł wygodny tunel. Dalej był placyk. Niemal na wyciągnięcie ręki tkwiła w ziemi podpora dachu, którym nakryto kosmiczny spodek. Srebrny bąk wydawał się stąd większy, niż kiedy patrzyło się z góry. Stał na trzech cienkich, rurowatych nóżkach. Owe guzy na jego obwodzie były chyba ze szkła. Błyszczały w słońcu jak lampy.

Nic nie zagradzało drogi. Tunel przypominał bramę.

— Miro, chodź, chodź! — ponaglał Łukasz, najzupełniej zbędnie, bo dziewczyna stała już za nim. Jej dłoń znowu wczepiła się w strzępy koszuli na plecach.

— Poczekaj. Chcesz tam iść?

Chcieć może nie chciał, ale uznał, że nie pozostaje im nic innego. Z tej przeklętej piwnicy muszą się przecież wydostać. Kosmici na pewno nie skaczą po rumowisku za każdym razem, gdy odwiedzają swój pojazd.

A zatem musi istnieć lepsze przejście na placyk. Wokół panuje zupełny spokój. Dlaczego mieliby nadejść akurat teraz, w biały dzień? Przecież latają wyłącznie wieczorami i po nocach.

Łukasz powiedział to wszystko Mirze i zakończył: — Znajdziemy ich drogę i wyjdziemy. Pewnie od razu nad jezioro.

Zobaczysz.

— Będziemy przechodzić tuż obok spodka...

— No...

Rozmowa się urwała. Dłuższą chwilę panowało milczenie.

— Ale tu jest jeszcze gorzej — odezwał się wreszcie chłopiec. — Chodźmy.

— Poczekaj — powtórzyła Mira. — A nuż coś usłyszymy. Przecież ten tunel nagle się nie zamknie.

Nie tylko dziadek Klemens nie był tego dnia szczęśliwym prorokiem.

Zaledwie przebrzmiały ostatnie słowa Miry, wysoko nad głowami wahającej się pary coś chrupnęło, po czym jakaś niewidoczna masa zaczęła się zsuwać z narastającym zgrzytem i chrobotem miażdżonych krawędzi. Łukasz błyskawicznie skoczył do tyłu, pociągając za sobą dziewczynę. Ponurą jaskinię wypełnił dudniący grzmot. Chłopiec potknął się, przewrócił, ale jeszcze na czworakach włókł za sobą Mirę, byle dalej od miejsca, gdzie dotąd stali. Zadrżała ziemia. Coś runęło z potężnym stęknieniem, jakby jakiś olbrzym spadł z nieba na chwiejne podłoże. W powietrze wzbił się dławiący kurz i nagle wszystko ucichło.

Łukasz czekał jeszcze jakiś czas, wtulając głowę w ramiona, jednak już wiedział, że zdążyli. W ostatniej chwili, ale zdążyli.

Kurz z wolna opadał. Chłopiec podniósł się i pomógł wstać Mirze.

Powoli, mrugając zaproszonymi oczami, podeszli z powrotem do wyjścia na placyk.

Ale wyjścia nie było.

Fałszywa kładka, która przedtem strąciła ich w przepaść, rzeczywiście musiała zatrzymać się na jakimś występie. Ten jednak nie utrzymał jej dłużej niż przez kilka minut. Płyta runęła w dół. Znalazła sobie inną drogę. Nie spadła tam, gdzie Mira i Łukasz, tylko dokładnie w miejscu, gdzie zaczynał się tunel zwiastujący wolność. I równie dokładnie ten tunel zagrodziła.

Pył osiadł i powietrze się oczyściło. Znowu zaświeciły szpary. Ale tylko one. Drugie przejście z betonowej pułapki na słoneczny placyk po prostu nie istniało.

Łukasz zakończył krótki obchód i niezwłocznie powtórzył go od początku. Potem jeszcze raz. I jeszcze.

Mira ciągle milczała.

Mijały sekundy, długie jak minuty. Z sekund robiły się minuty długie jak godziny. Z minut zaczęły robić się godziny...

Siedzieli na chwastach pośrodku jaskini. Szczeliny nad nimi i w murze od strony spodka lśniły coraz słabiej. Na zewnątrz kończył się dzień.

— Chce mi się pić — wyszeptwała Mira.

Łukasz zacisnął pięści. Nie mieli ze sobą wody. Nie mieli nic do jedzenia. Nie mieli swetrów, a z każdą chwilą robiło się chłodniej. Nie mieli nawet latarki. Byli potłuczeni i podrapani. Strzępy ubrania ledwie się na nich trzymały.

Raptem chłopiec zerwał się na równe nogi. Nie można przecież czekać z założonymi rękami, aż oni... aż ona...

— Co robisz...?

— Jeszcze raz obejdę tę dziurę dokoła — starał się, żeby jego głos brzmiał lekko i swobodnie. — Tu musi być jakaś droga. Choćby taki labirynt, jak ten, którym wyszliśmy przedtem na górę, pamiętasz?

Dziewczyna nie odpowiedziała.

— Pójdę, zanim się całkiem nie ściemni, to znaczy dopóki przez te otwory wpada jeszcze choć trochę światła — ciągnął. — Ale ty nie ruszaj się stąd. Dobrze?

Cisza.

— Gdzie jesteś? — zaszemrało kilka minut później. Łukasz zapuścił się właśnie w głęboką wnękę, którą poprzednio pomiął, i do której nie docierał najślabszy promyczek światła.

— Tutaj — rzucił za siebie.

— Zimno mi.

— Zaraz — odpowiedział z rozpaczą. — Zobaczysz, że coś znajdę.

— Nie znajdziesz.

Nie znajdę — zgodził się z nią w duchu. Wszędzie to samo. Martwe, obojętne ciężary, które tylko najsilniejszy dźwig potrafiłby ruszyć z miejsca. Gdzieniegdzie dało się wsadzić rękę, nawet całe ramię, ale na tym koniec.

Odwrócił się i powoli ruszył z powrotem w stronę Miry. Tylko dzięki temu, że szedł tak wolno, uniknął nowego guza. Choć zapewne jeden mniej, jeden więcej, nie stanowiłby już większej różnicy.

Nie tyle uderzył, co raczej oparł się pochylonym czołem o gładki przedmiot, całkowicie niewidoczny. Przedmiot zadzwieczał. Niespodzianka. Dotąd wszystko wokół było szorstkie i głuche.

Ostrożnie wysunął rękę. Blacha? Rura? Blaszana rura. Prosta, nic połamana, nie pogięta. Miała średnicę mniej więcej pół metra, była długa i unosiła się poziomo nad ziemią na wysokości ludzkiej głowy. Skąd się wzięła? Gdyby przywieziono ją razem z betonowymi kolosami i zwalono na sam dół, to następne spadające ciężary zmiażdżyłyby ją na miazgę.

Raptem chłopiec odskoczył jak porażony prądem. Kosmici! Oczywiście, że kosmici! Ze swojego placyku mieli przecież wygodne wejście do tej groty. Urządzili sobie w niej schowek! Ta rura mogła być na przykład lufą działa, wyrzucającego mordercze promienie. A on najspokojniej jeździł po niej rękami jak po rynnie. Kto wie, czy to nie jest naładowane!

Gdyby przypadkiem wystrzeliło? Prosto w Mirę...

Obszedł z daleka tajemniczą konstrukcję i nagle zobaczył rozmazaną w półmroku siedzącą sylwetkę. Do jaskini wpadało jednak jeszcze trochę światła. Przed chwilą tylko dlatego panowała zupełna noc, że miał tuż przed oczami ową rurę czy lufę, czy co to w końcu było.

Ale pomiędzy nim a dziewczyną zamajaczyła nowa przeszkoda, na odmianę ustawiona sztorcem. Przypominała nieduży posąg stojącego mężczyzny. Łukasz mimo woli przystanął i dotknął głowy posągu. Ta miękko ustąpiła pod jego dłonią. Wysmukły kształt cofnął się, a następnie, rosnąc w mroku jak nadciągająca chmura, zaczął bezgłośnie wracać. Chłopiec skulił się i z całej siły wyrznął go pięścią. Napastnik odleciał jak zdmuchnięty i runął na ziemię, wypełniając groty metalicznym zgrzytem.

— Co to było? Chodź tutaj! — zawołała przestraszona Mira.

— Nie, nie! — odpowiedział przytomnie Łukasz.

— Co „nie”?! —

— Idę, idę...

— Powtarzasz to od godziny i nie przychodzisz!

— Już, już.

Chłopiec chciał bodaj zerknąć, z zachowaniem rozsądnej odległości, na powalony przez siebie blaszany posąg, który nagle ożył pod jego dotknięciem, a potem najwyraźniej w świetle, usiłował mu to dotknięcie odwzajemnić. Jednak na czarnym podłożu zarysy leżącej już bez ruchu zdradzieckiej zjawy były niedostrzegalne. Łukaszowi nic pozostało nic innego, tylko wrócić w końcu do swojej osamotnionej towarzyszki.

— No — powiedziała Mira, po czym dodała ciszej: — Pić mi się chce.  
Chłopcu także chciało się pić.

— Zimno mi.

Łukasz bez wahania zaczął ściągać z siebie resztki koszuli. Wtem zaświtał mu lepszy pomysł. Ukląkł i brodząc w rosnących dokoła chwastach wyrywał je z ziemi, po czym odkładał na jedno miejsce. Kiedy ułożył już grubą poduszkę, wygładził ją, uklepał i zaprosił na nią Mirę. Następnie wznowił przerwana pracę. Wyszarpywał co bardziej wybujałe zieliska, posuwając się wciąż dalej, wciąż na pokrwawionych, piekących kolanach.

Wreszcie okrył dziewczynę dużą stertą suchych roślin, podniósł się i rzekł: — Teraz będzie ci cieplej.

— Um... — podziękowała Mira. — Co tam robiłeś tak długo? — spytała z wyrzutem.

Nie powiedział jej ani o złowrogiej rurze, ani o metalowym człowieku, który zastąpił mu drogę.

— Nic. Wszędzie coś leży.

— Nie ma żadnego przejścia, co? Pewnie, że nie ma. Przecież mówiłam...

Łukasz milczał.

— Słuchaj!

Czy musiał ją zapewniać, że słucha?

— Słuchaj... my stąd wyjdziemy?

Nie odezwał się. Zamiast tego ponownie zajął się wyrywaniem chwastów. Zrobił z nich legowisko również dla siebie. Było naprawdę chłodnawo.

Znowu płynęły długie minuty.

— To twoja wina! — zabrzmiał okrzyk, tak gwałtowny i napastliwy, że Łukasz podskoczył, a potem usiadł. — Twoja wina! — powtórzyła zaperzona Mira. — Zachciało ci się bawić w ciuciubabkę z brodatym obdartusem! Detektyw od siedmiu boleści! A ja, skończona idiotka, polazłam za tobą!

Krzyk umilkł. Tylko jego piskliwe echo odbijało się jeszcze gdzieś w głębi rumowiska.

Łukasz przymknął oczy i potrzymał je przez chwilę zamknięte. Kiedy uniósł powieki, był już spokojny. Ona siedzi tu po ciemku, obolała, zmarznięta, głodna i czeka... lepiej nie myśleć, na co. W dodatku w towarzystwie kogoś, o kim ma jak najgorsze mniemanie. Kogoś, kto zajął jej wakacyjny pokój, skazując ją na niewygodę, a w ogóle jest skończonym niedorajdą.

— Masz rację — wychrypiał. — To moja wina. Nie powinienem był śledzić tego fałszywego brodacza, tylko od razu pójść na milicję. Kiedy spotkałem cię pod tamtym krzakiem, powinienem był od razu zawrócić. Potem nie powinienem był włączyć w zwałowisko — ciągnął w jakimś bolesnym zapamiętaniu. — Potem powinienem był koniecznie cofnąć się z tego pierwszego placyku, na którym spotkaliśmy się znowu. Potem nie trzeba było schodzić z góry, skąd zobaczyliśmy spodek, tylko zostać tam i krzyżeć. Usłyszeliby nas w końcu, a jak nie, to zauważono by nas z helikoptera, który lata tam i z powrotem. Na śmierć zapomniałem o tym helikopterze. A potem trzeba było od razu stąd wyjść, a nie czekać, aż coś spadnie i zagrozi przejście... Masz rację. To wszystko przeze mnie.

Nastąpiła długa przerwa. Wreszcie obok chłopca coś niespokojnie zaszeleściło.

— Kpisz sobie ze mnie? — spytał zaczepnie nikły głosik.

— Ja? Kpię? — Łukasz wymówił to z takim zdziwieniem i żalem, że dziewczyna natychmiast na powrót osunęła się w swoje legowisko i ucichła.

Przerwa trwała teraz znacznie dłużej. Nagle, znowu bez najmniejszej zapowiedzi, nastąpił wybuch.



— Nieprawda! Nieprawda! Jesteś ostatnia łajza!

Właśnie — pomyślał z goryczą chłopiec. Sam to już sobie powiedziałem. Nie musi mi przypominać.

— Nieprawda! — Mira odsapnęła i wznowiła natarcie. Odrobinę ciszej. — Mogłeś sobie chodzić za tym typem albo nie, a ja wcale nie musiałam wtykać nosa w nie swoje sprawy! Gdybyś zawrócił spod tego krzaka, to i tak poszłabym dalej sama, dobrze o tym wiesz! I tak wlaźłabym w gruzy! Potem, na pierwszym placyku, ty mówiłeś, żeby się cofnąć, ale ja ci nie pozwoliłam. Potem upatrzyłam sobie tę dziurę po lewej stronie, a ty chciałeś iść na prawo. Potem, kiedy wdrapaliśmy się na górę i zobaczyliśmy spodek, ty powiedziałeś, że trzeba krzyczeć, a ja, że nie. O helikopterze zapomnieliśmy oboje. Jak spadliśmy tutaj, od razu znalazłeś wyjście. To ja marudziłam. Siedzimy tutaj przeze mnie, rozumiesz? Jak można być taką ofiarą, żeby się przyznawać do czegoś, czego się nie zrobiło? To moja wina!

Łukasz doznał przerażającego uczucia, że jego głowa otworzyła się jak źle zamknięta puszka i wszystkie myśli wysypały się z niej na ziemię.

Tam jednak, zamiast leżeć spokojnie, zaczęły podskakiwać, usiłując wrócić na swoje miejsce. Coraz którejs to się nawet udawało. Ta zabawa tak im się spodobała, że kiedy w końcu znalazły się na powrót w komplecie, a ostatnia z nich zatrzasnęła za sobą pokrywę czaszki, nadal zachowywały się jak pasikoniki. „Mira”, hop!, „Mira”, hop!, „ależ”, hop!, „ona”, hop!, „ma”, hop!, „charakter”, hop!, „charakter, charakter, charakter...” Miała go istotnie.

— No, co tak siedzisz jak mysz pod miotłą? — zawołała. — Zbaraniałeś?

Myśli Łukasza przysiadły ze strachu. Chłopiec wykorzystał to, żeby rzec sobie w duchu: — Chyba zbaraniałem. Chyba tym razem rzeczywiście zbaraniałem.

Przełknął ślinę i powiedział: — Nie. To moja wina.

— Jak mówię, że moja, to moja!

— Nie. W każdym razie powinienem był pamiętać o helikopterze.

— E...

To „e!” huknęło w ciemności jak wystrzał i uderzyło w spiętrzone nad nimi płyty z takim impetem, że Łukasz instynktownie napiął się jak struna, oczekując natychmiastowej katastrofy. Ale sklepienie wytrzymało. Natomiast chłopiec rzekł głośno i wyraźnie: — Kwiczół.

— No, wreszcie! — zadźwignął tryumfalny okrzyk. — Już przedtem dwa razy słyszałam, ale nie byłam pewna. Mówisz: „kwiczół”! Ciagle to mówisz! Co to znaczy?

— Ja mówię? Nie mówię.

— Mówisz, nie wypieraj się. No? Co to znaczy?

— Nic nie znaczy — skapitulował Łukasz. — Naprawdę. Taki... takie powiedzonko...

— Ty tak klniesz? Na mnie?

— Kwiczół to jest ptak — wyrzucił z siebie chłopiec czując, że jeszcze jedna zaskakująca zmiana tematu, a nie zbaranieje, lecz ostatecznie i bez odwołania dostanie kręćka, nie takiego jak gajowy, a prawdziwego, solidnego świra, z którym pojedzie prosto do domu wariatów.

— Ptak? — powtórzyła nieufnie Mira, najwyraźniej wietrząc jakąś zasadzkę.

— Ptak. Ptak. Tak się nazywa. Co z tego? Takie samo słówko, jak każde inne.

— Nie złość się — złagodniała. — Kwi-czoł — wymówiła ze smakiem. — Brzmi nawet ładnie...

— Tak sobie.

— Słuchaj, wracając do tego helikoptera, o którym zapomniałam.

Dlaczego ci, co nim latają, nie zobaczyli spodka? Stoi przecież pod

przezroczystym daszkiem. Z góry musi go być świetnie widać!

Ja nie zwariuję — zawyrokował w duchu Łukasz. — Ja już zwariowałem. Ona na pewno ma charakter, ale poza tym jest po prostu niesamowita. Co jej na odmianę strzeliło do głowy?! „Kwiczol” i zaraz potem helikopter. Teraz. Tutaj. Naturalnie, że zwariowałem.

Wariatowi i tak jest już wszystko jedno. Może dlatego zamiast wpaść w szaf zastanowił się spokojnie i mruknął: — On nie błyszczy. Jest srebrny, ale matowy. Betonowe płyty są szarobiałe. Z wysoka to się pewnie zlewa...

— Pewnie tak — zgodziła się Mira. Jej dalsze słowa zagłuszył gwałtowny szelest suchego zielska.

— Co robisz?

— Niechcąc zrzuciłam z siebie badyle. Znowu mi zimno.

Łukasz wstał i na powrót okrył ją chwastami.

— Słuchaj — odezwała się po chwili — my stąd nie wyjdziemy, co...?

— Wyjdziemy.

— Nie kłam, ty... ty kwiczole — powiedziała zrezygnowanym, bezbarwnym głosem. — Nie wyjdziemy. I nikt nas tutaj nie znajdzie...

## Ludzie ocknijcie się!

Szyby na piętrze zatrzymywały martwe spojrzenie księżyca. Tylko od zachodu tliły się w nich jeszcze dogasające ślady ciepłej czerwieni.

Na parterze i na werandzie paliły się wszystkie lampy.

Duży, bogato urządzony pokój, stał się nieprzytulny i obcy. Zgromadzone w nim przedmioty raziły nadmiarem, barwami, kształtami, wszystkim. Tak jakby w teatrze ktoś się pomylił i ustawił na scenie dekoracje do kilku różnych przedstawień naraz.

Ale to nie był teatr. Nikt tutaj nie grał żadnej roli. Nikt niczego nie udawał. Tak bywa, że właśnie wtedy, kiedy nikt niczego nie udaje, kiedy dzieją się sprawy prawdziwe i ważne, człowiek czasem nagle staje, patrzy dokoła ze zdziwieniem i zadaje sobie pytanie: po co tu tyle tego?

Dziadek Klemens oparł się o kominek i spoglądał w stronę werandy.

Ojciec Łukasza stał przy półce, obok pani Heleny, która zastygła z ręką na aparacie telefonicznym. Aparat milczał. Paweł zagryzł wargi i ponuro wpatrywał się w stół. Na środku tego ostatniego leżały ręcznik oraz kostium kąpielowy Miry.

Głęboką ciszę przerwał w pewnym momencie Paweł. Zachnął się na coś, co przyszło mu do głowy i wycedził: — Głupia smarkula...

Nikt Pawłowi nie odpowiedział. Po dobrej chwili ojciec Łukasza rzekł: — Dochodzi jedenasta. Panie profesorze, chyba nie powinniśmy dłużej zwlekać...

Zagadnięty poruszył głową.

— W końcu przecież nadejdzie — mruknął.

Godzinę temu pan Klemens po raz drugi tego dnia odwiedził gajowego. Któż lepiej niż on, znający tu każde drzewo i każdą skałkę, mógł poprowadzić poszukiwania zaginionej pary. Jak było do przewidzenia, nie zastał go w domu, więc tylko znowu zamienił parę zdań z jego żoną. Zaczyna kobieta natychmiast pobiegła po męża, ale widać dotąd go nie odnalazła.

Wieczór nieubłaganie przechodził w noc.

Pani Helena oderwała rękę od milczącego telefonu.

— Pawle — powiedziała z wysiłkiem — idź się położyć. Proszę cię...

— Uhm.

— Niegrzecznie, ale nie gniewaj się, Helu — rzekł dziadek odchodząc od kominka. — Nikt na jego miejscu nie mógłby się teraz położyć — zaczął szukać czegoś w szafce pod telewizorem. — Tu powinna być książka telefoniczna. Chciałbym na wszelki wypadek wynotować kilka adresów.

Może się zdarzyć, że pan Rafał będzie musiał dokądś pojechać samochodem...

Dziadek Klemens nie powiedział, dokąd ewentualnie miały się udać ojciec Łukasza. Ale dla wszystkich było aż nadto jasne, co miał na myśli.

Milicja. Pogotowie, tutaj i w Nowym Sączu. Okoliczne szpitale...

— Jest — dziadek wyciągnął z półki poszukiwaną książkę. Na podłogę zsunęły się trzy niewielkie arkusze bristolu, — Ktoś położył na niej jakieś kartki — schylił się, pozbiierał białe kartoniki, obejrzał je uważnie, po czym niespodziewanie wrócił z nimi na środek pokoju i rozłożył je na stole. — Spójrzcie — wskazał je obecnym. — Jest na co popatrzeć.

— Och, zostawcie to! — zawołała smutnie pani Helena. — Wczoraj po kolacji nie miałam nic do roboty i tak, dla zabawy... Naprawdę, zostawcie. Teraz, w takiej chwili...

Na stole leżały trzy rysunki. Pierwszy przedstawiał noc nad jeziorem.

Z uśmiechniętego księżyca zwisała cieniutka nić, po której wspinał się podobny do

pajaka kosmita. Wspinaczka najwidoczniej sprawiała kosmicie przyjemność, bo śmiał się od ucha do ucha. Może zresztą śmiał się tak z pana Kutyni, który podskakiwał niezdarnie na ziemi, usiłując pochwytać tę samą nić i też pomknąć na niej pod niebiosą. Z ust pana Kutyni wybiegał obłoczek z napisem: „Weźcie mnie z sobą! Kupię dom na księżycu!”

Na drugim rysunku także była noc. Przepiękna noc, z gwiazdami, wyskrzonym jeziorem i śpiącym lasem. Obok trzech samotnych domów właśnie wylądował spodek. Wychylony z niego zielonoskóry przybysz wołał do oniemiałych ludzi: „Gdzie tu mieszkają Piotrowiczowie?”

Scena na trzecim obrazku rozgrywała się w pełni dnia. Ze spodka, tym razem ulatującego w niebo, wystawały trzy głowy: Miry, Pawła i Łukasza. Cała trójka krzyczała chórem: „Pa, pa, kochana Ziemi!” Znad jeziora machali im na pożegnanie dziadek Klemens, ojciec Łukasza i pani Helena. Ta ostatnia kierowała w górę napomnienie: „Tylko wróćcie na obiad!”

Rysunki były żartobliwe, ale mimo to bardzo ładne. A nade wszystko ciepłe i jakieś jakby serdeczne, dokładnie takie same jak te, które Łukasz odkrył przypadkiem w pokoiku na górze. Wyczarowane mrowiem delikatnych kreseczek światła i cienie być może miały w sobie coś ze świątecznej choinki, lecz nie w tym sensie, w jakim wspomina się choinkę oglądając stragany na podmiejskim jarmarku. Musiało się pomyśleć nie o tym co widać, kiedy w rodzinnym domu zabłyśnie świąteczne drzewko, ale o tym, co się wtedy czuje.

— No... — wymruczał Paweł. — Tylko że kosmici tak nie wyglądają.

— Helu, naprawdę powinnaś malować — rzekł z najgłębszym przekonaniem ojciec Łukasza.

— W każdym razie powinnaś skończyć studia — powiedział dziadek Klemens. — Jeszcze nie jest za późno. Tak niewiele ci brakowało.

— Dobry wieczór — przerwał dziadkowi zdyszany, męski głos. — Przepraszam, że dopiero teraz, byłem daleko — gajowy wszedł do pokoju i od razu zwrócił się do pana Klemensa: — Podobno wnuczka pana profesora...? — nie skończył.

— Och, jest pan wreszcie! — wykrzyknęła cicho pani Helena. — Jak to dobrze.

— Moja wnuczka, a także syn tego pana — dziadek Klemens wskazał ojca Łukasza, po czym zwięźle przedstawił przebieg feralnego popołudnia.

— Na pewno nie wyszli razem? — spytał z niedowierzaniem przybyły. — Dziwny zbieg okoliczności...

— Może się spotkali — pan Klemens rozłożył ręce — ale my nic o tym nie wiemy.

— A czy pański syn nie poszedł się kąpać? — gajowy spojrzął z kolei na ojca Łukasza.

— Nie. Chciał się przejść. Potem miał wrócić i popływać razem z nami.

— Ale nie wrócił.

— Nie wrócił.

— Zawiadomili państwo milicję?

— Nie możemy się dodzwonić — odpowiedziała pani Helena. — Centrala w Górku jest stale zajęta.

Gajowy sięgnął do kieszeni swojej zielonej kurtki i wyjął płaskie pudełeczko. Wyciągnął z niego tulejkowatą antenę, po czym wrócił do drzwi i stanął u wejścia na otwartą werandę.

— Dali nam krótkofalówki — wyjaśnił naciskając jakiś guziczek. — Żebyśmy mogli natychmiast wezwać straż, żołnierzy albo naukowców, jak zobaczymy coś niezwykłego — zbliżył aparat do ust i zaczął wywoływać „rybitwę”. Sam przedstawił się jako „jedlina”. Rozmawiał chwilę, po czym schował aparat i wrócił do pokoju.

. — Będą za kilka minut — powiedział. — Proszę się nie martwić — spojrzął ze

współczuciem na panią Helenę. — Strażacy, milicjanci i żołnierze pójdą przez las tyralierą. Poprosimy także sąsiadów. Znajdziemy ich na pewno. Przecież ani Mira, ani Łukasz nie są małymi dziećmi. Dopiero jedenasta — ciągnął. — A nuż jeszcze sami wrócą. Mogli pójść szukać kosmitów. Tyle się teraz dzieje w Górku...

— Gdyby się nic nie stało, Łukasz na pewno byłby już tutaj — rzekł półgłosem pan Polowy Paweł zerknął na niego kątem oka, ale nic nie powiedział.

— Miałabym jeszcze jedną prośbę — zaczęła z wahaniem pani Helena — „Sztab” dysponuje przecież specjalnymi telefonami. Czy ktoś nie mógłby zawiadomić mojego męża w Krakowie? Byłoby mu przykro, w razie w razie.... — nie zdołała powiedzieć nic więcej.

— To dobry pomysł — przytaknął dziadek Klemens. — Trochę strachu mu nie zaszkodzi.

Gajowy znowu wyjął krótkofalówkę.

— Proszę mi podać numer — rzekł krótko. Otrzymałszy go ponownie wywołał „rybitwę” i poprosił o zawiadomienie takiego a takiego pana w Krakowie, że jego córka nie wróciła wieczorem do domu i choć za wcześnie leszcze na wszczynanie alarmu, to jednak jego żona uważa, że powinien o tym wiedzieć.

— Bardzo dziękuję — pani Helena zdobyła się na uśmiech.

Gajowy pokręcił głową.

— Proszę nie dziękować. To nawet przykro brzmi wobec takiego nie. — chciał powiedzieć „nieszczęścia”, ale w ostatniej chwili zmienił to słowo na „kłopot”. — Takiego kłopotu. Aha — o czymś sobie przypomniał. — Proszę państwa, naprawdę nie ma sensu martwić się na zapas. Musimy cierpliwie poczekać na milicjantów i żołnierzy. Tymczasem muszę wam o czymś opowiedzieć. U nas w domu jest teraz siostra mojej żony Przyszła po południu z tym gagatkiem, Jackiem, i lamentuje, że jej mąż zwariował. Wziął widły, siekierę, koszyk jaj, dwa bochenki chleba i zamknął się w piwniczce pod chlewem. Świnie kwiczą, bo głodne, a on wrzeszczy, żeby nikt się nie zbliżał, bo każdemu, kto podejdzie, rozwali głowę siekierą. Pan podobno z nim rozmawiał? — gajowy spojrzał ciekawie na dziadka Klemensa.

Paweł nadstawił uszu.

— Ja? — rzekł dziadek tonem urażonej niewinności — Nigdy w życiu.

— Przepraszam, panie profesorze, ale w takim razie, skąd pan wiedział, co on wyprawia? Przecież to pan powiedział mojej żonie, żeby poszła do siostry, bo u niej dzieje się coś niedobrego?

— Taak? — zdziwił się pan Klemens — Być może... — bąknął. Nagle machnął ręką. — Niech już będzie — ustąpił. — Rzeczywiście rozmawiałem chwilę z pańską żoną, ale daję słowo honoru, że nie zamieniłam słowa z jej szwagrem i nie namawiałem go, żeby zamykał się w jamie pod chlewem, choć skądinąd miejsce wydaje mi się wybrane zadziwiająco trafnie. Prawdą jest natomiast, że poszedłem do szkoły i odnalazłem asystenta profesora Turbo. Poruszaliśmy różne tematy. Ziemskie i kosmiczne. Spytałem go, czy nie brakuje mu materiału do badań. Mówiliśmy akurat o śladach pozostawionych przez spodki i tych, którzy nimi ponoć latają. On na to, że owszem, brakuje, ponieważ wszystkie znalezione okazy, nie wyłączając ogryzionych prze? wiewiórki szyszek, w końcu nie wiadomo czym na ziemi żywią się ufici, otóż w ogóle wszystko, cokolwiek tylko wygląda nieco inaczej niż na fotografiach w przyrodniczych albumach, lego szanowny mistrz natychmiast porywa i albo zamyka w kasie pancерnej, albo wysyła specjalną pocztą do jakiegoś instytutu. Wobec tego ulitowałem się nad młodym, żadnym wiedzy człowiekiem. Zdradziłem mu, że znam kogoś, kto zgromadził nieprzebrane zapasy tajemniczych śladów i wypala ich odciski w glinie.

Gdyby był Łukasz, nie uwierzyłby dziadkowi. Łukasza, jak wiadomo, nie było. Ale

ktoś go godnie zastąpił.

— Panie profesorze — rzekł wymownym tonem gajowy, uśmiechając się pod nosem.

— No dobrze — westchnął pan Klemens. — Pal sześć, powiem wszystko.

Pochowajcie mnie tu, pod modrzewiem, kiedy ten typ porzuci swoje świnię i przyleci z siekierą do mnie. Nie udał się panu szwagier.

— Mnie to mówić — gajowy wzruszył ramionami.

— Dowiedziałem się przypadkiem — podkreślił dziadek — że zaplanował sobie bardzo brzydki sposób napchania kieszeni. Nic by mnie to nie obeszło, gdyby nie wciągnął do tych brudnych interesów, gdyby nie wciągnął do nich — powtórzył spoglądając w sufit ponad głową zmartwiałego Pawła — swojego syna — przeniósł wzrok z powrotem na gajowego. — A ja nie lubię, kiedy ktoś wyrządza krzywdę młodocianym cymbałom, choćby byli nieznośni jak na przykład... zresztą, mniejsza z tym. Rzeczywiście poszedłem do wspomnianego asystenta i poprosiłem go o przysługę. To miły i niegłupi chłopak. Od razu pobiegł do pańskiego szwagra i nakłamał mu ile wlezie. To znaczy powtórzył wszystko, co ja kazałem mu tam powiedzieć. Że uczeni badacze w Górku posiadają urządzenia, które pozwalają im podsłuchiwać rozmowy kosmitów. Że sam słyszał, jak kosmici zmawiali się na kogoś, kto fałszuje ich ślady, przez co w oczach ludzi wychodzą na durniów. Tak, tak, on istotnie wypalał w glinie fałszywe ślady. Nie trzeba fachowca, żeby to odkryć. Nawet ja się połapałem. Przekładem — dziadek znowu zaakcentował to słowo — mamy tu w domu kilka, jak mówią prawnicy, dowodów rzeczowych. Brał kawałek gliny, przykładał do niego jakieś potłuczone żarówki, agrafki, pędzelki, korkociągi i licho wie co jeszcze, odciskał wszystko naraz, wsadzał do pieca i wyjmował gotowe bezcenne pamiątki, które miał zamiar sprzedawać za ciężkie pieniądze. Początkowo rzeczywiście chodził po lesie z workiem na plecach i szukał prawdziwych śladów, ale szybko mu się to znudziło. Wykombinował, że może zarobić tyle samo, albo i więcej, nie wysilając się aż tak bardzo. Nie mam sobie nic do wyrzucenia — dziadek uśmiechnął się przelotnie. — Myślę, że kosmici istotnie nie byliby zachwyceni, gdyby go przydybali. Wysłannicy supercywilizacji przywożą tu z gwiazd prymitywne korkociągi? Ani chybi złożyliby wizytę komuś, kto poważył się tak ich skompromitować przed mieszkańcami Ziemi. Nie muszę wam tłumaczyć, że nikt nie ma żadnego aparatu do podsłuchiwania. Ale pański szwagier — dziadek ponownie uśmiechnął się do gajowego, tym razem tak, jakby go za coś przeproszał — poza tym że ma skłonności do łatwego zbijania fortuny, jest jeszcze do tego... Jakby to powiedzieć... No, nie należy do czołówki światowych myślicieli. Uwierzył we wszystko.

Gdyby Łukasz był w tym pokoju, rzekłby sobie w duchu, że dziadek Klemens tym razem wspiął się na absolutne szczyty piekielnej przebiegłości. Jednym pociągnięciem uniemożliwił Kapelusznikowi oszukiwanie naiwnych łowców kosmicznych śladów, a zarazem zlikwidował „interes”, który, już całkiem serio, mógł się skończyć zgoła fatalnie dla jego własnego wnuka. W dodatku zrobił to tak, że ojciec Plujka nie może mieć pretensji do Pawła, ponieważ nawet gdyby kłamstwo wyszło na jaw, nikt nie będzie wiedzieć, że asystent profesora Turbo działał w porozumieniu z kimś, kto należy do rodziny Piotrowiczów. A Paweł z kolei nie może mieć urazy do Miry ani do niego, to jest do Łukasza, bo przecież sam pokazał dziadkowi te gliniane skarby, które przyniósł do domu w okopconym worku. Pan Klemens tylko popatrzył, pomyślał i od razu odgadł, co się święci.

Powiedziawszy sobie to wszystko, Łukasz na pewno odetchnąłby z ulgą.

Szkoda, że go nie było.

— Uwierzył we wszystko — powtórzył dziadek kończąc opowieść o

wyprowadzonym w pole Kapeluszniku — i postanowił ukryć się przed dyszącymi żądzą zemsty kosmitami. Czy dla tych ostatnich piwniczka, świnie i siekiera stanowiłyby przeszkodę nie do pokonania, to już zupełnie inna sprawa. Oczywiście, nie mogłem przewidzieć, że znajdziecie sobie właśnie taką kryjówkę. Ale ponieważ sprawiedliwości stało się zadość.

Zasłużył na kryminal. W komórcie pod chlewem na pewno będzie mu gorzej niż w porządnej celi. Za to w więzieniu pomieszkałby dłużej. W efekcie wyjdzie na to samo. Niech siedzi.

— Niech siedzi — zgodził się chętnie gajowy. — A wracając do mojej żony. Może pan nie wie, że nasze rodziny nie za bardzo się odtań lubiły?

— Coś słyszałem... — mruknął wymijająco dziadek.

— Nie chciałem i nadal nie chcę znać mojego szwagierka. Ręce same mu uciekają od roboty, a pod tym swoim kapeluszem zamiast mózgu nosi maszynkę do liczenia pieniędzy. Ale żonie było przykro ze względu na siostrę. Teraz są razem, u nas w kuchni, obejmują się i pochlipują, jak to baby. Trochę ze strachu, co jeszcze wymyśli ojciec Jacka, i co będzie z chłopcem, bo jak na razie zapowiada się na tęgiego łobuza, a trochę ze szczęścia, że się pogodziły. Spełnił pan dobry uczynek, panie profesorze...

— Niechąco...

Zapadło milczenie. Wszyscy byli pod wrażeniem diabelskiej intrygi, uknutej przez nestora rodu, wszystkich trochę ubawiła przygoda niefortunnego fałszerza pamiątek, ale wszyscy też w gruncie rzeczy błędzili myślami zupełnie gdzie indziej. Przebiegali w wyobraźni okoliczne lasy, skałki, wąwozy, rozpadliny...

W pewnej chwili pani Helena nerwowo spojrzała na zegarek.

— Czemu jeszcze nikogo nie ma? — spytała łamiącym się głosem.

— Pewnie chcą zebrać jak najwięcej ludzi — rzekł łagodnie gajowy. — Przecież wiedzą, o co chodzi. Poza tym — także sprawdził godzinę — rozmawiałem z nimi zaledwie sześć minut temu.

Rzeczywiście. Od kiedy po raz pierwszy użyto w tym domu krótkofalówki, upłynęło nie więcej, niż sześć minut.

Czas nie zawsze płynie tak samo szybko.

Mądry pan Klemens z całą pewnością potrafiłby przedstawić historię klęski Kapelusznika w paru krótkich zdaniach. Ale wiedział, że słuchając go pani Helena choć na moment oderwie się myślami od nękających ją czarnych wizji. Zrobiłby wszystko co w jego mocy, żeby jak najprędzej odnaleźć wnuczkę. Jeśli jednak tymczasem mógł tylko czekać, próbował przynajmniej skrócić to czekanie mamie dziewczyny i ojcu Łukasza.

Ten ostatni od pewnej chwili spoglądał z roztargnieniem to na panią Helenę, to na gajowego. Sprawiał wrażenie, że chce o coś spytać, albo coś powiedzieć, ale nie wie, jak zacząć.

— Proszę pana... — przemógł się wreszcie. — Skoro pani Piotrowiczowa zawiadomiła ojca Miry, to może ja... — utkwiał wzrok w kieszeni, w której spoczęła krótkofalówka.

Aparacik został wydobyty na zewnątrz.

— Oczywiście — gajowy znowu ruszył w stronę drzwi. — Kraków, prawda? Tylko nie znam pańskiego nazwiska? — Nie Kraków. Nazywam się Rafał Polowy. Ale ktoś, kto będzie rozmawiać, musi powiedzieć, że chodzi o matkę Łukasza. Nie o moją żonę — dodał z przymusem, po czym wymienił nazwę miasta i numer telefonu.

W pokoju zrobiło się jakby jeszcze ciszej. Gajowy nie okazał zdziwienia. Skłonił głowę i wyszedł na werandę. Po skończonej rozmowie natychmiast wrócił. Ale nie sam. Prowadził przed sobą grubego, łysawego mężczyznę. Nieznajomy niósł w jednej ręce walizkę, a w drugiej bezkształtną torbę. Przez ramię miał przerzucony płaszcz

uszyty z cieniutkiego materiału.

— Ten pan stał przed domem — powiedział gajowy. — On chyba mieszka u mojego szwagra.

— Nie mieszka, tylko mieszkał! — sprostował ze złością grubas. — Właśnie mnie stamtąd wyrzucili. Gospodarz, zdaje się, zwariował, a jego żona dała mi delikatnie do zrozumienia, że w każdej chwili mogę dostać po głowie siekierą. Przyszedłem, bo w okolicy tylko państwo mają telefon... Przepraszam, nie przedstawiłem się. Kuhncky. John Kuhncky. Jestem właścicielem biura podróży i trochę przemysłowcem.

Przyjechałem tu w interesach.

Gdyby Łukasz...

Niestety.

— Świetnie zna pan nasz język — powiedział uprzejmie dziadek Klemens. — Niech pan postawi bagaże na podłodze.

Grubas uwolnił się od ciężarów i odetchnął głęboko.

— Dziękuję. Język? A tak, trochę. Mój dziadek urodził się w tym kraju. — Usłyszawszy to: „w tym kraju”, pan Klemens skrzywił się nieznacznie. — Jestem nieco wytrącony z równowagi — ciągnął Kuhncky. — He, he, he! — zarechotał ni w pięć, ni w dziewięć. — Ten człowiek siedzi w jakiejś piwnicy i nikomu nie pozwala się do siebie zbliżać. A ja dałem mu zaliczkę. Na szczęście wydebiłem od niego parę drobiazgów, zanim zachorował.

Paweł parsknął. Gorączkowo zakrył sobie usta dłonią i przybrał szczególnie ponury wyraz twarzy.

— Do rzeczy, do rzeczy — upominał sam siebie wesołek. — Zobaczyłem, że u państwa jeszcze się świeci i postanowiłem zapytać, czy nie mógłbym skorzystać z telefonu. Mam znajomych w ambasadzie. Chcę ich poprosić, żeby przysłali po mnie samochód.

— Pan wyjeżdża? — dziadek Klemens uniósł brwi. — Teraz, kiedy po Górkę krążą kosmici?

Grubas machnął ręką.

— Kosmici! — zawołał z przekąsem. — Słyszał pan, co oni mówią?

Zupełnie jak ci różni pomyleńcy, co biegają z transparentami przed naszymi bazami wojskowymi i wykrzykują bzdury o zbrojeniach, o ochronie środowiska naturalnego i tym podobne. Świat jest, jaki jest. Dziecinada...

— Ma pan rację — rzekł chłodno dziadek. — Świat jest, jaki jest.

Alauda też odkrył tę prawdę. To właśnie, o ile dobrze rozumiałem, ostatecznie zraziło pana do kosmitów?

— No... Nie, czemu? — zreflektował się właściciel biura podróży i trochę przemysłowiec. — Nie... Ja tak tylko...

Pan Klemens wyprostował się i powiedział: — Telefon jest do pańskiej dyspozycji. Obawiam się jednak, że nie porozmawia pan z ambasadą. Centrala ma teraz zbyt wiele pracy.

Grubas podniósł słuchawkę, przekonał się, że obawy pana Klemensa były w pełni uzasadnione i załamał ręce.

— Masz tobie! — wykrzyknął boleśnie. — Nawet gdyby w tej chwili wysłali samochód, to i tak byłby tutaj najwcześniej o świcie. Jedną noc jakoś bym przecierpiał. Na szczęście nie pada... he, he, he — tym razem jego chichot wypadł zgoła żałośnie. — Ale w tej sytuacji nie wiem, co ze sobą zrobić. Doprawdy nie wiem...

— Może pan zostać u nas — powiedziała odruchowo pani Helena.

— Kiedy indziej mógłby pan przenocować u nas — rzekł dobitnie dziadek — ale dzisiaj to niemożliwe. Zaginęło dwoje dzieci mieszkających w tym domu. Właśnie



czekamy na milicję, żeby rozpocząć poszukiwania.

— Milicję? — podchwycił grubas puszcżając mimo uszu wiadomość o dzieciach.

— Milicję... — jego oczy stały się nagle wąskie i czujne.

— Tak.

— Wobec tego ja już pójdę. Przepraszam. Rozumieją państwo, nie mogę się mieszać do... do...

— ...ratowania zaginionych — poddał dziadek.

— Tak. Nie... W każdym razie dziękuję — grubas rzucił się do swoich bagaży. — Zajrzę do tego pensjonatu, w którym przedtem mieszkałem.

Tam także jest telefon — ostatnie słowa dobiegły już z ogrodu.

— Dlaczego ojciec nie chciał, żeby u nas został? — spytała pani Helena.

Zamiast odpowiedzieć wprost, pan Klemens zwrócił się do gajowego.

— Czemu tym razem nie użył pan swojej krótkofalówki? Przecież „sztab”, z którym pan się porozumiewał mógł, bez trudu zawiadomić kogoś w ambasadzie, że należy wysłać samochód? Nie pomógł pan takiej ważnej osobistości?

— E! — mruknął gajowy wruszając ramionami.

To „e!” mogło z powodzeniem paść z ust Pawła.

— Otóż to — dziadek odwrócił się na powrót do synowej. — E! Nie można krócej i celniej. Oto dlaczego nie uśmiechało mi się pozostawać pod jednym dachem z tym człowiekiem. To jest po prostu pan „e!”.

W okna uderzyło światło reflektorów. Przemknęło po szybach i zgasło. Ucichły silniki samochodów. Chwilę później w drzwiach ukazały się sylwetki kilku mężczyzn w mundurach. Przyjechali milicjanci, przyjechał także ów major, który dowodził obecnymi w Górku żołnierzami. Lecz pierwszy wszedł wysoki cywil.

Na jego widok Łukasz wykrzyknąłby w duchu: „A ten co tutaj robi?!”

Cywil był jego dobrym, tak, już można powiedzieć: dobrym znajomym.

Dobry znajomy Łukasza przywitał się, przedstawił pani domu jako Adam Nowak, po czym rzekł zagadkowo do dziadka Klemensa: — Nic przypuszczałem, że znowu się dzisiaj spotkamy. Widzę, że dzieci jeszcze nie wróciły — mówił dalej. — Przepraszam, że kazaliśmy wam czekać, ale trzeba było zmobilizować ludzi. Pójdziemy przez Górek tyralierą.

Nastąpiła seria szybkich pytań i równie szybkich wyjaśnień. Kiedy Mira i Łukasz opuścili dom? Co mówili przed wyjściem? Dokąd zwykle chodzili? Co z sobą zabrali? Jak byli ubrani? Czy mają tutaj koleżanki i kolegów?...

Pięć minut później plan akcji był gotowy. Rozkazy zostały wydane.

Poczynając od linii łączącej szosę z miejscem, gdzie znaleziono kostium Miry, dwa szeregi ludzi miały się posuwać w przeciwnych kierunkach, przetrząsając każdą piędź ziemi, (gajowy wybiegł, żeby zwołać sąsiadów.

Dziadek Klemens przyjął do wiadomości, że nie należy się przedwcześnie martwić, jednak nie sprawiał wrażenia przekonanego. Przeciwnie.

Zmarkotniał i chwilę patrzył nie widzącymi oczami w noc, przez otwarte drzwi werandy. Nagle spytał szeptem: — Znajdziecie ich?

Wysoki cywil potrząsnął głową.

— Na pewno.

Dziadek nic więcej nie powiedział, a cywil nie próbował go zapewniać, że Mira i Łukasz zostaną odnalezieni cali i zdrowi. Pan Klemens doskonale rozumiał, że tego nikt na świecie nie był w stanie obiecać.

Ostatni wychodził pan Nowak.

— Oczywiście, idziemy z wami — pani Helena pośpieszyła za nim.

Mężczyzna zatrzymał się.

— Wykluczone — rzekł stanowczo. — Dzieci mogą tu wrócić same, w każdej

chwili — użył najmocniejszego argumentu. — Wówczas pani się nimi zaopiekuje, a pan profesor da nam znać, że możemy przerwać poszukiwania. — Jego wzrok spoczął na ojcu Łukaszu. — Z domowników jedynie pan mógłby wziąć udział w akcji.

— Naturalnie.

— Ja także idę — powiedział Paweł.

— Nie — rzekł zdecydowanie cywil.

— Idę — powtórzył jeszcze bardziej zdecydowanie chłopiec.

— Pawle! — zawołała zduszonym głosem jego mama.

Chłopiec podciągnął spodnie i szybko ruszył ku drzwiom. Wbrew swojemu kategoriicznemu sprzeciwowi pan Nowak pozwolił mu przejść obok siebie, spojrzął tylko pytająco na dziadka Klemensa.

— Helu, puść go — rzekł cicho dziadek. — On ma do pogadania z sobą samym, a poza tym chodzi przecież o Mirę. Pomyśl, jak by się czuł.

Paweł wyszedł. Zaraz po nim opuścił dom wysoki cywil. Dziadek Klemens odprowadził ich do werandy. Nagle zza drzwi znowu wychynęła głowa jego wnuka.

— Wróciłeś! — wykrzyknęła pani Helena.

— Nie wróciłem — burknął chłopiec. — Dziadku...

— Słucham?

Paweł wydał lekceważąco wargi. Następnie wetknął ręce do kieszeni i patrzył tak, jak by miał zamiar ugodzić dziadka najbardziej pogardliwym „e”, jakie kiedykolwiek udało mu się wymówić.

— Ja mogę czekać do rana — rzekł wreszcie dziadek. — Ale Mira nie może.

— Ja... Tego... — wycedził przez zęby chłopiec. — No, ja... Ee! — obrócił się na pięcie i wybiegł.

— Czego on chciał? — spytała nieprzytomnie pani Helena.

— Niewykluczone, że za chwilę się dowiemy — odpowiedział pan Klemens.

Zza framugi ponownie wypłynęła twarz Pawła. Właściwie skrawek twarzy, z częścią mrugającego oka.

— Ja... tego... dziękuję... — to „dziękuję” zostało wydobyte w najstraszliwszej męce, z najgłębszych czeluści. Oko zniknęło. Nastąpiła cisza.

Za co Paweł dziękował w ten szczególny sposób dziadkowi Klemensowi? Za to, że ujął się za nim, kiedy nie chciano mu pozwolić szukać wraz z innymi zaginionej siostry? Chyba nie. Zapewne poszedłby i tak, choćby dziesięciu energicznych cywilów i kilku majorów kazało mu zostać w domu.

Czyżby więc za coś, co miało jakiś związek z Kapelusznikiem?

Pan Klemens stał jeszcze chwilę spoglądając w ogród, z którego dobiegały oddalające się głosy ludzi, po czym podszedł do synowej, objął ją ramieniem i mocno przytulił. Pani Helena położyła głowę na jego piersi i rozplakała się.

— Zimno ci?

— Nie. Trochę.

Łukasz po omacku podgarnął zielska okrywające nogi dziewczyny.

Następnie położył się na wznak, wsunął ręce pod głowę i patrzył prosto w górę, w zupełną ciemność. Właściwie nie zupełną. W pewnym miejscu lśnił tam złoty drobiazg niby przyklepiona iskierka. Widocznie dokładnie nad jakąś szparą świeciła jedna z rozsypanych po niebie gwiazd.

Chłopiec ujrzał w wyobraźni to niebo, ogromne, zapierające dech w piersi i pomyślał o ludziach, którzy w tej chwili nad jeziorem, na leśnych drózkach, albo przed swoimi domami spoglądają jak on, w górę. Pokazują sobie palcami jaśniejsze świecące punkciki, wymieniają ich nazwy albo o nie pytają, szukają zarysów fantastycznych postaci i przedmiotów, jakie rysowali na swoich gwiazdnych mapach

starożytni astronomowie. Oddałby pół życia, żeby być teraz wśród nich. Razem z nimi. Nawet gdyby dokoła roilo się od rozmaitych fałszywych brodaczy, Kapeluszników. Bulgotków, Plujków, Kutyni, nadętych elegancików i złośliwych zarozumiałców. Zresztą na świecie zawsze będzie więcej niespiegów, niekapeluszników, niebulgotków, nieplujków aniżeli tych pierwszych.

Mirze na pewno jest zimno. Mówi: „trochę”, ale dzwoni zębami.

W śmiertelnej ciszy słycać doskonale. Jemu także jest zimno. Noc wreszcie kiedyś minie. Co z tego. Potem słońce zajdzie znowu. Potem...

Potem nie będzie już nic.

Chyba, że...

Nie. Nie.

— Słuchaj — odezwała się nagle Mira. — A gdybyśmy podpalili tę badyle? Może ktoś zauważyłby ogień? Albo przynajmniej dym?

Łukasz uśmiechnął się smutnie do siebie.

— Niemożliwe. Siedzimy głęboko pod płytami, a otwory są malutkie. Zanim ktoś zobaczy dym, udusimy się tutaj. Poza tym nie mamy zapalek.

— Jak można wypuszczać się na detektywistyczne wyprawy bez zapalek! — fuknęła słabo dziewczyna. — Niczego nie masz! Latarki, swetra, nawet wody w manierce!

Łukaszowi przeszło przez głowę, że manierka z wodą nie jest najniezbędniejszą częścią wyposażenia dla kogoś, kto tropi szpiega nad brzegiem wielkiego jeziora, ale ani myślał się bronić. Wyszeptał ze skrucą:

— Nie mam.

— Ja też nie mam — przyznała po chwili dziewczyna.

Ponownie zapadła cisza.

Mama na pewno narobiła hałasu na cały Górek — odezwała się po długiej pauzie Mira.

Łukaszowi to określenie niezbyt przypadło do gustu, jednak i teraz nie zaprotestował. Przyszło mu to tym łatwiej, że pomyślał o własnej mamie. Jego mama nie „narobi hałasu”, ponieważ o niczym nie wie. Kiedy się dowie, będzie już po wszystkim.

Mamo... — wyszeptał w duchu, po czym rozpaczliwym wysiłkiem woli spróbował zmusić swoją wyobraźnię, by przeniosła go gdzie indziej.

Mama o niczym nie wie. Ale tata jest na miejscu i na pewno szaleje z niepokoju. Pani Helena. Dziadek Klemens.

A może dziadek coś wymyśli? Jest taki mądry. Tylko co właściwie mógłby wymyślić? Nawet gdyby jakimś cudem odgadł, że oni tkwią tutaj, pogrzebani za życia w zakazanym rumowisku...

Będziemy krzyżeć — postanowił nagle. Podniósł się, parę sekund siedział wyprostowany i napięty, a następnie z powrotem opadł na swoje legowisko.

— Będziemy krzyżeć — powiedział na głos. — Poczekamy do rana i zaczniemy wołać. Co minutę albo co dwie, razem. W końcu ktoś usłyszy.

Musi usłyszeć. Od czasu do czasu ludzie chodzą przecież tą ścieżką, którą mi pokazałaś.

Znowu przez długą chwilę było zupełnie cicho.

— Ludzie... — powtórzyła wreszcie szeptem Mira. — Nawet jeśli ktoś usłyszy, to nie ludzie...

Wypowiedziała tę właśnie myśl, którą tak usilnie odpędzał od siebie chłopiec. Kosmici nie porzucą ani spodka, ani swoich aparatów. Na pewno codziennie przychodzą sprawdzać, czy ktoś niepożądany nie odkrył ich kryjówek. Zjawią się i jutro... to znaczy już dzisiaj. Zobaczą, że jakaś płyta spadła i zamknęła wejście. O n i

poradzą sobie z taką przeszkodą raz dwa. Wtedy...

Nie. Wcześniej usłyszają wołanie. Zupełnie niespodziewanie dla samego siebie Łukasz pogodził się z wizją, od której dotąd uciekał. Dziadek Klemens nie miał najlepszego zdania o kosmitach. Jednak z drugiej strony ten Alauda w kółko powtarza, że nie przybyli w złych zamiarach. Jeśli tak, to dlaczego właściwie nie mieliby pomóc parze młodych Ziemiaków, która znalazła się w opałach?

— Ludzie, nie ludzie, co za różnica — był przekonany, że mówi takim tonem, jakby opowiadał przyjemny dowcip. — Ci od spodka też nas nie zjedzą.

— Zjeść nie zjedzą... zwłaszcza ciebie. Same gnaty — Mira nie pozostała w tyle, jeśli chodzi o nadrabianie miną. Jej miny nie było wprawdzie widać, ale sądząc po głosie, powinna być wręcz promienna. To znaczy tak zapewne sądziła osóbką, do której ten głos należał. W rzeczywistości brzmiał inaczej. Do tego stopnia inaczej, że Łukasz zapragnął zerwać się, pobiec przed siebie i zacząć tłuc czołem o ścianę betonowej pułapki. — Nie zjedzą — powtórzyła Mira. — Oni po prostu wezmą nas z sobą. Nie pozwolą nam odejść, skoro zobaczymy ich z bliska. Porwą nas gdzieś w gwiazdy i nigdy już... Nigdy... Niech sobie ten głupi Alauda gada co chce o naszym świecie... Ale gdybym miała już nigdy...

Stało się. Mira nareszcie zrobiła to, co tysiąc dziewcząt w jej położeniu zrobiłoby już całe godziny temu. Wtuliła głowę w kolana i rozsłochała się jak małe dziecko.

A Łukasz teraz rzeczywiście zerwał się z miejsca. Nie pobiegł wprawdzie tłuc czołem o ścianę, ale zacisnął pięści i wydał z siebie długi, nieludzki ryk. Echo zaczęło tłuc jak oszalałe tam i z powrotem, a on ryczał i ryczał, aż wreszcie zabrakło mu tchu.

— Przestań — pisnęła Mira pochlipując. — Przestań. Głowa pęka. I rozpląkała się na nowo.

Dziadek Klemens podniósł się z trudem. Podszedł do kontaktu i zgasił światło. W pokoju zrobiło się jakby jaśniej. Na dworze był już błękitny, lipcowy dzień.

Dziadek nie wrócił na fotel, tylko zatrzymał się przy stole, musnął opuszkami palców leżące na nim rysunki i skinął na syna.

— Rzuć okien — powiedział. — Ożeniłeś się z prawdziwą artystką.

Marek Piotrowicz przyjechał piętnaście minut temu. Ochlapał twarz zimną wodą, wypił dwie szklanki herbaty, a teraz szybkim krokiem chodził po pokoju, z rękami założonymi na plecach.

— Co to jest? — przebiegł roztargnionym wzrokiem po rozpostartych arkuszach. — Niechże mi ojciec nie zawraca głowy obrazeczkami! — rzucił. Odwrócił się i podszedł do żony. Pani Helena siedziała obok telefonu. Głowę miała nisko opuszczoną na piersi, dłonie położyła na kolanach, jej włosy wydawały się bardziej srebrne niż wczoraj. Mąż przyglądał się jej chwilę, po czym niespodziewanie mruknął: — No, ładne te rysunekzki...

Dziadek Klemens westchnął. W niczym nie przypominał tego rześkiego starszego pana, który tak buńczucznie wyzywał młodsze pokolenie na pływakki pojedynek. Ramiona mu opadły, pod jego oczami widniały ziemiste cienie. Tylko jego głos, choć nieco zachrypnięty, brzmiał spokojnie jak zwykle. Ten spokój został drogo opłacony, ale tego można się było jedynie domyślać.

— Może teraz rzeczywiście nie czas o tym mówić — rzekł. — Uważam jednak, że Hela powinna wreszcie poważnie zająć się malowaniem.

— Powinna raczej lepiej pilnować dzieci! — zachnął się znowu pan Marek. — Jak można było puścić Mirę samą? Słyszałem o tych tłumach, które zwały się do Górka. Tyle podejrzanych typów! Do tego ci kosmici!

— Gdybyś był z nami, nie pozwoliłbyś Mirze pójść samej — przerwał dziadek. — Ciekaw jestem tylko, jak byś to zrobił? Zdaje się, że zupełnie nie znasz własnej córki.

— Teraz mogę jej już nigdy nie poznać...

— Zachowuj się jak mężczyzna. Rozumiem, że dręczy cię beczyność, ale przecież nie wiemy, gdzie teraz są ci, którzy kierują poszukiwaniami. Nie ma sensu latać na oślep po lesie. Na pewno wkrótce ktoś się tu pokaże. Nie pogarszaj sytuacji okazywaniem swojego zniecierpliwienia.

— Zniecierpliwienia? Też znalazł ojciec słowo! Ja przecież... Ja...

— Nie ty jeden — dziadek wskazał oczami nieruchomą postać przy szafce. Pan Marek potarł czoło dłonią, mruknął coś i powoli wrócił do stołu. Pozostał tam chyba minutę, przyglądając się rysunkom, a następnie znowu podszedł do żony i łagodnym ruchem pogładził ją po włosach.

— Nie martw się, Heleno — powiedział zmienionym głosem. — Zobaczysz, że... Zobaczysz... — urwał.

Na werandzie załomotały męskie kroki. Do pokoju wszedł ojciec Łukasza, a za nim wysoki cywil, prowadzący za rękę Pawła. Chłopiec kroczył z półprzymkniętymi oczami, błądzący jak kreda. Za tą trójką ukazały się głowy gajowego, majora i naczelnika gminy. Trzej dalsi mężczyźni zatrzymali się na progu.

— Znaleźliście? — pani Helena zerwała się z krzesła. Obrzuciła gorączkowym wzrokiem przybyłych i twarz jej przygasła.

— Jeszcze nie — powiedział pan Nowak. Puścił rękę Pawła, który podszedł do fotela, usiadł i od razu zasnął. — Ale proszę nie wysnuwać pochopnych wniosków. Na razie udało nam się wykluczyć najgorsze — ciągnął cywil. — Dzieci teoretycznie mogły wypuścić się na jezioro. To że Mira zostawiła na brzegu kostium, niczego jeszcze nie przesądzało.

Jednak na przystani nie brakuje ani jednej zagłówek, nikomu w okolicy nie zginęła żadna łódka, kajak czy choćby ponton. A zatem nie wypłynęli.

Przeszukaliśmy dwa razy las i cały stok od szosy do plaży, na przestrzeni dziesięciu kilometrów. Pytaliśmy we wszystkich domach. Musielibyśmy znaleźć jakieś ślady, gdyby zdarzyło się nieszczęście. Pozostało jedynie to zwałowisko elementów budowlanych, między wami a centrum Górka.

Zacniemy je przeszukiwać dopiero teraz, bo po pierwsze musieliśmy poczekać, aż zrobi się jasno, a po drugie, będzie nam potrzebny specjalny sprzęt. Major — wskazał mężczyznę w mundurze — wezwał saperów.

Przyjadą z wojskowym dźwiękiem. Nasi ludzie czekają na nich w tej chwili, ale proszę się nie obawiać, nie przerwiemy akcji na długo. Chcieliśmy w ogóle tam zostać, jednak pan Rafał — zerknął na ojca Łukasza — przyprowadził nas tu niemal siłą...

— Mira nie poszła do zwałowiska — szepnęła mama zaginionej. — Mówiłam jej tyle razy...

— Nie wiemy, czy tam poszła, ale na dobrą sprawę innej możliwości po prostu nie ma — rzekł ojciec Łukasza. — Zaprosiłem tu panów, żeby bodaj przez kilka minut spokojnie odpoczęli. Czy poczęstujesz nas kawą?

— Ja zaparzę kawę — powiedział mąż gospodyni.

— Myślę, że Hela zaparzy lepszą — grzecznie, lecz stanowczo sprzeciwił się Polowy.

— Jestem tego samego zdania — dziadek Klemens w lot odgadł, że ojciec Łukasza pragnie choć na krótko zająć czymś zropanzoną kobietę.

Pan Marek spojrział zdumiony na obu mężczyzn.

— Naturalnie — jego żona zawahała się. — Tylko przedtem położę do łóżka Pawła. Jest zupełnie nieprzytomny. Jeszcze się rozchoruje...

— Zaniosę go na górę — ojciec zwinętego w fotelu chłopca popatrzył pytająco nie tylko na panią Helenę, lecz także na dziadka Klemensa i, co najdziwniejsze, na

swojego kolegę z pracy, z którego opinią nie zwykł się dotąd liczyć. Jakby pragnął się upewnić, że przynajmniej tyle pozwoli mu zrobić.

— Spróbuj — zgodził się dziadek.

Paweł nie był tak drobny jak Mira ani tak chudy jak Łukasz. Leciał stękającemu ojcu przez ręce i na górę został raczej zawleczony aniżeli zaniesiony. W połowie schodów wymamrotał: — zajrzyjmy pod ten pniak...

Ale się nie obudził.

— Dzielny chłopiec — stwierdził z uznaniem pan Nowak. — Licho nie śpi, więc przez całą noc starałem się mieć go na oku. Był niezmordowany. Zaglądał we wszystkie dziury, odwalał głązy, przeszukiwał opłotki, myszkował na czworakach w największych gęstwinach. Całe szczęście, że pana posłuchałem — zniżył głos, spoglądając porozumiewawczo na pana Klemensa. — Gdybym wkroczył oficjalnie, przeżyłby parę niemiłych chwil. A co u tego kombinatora?

— Ze strachu przed kosmitami zamknął się w piwnicy pod chlewem.

Czeka tam na nich z siekierą. Można rzec, że sam urządził sobie kryminał — odparł równie cicho dziadek.

— Prędzej czy później prawdziwy kryminał też go nie minie...

Gdyby to słyszał Łukasz, powiedziałaby sobie w duchu, że jednak nie znał dotąd swojego dobrego znajomego. To zresztą powiedziałaby sobie już wcześniej. Teraz musiałby tylko dorzucić parę znaków zapytania. Kim w końcu jest ten człowiek, skoro, jak się okazuje, dziadek Klemens zdradził mu wstydliwą tajemnicę swojego wnuka, choć tak skrzętnie ukrywał ją przed innymi? Czemu dziadek tak postąpił? Co kryje się za jego konszachtami z typem, który przyjechał do Górka bez legitymacji?

Naturalnie, gdyby Łukasz był tutaj, nie stawiałby sobie takich pytań, ponieważ odpowiedzi już dawno nasunęłyby mu się same. Jednak wówczas wszystko wyglądałoby inaczej.

— Rozebrałem go, opłukałem mu twarz i nogi i przykryłem kocem — oznajmił ojciec Pawła schodząc z piętra. — Jutro będzie miał siniak na siniaku.

— W jego wieku człowiek bez siniaków nie jest człowiekiem — major zdjął miękką, połową rogatywkę i podszedł bliżej stołu.

— Oto głos żołnierza — rzekł dziadek. — Rycerskie blizny — zacytował. — Co?

— No, od razu blizny, to lekka przesada — odparł oficer. — O! — zawołał nagle spostrzegłszy rysunki. — Jakie to ładne!

Naczelnik gminy, gajowy i Nowak stanęli obok majora. Trzej mężczyźni na werandzie poruszyli się niespokojnie, ale nadal żaden z nich nie przestąpił progu.

— Bardzo ładne — przytaknął naczelnik. — Chętnie powiesiłbym te obrazki u nas w urzędzie. Górek tak pięknie na nich wygląda. No i mielibyśmy pamiątkę po przygodzie z kosmitami.

— Niech pan poprosi autorkę — rzekł dziadek. — Właśnie nadchodzi.

— Och, zabierzcie to! — pani Helena, dostrzegłszy, że jej rysunkowe żarty stały się przedmiotem powszechnego zainteresowania, omal nie upuściła tacy zastawionej parującymi filiżankami. Mężczyźni jak na komendę pociągnęli nosami. Rysunki powędrowały na krzesło, podobnie jak dziewczęcy kostium kąpielowy oraz ręcznik. Na stole, obok filiżanek, musiała się zmieścić także większa liczba talerzyków i półmisek z kanapkami.

— Ślicznie pani rysuje — powiedział ze szczerym zachwytem major.

— Zwłaszcza dzieci, które mówią: „pa, pa” — szepnęła gorzko pani Helena, po czym westchnęła i dopiero teraz zwróciła uwagę na dziwnych gości, tak cierpliwie czekających przed drzwiami. Przekonana, że ma do czynienia z następnymi uczestnikami akcji ratunkowej, tylko wyróżniającymi się szczególną nieśmiałością, postanowiła ich zachęcić. — A panowie? Prosimy na kawę...

Cywil szybko chwycił najbliższą filiżankę. Naczelnik mruknął coś niewyraźnie i poszedł w jego ślady. Major najpierw zajął się kanapkami.

— My przyszliśmy tutaj sami... — zaczął wyjaśniać nieporozumienie pierwszy mężczyzna. Stał niepewnie w połowie drogi między werandą a stołem i obejrzał się na pozostałych.

— Ja jestem z prasy — wystąpił drugi.

— Ja z telewizji — rzekł z dumą trzeci.

— Ja od lat zajmuję się kosmitami, którzy odwiedzają Ziemię — uzupełnił pierwszy.

Znowu starzy znajomi! — zawołałby Łukasz. Może tym razem nawet na głos. No bo aż trzech za jednym zamachem...

Nowo przybyli ustawili się w szeregu i według wzrostu, jak na zbiórce. Z prawej strony ufolog w krótkich spodenkach. Ufology chętnie rozprawiają o tak zwanych „bliskich spotkaniach trzeciego stopnia”. Nogi ufologa nosiły wyraźne ślady bardzo bliskiego spotkania, nie tyle jednak z kosmitami, ile kolcami zwykłych, ziemskich jeżyn. Pośrodku stanął dziennikarz, który jako baran dotrzymywał przedwczoraj towarzystwa znawcy gwiazdnych cywilizacji. Najniższym z trójki był reporter telewizyjny.

Pani Helena stropiła się.

— Nie bardzo rozumiem...

— Nie rozumiem, czym możemy panom służyć? — ostro wpadł jej w słowo ojciec Łukasza.

Ufolog przestąpił z jednej podrapanej nogi na drugą.

— Jak wiadomo, w Górku wylądowały istoty z innej planety — powiedział. — Zdarzało się już nieraz, w różnych miejscach naszego globu, że kosmici zapraszali pojedynczych ludzi do swoich pojazdów. Znamy relacje osób wyróżnionych przez nich w ten sposób. Nigdy nikogo nie spotkało nic złego. Państwo szukają zaginionych dzieci. Pomyślałem, że przyjdę i przytoczę niektóre fakty, żebyście się nie martwili. No bo chyba dla wszystkich jest oczywiste, że dziewczynka i chłopiec są w tej chwili na pokładzie kosmicznego statku.

— A my, korzystając z okazji, chcieliśmy prosić o kilka zdań dla prasy i dla telewizji — rzekł niższy dziennikarz. — Co państwo myślą o hipotezie wysuniętej przez tego pana? — zerknął na ufologa. — Czy bylibyście zadowoleni, gdyby wasze dzieci rzeczywiście zawarły znajomość z kosmitami? Czy ogłosilibyście publicznie, o czym z nimi rozmawiano?

— Odpowiem panu jednym słowem — rzucił zimno ojciec Łukasza. — Do widzenia. I proszę was bardzo, nie czekajcie, aż będę to musiał powtórzyć.

Pan Marek Piotrowicz wytrzeszczył oczy na swojego kolegę, jak by go widział pierwszy raz w życiu. Ale o wiele bardziej zdumiony byłby teraz Łukasz. Kto wie, czy nie zaczęłyby podejrzewać, że to nie on, a właśnie tata został zaproszony przez kosmitów do ich pojazdu i wyszedł stamtąd całkowicie przemieniony, jak z pałacu czarnoksiężnika.

Rafał Polowy z całą pewnością nie odwiedził ani czarnoksiężnika, ani kosmitów. Niemniej, odkąd przyprowadził na kawę gości utrudzonych całonocnymi poszukiwaniami, zachowywał się jak ktoś najzupełniej dotąd nie znany, nie tylko gospodarzom, lecz także własnemu, nieobecnemu synowi. Jego ruchy nabrały pewności. Mówił pełnym głosem, spokojnie, ale stanowczo. Był zmartwiony i zmęczony do granic wytrzymałości, a mimo to nagle przestał się garbić, kryć głowę w ramionach i czekać z każdym słowem, aż go ktoś dwa razy zagadnie.

Już wczoraj, nad jeziorem, sprawiał takie wrażenie, jak by zrzucił z pleców jakiś przygniatający go ciężar. Jednak dzisiaj wydawał się po prostu kimś innym.

Czyżby gdzieś w głębi siebie był zawsze taki jak teraz, a tylko nie ujawniał swojego prawdziwego charakteru, bo coś mu na to nie pozwalało? Czy też musiał dopiero przeżyć silny wstrząs, na przykład zaginięcie jedyne go syna? A może odmieniła go jedynie na pewien czas konieczność działania, w obliczu dramatycznego zdarzenia?

Choć wszyscy myśleli teraz wyłącznie o Mirze i Łukaszu, nie mogli nie spoglądać na pana Polowego z niekłamanym niedowierzaniem. Zmiana, jaka w nim zaszła, nazbyt rzucała się w oczy.

— Oni nie zrobią dzieciom nic złego. Tylko to chciałem zakomunikować — ufolog poczuł się do głębi urażony.

— Choć parę słów... — podjął ostatnią próbę reporter.

— Ja najmocniej państwa przepraszam — powiedział dziennikarz piszący dla prasy. — Przedwczoraj biegałem po łące w baraniej skórze i widocznie duch jej poprzedniego właściciela zagnieździł się w mojej głowie, skoro tu przyszedłem. Nachodzić was w takiej chwili! Kretyński pomysł, a w dodatku chamstwo. Przykro mi... — odwrócił się i szybko ruszył ku drzwiom, ale niespodziewanie zatrzymał go dziadek Klemens.

— Momencik! — zawołał. Ponieważ reporter telewizyjny i ufolog, którzy także jak niepyszni zmierzali już w stronę werandy, wzięli to wezwanie do siebie, pośpieszył sprostować ich pomyłkę: — Panów to nie dotyczy! — Następnie wziął pod ramię wyższego dziennikarza i odprowadził go do ogrodu. Po drodze szeptał mu coś do ucha. W końcu pożegnał go życzliwym skinieniem ręki i wrócił do pokoju.

— Co mu ojciec powiedział? — spytał pan Marek.

— Na razie nic. Obiecałem tylko, że coś mu powiem, kiedy odnajdziemy Mirę i Łukasza — wyjaśnił sięgając po ostatnią filiżankę kawy. — I dotrzymam obietnicy. Dopiero się zdziwi.

Kawa została wypita. Kanapki zjedzone.

— Idziemy! — dał hasło pan Nowak.

W tym momencie zadzwonił telefon. Pani Helena przyskoczyła do aparatu i chwyciła słuchawkę.

— Tak! Tak... — spojrzała na ojca Łukasza. — Rafale, do ciebie...

— Słucham? Dzień dobry. Nie, jeszcze nie — pan Polowy krótko opisał okoliczności zaginięcia dzieci i przebieg poszukiwań. — Właśnie wychodzimy — zakończył. Przez chwilę milczał, słuchając dalekiego kobiecego głosu, po czym rzekł spokojnie: — Trudno, szkoda. Zadzwoń ty, bo centrala w Górku jest stale zajęta. Do widzenia — odłożył słuchawkę i wyjaśnił: — matka Łukasza.

— Przyjedzie? — spytała pani Helena.

— Niestety, nie może. Ewentualnie jutro, jeśli... Jeśli nic się nie zmieni — zrobił krótką pauzę. — Chodźmy już — ogarnął wzrokiem czekających na niego mężczyzn.

— Idę z wami — rzekł ojciec Miry i Pawła.

— Naturalnie — zgodził się machinalnie gajowy i dodał, posyłając pożegnalne spojrzenie pani domu: — Proszę się nie zamartwiać. Muszą być w tym zwałowisku...

— Zaraz! A ja? — dobiegł zaspiany głos ze szczytu schodów.

— Pawle, uważaj! — krzyknęła ze strachem pani Helena. O ułamek sekundy za późno.

Chłopiec zorientował się, że ekipa poszukiwaczy chce wyruszyć bez niego i wypadł ze swego pokoju jak stał, a raczej, jak leżał. Śpiąc jeszcze na jedno oko, w gorączkowym pośpiechu, narzucił koszulę, a teraz walczył ze spodniami. Wetknął lewą nogę do prawej nogawki, a drugą nogą kręcił rozpaczliwie w powietrzu, szukając dla niej otworu, który gdzieś mu się zapodział. W takiej pozycji wybiegł na schody i zmienił tę pozycję dopiero, gdy leciał z nich na łeb; na szyję z ogłuszającym



klekotem. Znalazłszy się w ten sposób na dole, oprzytomniał, wstał, umieścił obie nogi we właściwych nogawkach i warknął: — Kto mnie wsadził do łóżka? No kto?! Gołego? O mało się nie zabiłem!

— Ja cię wsadziłem do łóżka — przyznał się ojciec poszkodowanego. — Powinieneś w nim zostać.

— Akurat!

Zaszeleściły zielska.

— Spisz? — spytała szeptem Mira.

— Nie.

— A ja chyba zasnęłam... — dziewczyna była zachrypnięta i po każdym słowie musiała robić krótką przerwę.

— Ja też spałem — skłamał Łukasz. — Popatrz. Już dzień.

Mira uniosła głowę i zaczęła się rozglądać.

Chłopiec zrzucił z siebie chwasty. Podniósł się, postął parę sekund, po czym kolana się pod nim ugięły i usiadł na powrót.

— Co robisz?

— Nic, nic — Łukasz odczekał jakiś czas, a następnie ponowił próbę.

Chwilę balansował, kiwając się do przodu i do tyłu jak taka drewniana laleczka, która nie może upaść, ale w końcu złapał równowagę. Odetchnął głęboko i chwiejnym krokiem ruszył przed siebie.

— Dokąd idziesz?

— Nic, nic.

— Wracaj.

— Już wracam — Łukasz zatoczył małe kółeczko i znalazł się znowu obok dziewczyny.

— Po co chodziłeś?

W ciemności nie było widać śladów łez na twarzy Miry. Dawno przestała płakać. Gdyby nie brzmienie jej głosu i te martwe pauzy między słowami, można by pomyśleć, że po dobrze przespanej nocy obudziła się we własnym łóżku i tylko jest jeszcze zbyt rozleniwiona, by od razu zacząć nowy dzień z energią i entuzjazmem.

— Mieliśmy krzyżeć — przypomniała.

Łukasz czuł się osłabiony i otępiały. Nic go nie bolało, ale na pewno nie dlatego, że nie istniały powody, dla których coś miałyby go boleć. Po prostu ból przestał docierać do jego świadomości. Jednak jak na kogoś, kto tyle wycierpiał, i on zachował zadziwiający zasób sił.

— Będziemy krzyżeć — powiedział. — Niech przyjdzie, kto chce.

— Zaczynamy?

Zaczerpnęli powietrza.

— Heeej! Tuuutaaaj! — gdzieś w głębi rumowiska dał o sobie znać jakiś pęknięty dzwon.

— Mi-ra! Łu-kasz! Mi-ra! Łu-kasz! — skandował chłopiec.

— Nie mogę — wydyszała dziewczyna i na chwilę umilkła.

— Mi-ra! Łukasz...

— Dlaczego wołasz nas? A nie kogoś innego?

Teraz chłopiec musiał zrobić przerwę. Kiedy mógł się już odezwać, wyjaśnił: — Przecież tam szukają nas. Miry i Łukasza. Rozumiesz? — nadał się ponownie, ale nagle wstrzymał oddech.

— Rozumiem...

— Tsss... liii... — chłopiec ze świstem wypuścił z płuc powietrze.

— Co?! O! — Mira, przed sekundą zbyt wyczerpana, by mogła wzywać pomocy,

zerwała się na równe nogi i podbiegła do najbliższej szpary w ścianie, za którą był placyk ze srebrnym bakiem. Łukasz stał już obok niej. Wyjście zniknęło, ale szpary pozostały.

Chłopiec zobaczył spory kawałek pustego poletka pomiędzy potarganą cembrowiną studni a rąbkiem gładkiego spodka.

— Niech i mnie pomalują na zielono i niech tak już zostanę, jeśli to nie wrzeszczało gdzieś tutaj — powiedział ktoś bardzo blisko. Łukasz znowu poczuł w swojej dłoni dłoń Miry. Jej wąskie palce były zimne jak sople lodu.

— Zielona małpa, biała małpa, ci ziołta małpa, co za różnica — odrzekł filozoficznie ktoś znajdujący się jeszcze bliżej.

Łukasz zmartwił. Alauda! Głos Alaudy! Kosmici!

Niby wreszcie spełniało się jego pragnienie. Pozna przybyszów z gwiazd! W końcu! Po tylu głupich przygodach, które ciągle przeszkadzały mu myśleć o tym, że oni są tutaj, w Górku, na wyciągnięcie ręki. Niby mógł sobie z satysfakcją powiedzieć, że dzięki jego pomysłowi Mira jest ocalona. Nie umrze z głodu, zimna i pragnienia. W samą porę zaczęli krzyczeć. Ktoś usłyszał.

Ale z drugiej strony...

Zaraz ich ujrzy. Potem pewnie będzie musiał odpowiadać na pytania. Na mnóstwo pytań dotyczących jego samego. Miry, ludzi i w ogóle Ziemi. A potem...

Otóż właśnie.

— Nie zgadzam się — odpowiedział Alaudzie pierwszy głos. — Z białymi małpami łączą mnie zażyłe stosunki od dziecka. Z żółtą zaprzyjaźniłem się niebacznie parę lat temu. Czarne i czerwone znam bardzo pobieżnie, ale budziły zawsze moją sympatię. Natomiast zielonej małpy nie życzę sobie ani we śnie, ani na lawie, a już na pewno nie wtedy, kiedy popatrzę do lustra.

Chłopiec słuchał z zapartym tchem. Oni u siebie także mają małpy. Co z tego wynika? Raczej niewiele. Znacznie bardziej frapujące jest to, że Alauda mówi naszym językiem jak obcy, a ten drugi paple tak płynnie i swobodnie, jakby się urodził przy tej samej ulicy co Łukasz.

W tym momencie szpara ściemniała. Dał się zauważyć jakiś ruch.

Ułamek sekundy później, dokładnie na wprost odrobinę już zażawionego z wysiłku oka chłopca, łypnęło inne oko. Wielkie, błyszczące, nieopisanie straszne.

— Nie! — wrzasnęło to drugie oko, znikając jak zdmuchnięte. Za ciężką przegrodą rozległ się przytłumiony łomot padającego ciała.

— Nie! — rozbrzmiało wewnątrz pałapki.

— Tsss... — syknęła Mira.

— Parę centymetrów dalej, a wybiłbyś głową dziurę w spodku — rzekł z wyrzutem niewidoczny Alauda — I w cим wówcias pokazałbym się ludziom?

— Jakbyś zobaczył to co ja — posiadacz pierwszego głosu zbierał się z wysiłkiem — to wybiłbyś dziurę w niebie. Tam jest duch z jednym, paskudnym okiem.

— Ziadem duch nie ryciałby „nie!”, nawet na twój widok — zaprzeczył łagodnie Alauda. — Duchy są odporne na wszelkie okropności, bo stale mają z nimi do cinienia.

— Zaraz odechce ci się śmiać — rzekł pierwszy — Tam naprawdę ktoś jest. Właśnie tam, gdzie mamy kalejdoskop i robota. Czekał no... patrz — ton głosu mówiącego uległ raptownej zmianie. — Ktoś zagroził przejście! Wiem! To muszą być te dzieci, których szukają! Akurat tutaj! Hej tam?! — zakończył wołaniem.

Łukasz ostrożnie wrócił do szpary. Zobaczył wysokiego mężczyznę w dzinsach i... granatowej marynarce, który pochylał się nad zawalonym wejściem do groty, tak że nie było widać jego twarzy. Ale w ręce trzymał ogromną, czarną brodę. Szpieg. Szpieg kosmitów. Jednak kosmitów Teraz nie ma już wątpliwości.

Czy jest jednym z nich, czy człowiekiem, który zdradził ludzi i Ziemię? Człowiekiem — zawyrokował Łukasz. Dlatego nawet pomiędzy sobą rozmawiają po polsku. Nie nauczyli go swojej mowy...

— Popatrz, wrócił! — nie wytrzymała Mira, która w tym samym momencie dostrzegła powiewającą brodę. — Popatrz!

— Tsss...

— Żadne „tsss”, tylko odezwijcie się w końcu! — krzyknęło w odpowiedzi zza ściany — Widziałem oko, a teraz słyszę przecież, że pod okiem znajduje się gęba! Mamrocze, sapie, syczy i woła „nie!”. Mira i Łukasz!” Tak?

— Tak! — powiedziała z determinacją dziewczyna.

— No, wreszcie! — odetchnął zdrajca. — Wyjaśnijcie mi łaskawie, dlaczego zawaliliście wejście? Jak mamy was teraz wyciągnąć? Stamtąd nie ma innej drogi.

— Tsss — powtórzył z rozpędu Łukasz, po czym przypomniał sobie, że już za późno na zabawę w chowanego. A skoro tak, to należy od razu przedstawić się kosmitom z jak najlepszej strony. Napełnił płuca powietrzem i zawołał. — Weszliśmy tu przypadkiem! Wcale nie chcieliśmy was podpatrywać! Nie zawaliliśmy przejścia. Samo się zawaliło.

— Zlecieliśmy z góry — uzupełniła Mira — Potem spadła płyta i nie mogliśmy już wyjść. Jeśli nas spróbujecie porwać, to będziemy wrzeszczeć Przybiegną ludzie i zobaczą, co wam zrobią! — zakończyła groźnie

— Sam wiem, co nam zrobią — burknął ponuro fałszywy brodac, ale widać drgnęło w nim sumienie, bo nagle zapytał: — Nic wam się nie stało? Jesteście cali? Tylko nie łzyjcie, bo naprawdę porwiemy was z Ziemi i zostawimy na Księżycu Tam będziecie sobie mogli wrzeszczeć do końca świata.

— Najpierw będziemy wrzeszczeć tutaj. Ja jestem w wyjątkowo dobrej formie — czupurnie ostrzegła Mira.

— Zdaje się, że rzeczywiście A ten... Jak mu tam?

— Łukasz? W jeszcze lepszej.

— To czemu sam mi tego nie powie? Pytanie padło w próżnię. Łukasz nie mógł odpowiedzieć. Nie mógł nawet pisnąć. Odebrało mu głos. Co prawda chwilowo, ale z kretesem.

Szpieg wrócił przed szparę i wreszcie ukazał swoją twarz, bez fałszywego zarostu i w pełnym blasku słońca.

Łukaszowi nie darło zdawało się już wtedy, gdy pierwszy raz ujrzał go przyczajonego z krótkofalówką pod schodami sklepu, że w jego ruchach i sylwetce odnajduje coś znajomego. Potem był niemal pewny, że kiedyś już słyszał ten głos, tylko nie mógł sobie przypomnieć kiedy i w jakich okolicznościach Teraz raptem wszystko się wyjaśniło. Odszczepieńcem wysługującym się kosmitom był nie kto inny, jak Mały. Ten sam Mały, czyli, jak sama nazwa wskazuje, dwumetrowy drał, który niedawno pośpieszył z pomocą jemu, Łukaszowi, kiedy bezradnie przebierał nogami nad skalnym urwiskiem.

Mały, jeden z trójki obozowiczów niby to marzących tylko o ciszy i spokoju. W ogóle nie przyjmujących do wiadomości, że w Górku zapanowało jakieś tam zamieszanie. Wszyscy trzej są w zмовie z właścicielami spodka. A czwarty śpiwór należy pewnie do prawdziwego kosmity. Może do samego Alaudy?

Łukasz przychodził powoli do siebie. Tamtego przedpołudnia Mały bez wahania rzucił mu się na ratunek, choć mógł sobie połamać ręce i nogi. Potem żartował, był wesoły i całkiem sympatyczny. Wszyscy trzej byli sympatyczni. Może nie są zupełnie źli. Może nie posuną się do tego, żeby pozwolić kosmitom porwać dwoje młodych ludzi gdzieś w nieskończoną pustkę.

A swoją drogą — pomyślał — miałem nosa, że oni coś kręcą. Na wszelki wypadek

od razu powiem mu kim jestem i dam słowo honoru, że ich nie zdradzę.

Już otwierał usta, zęby zrobić to, co sobie postanowił, gdy nagle Mały zniknął sprzed szpary, a jego miejsce zajął ktoś inny.

Usta Łukasza pozostały otwarte, ale nie wyszedł z nich najcichszy bodaj dźwięk.

Osobnik, którego miał teraz przed oczami był naprawdę mały. To znaczy niski. Nosił zielony kombinezon z mnóstwem świecących klamerek, naszywek i kieszeni. Tej samej barwy co kombinezon była jego twarz. Przeróżliwie zielona, okrągła, o wąskich, skośnych oczach.

— Oni! — zapiszczała Mira.

Zielony poruszył się niespokojnie.

— Ci coś ci się stało?

A więc tak wygląda Alauda.

— Pewnie, że stało — burknął zasłonięty szpieg. — Zobaczyła cię, nieszczęsna i padła zemdlona w ramiona swego towarzysza.

— Kwiczoł! — Nie. To nie Łukasz. To wykrzyknęła Mira.

— Zamiast świecie ropuszmy pyskiem i straszyć dzieci — ciągnął wciąż niewidoczny Mały — mógłbyś pomóc. Słyszysz przecież, że dziewczyna jest zdrowa jak ryb. Chora kobieta. kwiczy zupełnie inaczej. Tu, tu, łamago! Pchaj! No razem!

Placyk za szparami opustoszał. Zaraz potem rozległ się potężny łomot. Płyta zagradzająca przejście, runęła na ziemię.

Zrobiło się jasno. Cudownie jasno. To znaczy byłoby cudownie, gdyby w otwartym na nowo tunelu nie stały dwie męskie postacie.

— Chodźcie — powiedział przerywany głos. Niegdyś brodacz trochę się jednak zmęczył — Nie widzę was. No, chodźcie.

Cisza. Mira i Łukasz krok po kroczku cofali się pod przeciwległą ścianę. Wreszcie poczuli ją pod plecami.

. — Ludzie! — zniecierpliwiał się Mały. Stał w przejściu i usiłował wypatrzeć ukryte w głębi sylwetki uwolnionych. — Ludzie! Ocknijcie się!

— O, świetnie! — ucieszył się niespodziewanie Alauda — Ludzie, ocknijcie się! Doskonale! Tego mi właśnie było trzeba, do mojego ostatniego świerkania!

— Czego? Aha — burknął niezbyt przytomnie jego współnik. — Ćwierkania, a nie świerkania, ty strupieszkały skowronku — sprostował z niesmakiem.

— Wszystko jedno. Ludzie, ocknijcie się — powtórzył kosmita, najwyraźniej rozkoszując się brzmieniem tych słów. — Tak, tak. Znakomicie.

— Wyjdziecie wreszcie, czy mam po was pójść? — huknął ostatecznie wyprowadzony z równowagi Mały.

Nic.

— Nie ksić. Dzieci są na pewno ledwo żywe...

— Tu nie ma ziad... chciałam powiedzieć żadnych dzieci!

— Aaa, tam jesteście! — dryblas z wyciągniętymi przed siebie rękami szybko ruszył w stronę dziewczyny. Tego Łukaszowi było już nadto.

— Nie dotykaj jej! — wrzasnął i skoczył. Z całą pewnością nie sprostaby silnemu i wyczerpanemu napastnikowi, gdyby przyszło do ostatecznej rozprawy, ale w jego głosie było coś takiego, że Mały zatrzymał się, jakby uderzył o skałę. Łukasz zasłonił sobą dziewczynę i przybrał wojowniczą postawę.

— Dzielny chłopiec — rzekł z szacunkiem Alauda. — Mozie trochę za bardzo dzielny. A ty — zwrócił się do swojego tyczkowego przyjaciela — ciemu idzieś z wystawionymi łapskami, jak nie psimieszając głodny goryl?

Łukasz ochłonął i opuścił pięści. Ten kosmita chyba naprawdę nie jest aż taki zły. A nuż wszystko jeszcze się dobrze skończy.

Zdecydował się.

— Wyjdziemy — zaczął hardo — ale najpierw powiedzcie, co chcecie z nami zrobić. Nie pozwolimy porwać się w gwiazdy! Zresztą, wcale nie musicie nas porywać. Nikomu nie powiemy, że widzieliśmy was tutaj...

I w ogóle. Nie bójcie się.

— On nam mówi, żebyśmy się nie bali! — zawołał Mały. — Świat się kończy! Wszystkie światy się kończą! Wy nikczemne, ziemskie robaki! Ten tutaj, to księżę Alauda z planety trzeciej, krwiożerczy władca zielonych ludożerców z siedemdziesiątej siódmej galaktyki! Jeśli go w tej chwili nie usłuchacie, to was pożre! Tu, na miejscu, bez soli i po omacku!

On tak lubi. No? Powiedz im, co z nimi zrobisz, jeśli nie wyjdą!

— Zamknij dziób i psiestañ się wygłupiać. Miro! Łukaszu! Zrozumcie wręczcie! Tu nie ma kosmitów!!! Słyszeliście, co powiedział ten strach na wróble? Sami widzicie. Psiecież to jasne jak dwa a dwa ćtery, czie brednie o galaktycznych ludożercach mógł wymyśleć jedynie stuprocentowy ziemski osioł.

— I to się nazywa przyjaciel! — Mały swoim zwyczajem otarł sobie twarz i czoło puchatą brodą.

Łukasz zdębiał.

— Jak to? — wyjąkał. — A pan? A światła? A spodek? A przemówienia...

Zaraz. Przemówienia...

Zielony stoi tu przed nim jak latarnia, ma zakłopotaną minę i choć wygląda na kosmitę, zachowuje się zgoła po ludzku. Właśnie ten Zielony, który przemawiał do mieszkańców Ziemi. Więc może... Ale przecież jest zielony...

Alaudzie znudziło się czekanie, aż ziemski chłopiec sam rozstrzygnie swe wątpliwości.

— Daj no tę brodę — odebrał swojemu towarzyszowi czarny wiecheć i energicznie potarł nim policzki. Jego twarz raptownie przybladła, za to broda zzieleniała. — Widzicie? — spytał. — Farba. Miałem dzisiaj dać poziegналne psiedstawienie, ale i tak nie mógłbym tego zrobić, bo pełno tu wsiędzie milicji i ludzi, któzi was siukają. Zreśtą to nieważne, bo cel już właściwie osiągnęliśmy... i moziemy zakończyć całą nasią kosmiczną akcję. Wyjdźcie wręczcie, bardzo waś prosię.

Brutalna prawda w całej swej rozciągłości zaczęła powoli przenikać do świadomości Łukasza.

Nikt nie porwie ich w gwiazdy. Nie dlatego, żeby nie chciał, ale dlatego, że nie ma tu istot, które mogłyby to zrobić. Zostaną na Ziemi. Ale...

Ale to oznacza koniec bajki. Koniec Wielkiej Przygody. Ani on, ani nikt inny nie dowie się niczego o dalekich, tajemniczych światach. Nie ma tu kosmitów. Po prostu nie ma. Są tylko oszuści...

Dlaczego to robili? Po co? Zadali sobie niemało trudu. Budowali fałszywe spodki, latali, świecili, nurkowali, zostawiali ślady. Wygłaszali mowy, że niby Ziemia im się nie podoba. Wszystko dla żartu? Chcieli sobie zakpić z tego, że człowiek lubi snuć różne fantastyczne domysły na temat wszechświata? Że marzy o istotach z innych planet...?

Nieładnie. Gorzej niż nieładnie.

Jednak, jeśli nikt nie może ich porwać w gwiazdy...

Łukasz wziął Mirę za rękę i powoli ruszył w stronę wyjścia. Obaj mężczyźni, wysoki i niski, wycofali się na placyk, żeby ich przepuścić. Kiedy nieszczęsna para wyszła wreszcie na słońce, stali nieruchomo pod swoim srebrnym bakiem. Nagle wysoki jęknął głośno i palnął się otwartą dłonią w czoło.

Nic dziwnego. Łukasz poznał go dobrą chwilę temu, zaglądając przez szparę. On Łukasza dopiero teraz.

— Litości! — zawył. — To znowu on! No jasne! Mogłem się od razu domyślić!

Przecież przesładuje mnie bez przerwy! Najpierw mnie stratował udając, że spada ze skały. Potem w tej dolince, z której dałem znać, że Alauda może przemawiać, chciał na mnie wypuścić dwa dzikie barany! Ledwie zdążyłem uciec. Kiedy naprawiałem głośnik na drzewie, przylazł tam jak duch i nagle łypnął na mnie z dołu. Ze strachu omal nie zgubiłem brody! A teraz specjalnie czekał w tej dziurze, żeby męczyć mnie nawet tutaj! Człowieku! Co ja ci złego zrobiłem?!

Krzyczy, krzyczy — pomyślał Łukasz — i sam nie wie, że do wszystkiego się przyznaje. Na drzewie naprawiał jakiś głośnik. Proszę. A przedtem to on był w baraniej dolince. Dobrze widziałem...

Kosmita, nie kosmita, nie zaszkodzi powiedzieć mu, że nikt nie chciał go przesładować. Rzeczywiście, wyjątkowo wielki dryblas...

Chłopiec zrobił uprzejmą minę i otworzył usta, ale znowu nie zdążył niczego powiedzieć. Mały wykorzystał chwilę ciszy, jaka nastąpiła po jego ostatnim, wstrząsającym pytaniu, by przyjrzeć się lepiej swojemu niepoprawnemu gnębicielowi i jego towarzyszce.

— Ludzie! — zawołał nagle zupełnie zmienionym głosem. — Jak wy wyglądacie! A mówiliście, że nic wam się nie stało. Chwileczkę... — chciał się zwrócić do swojego kompana, ale Alauda gdzieś zniknął. Moment później wybiegł zza spodka z niewielkim termosem. Mały powitał go westchnieniem ulgi. — O, właśnie...

— Spadliście, potłukliście się i potem siedzieliście tutaj piez całą noc. Biedne, biedne stwożenia — Alauda zmagił się z plastikowym korkiem. Odkręcił go wreszcie i podał termos Mirze. — Napijcie się sibko ciegoś ciepłego. Prosię.

Mira odruchowo zrobiła krok do tyłu.

— Nie bójcie się nas — powiedział cicho Mały. — No, nie bójcie się — powtórzył prosząco.

Łukasz bez słowa wziął od Zielonego, a teraz już zaledwie zielonkawego, termos i wręczył go Mirze.

— Uwaziaj. Gorąca — przestrzegął Alauda.

Dziewczyna piła łąpczywie, małymi łyчками. Oczy miała przymknięte. Dopiero w świetle dnia było widać, jak bardzo ucierpiała na skutek upadku i jak mocno dała jej się we znaki noc spędzona w betonowej pułapce. Była straszliwie rozczochrana, podrapana, poobijana i blada jak śnieg. Do jej podartej sukienki przyczepiły się strzępki chwastów.

Skończyła pić i oddała termos Łukaszowi. Ten pociągnął pierwszy haust i na tym poprzestał. Zobaczył, że w rękę byłego brodacza pojawiła się krótkofalówka.

Dziś nie było mowy o ptaszkach ani o ćwierkaniu. Mały wywołał Reksia i polecił mu jak najprędzej przynieść apteczkę.

— Pilnuje wejścia od strony jeziora — wyjaśnił chowając nadajnik. — Na pewno przyjdą was szukać także i tutaj. Nie możemy dać się zaskoczyć, więc zostawiliśmy go na warcie. Będzie za dwie minuty.

Łukasz, uspokojony, dopił herbatę, postawił termos obok siebie, po czym rozejrzał się. Jego wzrok padł na długi, betonowy klocek, wystający z podnóża zwałowiska. Ostrożnie posadził na nim nie stawiającą oporu Mirę, a sam podszedł do spodka. Stanął przed nim tak, że omal nie dotknął nosem żółtego pasa, nabijanego jakimiś ślepymi lampkami, zmarszczył się i znieruchomiał.

— Trochę drewna, trochę kleju, trochę farby, kilka odblaskowych śkiełek i bardzo dużo tektury — powiedział Alauda. — Ładny? — dodał z dumą.

Chłopiec ocknął się z zamyślenia. Podniósł rękę i lekko postukał palcami po srebrnej powłoce. Odezwał się głuchy, płytki odgłos, jakby ktoś zabębnił w pustą walizkę. Łukasz odwrócił się z niesmakiem.

— Rzeczywiście, tektura... — mruknął siadając obok Miry. — Ale przecież ludzie

widzieli, jak te spodki latają.

— Nikt nie mógł widzieć latającego spodka. W każdym razie naszego — uśmiechnął się Mały.

— Na pewno widzieli...

— Nie. Widzieli, jak one startują i natychmiast znikają. To zupełnie co innego. Zresztą i tego nie widzieli, tylko zdawało im się, że widzą. Najpierw zielony łeb w uchylonej klapie — tam wewnątrz jest drewniana drabinka — zaznaczył. — To już dosyć, żeby trochę zgłupieć. Potem łeb robi smoczą minę i chowa się do środka. Ludzie głupieją jeszcze bardziej. W rzeczywistości Alauda ucieka wówczas dołem i wieje z szybkością torpedy, żeby sobie nie przypiec zielonej skórki na grzbiecie, bo po drodze podpala spodek. Ten spala się w sekundzie, ponieważ tektura jest nasączona... mniejsza o to, czym. Powiedzmy, że płynem przypominającym benzynę, tylko ten płyn nie ma zapachu i wybucha jeszcze szybciej. Czy choć raz widziano taką scenę w dzień? Nie. W dzień byłoby widać uciekającego Alaudę. Dopiero dzisiaj... Ale o tym potem. No więc spodek się pali, a ludzie, rzecz jasna, głupieją dalej. My z Zefirkiem albo z Reksiem równocześnie z pożarem puszczamy na niebo kolorowe światło. Mamy taki specjalny reflektor. Pomyślcie tylko. Bucha ogień, dym i natychmiast w górę wzbija się prosty snop światła. Któżby sobie tego nie skojarzył ze startem?

Ludzie z zadartymi głowami odprowadzają wzrokiem niksujący pojazd kosmitów, a my bierzemy pod pachę reflektor i idziemy do domu. A dziennikarze trąbią na cały świat, że teraz w Górku to już ponad wszelką wątpliwość oni, że mnóstwo ludzi widziało ich na własne oczy, całkiem z bliska, że pomyłka jest wykluczona i tak dalej...

W oczach Łukasza odmalowało się oburzenie. Nie dość, że oszukują, to jeszcze mówią o tym tak lekko, swobodnie i w ogóle się nie wstydzą.

Postanowił sobie przedtem, że nie powie im tutaj, co o nich myśli, żeby nie wywoływać wilka z lasu. Ale teraz nagle poczuł, że nie może dłużej milczeć.

— Po co to robicie? — spytał ze wstrętem. — Okłamujecie wszystkich, żeby się pobawić?

— Okłamujemy, ale nie dla zabawy — rzekł smutnym tonem Alauda.

— Dlaczego okłamujemy? — zaprotestował Mały. — Czy nie mówimy ludziom prawdy?

Chłopiec zawahał się.

— Nie wiem — mruknął. — Ale udajcie kosmitów. Oszukujecie.

— Zapewniam cię, że każdy z nas wolałby tysiąc razy pływać, żeglować i leżeć na piasku do góry brzuchem, niż biegać chyłkiem po nocach z tekturowymi spodkami, reflektorem, balonikami, petardami, zieloną farbą i czarną brodą — Mały westchnął. — Oszukujemy... Co ja bym dał za to, żebyśmy nie musieli oszukiwać...

Łukasz poczuł się nagle straszliwie zmęczony. Ogarnęło go uczucie, że się rozplywa i wsiąka w ziemię. Pod wpływem słońca tajało w nim zimno, nagromadzone podczas nocy i tajało napięcie. Przetarł oczy i mruknął sennie: — Opowiecie nam wszystko?

Mały spojrzał na niego poważnie.

— Opowiemy. Teraz, kiedy wiecie o nas już tyle, należy wam się cała prawda... No, jesteś wreszcie! — to ostatnie padło pod adresem Reksia, który w tym momencie wyszedł zza spodka.

— Przyleciałem na jednej nodze — odparł z wyrzutem posiadacz okularów w cieniutkiej oprawce i puszystego wąsa słomianej barwy. Zobaczył Mirę i Pawła i załamał ręce. — Masz babo placek! To ich szukają, co? No, to wpadliśmy!

— Jeście nie — powiedział uspokajającym tonem Alauda. Otworzył torbę, którą

przyniósł Reksio, wyjął dwie buteleczki, plaster i gazę, ułożył to wszystko obok Łukasza, następnie umoczył watę i zbliżył się do Miry. Dziewczyna wykonała płynny unik.

— Musie ci obmyć zadrapania — rzekł zmieszany Alauda.

— Um!

— Ja ją rozumiem — powiedział Mały. — Daj to mnie.

— Um!

— Ja ją rozumiem — uśmiechnął się Reksio. — Pozwólcie...

— Um!

Zapadło milczenie. Spod potarganej czupryny błysnęło w stronę kasza pytające spojrzenie.

Chłopiec siedział jak legendarny słup soli. Nie czuł już zmęczenia, tylko był skrępowany i onieśmielony. Wiedział, że zachowuje się idiotycznie, ale nie mógł nic na to poradzić.

Po dłuższej chwili Mały wybuchnął: — Nie widzisz, że ona czeka na ciebie?! Nie wiesz, co zrobić z wodą utlenioną i plastrem? Rusz się w końcu, ty łajzo!

Raptem zaszło coś zdumiewającego. Półżywa Mira zerwała się jak rozwścieczona lwica i z zacisniętymi piąstkami skoczyła w stronę dryblasza.

— Łajzo?! — zawołała z furią. — Łajzo?! Kto niby jest łajzą? Łukasz szedł za panem aż tutaj! Wszystko widział! Od razu wiedział, że pan jest bandziorem! A potem, gdyby nie on... Gdyby nie on... — zabrakło jej tchu.

Mały odruchowo wtulił głowę w ramiona. Skośne oczy Alaudy stały się okrągłe i wielkie. Natomiast Reksio poprawił sobie palcem okulary, które zjechały mu na koniec nosa i powiedział:

— Tej kobiecie nie potrzeba żadnego spodka. Wystarczy jej miotła. Obleci cały wszechświat i wróci przez komin.

— Wiedźma — przytaknął Mały prostując się ostrożnie. — Jędza. Strzyga. Zróbcie z nią coś, zanim zamieni nas w padalce.

— Albo hieny.

Wyliczanie dalszych możliwości przerwał Łukasz. Wstał, wziął od Alaudy watę oraz buteleczki i pochylił się nad Mirą.

Zdarzają się ludzie, którym trzeba wrzasnąć do ucha: „ty łajzo!”, żeby wykrzesać z nich odrobinę energii. Ale są i inni. Ci muszą usłyszeć: „wcale nie jesteś łajzą”, aby dowieść sobie i światu, że istotnie nie ma w nich grama łajzowości.

Łukasz należał do tego drugiego gatunku.

Oczywiście, nie jest bez znaczenia, kto człowiekowi powie: „nie jesteś łajzą”.

Chłopiec poruszał się sprężysto i pewnie. Okazało się też, że świetnie wie, co zrobić z jodyną, wodą utlenioną i plastrem.

W pewnej chwili, nie odwracając się, rzucił pod adresem fałszywych kosmitów: — W domu trzeba będzie dokładnie umyć wszystkie zadrapania i jeszcze raz zrobić opatrunek. A co się tyczy padalców i hien, to bardzo żałuję, że nie ma tu czarownicy, która zamieniłaby was w ludzi. Żeby tak wymyślać rannej.

— Surowo, ale sprawiedliwie — orzekł Alauda.

Łukasz skończył, uporządkował apteczkę, po czym bez namysłu nadstawił twarz dziwnemu osobnikowi w zielonym kombinezonie. Widać zanotował sobie w pamięci, że on jeden oszczędził złośliwych żarcików zmaltretowanej, „rannej” kobiecie.

Trzy minuty później oboje z Mirą przypominali wycinanki. Rozrzucone w artystycznym nieładzie skrawki plastra, gęsto ponalepiane na wszystkie odsłonięte części ciała, tworzyły obraz niepowtarzalny. Jeśli dodać do tego guzy, sińce i plamy jodyny, a także postrzępione łachmany, które mieli na sobie, to powiedziec, że wyglądali okropnie, znaczy tyle, co nie powiedziec nic.



Ale dwaj z konieczności bierni obserwatorzy podwójnej operacji byli zachwyceni.  
— Wspaniale! — uniósł się Reksio. — Wypisz, wymaluj kosmici! Nawet bez zielonej farby.

— Spodek się zepsuł i spadł prosto na drut kolczasty — dodał z satysfakcją Mały.

— Teraz wsistko sibko się zagoi — pośpieszył z pociechą Alauda.

W tym momencie skądś z daleka nadbiegło przytłumione wołanie: — Miiirooo! Łuuukaaasz! Odezwcijcie się! Hop, hop!

Obu dowcipnisiom natychmiast przeszła ochota do żartów.

— No, jasne! — jęknął Mały. — Już są! Zszedłeś z posterunku — spojrzął ze strachem na Reksia — i nie mogłeś nas uprzedzić! Nie mamy chwili do stracenia! W nogi!

Teraz wypadki zaczęły toczyć się szybko. To znaczy potoczyłyby się szybko, gdyby nie drobna przeszkoda.

— Miiirooo! Łukaaaszuu! Czy nas słyszycie? Hop, hop!

Był to właśnie ten moment, kiedy po krótkiej przerwie w poszukiwaniach, ludzie pod wodzą pana Nowaka, majora i gajowego przystąpili do przetrząsania betonowego zwałowiska.

— Już, już! — ponaglał gorączkowo Mały. — Reksio, zabieraj robota. Ja wezmę kalejdoskop. Alauda, jak tylko znikniemy, podpalaj spodek. Nie mogą go tu znaleźć. Miro, Łukaszu, tędy — pokazał im otwór, znajdujący się za srebrnym bakiem, a sam wbiegł do wnęki, w której spędziła noc para zaginionych. Reksio podążył za nim. Niebawem ukazali się z powrotem. Pierwszy niósł długą rurę, wcale nie tak wąską, jak zdawało się w ciemności. Natomiast drugi taszczył coś, na widok czego Łukasz wzdrygnął się, a potem szeroko otworzył oczy. Posąg! Metalowy człowiek!

Ten sam, na którego natknął się w mroku i który próbował go odeprzeć.

Dostał wtedy za swoje, ale widać nic mu się nie stało. A więc to jest robot. Mały wołał przecież: Reksio, bierz robota! Skąd oni go mają?

Chłopiec chętnie przyjrzałby się bliżej niesamowitej maszynie, ale na dokładniejsze oględziny nie było czasu. No nic — obiecał sobie w duchu. — Jeszcze mi go pokażą.

Robot rzeczywiście przypominał niskiego człowieka. Miał niedużą głowę z romboidalną twarzą, tułów pełen kolorowych przycisków oraz nogi, kołyszące się teraz w powietrzu jak na sprężynach. Właściwie nie „jak”, a właśnie na sprężynach, które wmontowano w jego ruchome barki, łokcie, biodra i kolana. To dzięki tym sprężynom mógł zachować się w nocy jak żywy napastnik.

— Na co czekacie? — rzucił Mały, spostrzegłszy, że Mira i Łukasz wciąż siedzą na swoim klocku. Dziewczyna powiedziała głośno i zdecydowanie:

— Nie.

Reksio, który akurat przechodził obok niej, z wrażenia omal nie upuścił robota.

— Co „nie”? Dlaczego „nie”?! Jak to, „nie”?

— Miiirooo! Łukaaaszuu! — chóralny okrzyk rozbrzmiewał coraz mocniej.

— Miro, teraz naprawdę nie cias na ziarty — poprosił zdenerwowany Alauda.

— Nigdzie nie pójdę.

— Chcesz tutaj poczekać na tych, którzy was szukają? — spytał z nadzieją Reksio.

— Proszę bardzo. Tylko nie powiecie o nas nikomu, dobrze? No? Prawda, że nie powiecie?

— Powiem od razu wszystkim.

— Dziewczyno, zaklinam cię — fałszywy brodacz wydał jęk, który mógłby wstrząsnąć piramidą Cheopsa.

Lecz Mira nie była piramidą.

— Powiem — powtórzyła wysuwając rezolutnie brodę. — O ile mi wiadomo

wiedźmy zawsze bywają gadatliwe.

— Zemścij się na nas okrutnie, ale inaczej! — błagał Reksio.

— Powiem. — Dziewcino, nie rób tego — zawołał Alauda. Był naprawdę przerażony. — Uwięź mi, tu nie chodzi o nas, tylko o coś bardzo, bardzo ważnego.

Mira zastanowiła się.

— Ja chcę wiedzieć dokładnie wszystko — wyjaśniła swoje stanowisko. — O spodkach, o światłach, o reflektorach, o waszych przemówieniach, o robotach i w ogóle. Skąd wzięliście się w Górku i co wam strzeliło do głowy, żeby wyprawiać takie historie. Jak mi to powiecie, to pójde z wami i was nie wydam. Jak nie...

— Ależ powiemy! — przerwał Mały. — Od początku do końca, punkt po punkcie, ze szczegółami! Przecież obiecałem to Łukaszowi. Ale nie teraz! Teraz musimy stąd zwiewać.

— Ja wam nie wierzę. Jesteście oszustami i krętaczami. Jak tylko poczujecie się bezpieczni, to zagracie nam na nosie. Nie ruszę się stąd, dopóki...

— Miiirooo! Łukaaaszuu! Hop, hop!!!

Trzej młodzi mężczyźni spojrzeli z rozpaczą po sobie. Nagle Alauda przyklękła na jedno kolano i wzniosł na Mirę poważne spojrzenie.

— Dziewcino — zaczął — ja jestem Japończykiem. Dlatego mam tważ trochę inną niż moi psijaciele. Jak u was pomaluje się Japończyka na zielono, to wśistkim się zdaje, że odwiedził ich kosmita. My u siebie musielibyśmy pomalować raciej, na psikład, Łukasiasia. Studiuję polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim i dlatego znam trochę waś język. Ale jak słyś, mam jeście zły akcent i nie wymawiam niektórych spółgłosek. Z tego powodu właśnie ja wygłaszam te orędzia do ludzi. Zieby bźmiało bardziej obco i kośmićnie, rozumieś? Moi koledzy nazywają mnie ptaśkiem. Powiadają, że ćwierkam. Ale nie to chciałem ci powiedzieć. Jestem Japończykiem — powtórzył. — W moim kraju psisiega się na głowy psiodków. Otóż w tej chwili składam ci najurocistsią psisiegę na głowy moich psiodków, że jeśli teraz pójdziesz z nami i nie zdradziś nas psied tymi, któzi was siukają, to opowiem ci o nas wsistko i odpowiem na każde twoje pytanie. Ci mi wieziś?

— Ja bym się zgodził — nie wytrzymał Łukasz. Mira spojrzała na niego nieodgadnionym wzrokiem, znowu chwilę pomyślała, po czym mruknęła:

— Ja też.

Ale ta jej zgoda przyszła nieco za późno.

Ekipy poszukiwaczy na pewno zdążyły okrążyć zwałowisko. Mały, jękając się bezradnie wyjaśnił, że choć od wylotu ich stałej drogi przez gruzy do brzegu jeziora jest mniej niż sto metrów, to trzeba tam iść po odkrytej przestrzeni. Teraz zauważono by ich od razu.

— Miiirooo! Łukaaasz!

Pozostaje jeszcze jedna, więcej niż ważna kwestia, związana z tym wołającym chórem. Odzywają się w nim przecież także głosy ojca Łukasza, pani Heleny, dziadka Klemensa. Nie wolno pozwolić, by martwili się dłużej. Nie wolno dopuścić do tego, żeby ci wszyscy, którzy tam wołają, trudzili się niepotrzebnie i szukali ich dalej. Trzeba koniecznie dać znać o sobie. Tylko jak to zrobić, by nie zdemaskować równocześnie fałszywych kosmitów?

Mira spojrzała na Łukasza, jakby chciała go o coś spytać. Chłopiec z kolei popatrzył na Alaudę.

Nie zawiódł się.

Japończyk przymknął na moment oczy, po czym otworzył je i twarz mu się rozjaśniła. Wstał wreszcie z klęczek, zrobił uspokajający ruch dłonią i wyjął z kieszeni płaską kostkę, podobną trochę do zwykłej krótkofalówki, ale mniejszą.

— Wiem już, jak wsistko dobrze załatwić — powiedział. — Miałem dać

poziegalny występ i odlecieć raz na zawsze tym spodkiem. Odlecieć nie mogę, bo jest dzień, a ludzie są za blisko. Ale tak ci tak musiałbym psiedtem do nich zaćwierkać. Wobec tego zaćwierkam teraz. Zatsimam siukających, a psi okazji powiem, zie Mira i Łukasz są z nami. Zięby się już dłużej nie martwili.

— Miiirooo! Łukaaaszuuu! — głosy wołających zagłuszył nagle potężny warkot silników. Do akcji wkroczyły wojskowe dźwigi.

Alauda zbliżył swoją tajemniczą kostkę do ust i nacisnął mały, czerwony klawisz.

— Tu Alauda z Planety Tsieciej — poniosło się nad Górkiem, jeziorem i nad otwartymi wzgórzami. — Pozdrawiam was, ludzie! — po tym wszystkim, co się czuło słuchając kosmity, nie sposób było patrzeć na przemawiającego człowieka bez żalu i rozczarowania. Łukasz skrzywił się, zmarszczył nos i powtarzał sobie w duchu, że ma przed sobą zwykłego oszusta. Ale robił to trochę na siłę. Widział oczami wyobraźni tłumy skamieniałe teraz w nabożnym skupieniu — i w gruncie rzeczy nie był zbytnio oburzony. Japończyk kłamał jak najęty, ale na twarzy miał wypisane smutek i wzruszenie. Jego słowa płynęły z głębi serca. — Najpierw chcę was zawiadomić — mówił — że odnaleźliśmy dziewczinkę i chłopca, któzi wcioraj zabłądzili w lesie. Są u nas, cali i zdrowi i nie grozi im ziadne niebezpieczeństwo. Porozmawiamy z nimi, a potem wrócą do domu. Nie siukajcie ich już i nie martwcie się. Ale nie rozumiemy was. Tak bardzo trościcie się o dwoje dzieci. Psiecież w tym samym ciasie tysiące dzieci na wasim świecie giną z głodu albo od kul i rakiet, albo od trujących gazów, które wydobywają się z chemicznych fabryk. A wy dalej niścicie wybuchami termojądrowymi gazową powłokę, która chroni Ziemię psied niebezpiecznym promieniowaniem, tępicie poziteczne zwieżięta, wycinacie lasy, zanieściacie rzeki, jeziora i oceany. Co zostawicie po sobie wasim wsistkim dzieciom i dzieciom ich dzieci? Zatrutą pustynię? Więc kochacie wasie dzieci, ci nie kochacie? Jezieli tutaj z takim poświęceniem ratujecie jedną dziewczinkę i jednego chłopca, to czemu nie myślicie o milionach innych? O ich psiskości? Zastanówcie się, ludzie! Ludzie, ocknijcie się! Was świat mozie w każdej sekundzie zniknąć z kosmicznej mapy — wołał dalej Alauda — i co wtedy stanie się z tymi dziećmi, których teraz siukacie psiez całą noc! Kochacie dzieci, ci nie kochacie? Nie rozumiemy was. Nie moziemy udostępnić wam naszej nauki i techniki. Uzilibyście jej do złych celów. Psipominam, dziewczinka i chłopiec wkrótce wrócą do domu. Tylko nie pytajcie ich o nas, bo my wymazimy z ich mózgów pamięć o tym, jak wyglądamy, skąd jesteśmy i tak dalej. Mamy aparaturę, która dokona tego bez szkody dla ich zdrowia. Musimy tak postąpić, bo w psieciwnym razie dowiedzielibyście się o nas zbyt wiele. A niestety, my nie moziemy i nie chcemy się z wami zapsijażnić. Powiedziałem wam, ludzie, dlaciego. Ludzie, ocknijcie się!!!

Alauda skończył. Chwilę stał, martwo zapatrzony w betonowe płyty.

Wreszcie westchnął, schował pudełeczko, do którego mówił i otarł zroszone czoło. Jego palce leciutko drżały.

Spytnie — pomyślał Łukasz. — Skoro ludzie dowiedzieli się, że ci, których szukają, są gośćmi kosmitów, to nie będą dalej uganiać za nimi po jakichś zwałowiskach. Odejdą do swoich zwykłych zajęć. Minie kilka minut i Alauda wraz ze swoimi kompanami będzie mógł bezpiecznie opuścić studnię ze srebrnym bakiem.

Jednocześnie mówca uspokoił rodziców zaginionych. Choć co do tego można by mieć pewne wątpliwości. Zapewne bardzo niewiele mam i ojców ucieszyłoby się słysząc, że ich pociechy są zdane na łaskę i niełaskę cudaków z gwiazd. Ale w każdym razie wiedzą, że Mira i Łukasz żyją, że nic im się nie stało, i że niebawem wrócą do domu. Poza tym Japończyk chytrze zapobiegł skutkom popularności, jaką po powrocie ani chybi zyska ocalona para. Mira i Łukasz będą przecież jakoby jedynymi ludźmi na świecie, którzy zawarli znajomość z załogą spodka. No tak, ale

kosmici wypuszczą ich niby to po jakimś zabiegu, który sprawi, że o wszystkim zapomną. Wobec tego nie zdradzą również oszustów. Nie zdradzą ich nawet przypadkiem, ponieważ nikt nie będzie ich wypytywał.

Po cóż pytać kogoś, o kim wiadomo, że nic nie powie, bo niczego nie pamięta?

Nastała cisza. Umilkł warkot dźwigu, umilkł chór głosów wywołujący imiona zaginionych.

Ludzie pewnie już się rozchodzą — pomyślał Łukasz. — Ciekawe, czy tata zawiadomił mamę. Jeśli tak, to może przyjedzie...

Wrócił myślami do słów Alaudy. Znowu mówił o tym, ile to złego znaleźli na Ziemi przybysze z kosmosu. Jak to im się tu nie podoba. Teraz, te zdania nie robiły na nim wrażenia. Wstrząsające były tylko wówczas, gdy przyjmowało się je jako osąd istot z najdalszych obcych planet. Wtedy słuchacza ogarniał wstyd i budziło się w nim gwałtowne pragnienie, żeby przybysze z przestrzeni, badający jego świat, odkrywali tu jedynie rzeczy dobre, piękne, szlachetne i mądre. Ale człowiek przed człowiekiem nie będzie się przecież wstydzić wspólnej Ziemi, bo obaj doskonale ją znają...

Dobrze. Jednak ze wszystkich ludzi jedynie oni dwoje wiedzą, że nie przemawiał prawdziwy kosmita. A poza tym...

Zaraz.

Może dlatego, że przed chwilą pomyślał o ojcu, w głowie Łukasza ponownie odezwały się słowa: „Nieważne, że oni to widzą”...

„Ważne, że my to widzimy”...

Chłopcu wydało się, że zaczyna rozumieć, czemu Japończyk i jego przyjaciele udają kosmitów...

Minęła minuta. Najwyżej dwie.

W pełnym milczeniu Reksio znowu dźwignął robota. Mały podniósł swoją zagadkową rurę. Alauda pokiwał głową i zniknął pod spodkiem. Następnie wszyscy oprócz niego zagłębili się w otworze po przeciwnej stronie placyku.

Przejsie w kierunku jeziora było względnie wygodne, a co najważniejsze krótkie. Niebawem ponownie zabłysło słońce. Zaraz potem, nareszcie, po tylu strasznych godzinach, przed Mirą i Łukaszem świat otworzył się na oścież, jak gigantyczny pałac z najcudowniejszej bajki. Żadnych betonowych pułapek. Żadnych zdradzieckich płyt, zwalonych byle jak przez wiecznie śpieszących się ludzi. Piaszczysta ziemia na łagodnym stoku, pas krzewów, za nimi kilka młodych drzew, znowu krzewy i zejście do jeziora. Jakież ono piękne. Tu błękitne, tam stalowe, bliżej szmaragdowe, gdzieś tam mieniące się srebrnymi zmarszczkami, a daleko, pod przeciwległym brzegiem ciemnozielone, z czarnymi odbiciami świerków.

Jak niewiele brakowało, by wszystko to utracili na zawsze.

— Odwróćcie się — powiedział nagle Mały.

Nad zwałowiskiem, które tylko .co opuścili, załśnił ognisty błysk.

W niebo wzbił się obłoczek dymu. W świetle dnia „start” kosmicznego pojazdu wypadł znacznie mniej okazałe aniżeli owej nocy, kiedy to niejakiemu panu Kowalowi udało się wykrztusić zaledwie: „taj, taj, taj”...

Alauda wykonał swoje zadanie. Ukryty w gruzowisku spodek przestał istnieć. Tajemnicza rura i robot zostały wyniesione na zewnątrz. Nikt nigdy nie odkryje śladów, które naprowadziłyby ludzi na trop prawdy.

— To był nasz próbnny — rzekł z melancholią Mały przekładając rurę pod drugą pachę. — Pierwszy...

— I ostatni... — dopowiedział cicho Reksio. — Więcej spodków nie będzie. Na pożegnanie Górka wymyślimy coś innego. Zastanowimy się, już razem z Zefirkim. Byczył się przez cały dzień, pilnując obozowiska, niech teraz popracuje trochę głową. Spomiędzy gruzów wyszedł Alauda. Spalenie tekturowego spodka i zatarcie

śladów nie zajęły mu więcej niż pięć minut.

Łukasz wziął Mirę pod ramię. Po kilku krokach Alauda wziął pod ramię Łukasza. I dziewczyna, i chłopiec jakby tego nie zauważyli.

Na brzegu czekała znana Łukaszowi gumowa łódź. Reksio włożył do niej rurę i robota, a następnie zepchnął ją na wodę.

Siedząc już na drewnianej ławeczce, obok Miry, chłopiec ogarnął wzrokiem cały szeroki stok, od wzgórza, za którym leżała barania dolinka, poprzez zabudowania Górka, po widoczny jak na dłoni dom państwa Piotrowiczów. Pusto. Ludzie poruszeni nowym wystąpieniem kosmity obiegają teraz pewnie szkołę i domagają się świeżego komunikatu. Dzień był zbyt słoneczny, by ktoś nie uprzedzony mógł zauważyć króciutki błysk nad zwałowiskiem.

Łódź płynęła cicho, powoli. Pod dziobem leniwie popluskiwała woda.

Mały i Reksio bezszelestnie poruszali wiosłami. Na wszelki wypadek nie uruchamiali silnika. Nie chcieli robić hałasu. Z tyłu Alauda pilnował steru.

W pewnej chwili Reksio przestał wiosłować.

— Słuchajcie — spojrzał zatroskanym wzrokiem na Mirę i Łukasza. — Coś przyszło mi na myśl. Nie możemy was puścić samych. Tylko nie mówcie „nie”. Popatrzcie na siebie. Musimy was odprowadzić.

Ale... — zawahał się — wyznaję ze wstydem, że nie mam ochoty świecić oczami przed waszymi rodzicami jako przybłęda z gwiazd, wysysający pamięć z umysłów małych Ziemian.

Łukasz z trudem uniósł powieki, które nie wiedzieć kiedy zamieniły się w ołowiane ciężarki. Rzeczywiście. Alauda i jego towarzysze nie mogli liczyć na entuzjastyczne przyjęcie ze strony ojca i państwa Piotrowiczów.

Nagle wpadł mu do głowy szczęśliwy pomysł.

— Dziadek Klemens — zamruczał. — Profesor Piotrowicz — poprawił się. — Zróbcie tak. Zawieźcie nas teraz do swojego obozu, a jeden z was niech pójdzie do domu, porozmawia po cichu z profesorem Piotrowiczem i powie mu, żeby po nas przyszli. On to świetnie załatwi. Tylko powinniście z nim mówić zupełnie szczerze. Inaczej sam się wszystkiego domyśli, a wtedy będzie gorzej.

— Z kim? — zdumiał się Mały. — Z tym słynnym profesorem Klemensem Piotrowiczem?

— To nasz dziadek — wyjaśniła obojętnie Mira.

— Hm... — stropił się Reksio. — Profesor Piotrowicz jest, o ile wiem, w tym samym stopniu historykiem co prawnikiem. To ostatnie jakoś dziwnie mnie nie cieszy.

— Ani mnie — bąknął Mały.

— Pan Klemens zrozumie — rzekł z absolutną pewnością chłopiec.

— Skoro tak... — Mały nie był przekonany, ale wobec braku innych propozycji, nie protestował. — Dobrze — westchnął. — Spróbujemy.

Reksio, ty pójdziesz.

— O, nie! Dlaczego akurat ja?

— Alauda jest za mały i zielonożółty, ja jestem za duży i czarny jak diabeł o północy, a ty wyglądasz w sam raz, masz jasny wąsik i nosisz okulary. To wzbudza zaufanie.

Wobec takich argumentów Reksio wznosił tylko oczy do nieba i skapitulował.

Chwilę później dobili do brzegu, tam gdzie z wąskiej plaży wybiegała w górę ścieżka, prowadząca prosto do domu państwa Piotrowiczów.

Reksio wysiadł, burknął: — nie wspominajcie mnie źle — i ze zwieszoną głową ruszył wypełnić swoją niełatwą i niebezpieczną misję.

Uszczuplona załoga łodzi znów wzięła się do wiosł. Cel był niedaleko. W

przedzie coraz wyraźniej bieląła skalna podkowa, w której zakolu stały dwa samotne namioty.

— No! — odezwała się nagle Mira.

— Co „no”? — zląkł się Mały.

— Ktoś tu przysięgał na głowy przodków...

— Teraz?

— Teraz. A kiedy?

Alauda zaczerpnął powietrza. Od razu zrozumiał, że przyszedł czas na obiecaną konferencję prasową.

Przedstawiciele prasy nie było. Ani radia, ani telewizji. Byli Mira i Łukasz. Ich ciekawość musiała wynagrodzić Alaudzie brak liczniejszego audytorium.

Dziewczyna i chłopiec stanęli na wysokości zadania.

Przynajmniej przez pierwsze minuty opowieści.

Alauda dość niespodziewanie zaczął od dorocznego święta krakowskich studentów, czyli od juwenaliów.

Do Polski przyjechał trzy lata temu. Studiował, o czym wspomniał już wcześniej, polonistykę. Z Małym, Zefirkim i Reksiem spotkał się przypadkiem, właśnie na juwenaliach. Mały i Zefirek byli słuchaczami wydziału fizyki, a Reksio chemii. Wspólna zabawa przerodziła się w prawdziwą, trwałą przyjaźń. Razem chodzili po uliczkach pięknego, starego Krakowa, razem wyjeżdżali na wycieczki. Wakacje także spędzali razem, zawsze nad ich ukochanym jeziorem, nad którym leżał i Górek. Alauda nie za często mógł odwiedzać swoją rodzinę w dalekiej Japonii. Ale co roku w czerwcu do Polski przyjeżdżał na krótko jego ojciec.

Pomysł wystąpienia w roli kosmitów nasunął im się nagle, ubiegłego lata. Przez całą zimę czynili pracowite przygotowania. Zefirek i Mały, jako fizycy, konstruowali reflektory i głośniki oraz sporządzali plany i modele „latających spodków”. Chemik Reksio lepił przemyślnie baloniki, pitraśił farby i z duszą na ramieniu produkował petardy, a także zapas specjalnego, łatwopalnego płynu. Alauda, jedyny w ich gronie humanista, ćwiczył się w sztuce aktorskiej, opracowywał projekty przemówień, które miały być wygłoszone do ludzi w imieniu mieszkańców wszechświata, a w wolnych chwilach wypróbowywał robota. Tego ostatniego przywiózł do Polski ojciec Alaudy, inżynier, pracujący w znanej firmie, która wytwarza najnowocześniejszy sprzęt elektroniczny. Robot nie był przeznaczony do wykonywania jakichś konkretnych zadań. Miał jedynie stanowić atrakcję dla publiczności odwiedzającej stoisko japońskiej firmy elektronicznej na Międzynarodowych Targach Poznańskich. Z kształtów przypominał niskiego mężczyznę, potrafił chodzić, ruszać się niemal jak człowiek, a nawet wyciągał rękę na powitanie. Po zamknięciu targów, robot powędrował do studenckiego mieszkania Alaudy. Elektronika rozwija się zbyt szybko, by poważna firma mogła po upływie roku wystawić na pokaz to samo urządzenie.

Robotowi nie wyznaczano z góry jakiejś określonej roli. Czwórka spiskowców zabrała go z sobą, bo był niezwykle, wyglądał szalenie kosmicznie i „mógł się przydać”. Ale dotąd ani raz nie zrobili z niego użytku.

Robot był jedyną częścią wyposażenia, której młodzi specjaliści, przygotowując się do realizacji swojego zamierzenia, nie wykonali sami lub nie zdobyli własnym wysiłkiem. Materiały do budowy spodków, reflektory, baloniki, głośniki i chemikalia czekały gotowe w szafach, pod łózkami albo w komórkach. Złożyli się i kupili łódź. Od klubu, do którego należał Zefirek pożyczyli aparat do nurkowania. Wystarali się o zużyte akumulatory i dokonali tego, że działały jak nowe.

Tak uzbrojeni wyruszyli pod koniec czerwca do Górka. Okolicę znali doskonale, więc wiedzieli, gdzie rozbić obóz i gdzie ukryć swoją „kosmiczną” kuchnię.

Laboratorium urządzili we wnętrzu zwałowiska. Tu nikt nigdy nie zaglądał. Tam zbudowali próbny spodek, tam ukryli robota i reflektory, stamtąd wyruszali na kolejne wyprawy, tam przygotowywali elementy następnych talerzowatych pojazdów, które montowali zaraz u wyjścia z gruzowiska, a potem, pod osłoną ciemności, przenosili na miejsce, gdzie miały się pokazać osłupiałym i oczarowanym ludziom. Natomiast w obozowisku u stóp dawnego kamieniołomu byli znużonymi mieszczuchami, których nie obchodzi absolutnie nic poza błogim nieróbstwem, ciszą, słońcem i krajobrazem. Chodziło im o to, żeby ktoś przypadkiem nie skojarzył sobie czterech młodych biwakowiczów z gwiazdnym najazdem na Górek. Dlatego Alauda, którego cudzoziemskie rysy musiały zwracać uwagę, nigdy nie pokazywał się zabłąkanym przechodniom, a Mały opuszczał obóz z twarzą schowaną pod sztuczną brodą.

Mały jako jedyny z czwórki krążył po Górku nie tylko nocami. W pewnym sensie był rzeczywiście szpiegiem. Przyglądał się tłumom, słuchał komunikatów, a następnie informował swoich przyjaciół, jak ludzie przyjmują działalność „kosmitów”, jak ich szukają i czy nie zaczynają czegoś podejrzewać. Ale miał także inne zadanie. Jego pieczy powierzono głośniki. Musiał je najpierw dyskretnie porozmieszczać w wielu punktach, tak starannie, by żadnego z nich nikt nie mógł, choćby przypadkiem, wypatrzeć. W tym celu łąził po drzewach. Głos Alaudy nie powinien wybiegać z jednego miejsca. Słuchacze od razu by odkryli, że mówca z gwiazd posługuje się ziemskim głośnikiem. Należało rozwiązać sprawę tak, by ludziom wydawało się, że „kosmita” cudownym sposobem przemawia do nich ze wszystkich stron naraz. Głośniki były dość skomplikowane. Przecież z mikrofonem, który trzymał przy ustach Alauda nie mogły ich łączyć żadne przewody. Dlatego Japończyk posługiwał się krótkofalówką, a przy każdym z głośników umieszczono odbiornik, który przyjmował fale głosowe, przetwarzał je, wzmacniał i dopiero potem przekazywał dalej. Początkowo głośniki przysparzały konstruktorom trochę kłopotów.

A „kosmici” nie chcieli zbyt długo czekać. Dlatego pierwsze orędzia do mieszkańców Ziemi Alauda musiał wygłosić mimo wszystko tak, że jego głos wypływał z jednego miejsca. W tym celu Zefirek przyczepił silny głośnik do zwykłej boi, a następnie, nurkując, przyholował ją pod wodą w pobliżu przystani. Oczywiście, nie usłyszano by go wtedy w całym Górku. Trzeba było ściągnąć tłumy w sąsiedztwo głośnika. Postarał się o to Mały, wystrzelivując w stosownej chwili i ze stosownego punktu „kosmiczną” petardę. Potem głośniki zaczęły działać już bezbłędnie i petardy stały się zbyteczne. Słowa Alaudy ogarniały okolice swobodnie jak wiatr. Mały strzelił jeszcze z baraniej dolinki, ponieważ tam, na odmianę, chwilowo odmówiła posłuszeństwa jego krótkofalówka. Był to więc znak dla Alaudy, a nie dla jego słuchaczy.

Dziadek Klemens miał rację. „Kosmitom” nie zależało na tym, żeby zadziwiać ludzi spodkami, zielonymi twarzami o strasznych oczach, płonącymi kulami i tajemniczymi światłami. Głównym celem Alaudy i jego przyjaciół było powiedzieć mieszkańcom Ziemi od mieszkańców gwiazd wszystko, co jakoby ci ostatni mieliby tutaj do powiedzenia. Kiedy zaczęli mówić, przestali spalać spodki, pokazywać się i świecić. Ale nie chcieli mówić, dopóki nie zwabili do Górka dziennikarzy, którzy mogli sprawić, że treść ich wystąpień dotrze do wszystkich krajów, na wszystkich kontynentach. Dlatego najpierw pokazywali swoje sztuczki. W pierwszej kolejności trzeba było przecież zafrapować ludzi, przekonać ich, że w Górku naprawdę wylądowali kosmici.

Tajemnicę startujących spodków i postaci o zielonej twarzy Mira i Łukasz poznali jeszcze na placyku wewnątrz zwałowiska. Teraz Alauda rozwinął tylko nieco kwestię ukrytego w blaszanej rurze reflektora.

Był to reflektor co się zowie niezwykły. Zefirek i Mały, którzy go wymyślili i

skonstruowali, z pewnością zasługiwali na miano fizyków z prawdziwego zdarzenia. Przede wszystkim rzucał bardzo daleki, wąski snop światła, rozszerzający się dopiero w takiej odległości, że praktycznie było to niedostrzegalne. Ale to jeszcze nic. Istota wynalazku polegała na tym, że rura stanowiła jakby kalejdoskop na opak. Zwykły kalejdoskop przytyka się do oka, jego drugi koniec wycelowuje w słońce lub w lampę, obraca się go palcami i widzi lśniące, kolorowe kryształki tworzące wciąż nowe i nowe wzory. A tutaj było akurat na odwrót. Źródło światła znajdowało się wewnątrz, natomiast ruchoma, barwna i błyszcząca mozaika powstawała na niebie, albo tam, gdzie skierowano wylot osobliwej rury. Kiedy spodek „startował”, to znaczy kiedy Alauda go podpalał, Mały kręcił reflektorem mierząc prosto w górę, a ludziom wydawało się, że widzą jak w mrocznych przestworzach znika talerz mieniący się wszystkimi kolorami tęczy.

Podobnie rzecz się miała z ognistymi kulami. Były to owe baloniki, które wyrabiał Reksio. Zefirek, pierwszy nurek ekipy, wciągał je głęboko pod wodę, a potem nagle wypuszczał. Oczywiście, wyskakiwały nad powierzchnię jeziora jak wystrzelone z armaty i, jak to baloniki, leciały dalej w górę. Wówczas Mały podświetlał je z łodzi swoim reflektorem, dokładnie tak samo, jak nie istniejące już spodki. Widzowie przysięgali, że gorejące barwami kuliste twory absolutnie nie mogły być dziełem człowieka.

No i wreszcie ślady. „Kosmici”, naturalnie, zostawiali ślady. Popiół po spalonych spodkach. Odciski reflektora i akumulatorów. Resztki odpalonych petard. Ale nie robili tego celowo. Po prostu nie przyszło im do głowy, że znajdą się kolekcjonerzy tego rodzaju pamiątek. Skądinąd niczym im to nie groziło. Żaden ziemski uczony nie mógł przecież wykluczyć, że gdzieś w kosmosie istnieją substancje, których skład chemiczny nie różni się od składu chemicznego popiołu, pozostałego po spalonej tekturze, nasączonej farbą i wykombinowanym przez Reksia płynem.

Opowieść dobiegła końca. Łódź płynęła bardzo wolno, ospale kołysząc się na boki.  
— No co? — spytał po dłuższej chwili Alauda, zdziwiony brakiem zainteresowania ze strony słuchaczy. — Jesteście zadowoleni? Jeśli jeście coś nie jest dla was jasne, to proszę, ciekam na pytania...

Z całą pewnością pozostało to i owo do wyjaśnienia. Alauda dokładnie wyłożył, skąd on i jego przyjaciele wzięli się w Górku, co tutaj robili i jak to robili. Czy to celowo, czy przez zapomnienie, nie wspomniał jednak o najważniejszym. Mianowicie, dlaczego udawali kosmitów? Po co? O co im chodziło?

Ale pytań nie było.

Zaniepokojony Alauda odwrócił się od steru. Zobaczył smętnie uśmiechniętą twarz Małego, a niżej dwie nieruchome postacie, zwinięte w kłębek na dnie łodzi.

— Maś tobie! — zawołał cicho.

Mira i Łukasz spali jak susły.

Co usłyszeli? Czego nie zdążyli usłyszeć? W gruncie rzeczy, to nie takie ważne. Kosmici powtórzą przecież swoją historię dziadkowi Klemensowi. Ich poczynania w Górku nie raz i nie dwa będą tematem rozmów w domu państwa Piotrowiczów.

Dziób łodzi zmierzał ku brzegowi. Na skalnym progu stał Zefirek i przyglądał się nadpływającym. Ujrawszy, kogo jego przyjaciele przywożą ze sobą, złapał się za głowę.

Alauda bezradnie rozłożył ręce, po czym położył palec na ustach.

Pan Marek Piotrowicz usiadł na poręczy fotela i obejmował ramieniem żonę. Ojciec Łukasza stał przy telefonie. Sprawiał wrażenie, że myślami wywędrował gdzieś bardzo daleko. Dziadek zwiesił głowę i drzemał.



Paweł spał na górze, w swoim pokoju.

Zadzwoił telefon. Ojciec Łukasza podniósł słuchawkę.

— Proszę? Tak. To do mnie — wyjaśnił pani Helenie, która patrzyła na niego z nieśmiałą nadzieją. — Nie. Jeszcze nie — powiedział do słuchawki. — Ale już wiemy, że nic im się nie stało — powtórzył treść przemówienia Alaudy. — Teraz możemy tylko czekać. Nie. Nie potrafiłabyś pomóc. Nawet ty. Zadzwoń znowu za jakiś czas — rozmowa była skończona.

— Pytała, czy mimo wszystko nie powinna przyjechać. To znaczy, matka Łukasza — dodał dla jasności, choć wszyscy natychmiast odgadli, kto telefonował. — Chciała wiedzieć, czy na pewno zrobiono wszystko co w ludzkiej mocy, żeby odnaleźć dzieci.

Pani Helena położyła głowę na piersi męża i przymknęła oczy.

Ojciec Łukasza zaczął przechadzać się po pokoju. W pewnym momencie nagle przystanął.

— Kimkolwiek jest ten Alauda, nie kłamałby przecież w taki sposób — powiedział. — Nic go do tego nie zmuszało. Naturalnie, uspokoję się dopiero wówczas, kiedy Mira i Łukasz będą znowu z nami. Ale coś mi podpowiada, że nie należy się już więcej zamartwiać. Spróbujmy pomyśleć o czymś innym. Marku — rzekł pełnym głosem — wiem, że masz tutaj podręczną biblioteczkę. Czy pozwolisz mi z niej korzystać? Chodzi mi zwłaszcza o... — wymienił uczenie brzmiące tytuły i nazwiska autorów.

Marek Piotrowicz spojrział na niego ze zdziwieniem.

— To chyba książki, związane z tematem twojej pracy doktorskiej? — spytał niepewnie.

— Tak.

— Czyżbyś zamierzał...? Owszem, mam je w swoim pokoju — zreflektował się.

— Naturalnie, że możesz je sobie wziąć. Ale...

— Dziękuję. Postaram się nie sprawiać kłopotu. Nie będę do ciebie chodzić, kiedy zechcesz tu pracować. Ty pewnie zaraz po powrocie dzieci i tak znowu wyjedziesz do Krakowa.

Przez twarz pana Marka przemknął uśmiech.

— Ja też wziąłem zaległy urlop — oznajmił ze spokojem. — Nie pozbędziecie się mnie stąd przez okrągły miesiąc. I niech ktoś spróbuje wspomnieć przy mnie o Krakowie i instytucie!

— Och! — zawołała cicho pani Helena.

Dziadek Klemens uniósł powieki.

— Przedziwne rzeczy wyprawiają z ludźmi ci kosmici — mruknął. — Mój syn ni stąd, ni zowąd zmańdżał, a jego sympatyczny kolega zgłupiał.

Panie Rafale! Czy naprawdę chce pan tutaj wsadzić nos w książki?

— Naprawdę — odrzekł zapytany. — Ale proszę się nie obawiać.

Ilekcio wyzwie mnie pan na pływacki maraton, stawię się od razu. Nie zamierzam rezygnować z uroków lata w Górku.

— To dobrze — rzekł dziadek.

Z ogrodu dobiegło nieśmiałe chrząknięcie.

— Przepraszam — odezwał się niepewny głos. — Pan profesor Piotrowicz?

Dziadek Klemens podniósł się z wysiłkiem.

— To ja. O co chodzi?

Reksio stojący na wszelki wypadek pięć metrów przed wejściem na werandę wykonał proszący ruch głową.

— Chciałbym zamienić z panem kilka słów...

— Słucham. Niech pan wejdzie.

— Nie, dziękuję. Ja tutaj... Ja muszę na osobności...

— Znowu jakieś tajemnice? Nie jest pan przypadkiem dziennikarzem? Albo, odpukać, ufologiem?

— Wręcz przeciwnie. To znaczy chciałem powiedzieć, nie. Bardzo proszę... Dziadek Klemens westchnął, wzruszył ramionami i wyszedł przed próg. Reksio, cofnął się jeszcze dwa kroki dalej, nerwowo poprawił okulary i rzekł:

— Dzień dobry.

— Dzień dobry.

— Ja... Ja...

Pan Klemens przytaknął ruchem głowy i czekał.

— Ja... W sprawie Miry i Łukasza...

W dziadka wstąpiło nowe życie. Skoczył w stronę przybysza. Jego twarz stała się nagle groźna.

— Aaa! — ryknął złowieszczo. — Kosmita? Tak?

Reksio machnął ręką.

— Jaki tam kosmita. Ja... Jakby to powiedzieć...

— Najlepiej prosto z mostu. Oszust. Gdzie dzieci? — dziadek z zaskakującą zwinnością rzucił się na młodego mężczyznę, złapał go za ramiona i zaczął nim potrząsać jak snopkiem słomy. — Gdzie dzieci?

— U... U nas. Nic im nie jest. Naprawdę nic! — ratował się przestraszony Reksio.

— Miały małą przygodę. Są trochę potłuczone — bełkotał.

— Trzymaliście je przez całą noc!

Młody mężczyzna delikatnie uwolnił się z uścisku i wyprostował.

— Panie profesorze — rzekł z wyrzutem. — Znaleźliśmy je przypadkiem, godzinę temu. O co pan nas posądza?

— O nic dobrego. Jak to „znaleźliście”?

Reksio zaczerpnął powietrza i opowiedział, co przytrafiło się Mirze i Łukaszowi.

— Chciałem się rzeczywiście przedstawić, jako wysłannik kosmitów — zakończył zrezygnowany. — Ale pan przecież domyślił się już wszystkiego.

— Wszystkiego, nie wszystkiego. Naturalnie, że nie uwierzyłem w kosmitów. Pomijając już inne względy jestem ostatecznie starym prawnikiem i jeszcze pamiętam, że „alauda” to po łacinie skowronek. Nie sądzę, aby gdzieś w przepastnych głębiach kosmosu jakaś cywilizacja studiowała piękną mowę Cycerona, Cezara i Wergiliusza, skoro nawet tu u nas mało kto potrafi już odróżnić plusquamperfectum od prusakolepu. Ale coś niecoś będziecie mi musieli jeszcze wyjaśnić. Na początek proszę powiedzieć, czemu chciał się pan widzieć akurat ze mną? Przecież tam w domu są rodzice dziewczyny i ojciec chłopca?

— Właśnie Łukasz poradził nam, żeby najpierw zwrócić się do pana.

Mówił, że pan na pewno wszystko zrozumie i zawiadomi oględnie resztę rodziny.

— Ten chłopiec ma więcej oleju w głowie niż dziesięciu ludzi i stu kosmitów na dodatek — powiedział dziadek. — A teraz krótko i z ręką na sercu. Czy dzieci nie potrzebują pomocy lekarskiej?

— Moim zdaniem nie — Reksio uśmiechnął się mimo woli, bo przypomniał sobie, jak Alauda musiał klęczeć przed Mirą. — Na pewno nie. Tylko, jeśli chodzi o ich wygląd... Pan profesor rozumie...

— Sińce, guzy i tak dalej — dziadek prychnął lekceważąco. — Głupstwo. Gdzie jest ten wasz obóz? Zresztą, niech pan chwilę poczeka. Zwołam rodzinę. Proszę się nie bać. Nikt pana od razu nie zastrzeli. Po pierwsze nie mamy karabinu, a po drugie nie mogą zawieść zaufania Łukasza. Zaprowadzi nas pan do nich.

Obok zgaszonego paleniska stały dwa polowe łóżka, wyciągnięte z namiotów. Na jednym spała Mira, na drugim Łukasz. Oboje mieli pod głowami płaskie poduszki i

byli nakryci cienkimi kocami. Przy łózkach przycupnęli rodzice Miry, ojciec Łukasza oraz Paweł. Ten ostatni patrzył na siostrę tak, jak nie patrzył na nią jeszcze nigdy w życiu, ale równocześnie pilnie baczył, by nie uronić słowa z rozmowy, jaką dziadek Klemens wiódł opodal z Alauda i jego przyjaciółmi.

Właśnie padło to pytanie, którego nie zadano Alaudzie na pokładzie łodzi.

— No dobrze — rzekł dziadek. — Przypuśćmy, że wiemy, jak udało wam się postawić Ziemię na głowie i narobić takiego rwetusu. Pozostaje jedna malutka kwestia. Dlaczego? Po co?

Mały wykonał nieokreślony ruch głową.

— Czy nie domyśla się pan, panie profesorze?

— Może się domyślam, może nie. Wolałbym jednak wiedzieć, a nie tylko się domyślać. Na skończonych nicponiów mimo wszystko nie wyglądacie. A muszę przyznać, że miałem co do was bardzo brzydkie podejrzenia. Nie sprawiacie również wrażenia beznadziejnych kretynów. Zwłaszcza ten wasz ćwierkało — pan Klemens mrugnął do Alaudy, którego od pierwszej chwili wyróżniał swoją sympatią. — Więc o co wam właściwie chodziło?

Japończyk zdążył już zmyć z siebie resztki farby i pozbyć się roboczego stroju kosmity. Wcale nie był aż tak niski, na jakiego wyglądał, gdy występował w zielonej skórze. Miał miłą, okrągłą twarz o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych i pełnych ustach, skorych do uśmiechu.

W tej chwili nie uśmiechał się jednak.

— Panie profeszie — rzekł cicho. — Mój ojciec jest jednym z dyrektorów dużej firmy, wyrabiającej najnowocześniejsze aparaty elektroniczne, ale zrezygnowałby z pracy w ciągu minuty, gdyby się psiekonał, że najdrobniejsia cięść tego co robi, jest wykozystywana do produkcji jakiejś nowej broni. Nie wiem, ci pan zdaje sobie sprawę z tego, co to znaci w mojej ojczyźnie poziucić firmę, w której pracowało się wiele lat. Niemniej ojciec zrobiłby to bez wahania. Oboje jego rodzice, to znaci moi dziadkowie, zginęli w Hiroszimie.

Zapanowało milczenie. Na brzegu, pod kamieniami, delikatnie chlupotały niewidoczne fale. Mira i Łukasz oddychali równo przez sen. Zdawało się, że wraz z nimi zasypia cały świat.

— Kiedy wybuchła bomba, ojciec Alaudy nie miał nawet dziesięciu lat — podjął po pewnym czasie Mały. — Tuż przed tragedią ciotka zabrała go do siebie na wieś. Dlatego ocalał. Jego młodsza siostrzyczka umarła rok później, w straszliwych męczarniach, a jego starszy brat dopiero jedenaście lat po zrzuceniu na Hiroszimę bomby atomowej. A teraz są na świecie bomby tysiące razy silniejsze niż tamta i jest ich tysiące razy więcej.

Więc postanowiliśmy z przyjaciółmi zrobić coś takiego, co wstrząsnęłoby sumieniami ludzi. Wiem, wiem — Mały uniósł ręce, jakby chciał się przed czymś zasłonić. — Na pewno można było wymyśleć coś mądrzejszego...

Ale, panie profesorze, czy nie jest tak, że lubimy puszczać mimo uszu najśluszniesze uwagi i napomnienia, jeśli pochodzą od naszych bliskich, natomiast liczyć się ze zdaniem obcych? Proszę nie zaprzeczać. Pan wie, że mam rację. Chcieliśmy zagrać właśnie na tej naszej wspólnej, nierozsądnej słabości. Chcieliśmy wystąpić przed mieszkańcami Ziemi jako obcy. Jako obcy, nieskończenie obcy, powiedzieć ludziom... Powiedzieć...

— ...Ludzie, ocknijcie się! — doszeptał smutno Alauda.

## Po burzy

Następnego dnia od wczesnego rana coś wisało w powietrzu. Tak się zwykle mówi, kiedy pewne oznaki zwiastują awanturę w najniższych warstwach powietrza, na wysokości głowy pana od matematyki, pani od polskiego lub mamy i taty od wszystkiego. Tym razem jednak to coś wisało bardzo wysoko i obejmowało świat od horyzontu do horyzontu.

Słońce weszło czerwone, jakby od razu chciało zachodzić, wielkie i nieco zetłałe. Świeciło nie tak jasno jak poprzednich dni, za to natychmiast oblało ziemię nieznośnym żarem. Na widnokręgu pojawiły się nie widziane od tygodni chmury.

Paweł pstryknął. Ukląkł, przechylił głowę i pstryknął ponownie. Następnie położył się na brzuchu i zrobił dwa kolejne zdjęcia. Wstał, przyjrzał się stojącej przed nim parze i doszedł do wniosku, że za wcześnie chciał schować aparat. Znowu szcęknęła migawka.

— Dość tego! — zbuntowała się Mira. — Wracam do ludzkiej postaci! Jeszcze ktoś nadejdzie!

— Znakomicie! — wykrzyknął z radością Paweł, któremu udało się sfotografować niecierpliwy gest siostry.

— Mogę zrobić trupa — zaofiarował się Łukasz. Postawił oczy w słupek, wciągnął policzki i zwiesił ramiona tak, że palcami niemal dotykał trawy.

— Nie — powiedział z żalem Paweł. — To zbyt okropne...

Mira zaśmiała się i kichnęła. Noc spędzona w zimnej pułapce nie przeszła bezkarnie.

Jak ona ślicznie kicha — pomyślał Łukasz. Przestał udawać trupa, ale nie przestał wyglądać zbyt okropnie. Zresztą Mira wyglądała jota w jotę tak samo.

Paweł uczestnicząc w akcji poszukiwania zaginionych, nie miał ze sobą aparatu. Nie wziął go również wtedy, gdy wyrwany z najgłębszego snu śpieszył do starego kamieniołomu, by powitać ocaloną siostrę i jej towarzysza niedoli. Dziś postanowił to sobie odbić. Zaraz po śniadaniu kazał obojgu włożyć stroje, w których ich odnaleziono. Sam wygrzebał z kubła na śmieci resztki niebieskiej sukienki, a także strzępy dżinsów i koszuli Łukasza.

Ofiary jego fotograficznej pasji przyjęły swój los z pokorą. Może dlatego, że zdjęcia miały stanowić pamiątkę bądź co bądź jedynej w swoim rodzaju przygody. A może pewną rolę odegrało także poczucie winy.

Opowiedziano im niezwykle dokładnie, jak milicjanci, żołnierze, leśnicy i mieszkańcy Górka szukali ich przez całą noc i część dnia. O saperach, dźwigach i telefonach. O tym, co przeżyli rodzice i dziadek Miry oraz ojciec Łukasza. A także, jak zachował się Paweł.

Na widok dwóch opłakanych figur w szatach jakby ściągniętych ze stracha na wróble sponiewieranego przez huragan, pani Helena krzyknęła rozpaczliwie i zamknęła się w kuchni. Natomiast Paweł z oznakami zadowolenia wyprowadził Mirę i Łukasza do ogrodu, gdzie uzupełnił obraz, smarując ich twarze czerwoną kredką oraz ziemią. Zważywszy, że sińce bohaterów zdążyły od wczoraj nabrać soczystej, fioletowej barwy, że guzy osiągnęły pełną dojrzałość kształtów, a plastry, nawet po zmianie opatrunków, nadal tłoczyły się na ich obliczach jak rybki w za ciasnym akwarium, portrety pary straceńców zapowiadały niezwykle rozkosze artystyczne. Paweł robił zdjęcia kolorowe.

— Dziękuję — powiedział zamykając wreszcie futerał aparatu. — Możecie się już przebrać.

Godzinę później mieszkańcy pięknego domu na otwartym zboczu, zanurzonym stopami w najpiękniejszym jeziorze, wyszli na szosę i skręcili w stronę Górka. Nie brakowało nikogo. Mira i Łukasz przespali bez mała dobę i czuli się jak para młodych bogów. Coś ich tu i ówdzie czasem zakłuło, coś zapiekło, coś zaszczypało, ale na takie błahostki nie będą przecież zważać weterani Wielkich Przygód.

W grupce wędrowców panował nastrój zrozumienia i wzajemnej życzliwości. Co było do wyjaśnienia, zostało wyjaśnione, co do powiedzenia, powiedziane, co do wysłuchania, wysłuchane. Następnie zostało przeproszone, jeśli można się tak wyrazić, co było do przeproszenia i wybaczone, co do wybaczenia. Mira przysięgła na głowy przodków, że nigdy już nie zbliży się do zwałowiska. Łukasz obiecał nie tropić więcej na własną rękę brodatych szpiegów. Ponadto, na specjalne życzenie pana Klemensa, przyrzekł zachowywać się odtąd bardziej po męsku, to znaczy okazywać więcej nieubłaganej stanowczości względem lekkomyślnych podlotków, które dla kaprysu zechciałyby strącać na swoje wątle ciała betonowe płyty. Mira zauważyła przy okazji, że w krytycznych momentach Łukasz poczynił sobie niczym skrzyżowanie Tarzana z Robin Hoodem, ale dziadek uznał to za okoliczność obciążającą. Stwierdził mianowicie, że Robin Hood był za miękki dla kobiet, a Tarzan nie znał się na nich zupełnie, choć powinien, jako że od dziecka obcował z małpami. Paweł demonstracyjnie pozbył się fałszywych śladów fałszywych kosmitów i powiedział, że jeszcze jakiś czas wytrzyma bez komputera w domu, nawet jeśli koledzy będą go wytykać palcami jako ostatniego nędzarza, syna i wnuka nędzarzy. Pouczony przez dziadka, że bieda nikogo nie hańbi, mruknął nie bez odrobiny słuszności, że nikomu też nie przynosi szczególnego zaszczytu, po czym wyniósł do kuchni dwie pozostałe po śniadaniu filiżanki. Następnie wrócił do pokoju i długo przyglądał się Łukaszowi.

Ten zniósł oględziny ze stoickim spokojem, może dlatego, że nie towarzyszyły im żadne miny, wydymanie warg, wysuwanie brody i tym podobne przejawy nieukontentowania. Ale nie. Łukasz stawiałby dzisiaj czoła wszystkim najgorszym minom. I nie tylko minom. W wirze wydarzeń nie miał czasu zastanowić się na zaszłą w nim zmianą, czuł jednak, że taka zmiana zaistniała, że sprawił ją jeden wieczór, jedna noc, jeden poranek i jedno zdanie, wypowiedziane czy raczej wykrzyczane przez śliczną dziewczynę, oraz że wspomnienie tego wieczoru, tej nocy, tego poranka i tego zdania, zawsze już będzie go chronić przed niezaskuszoną opinią nieśmiałego ponuraka i łajzy. Dostrzegał natomiast z całą ostrością przeobrażenie, jakiemu uległ pan Marek Piotrowicz, a przede wszystkim jego własny ojciec. Niezliczoną ilość razy łapał się na tym, że otwiera usta, aby zawołać: „Tato, to ty?”

Ojciec nie robił niczego nadzwyczajnego. Rzecz nie polegała na tym, że nagle stał się kim innym. Pozostał sobą. Tylko że każdy jego, właściwy mu gest, każde odezwanie się, postawa, sposób trzymania głowy i patrzenia były jakby o odcień jaśniejsze, bardziej określone i bardziej zdecydowane. A także bardziej pogodne. Właśnie pogodnie, krótko i z uśmiechem poinformował syna, że od dziś zabiera się do pisania doktoratu.

Łukasz usłyszawszy to zastanowił się przez chwilę, a następnie spytał półgłosem: — Tato, czy ty tak sobie postanowiłeś po rozmowie z mamą?

Chłopiec wiedział już, naturalnie, że mama została zawiadomiona o jego przygodzie i że kilkakrotnie telefonowała, dopytując się o wyniki poszukiwań. Wiedział także, że choć początkowo wykluczyła możliwość swojego przyjazdu do Górka, to jednak potem zmieniła zdanie. Ale wówczas Alauda zdążył już ogłosić, że „ziemskie dzieci” są całe i zdrowe.

— Nie — odpowiedział spokojnie ojciec. — Wcześniej.

Łukasz nie poruszał więcej tego tematu. Westchnął w duchu i zainteresował się panem Markiem. Ten również nie przestał być sobą. Jego zachowanie stało się jedynie, tak jak u ojca, bardziej pogodne. U ojca oznaczało to wprawdzie coś zupełnie innego, ale efekt był trochę podobny.

Kiedy wczoraj Mira i Łukasz zasnęli wreszcie w pokoikach na piętrze, pan Marek ponownie obejrzał rysunki, które przed katastrofą wykonała jego żona. Następnie przypomniał sobie, że w domu była kiedyś teczka z jeszcze innymi jej pracami, a wśród nich portret Miry. Ojciec Łukasza bez słowa poszedł na górę i przyniósł wspomnianą teczkę.

— Hela musi malować — orzekł wtedy kategorycznie pan Marek, jakby odkrył absolutnie oczywistą prawdę, która choć tak oczywista, jakoś nikomu innemu nie przyszła dotąd do głowy.

A dziadek Klemens?

Dziadek przespał się godzinę, wstał, przyniósł do dużego pokoju grubą i starą księgę, otworzył ją, znowu przesiedział godzinę z zamkniętymi oczami, a potem przewrócił kilka kartek i nagle zdecydowanym ruchem odsunął od siebie uczone dzieło.

— Nie mogę czytać — oznajmił. — To co dzieje się w tym domu, jest bardziej zajmujące niż kodeks karny z tysiąc pięćset trzydziestego drugiego roku. *Constitutio Criminalis* — powiódł palcem po tytule wzgardzonej księgi. — Jeśli zaginięcie pary młodych pomyślników ma powodować takie skutki, to niech sobie Mira i Łukasz szczęśliwie giną przynajmniej raz na tydzień.

Pani Heleny przy tym nie było. Wcześniej poszła do siebie, żeby czuwać przy łóżku Miry. Nie miał kto powiedzieć: „Niech ojciec tak nie żartuje”.

Dziadek mógł bez przeszkód mówić dalej: — Choć jeśli mamy być sprawiedliwi, to część zasługi musimy przypisać również tym oszustom, kosmitom. Nie wiem, czy uda im się potrzęsnać całą Ziemią, jak sobie wymarzyli, ale na pewno potrzęsneli Piotrowiczami. Piotrowiczami i Polowymi — poprawił się. — Piotrowiczami, Polowymi, rodziną gajowego... A skoro tak, to może jeszcze kimś, kogo nie znamy. Za wcześnie ich osądziłem. Co nie znaczy, że teraz obwiesiłbym ich orderami. Przeciwnie, zasłużyli na... — nie powiedział na co, tylko westchnął i mruknął pozornie bez związku: — Niestety, jestem człowiekiem słabym i pozbawionym zasad. Jako prawnik nadaję się wyłącznie do roli cukiernika w więziennej kuchni. W tej chwili, na przykład, zamiast obmyślać surową karę dla tej bandy awanturników, nie mogę się doczekać ich pożegnalnego występu. Zapowiedzieli niespodziankę, jakby mało ich było do tej pory. A no, zobaczmy...

Wszyscy byli ciekawi, jak też Alauda i jego przyjaciele rozstaną się z Górkiem i Ziemianami. To rozstanie miało nastąpić dzisiaj, w samo południe.

Wczoraj błagali wszystkich, którym z konieczności musieli wyznaczyć kim są naprawdę, żeby ich nie zdradzili przed urzeczonym kosmitami światem.

— Panie profesorze — powiedział Mały. — Niech pan poczeka do jutra. Jeśli potem uzna pan, że należą się nam jedynie cięgi, to sami oddamy się w ręce milicji. Ale gdyby przypadkiem, po naszym ostatnim przedstawieniu, doszedł pan do wniosku, że nie myśleliśmy tak całkiem głupio, to pozwól nam pan uciec cichaczem z Górka, a ludzi zostawić w przekonaniu, że mieli do czynienia z prawdziwymi mieszkańcami gwiazd, którzy ich opuścili, ponieważ przestraszyli się porządków, panujących na tej planecie. Dobrze?

— Hm... — odrzekł wówczas pan Klemens.

Szosa paliła stopy jak rozpalona blacha. Cień pod nieruchomymi drzewami nie dawał odrobiny chłodu.

Coś wisiało w powietrzu.

Od strony Górka nadjechał duży, luksusowy samochód. Boczne szyby miał opuszczone do samego dołu. Na tylnym siedzeniu gruby mężczyzna szamotał się z wypchaną torbą. Nie zauważył, że mija gromadkę osób, które ciekawie mu się przyglądają.

— Ależ to... — zaczął Łukasz, ale nie skończył. Z samochodu zaczęły wylatywać jakieś bezkształtne przedmioty. Były czerwonoszare jak cegły, lecz kruche. Spadały na jezdnię i rozpryskiwały się w nieregularne odłamki.

Paweł przytomnie uruchomił aparat fotograficzny.

— CD — pan Marek, który znał już z opowiadań historię Kapelusznika i jego jednodniowego lokatora, odczytał litery, umieszczone na tabliczce przy numerze rejestracyjnym. — Korpus dyplomatyczny. Rozumiem — odprowadził wzrokiem znikające w oddali auto. — Więc to był ten szczęśliwy nabywca skarbów, wyrabianych przez szwagra gajowego i spółkę. A oto i owe skarby — schylił się, podniósł duży okrucz spieczonej gliny i obejrzał go ze wszystkich stron. — Nic tu nie widzę...

— Trzeba się zwrócić do rzeczoznawcy — zaproponował dziadek. — Pawle, czy w tym kawałku była odcisnięta noga spodka, czy scyzoryk z gwiazd, czy też... Właśnie, co? Rzuć łaskawie okiem.

Paweł skrzywił się, po czym nagle parsknął śmiechem. Inni jakby tylko na to czekali.

— Biedny grubas — zawołał ojciec Łukasza. — Tak bardzo chciał mieć ślady kosmitów.

— Miał je przecież — zachichotała Mira.

Jak ona się ślicznie śmieje — pomyślał Łukasz i raptem spoważniał.

Od kogo wesołek z cudzoziemskim paszportem dowiedział się, że jest posiadaczem sfałszowanych pamiątek? Czy nad Pawłem, a tym samym i Mirą nie zawisła przypadkiem nowa groźba?

Nie — uspokoił się w duchu. Grubas nie piśnie słowa. Musiałby się przecież przyznać do nielegalnych interesów z Kapelusznikiem. No i do tego, że został wystrychnięty na dudka.

— Oto, jak złudne bywają ludzkie zdobycze — rzekł dziadek. — Na zdrowie — dodał uprzejmie, ponieważ Mira skwitowała jego głęboką uwagę srebrzystym „a psik!”

Tak ślicznie...

Pani Helena otarła oczy i rozejrzała się po pustej szosie.

— No, pierwsze pożegnanie mamy za sobą — stwierdziła. Wszyscy umilkli. Może pomyśleli o następnym.

Tego dnia czekało ich więcej pożegnań.

Kiedy zbliżali się do pierwszych domów, zza zakrętu wyszli im naprzeciw dwaj mężczyźni, niski i wysoki. Niski był tęgi i dźwigał walizkę.

Wysoki niczego nie dźwigał, ale na jego widok Łukasz zatrzymał się jak wryty.

— Przecież to jest... — znowu nie skończył.

— Pan Kutynia — powiedział niechętnie dziadek. — Cóż oni tu robią... razem?

Pan Kutynia to był pan Kutynia i ta kwestia nie wymagała żadnych dodatkowych wyjaśnień. Zgoła inaczej miała się rzecz z jego towarzyszem.

Mira pamiętała go jako niedoszłego szantażystę. Najpierw podsłuchał jej rozmowę z bratem, a potem próbował wykorzystać zdobyte w ten brzydki sposób wiadomości, by wytargować dla siebie ślady kosmitów.

Następnie jednak na baraniej łączce został przez Łukasza zdemaskowany jako zwykły, uczciwy człowiek. Łukasz pamiętał to samo co Mira, a ponadto zdarzenia, które poprzedziły niefortunne spotkanie w sąsiedztwie pustego stołu Kapelusznika.

Natomiast dla wszystkich pozostałych osobnik asystujący teraz panu Kutyni był przede wszystkim Adamem Nowakiem, energicznym i ofiarnym organizatorem całonocnej akcji ratunkowej. Dla wszystkich z jednym wyjątkiem. Mianowicie dziadek Klemens wiedział o nim coś, czego nie wiedzieli inni. Łukasz z rosnącym zdziwieniem patrzył, jak obaj panowie wymieniają znaczące spojrzenia i uśmiechy. To spostrzeżenie kazało mu zamknąć usta i nie chwalić się głośno znajomością z wysokim blondynem, dawniej złoczyńcą, ukrywającym się przed milicją.

— Dzień dobry, panie profesorze, dzień dobry pani, dzień dobry panom — zaczął po swojemu pan Kutynia. Postawił walizkę na jezdni i otarł pot z łysiny. — Ależ upał! — jęknął. — Coś wisi w powietrzu.

Pod tym względem pan Kutynia miał rację.

— Pewnie będzie burza — rzekł obojętnym tonem dziadek. — Pan się przeprowadza? — wskazał oczami walizkę.

— Prze... Skądże znowu! Wyjeżdżam!

— Ojoj — zmartwił się pan Klemens, wywołując szeroki uśmiech na twarzy wysokiego mężczyzny. — Myślałem, że znalazł pan wreszcie odpowiedni dom i właśnie śpieszy pan objąć go w posiadanie.

— Gdzież tam! To znaczy, owszem, znalazłem, ale proszę sobie wyobrazić, w ostatniej chwili jego właściciel dwukrotnie podniósł cenę! Taki zdzierca! Powiedział, że dzisiaj, kiedy w Górku przebywają kosmici, każda szopa jest tutaj na wagę złota! Złodziej! Nic, tylko złodziej! A swoją drogą, żeby tych kosmitów wreszcie stąd wymiotło!

— Wymiecie, wymiecie — zapewnił go dziadek. — Zatem pan nas opuszcza?

— A co mam robić? Przyjadę, kiedy skończą się te idiotyczne awantury. Autobusy chodzą albo nie chodzą, więc wyszedłem na szosę. Może ktoś się zlituje i mnie zabierze.

— Przed chwilą mijał nas samochód — zauważył ojciec Łukasza.

Wysoki mężczyzna za panem Kutynią przestał się uśmiechać. Bezdomny machnął ręką.

— Próbowałem go zatrzymać, ale nawet nie zwolnił. Jakaś ważna figura.

Przepraszam, podejdę kawałek dalej. Ktoś może wyjechać z ostatnich domów — schylił się po walizkę.

Paweł pstryknął. Pan Kutynia na pustej szosie, z ciężkim bagażem, nawet od tyłu stanowił wdzięczny obiekt dla fotografa.

— Nie odprowadzi go pan? — dziadek zdziwił się nieszczerze, patrząc z wyrzutem na blondyna. — Taki interesujący towarzyszyś.

Milczący dotąd mężczyzna potrząsnął głową.

— Nie odprowadzę — mruknął. — Spotkałem go przypadkiem. Wyszedłem pożegnać kogoś innego.

— Wytworna limuzyna? — domyślił się pan Klemens. — Trochę turysta, trochę przemysłowiec posiadający znajomych w swojej ambasadzie?

— Chciał nam podkraść „naszych” kosmitów — Adam Nowak powiedział to zupełnie serio. — Poradzić im, żeby pofatygowali się tam, gdzie ich cudowna technika zostanie lepiej doceniona i oceniona. Jest rzeczywiście właścicielem małego biura podróży i dlatego ma stały paszport, ale jego główne zajęcie polega na wykonywaniu specjalnych zadań, zlecanych mu przez pewne koncerny. Niestety, słuchając Alaudy, przekonał się, że kosmici nie zechcą współpracować z jego mocodawcami, bo potępiają ich działalność. Nadto dziwnym trafem zetknął się z człowiekiem, który go ostrzegł przed oszustami, fabrykującymi fałszywe ślady istot z innych światów. Przestraszony pokazał dziś rano swoje skarby owemu człowiekowi, a ten potwierdził jego obawy. Wobec tego doszedł do wniosku, że tu nie ma już czego



szukać. Tak, tak. Nie każdy szpieg biega po górach i dolinach z krótkofalówką i przyprawioną brodą — dorzucił niedbale rozglądając się po okolicy.

Łukasz drgnął i spojrzał podejrzliwie na dziadka Klemensa. Wiedział już, czemu grubas wzgardził zdobytymi z takim trudem skarbami.

Ale teraz wypłynęła ważniejsza sprawa. Ten wysoki mężczyzna zna odpowiedzi na zbyt wiele zagadek. Usłyszeć je mógł tylko od dziadka. Czyżby pan Klemens mimo wszystko zdradził Alaudę i jego przyjaciół? Niemożliwe.

A jednak.

Dziadek westchnął i rzekł: — Dobrze. Wspomniałem wam, że jako prawnik sam wrzuciłbym się do lochu za moje kręctwa, ale to była tylko część prawdy. W owym lochu znalazłbym się bowiem w miłym towarzystwie tego oto człowieka — pan Klemens oskarżycielskim gestem wycelował palec w pierś blondyna. — Jest niepoprawnym intrygantem. Słyszeliście, sam się przechwalał, jak to zręcznie, stosując całą kaskadę kłamstw, przepędził stąd szacownego obcokrajowca. Ja nie jestem jeszcze zdemoralizowany do szpiku kości.

Jeśli chodzi o oprychów w kapeluszach czy bez kapeluszy, a także kudłatych szpiegów, stosuję środki, przed którymi cofnąłby się zapewne każdy uczciwy prokurator, ale nie robię tego bez porozumienia z milicją. Nawet z oficerami milicji i to na wyższych szczeblach.

Tym samym oni stają się współwinni. To oświadczenie kieruję przede wszystkim do Miry i Łukasza — objął wzrokiem oboje wymienionych. — Wy jedyni w tym gronie nie znacie jeszcze pana Adama Nowaka — przedstawił im swojego współkandydata do więziennego lochu. — Wobec tego poznajcie go teraz. To on męczył ludzi, każąc im przez całą noc myszkować po Górku, jakby rzeczywiście było czego szukać. No i on także jest owym oficerem.

— Naturalnie! — przerwał swobodnie Łukasz. Już po pierwszych słowach starszego pana spłynęło na niego olśnienie. Domyślił się, kim jest jego niedawny prześladowca. Kim musi być, skoro wszystkie jego poprzednie wcielenia okazały się nieprawdziwe. Postanowił teraz błysnąć przytomnością umysłu i wziąć skromny odwet. — Naturalnie! — powtórzył wesoło. — To przecież od razu widać. Wtedy wieczorem specjalnie dał się pan zaprowadzić do milicyjnego radiowozu, żeby nie pokazywać swojej legitymacji przy innych pasażerach mikrobusu. Co prawda prawdziwi detektywi zwykle miewają przy sobie po kilka różnych legitymacji, na wszelki wypadek...

— Mądrała! — zawołał zdemaskowany po raz drugi mężczyzna. — Proszę, jaki raptem stał się domyślny! Czy rzeczywiście już wówczas coś przewąchałeś? — zmienił nagle ton. — A potem grałeś przede mną komedię? Przez cały czas?

Łukasz popatrzył mu prosto w oczy, przełknął ślinę i rzekł:

— Nie.

— To dobrze! — roześmiał się pan Nowak. — Inaczej musiałbym natychmiast zawiadomić moich przełożonych, że powinni mnie wyrzucić z pracy, do czego zresztą tak konsekwentnie zmierza obecny tutaj pan profesor Piotrowicz. Najpierw wciąga mnie w swoje podstępne knowania, a potem rozgłasza, że jestem zarazem i milicjantem, i jego współnikiem.

A ja miałem do niego takie zaufanie! — zaśmiał się znowu i nagle spoważniał. — Bo państwo nie wiedzą jeszcze o jednym. Mianowicie kiedyś, jako student prawa, uczęszczałem na wykłady pana profesora. Były to najpiękniejsze i najmądrzejsze pogadanki, jakie kiedykolwiek słyszałem.

Do końca życia nie zapomnę, czego się wtedy nauczyłem. Nie tylko, jeśli chodzi o sprawy ściśle związane z historią paragrafów...

— To nie należy do rzeczy, młody człowieku! — ofuknął go szybko dziadek

Klemens. — Pomylił mnie pan z kimś innym. Wszystko się panu miesza ze strachu.

— Na pewno nie pomyliłem. Daję złodziejskie słowo honoru.

— Co?!

Łukasz nagle zapomniał o swojej przytomności umysłu. Na szczęście w tym właśnie momencie wkroczyła Mira.

— Chciałabym jednak zauważyć — odezwała się marzącym tonem — że przed chwilą Łukasz zamiast „nie” mógł powiedzieć „tak” i wtedy... no, nie wiem, co zrobiliby pana przełożeni, ale wiem, że my na pana widok zawsze odtąd pękalibyśmy ze śmiechu. Bo my, proszę pana, jesteśmy z natury weseli, a niekiedy, w co będzie panu bardzo trudno uwierzyć, bywamy również troszeczkę złośliwi.

— Złośliwi? Wy? Rzeczywiście, nie wierzę. Chociaż... — pan Nowak skupił się i zmarszczył czoło. — Przypominam sobie pewną scenę...

— Lepiej niech pan już sobie niczego nie przypomina — poradziła Mira — tylko... O, pysznie! — popatrzyła z zadowoleniem na brata, który właśnie pstryknął, uwieczniając oblicze oficera w cywilu — Miał akurat doskonałą minę. Zaraz... Co to ja...

— I pomyśleć, że ja tej dziewczyny szukałem przez całą noc — westchnął mężczyzna.

— Ale pan nie znalazł. Znaleźli inni i... I... — Mira zająknęła się nagle. Jej dotychczasowa pewność siebie przepadła bez śladu. Spuściła główkę i powiedziała cicho: — Przepraszam. Czasem zachowuję się okropnie. Bardzo panu dziękuję za to szukanie... i w ogóle...

— To nie należy do rzeczy — pan Nowak prędko powtórzył słowa dziadka Klemensa.

— Ale... bo właśnie ci, którzy nas znaleźli... Oni... A... a...a... — Mira kichnęła znowu ślicznie, choć niebywale głośno.

— Sto lat. Tylko, że nie wszystko zrozumiałem...

— Jej chodzi o ludzi, którzy nas znaleźli. Nie tylko jej. Mnie także. Skoro pan jest...

— Przecież znaleźli was nie ludzie, a kosmici — rzekł podchwytliwie cywil. — W dodatku wy nic nie możecie o tym wiedzieć, ponieważ pozbawili was pamięci. A może jednak nie zapomnieliście wszystkiego?

— Może zapomnieli, a może nie zapomnieli — mruknął Paweł. — Co to? Śledztwo?

— Chyba coś w tym rodzaju — ojciec Łukasza pokiwał głową. — Nasze spotkanie nie jest przecież takie znowu całkiem przypadkowe — zerknął na pana Nowaka, który przybrał obojętny wyraz twarzy i nie odpowiedział.

— Tak sobie pomyślałam, jak tylko pana zobaczyłam — wyznała pani Helena. — Ale jeśli chodzi o kosmitów, to przyłączam się do prośby Miry i Łukasza.

— Jakiej prośby? — bąknął oficer. — Na całe szczęście nikt mnie tu jeszcze o nic nie prosił...

— To tylko kwestia czasu — rzekł pan Marek. — Zresztą, pan już doskonale wie, o co chodzi.

— Nic nie wiem — bronił się słabo nagabywany.

— Nieprawda, że pan nic nie wie — zaprzeczył zdecydowanie dziadek Klemens.

— Prawdę jest natomiast, że nie wie pan wszystkiego — wziął swojego byłego studenta pod ramię, odwrócił go twarzą do Górka i prowadził obok siebie. — Zanim moi krewni i przyjaciele załgają się na śmierć — mówił — powiem panu, gdzie pan może spotkać tych, którzy znaleźli Mirę i Łukasza, oraz dlaczego ta dobrana para nietoperzy, nocująca najchętniej w mrocznych dziurach, nie potrafi wykrztusić, czego od pana chce... — dalsze słowa stały się niezrozumiałe, bo dziadek wraz ze swoim

towarzyszem odeszli już dość daleko.

— Biedny Alauda — powiedziała półgłosem pani Helena.

— Myślę, że nie musimy się o niego zawczasu martwić — rzekł z namysłem ojciec Łukasza.

— Nie chciałabym, żeby im zrobili coś złego — szepnęła Mira.

— Ani ja.

— Ani ja.

— Co rozumiecie przez „coś złego”? — spytał pan Marek. — Czy to, że ludzie muszą ponosić odpowiedzialność za swoje postępowanie? Przecież, o ile wiem, to właśnie w podobnym duchu przemawiał do Ziemi, wasz ukochany „kosmita”?

Nikt się nie odezwał. Cała grupka ruszyła w milczeniu śladem wysokiego cywila i dziadka Klemensa. Po przejściu kilkunastu kroków pani Helena odwróciła się.

— Drugie pożegnanie — powiedziała.

— Pożegnanie? — zdziwił się ojciec Łukasza, mimo woli spoglądając za siebie.

— Kutynia. Już go nie widać.

— Też mi pożegnanie — mruknął pan Marek. — Kosmici znikną, ceny w Górku spadną i Kutynia wróci tu jak na skrzydłach. Ależ upał — zmienił temat. — Popatrzcie na niebo...

Niebo było nie tyle zachmurzone, co naburmuszone. Po prostu złe.

Miedziane słońce pochylało się groźnie nad ziemią, owiewając ją parzącym oddechem.

Coś wisiało w powietrzu.

Z lewej strony na tle jeziora rysowały się kontury dwóch wysokich dźwigów, pomalowanych na zielono. Z zarośli wystawały daszki spychaczy. Niżej rozciągało się niewidoczne z drogi zwałowisko. Maszyny milczały. Zaginionych odnaleziono zanim zdążyły wgryźć się głębiej w porzucone bryły i płyty.

W przedzie dziadek Klemens cały czas tłumaczył coś panu Nowakowi. W pewnym momencie ten ostatni przystanął i energicznie potrząsnął głową. Pan Klemens mocniej przycisnął jego ramię. Paweł pstryknął.

— Kolekcjonujesz nasze plecy? — zagadnął go ojciec.

— Masz coś przeciwko plecemu? — spytała Mira. Pan Marek spojrział na córkę podejrzliwie. Wiadomo, że wyraz „plecy” bywa używany nie tylko w celu określenia części ciała.

— Chodźmy prędzej, bo nam uciekną — zauważyła pojednawczo pani Helena, patrząc na oddalającego się coraz bardziej dziadka i jego towarzysza. Ale właśnie wtedy ci zatrzymali się znowu. Dziadek puścił łokieć pana Nowaka, odstał od niego o krok i umilkł. Najwyraźniej czekał na odpowiedź.

Cywil długo myślał.

— Będzie mnie pan mieć na sumieniu — rzekł wreszcie, kiedy pozostała z tyłu grupka była już tak blisko, że mogła usłyszeć jego słowa. — Ale niczego nie obiecuję — zastrzegł się.

— Wcale nie proszę, żeby pan coś obiecywał — odparł dziadek. — Ja w ogóle od tej chwili umyвам ręce. Zrobi pan to, co pan sam uzna za słuszne.

— Pewnie — mruknął z wyrzutem blondyn. — Umyвам ręce. Po tym, co mi pan powiedział... — zamyślił się ponownie. Postać jeszcze chwilę, a następnie, patrząc pod nogi, ruszył powoli przed siebie. Nie ulegało wątpliwości, że dziadek dał mu jakiś wyjątkowo twardy orzech do zgryzienia.

Parę minut później już wszyscy razem minęli ostatni zakręt i weszli między zabudowania Górka. Na szosie, na chodnikach, na placach z budkami, a także wokół szkoły, panował taki sam ścisk jak wczoraj i przedwczoraj. Tylko ludzie

poruszali się jak muchy w miodzie. Upał paraliżował nawet sprzedawców. Pan Bulgotek i jego konkurent przypominali malutkie fortece, obleżone przez zbyt liczne armie. Podobnym wzięciem cieszyły się lody. Nieco mniej gości przyciągały smażalnie. Za to zapachy były wręcz przygniatające. Wydawało się, że można je wziąć w ręce i miesić jak ciasto.

Mira kichnęła z obrzydzeniem i powiedziała „kwiczol”, wzbudzając przelotne zainteresowanie rodziny, wysokiego blondyna i ojca Łukasza.

Tylko sam Łukasz pozostał obojętny. Dawno już pogodził się z myślą, że to piszczące słówko przestało stanowić jego wyłączną własność. A zresztą „kwiczol” w ustach Miry brzmiał nad wyraz ślicznie.

— O, pan profesor! — z tłumu wyskoczył uradowany dziennikarz, który wczoraj tak przekonująco przeproszał państwa Piotrowiczów za nachodzenie ich w niestosownej porze, że zjednął sobie tym dziadka Klemensa. Teraz jednak na jego widok dziadek zrobił smutną minę.

— Niestety — szeroko rozłożył ręce. — Muszę pana zmartwić. Pomyliłem się wtedy w nocy — powiedział. — Nie mogę służyć rewelacjami, które przedwcześnie obiecywałem.

— Szkoda... — dziennikarz posmutniał.

— Ale na pociechę dam panu jedną radę — dziadek zniżył głos. — Dzisiaj coś wisi w powietrzu. Niech pan stąd nie odchodzi. I proszę mieć cały czas aparat fotograficzny w pogotowiu.

— Dobrze — dziennikarz rozejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy ktoś nie podsłuchuje. — A czy nie mógłby mi pan zdradzić jakichś szczegółów?

— Nie, bo sam ich nie znam. Przeczuję tylko, że nie zmarnuje pan dnia. Przepraszam. Jestem w towarzystwie.

Dziennikarz odchodząc wyjął z torby aparat i powiesił go sobie na szyi.

— Co mu pan obiecywał, panie profesorze? — spytał nieufnie pan Nowak.

Dziadek przybrał obronną postawę.

— Nic wielkiego. Wyraziłem przypuszczenie, że po odnalezieniu Miry i Łukasza dowiemy się od nich czegoś ciekawego o kosmitach. I że tylko z nim podzielimy się tymi wiadomościami. Sądziłem wówczas, że mamy do czynienia z oszustami — wyjaśnił lekko. — Myliłem się, jak pan wie. No a Mira i Łukasz zostali przecież pozbawieni pamięci... Musiałem zatem biedaka rozczarować. Myślę jednak, że jeśli mnie posłucha, nie wyjedzie stąd z pustymi rękami.

— Panie profesorze, jest pan okropnym krętaczem — rzekł z najgłębszym przekonaniem wysoki blondyn.

— Wstydziliby się pan. Wcale nie jestem okropny.

Mężczyzna zaśmiał się i przewrócił oczami, jakby chciał zawołać: „I co z takim robić?!”

Paweł sfotografował oddalającego się dziennikarza.

— Słuchajcie — w głosie pani Heleny odezwała się nuta współczucia i żalu — czy tej kobiecie, albo przynajmniej jej mężowi, nie należałoby delikatnie powiedzieć, że nie mają tu na co czekać? Niepotrzebnie męczą się oboje w takim zaduchu i upale.

Wszyscy pobiegli wzrokiem ku ławeczce, na którą patrzyła mama Miry i Pawła. Chora kobieta siedziała w tym samym miejscu i w tej samej pozycji co przedwczoraj. Po jej wychudłej twarzy, wyrzeźbionej przez cierpienie, spływały kropelki potu.

Paweł podniósł aparat do oka, potrzymał go chwilę w górze, po czym opuścił ręce. Nawet nie dotknął palcem migawki.

— Kto im to powie? — spytał bardzo cicho pan Marek. — Ja nie — zastanowił się i dodał: — Mimo woli człowiek przypomina sobie, co głosi Alauda. Gdyby medycyna miała więcej środków na laboratoria, na badania, gdybyśmy przeznaczyli na nie choć

część tego, co wydajemy na zbrojenia, kto wie, czy już dzisiaj nie byłoby lekarstwa... — urwał. — Popatrzcie — rzucił z nienaturalnym ożywieniem. — Znowu starzy znajomi!

Przez bramę przeszli właśnie naczelnik gminy w towarzystwie majora i jeszcze jednego oficera w randze kapitana. Major uśmiechnął się i zawołał: — Oto i nasze zguby! Na wszelki wypadek pod wzmocnioną strażą — przebiegł wzrokiem orszak otaczający Mirę i Łukasza. — Bardzo słusznie. A nuż zatęskniliby za kosmitami i ponownie dali drapaka. Naprawdę nic nie pamiętacie? — skrzywił się zabawnie czekając na odpowiedź.

— Nic a nic — wyrecytowała Mira. Paweł przepchał się do przodu i stanął obok siostry.

— Ich nie wolno pytać o kosmitów — ostrzegł rozkazującym tonem. — Od razu dostają gorączki. O, proszę! — ucieszył się, ponieważ Mira właśnie kichnęła. Wysoki cywil parsknął i odwrócił głowę. Łukasz zagryzł wargi.

— Wszyscy jesteśmy zmęczeni — rzekł dziadek Klemens, jakby to coś wyjaśniało. — Potworny upał...

— Rzeczywiście — przyznał major. — Coś wisi w powietrzu... A mnie pędzą do roboty — poskarżył się.

— Jeśli kogoś pędzą do roboty, to raczej mnie — sprostował kapitan. — Jestem saperem — przedstawił się, po czym oświadczył, że przyjechał do Górka razem z dźwigami i spychaczami, należącymi do jego jednostki. — Teraz zaczynam podejrzewać, że padłem ofiarą z góry ukartowanej intrygi — mówił wesoło dalej. — Ani naczelnikowi, ani koledze majorowi wcale nie chodziło o przesuwanie ciężarów, pod którymi jakoby tkwili uwięzieni obecni tu młodzi ludzie. Chcieli po prostu mieć dźwigi i maszyny. Zanim zdążyłem pisać, porozumieli się z moimi przełożonymi i wydębili od nich zgodę na użycie mojego sprzętu do odświeżania tej skądinąd malowniczej miejscowości.

— Wyobraźcie sobie, nareszcie pozbędziemy się tego zwałowiska — naczelnik aż mrucał z zadowolenia. — A potem urządzimy tam piękny park.

— Proszę nie wierzyć mojemu koledze — rzekł z uśmiechem major. — Sam zaproponował, żeby zatelefonować do jego dowódcy.

— Chwila zamroczenia! — zaśmiał się kapitan. Nagle przestał się śmiać, przez chwilę uważnie patrzył na Mirę, po czym zbliżył wargi do ucha naczelnika i powiedział takim szeptem, że musiano go usłyszeć na drugim brzegu jeziora: — śliczna dziewczyna...

— Panie kapitanie... — rzekł zgorszony naczelnik.

Paweł ściągnął brwi, a następnie nagle cienko zachichotał. Łukasz pomyślał: „kwiczoł”. Mira nie miała bladego pojęcia o co chodzi.

— To znaczy — odezwał się dziadek Klemens — że gdyby moja wnuczka i Łukasz nie wleźli tam, gdzie wleźli, zwałowisko pozostałoby nietknięte?

— Wie pan, jak to bywa — powiedział naczelnik. — Zawsze łatwiej uzyskać zgodę na użycie maszyn, jeśli są już na miejscu, aniżeli ściągnąć je specjalnie skądś z daleka.

— Jednym słowem nowy błogosławiony skutek minionej nocy — podsumował dziadek. — Miałem rację. Mira i Łukasz stanowczo muszą częściej ginąć bez wieści.

— Niech ojciec tak nie żartuje...

Tym razem pani Helena przy tym była.

Paweł sfotografował majora, kapitana, promieniejącego naczelnika, szelmowsko uśmiechniętego dziadka, nastroszonego Łukasza, rozżaloną mamę, zarumienioną, zapewne z powodu kataru, siostrę i patrzącego na nią z dumą ojca. Dźwigi sfotografował już wcześniej...

Gdy major, kapitan i naczelnik odeszli, by dokładnie obejrzyć teren przyszłej pracy, do dziadka Klemensa zbliżył się następny znajomy. Był nim młody asystent profesora Turbo.

— Świetnie się pan spisał — pochwalił go dziadek, po czym poinformował młodego naukowca o wynikach jego wizyty u Kapelusznika. — Ma pan dar przekonywania — zakończył.

— To pan ma ten dar, panie profesorze — powiedział asystent. — Tak dokładnie pouczył mnie pan, co powinienem im mówić. Ale, ale, czy nie mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego mój znakomity szef nagle przestał się na mnie bocyć?

— Profesor Turbo? A skąd miałbym wiedzieć? Pewnie pana ceni i lubi...

— Ciekawe tylko, że polubił mnie znowu zaraz po rozmowie z panem...

— E tam! — zachnął się dziadek! — Zbieg okoliczności. Ciągłe wierzy pan w kosmitów? — zmienił temat.

— Przepraszam! — młody mężczyzna zamachał rękami. — Poprzysiągłem sobie, że o kosmitach nikt już nie usłyszy ode mnie jednego słowa!

— Słusznie. Ukłony dla profesora — pożegnał go pan Klemens.

— Ojciec staje się opiekunem wszystkich niespokojnych duchów w Górku — rzekł, kręcąc głową jego syn.

— Wiecie co — powiedział pan Nowak — tu śmierdzi jak w piekle, a poza tym, kiedy coś zacznie się dziać, ludzie przybiegną ze wszystkich stron i w tłumie niczego nie zobaczymy. Chodźcie za mną — ruszył w stronę wejścia do pawilonu handlowego. Łukasz dogonił go i mruknął: — To pana ulubione miejsce...

Mężczyzna zaśmiał się.

— Nie. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, czekałem na ciebie pod schodkami. Dzisiaj wejdziemy na górę.

Szyby wystawowe i drzwi pawilonu znajdowały się na wysokości jakichś dwóch metrów nad szosą. Wzdłuż nich ciągnął się taras, ogrodzony żelazną poręczą. Plac przed szkołą, budki sprzedawców i snujące się po okolicy tłumy było z niego widać jak z teatralnej łoży.

— Spójrzcie tylko — powiedział nagle pan Klemens. — Tam idzie gajowy. A za nim... Czy mnie oczy nie mylą?

Gajowy szedł środkiem drogi w kierunku przystani. Kilka kroków z tyłu podążali obok siebie jego piegowaty syn i białowłosy Jacek. Zachowywali się tak, jakby ich rodzin ani ich samych nigdy nie dzieliły żadne nieporozumienia. Sympatyczny rudzielec mówił coś do swego towarzysza, żywo wymachując rękami. Tamten od czasu do czasu przytakiwał, a w pewnym momencie uśmiechnął się nawet, zupełnie nie jak Plujek.

— Przyjemnie popatrzeć — odetchnęła z satysfakcją pani Helena. — Są przecież kuzynami.

— A co będzie, kiedy ojciec tego zabijaki wylezie w końcu ze swojej kryjówki? — spytał pan Nowak.

— Miejmy nadzieję, że wylezie z niej mądrzejszy — odrzekł dziadek Klemens. — Nie ma pan innych zmartwień?

— Mam — zagadnięty wyjął chusteczkę i otarł nią twarz. — Mam bardzo poważne zmartwienia. Czy chce pan wiedzieć, komu je zawdzięczam?

Dziadek nie chciał.

Łukasz oparł się o poręcz i patrzył w dół. Sprzedawcy coraz leniwiej zachwalali swoje towary, ludzie coraz senniej chodzili między ich stoiskami. Padające na ziemię światło przygasło i zmieniło barwę. Drzewa poszarzały, cienie pod nimi rozmasały się i straciły kontury. Coś, co wisiało w powietrzu, było coraz niżej i coraz bliżej.

— Za piętnaście dwunasta — powiedział pan Marek. Stał tuż obok Łukasza, ale

jego głos dotarł do chłopca jakby zza grubej zasłony.

Nagle zaczęło się dziać coś dziwnego. Jeszcze niczego nie było widać. Jeszcze nikt nie wiedział o co chodzi. Nikt nie wskazał czegoś, co napełniło go zdumieniem i trwogą.

Tylko stamtąd skąd nadeszli Łukasz i jego towarzystwo, parła teraz ściana ciszy. Napływała powoli, miażdżąc stopniowo wszystkie napotkane głosy jak rzeka wulkanicznej lawy, stygnąca w kamienne cmentarzysko.

Niepostrzeżenie zaczął się milczący ruch. Tez bardzo dziwny zupełnie niepodobny do tego, który panował do tej pory. Poczynając od zakrętu za narożnikiem ostatniego budynku ludzie cofali się na pobocza i pozostawiali pustą szosę. Bezszelestnie, płynnie, miarowo, jakby bali się ściągnąć na siebie czyjś gniew.

Górek wstrzymał oddech. Nawet ptaki nie śpiewały. Zresztą, tego dnia ptaki nie śpiewały od rana. Od rana coś wisiało w powietrzu.

Wreszcie na owym zakręcie ukazała się jakaś postać. Był to mężczyzna. Niski. Miał owalną głowę osadzoną na kwadratowych barkach. Szedł dokładnie środkiem szosy i patrzył prosto przed siebie. Nie zboczył ani na milimetr i najmniejszym gestem nie dał po sobie poznać, że dostrzega zbity szpaler po obu stronach drogi.

Kiedy znalazł się nieco bliżej Łukasz z przerażeniem zobaczył, że przybysz ma na sobie zielony kombinezon z wypustkami i naszywkami. Oraz że jego twarz jest tak samo zielona jak kombinezon.

Alauda? Tutaj? Sam...!

Nie. Nie sam.

Zza narożnika wyłoniła się nowa postać. Młody, bardzo wysoki mężczyzna z kolosalną czarną brodą.

Brodacz kroczył śladem swego poprzednika w tym samym tempie, tez środkiem szosy i tez nie rozglądał się na boki. Odległość między pierwszym a drugim wynosiła kilkanaście metrów i widać taka miała być, bo nie zwiększała się ani nic zmniejszała.

Zielony mijają już pierwsze budki. Nikt nie krzyknął, zęby go powitać. Nikt nie szepnął czegoś na ucho swemu sąsiadowi. Nikt nie westchnął. Jak Górek Górkiem nie było tu takiej ciszy w pełni lata, w samo południe. Ciszy od gór do gór, ponad domami, polami, lasami i jeziorem.

Na wysokości szkoły kosmita stanął. Ułamek sekundy wcześniej zatrzymał się mężczyzna idący za nim ale na niego nikt nie zwracał uwagi. Nawet jeśli, co wydawało się oczywiste, łączyły go szczególnie bliskie więzy z załogami gwiazdnych spodków, był przecież tylko człowiekiem.

Brodacz stanął i nieznacznym ruchem dotknął płaskiego pudełeczka którego brzeg wystawał z kieszonki jego granatowej marynarki. Właśnie wtedy zatrzymał się także kosmita. Zastygł w nieco nienaturalnej pozycji, z jedną nogą wysuniętą do przodu, jakby zamierzał iść dalej, ale coś zacięło się w jego marszu. Musiało to być jednak złudzenie, ponieważ uniósł ramię i pozdrowił oniemiałych z napięcia widzów.

— Tu Alauda z Planety Tsieciej — trzęsienie ziemi nie wywołałoby mocniejszego efektu, niż te słowa wypowiedziane miękko, śpiewnym głosem. — Dzień dobry — jak zawsze mowa kosmity dobiegała równocześnie zewsząd, a zarazem jakby znikąd. Nawet grupce wtajemniczonych ciarki przeszły po plecach. — Ludzie — ciągnął Alauda — od kilku dni psiemawiam do was z ukrycia. Dzisiaj, na pożegnanie, postanowiłem stanąć przed wami osobiście. Na pożegnanie, ponieważ mówię po raz ostatni. Osobiście, dlatego że pragnę was psieprosić. Nie jestem z gwiazd. Nie jestem kosmitą. Nie ma i nigdy nie było w Górku kosmitów. Ja i kilku moich kolegów udawaliśmy ich tylko. Robiliśmy sztuczne spodki. Zapalaliśmy światła. Po to, abyście tu psiejchali i z uwagą wysłuchali moich słów. O niebezpieczeństwie, jakie grozi światu. O tym, że dla szczęścia innych, a więc i dla własnego szczęścia, bo to idzie w paze,

musimy postępować mądrzej. Bardziej zdecydowanie opierać się złu. Razem. Wszyscy. My — powiedziawszy to Alauda jednym szarpnięciem ściągnął z twarzy zieloną maskę, sporządzoną z jakiegoś mięsistego materiału. Ukazało się oblicze człowieka. Jasnobraza cera, nieco skośne oczy, patrzące ślepo w perspektywę szosy, gładkie, może odrobinę zbyt gładkie czoło, prosto ucięta broda. — A teraz, moi kochani — ciągnął jakby nigdy nic — ponieważ psiedtem tak pilnie słuchaliście tego, co mówił kosmita, mam prawo wiezić, że równie głęboko weźmiecie sobie do serca, kiedy to samo powie jeden z was. Cłowiek. Ludzie! Dość nienawiści, chciwości, obojętności dla cudzych cierpień! Dość zabijania, głodu i potwornych broni! Ludzie, ocknijcie się!

Aluda skończył. Był na drodze sam. Brodacz, czyli Mały zniknął nie wiadomo jak i kiedy. Zapewne korzystając z tego, że cała uwaga widzów i słuchaczy była skupiona na jego towarzyszu, wmieszał się w tłum albo uciekł boczną uliczką.

Cisza zaczęła rysować się, pękać i kruszyć jak cienka skorupa lodu na wzbierającej rzece. Z tylnych szeregów szedł szmer. Szybko zmienił się w rosnący z każdą sekundą groźny pomruk. Jeszcze chwila i pomruk przeszedł w chóralny krzyk, przez który przebijały pojedyncze wrzaski.

— Wszystko kłamstwo?! A my tutaj tyle dni!

— Oszustwo!!!

— Dranie!!! Banda łobuzów!!!

— Lataliśmy za nimi z wywieszonymi językami po lasach i górach!

— Bandyci!

— Sprowadziłem do Górka tony ziemniaków na placki! Teraz ludzie wyjadą i stracę majątek!

— A ja cysternę pełną ryb!

— A ja dwie ciężarówki mąki i cukru!

— Kto teraz kupi moje plastikowe spodki!

— Wodzili nas za nos! Złodzieje!

— I tacy mają czelność mówić o Ziemi! O świecie!!!

— Zamknąć ich! Do więzienia!!!

— O, nie! Załatwimy to sami!!! — grupka najbardziej rozwścieczonych wtargnęła na szosę. Alauda cały czas stał bez ruchu, tak jak się zatrzymał. Jedną nogę ciągle miał wysuniętą, jakby właśnie ruszał w dalszą drogę. Ale nawet nie mrugnął.

Z tłumy wyskoczył tęgawy mężczyzna w kraciatej koszuli wypuszczonej na spodnie. W pięści ścisnął kamień. Zamachnął się.

— Nie!!! — zawołał rozpaczliwie Łukasz. Głos uwiązał mu w krtani. — Nie!... — rzucił się ku schodom. Ktoś mocno chwycił go za rękę. — Puść!

— Uspokój się! — krzyknął mu do ucha pan Nowak. — Poczekajcie! — zobaczył, że Paweł i Mira, a za nimi ojciec Łukasza i pan Marek także chcą zbiec na dół, żeby ratować Alaudę. — Stójcie! Zanim dopchacie się do waszego przyjaciela, będzie po wszystkim!

Właśnie. Po wszystkim. Przecież nie wolno do tego dopuścić!

Łukasz targnął się całym ciałem, ale wysoki mężczyzna trzymał go jak w kleszczach.

— Puść!

— Uspokój się — powtórzył pan Nowak. — Kosmici nie są samobójcami. Wiedzą, co robią. A ty, Pawle, fotografuj! Prędko!

Paweł spojrział na niego nieprzytomnie, po czym odruchowo uniósł aparat i zaczął pstrykać.

Człowiek w kraciatej koszuli rzucił kamieniem, ale nie trafił. Alauda nie drgnął. Na drodze pojawił się znany wszystkim ufolog. Ten zebrał całą garść kamieni.

— To przez takich jak wy nikt nam nie wierzy! — wrzasnął piskliwie i z



najbliższej odległości wypuścił grad pocisków prosto w głowę kosmity, który okazał się zaledwie człowiekiem. Teraz Alauda zachwiał się i upadł. Zachwiał się dziwnie, jak potracona pionowa sprężyna, a upadł też jakoś niezwyczajnie. Runął bezwolnie całym swym ciężarem, nie próbując bodaj wyciągnąć ręki, by osłabić upadek.

Do ufologa podbiegło kilku mężczyzn. Jeszcze kilku. Koło zamknęło się. Leżący na jezdni Alauda zniknął, zasłonięty przez tłum, który utworzył nad nim złowrogie kłębowisko.

Nagle wszystko zamarło. Ktoś krzyknął przeraźliwie. Ktoś inny podniósł wysoko trzymaną za włosy ludzką głowę.

Łukasz poczuł, że robi mu się niedobrze.

Ale...

Ludzką głowę?

Czy ludzka głowa mogłaby mieć druciki i sprężyny sterczące lub zwisające bezwładnie z przerwanej w połowie szyi?

W tym momencie przemówił głos, wobec którego wszystkie poprzednie brzmiały jak dziecinna fujarka przy grających pełną siłą organach.

Odezwało się niebo.

Potężny, wibrujący bas grzmotu, niby ziewnięcie budzącego się olbrzyma, wypłynął spod czerwonego horyzontu i potoczył niespiesznie ku Górkowi. Wstrząsnął powietrzem i ziemią, zadudnił w dachy domów, po czym z majestatycznym westchnieniem opadł na wzgórze, zamykające widok od wschodu.

Ludzie zaczęli się cofać. Powoli, kroczył za kroczkiem, sunęli z powrotem na pobocza, jak manekiny na gumowych kółeczkach. Wszyscy.

Ci, którzy stali najdalej, którym chyba niezbyt podobało się to, co inni robili z Alaudą, ale nie starczyło im odwagi, by wystąpić w jego obronie.

Ci w środku. I ci z pierwszej linii, z mężczyzną w kraciastej koszuli, ufologiem, Bulgotkiem, jego sąsiadem z budki i właścicielem smażalni. Szosa znowu opustoszała. Pozostał tylko skamieniały z przerażenia człowiek, trzymający w podniesionej ręce ludzką i nieludzką zarazem głowę. Pod jego nogami leżał metalowy tułów, ogołocony z zielonego kombinezonu.

Robot.

— Widzisz? — szepnął pan Nowak puszcżając rękę Łukasza. — Widzisz... — szybko odchrząknął i dodał: — To spryciarze, ci wasi kosmici.

Paweł zrobił zdjęcie.

Znowu zagrzmiało. Tym razem grzmot nie opadł już leniwie na wzgórze, ale uderzył w nie, odbił się, wrócił za jezioro, jakby dla nabrania rozpędu i natarł ponownie, z niemniejszą furją. Błysnęło. Samotna, nieruchoma postać na asfalcie załśniła ostrym blaskiem. Mężczyzna z głową, unoszoną jak latarnia, przypominał rzeźbę, stworzoną przez chorego artystę. W świetle błyskawicy ta rzeźba zdawała się płonać.

— Tu Alauda z Planety Tsieciej — jeśli uprzednio głos „kosmity” stojącego na oczach słuchającego go tłumu poraził ludzi jak trzęsienie ziemi, to w tej chwili spadł na Górek niby wszystkie rozszałałe żywioły razem wzięte. A przecież Alauda mówił spokojnie. Lodowato spokojnie. — Tu Alauda z Planety Tsieciej. Ludzie! Uwieziliście, że jestem człowiekiem? Nie. Ja pochodzę z gwiazd. To, co wam psiedtem powiedziałem, to była ostatnia próba. Ostatni egzamin. Ale wy nie zdaliście tego egzaminu. Zobaćcie, co leży pod wasimi nogami. To jeden z nasich najprostszych robotów, ale wy myśleliście, że on jest człowiekiem. Jednym z was. Co zrobiliście z jednym z was? Zabiliście go, kiedy powiedział, że nie pochodzi z gwiazd. Dlaczego? Ci nie miał racji? Mówił wam tylko: „Ludzie, ocknijcie się. Pomyślcie co zrobić, żeby ocaleć”. Ale wy wpadliście we wściekłość, że tak psiemawia do was jeden z

was. Ludzie, my wracamy do siebie. Nie usłyszcie mnie już nigdy. Ziegnajcie.

Jakby na potwierdzenie tych słów ponownie błysnęło. Podświetlone niebo rozwarstwiło się. Znad jeziora pędziły spiętrzone chmury. Z każdą chwilą robiło się ciemniej.

Niebo i jezioro były tak intensywnie błękitne, że cały świat nasiąkał tym błękitem jak wysuszona bibuła. Błękitniały świerki na wzgórzach i łąki na zboczach, i nawet cienie na nieruchomej wodzie. Ale świat nie był wysuszony. Był cudownie obmyty letnią ulewą, czysty i świeży jak pewnie wówczas, gdy na Ziemi nie istniały jeszcze miasta ani sklepy, ani samochody, ani autostrady.

Zaraz po burzy podniosły się kłęby białej mgły, ale teraz już dawno wszystkie opadły z powrotem, na pogodę. Słońce stało jeszcze wysoko.

Mieszkańcy domu na zboczu siedzieli rzędem na długim, wygodnym pniu i przyglądali się młodym mężczyznom, którzy zwijali swoje obozowisko w starym kamieniołomie. Nikomu nie chciało się mówić. Zresztą, niewiele zostało do powiedzenia.

Jeszcze jedno pożegnanie. Najosobliwsze z osobliwych. Pożegnanie ludzi z kosmitami.

Nie będzie zbyt wesołe. Gdzieś na dnie uśmiechów pozostawi cieniutki osad lęku i smutku. Na dnie pogodnych spojrzeń obrazy, których nie sposób zapomnieć. Pod zdawkowymi słowami, dotyczącymi najzwyczajniejszych spraw, echo wcale nie zdawkowych słów, wypowiedzianych przez Alaudę, podczas jego przemówień.

Łukasz siedział między ojcem i Mirą. Ojciec objął go ramieniem i milczał. Mira chwilę temu kichnęła. Jej mama szybko powiedziała, żeby włożyła sweter. Dziewczyna mruknęła, że jest jej ciepło, ale na wszelki wypadek przysunęła się bliżej Łukasza.

Z przeciwległego brzegu dobiegł warkot silnika. Jednak na przeciwległym brzegu nie było żadnych samochodów ani maszyn. To tylko strome zbocza odbijały głosy pracujących po tej stronie dźwigów, spychaczy i wywrotek. Te głosy odzywały się rzadko i jedynie właśnie w postaci echa.

W ogóle było bardzo cicho.

— W Górku robi się teraz bardzo cicho — powiedział melancholijnie dziadek Klemens. — Sam nie wiem, czy się z tego cieszyć, czy nie. Na stare lata odkryłem w sobie żyłkę zawodowego intryganta. A co może mieć do roboty zawodowy intrygant w warunkach stuprocentowej sielanki? Rodzinnej, towarzyskiej, krajobrazowej...? Nic, tylko się powiesić.

Hej, wy! Rozejrzyjcie się tam, w Krakowie! Jeśli zobaczycie kogoś z zieloną gębą, to od razu przyślijcie go tutaj. Może nawet mieć ogon. Przyzwyczaiłem się...

Reksio przerwał pakowanie i wyprostował się.

— Panie profesorze — rzekł z niezwykłą u niego powagą. — Jest pan dla nas zawstydzająco miły. Ale my już wiemy, że postępowaliśmy źle. Nie wolno było robić aż takiego zamieszania i aż tak denerwować ludzi. Może to się wydać dziwne, jednak w pełni zdaliśmy sobie z tego sprawę dopiero dzisiaj, kiedy tłum zaatakował robota. A właściwie człowieka. W języku prawniczym takie postępowanie nazywa się prowokacją.

Prawda?

Dziadek również spoważniał. Zastanowił się i powiedział: — Prowokacja. Zapewne. Dopuszciliście się klasycznej prowokacji, trzeba nazywać rzeczy po imieniu. Ale jeśli rozmawiamy całkiem serio i jeśli mam być do końca szczery, to muszę wyznać, że mnie osobiście w tym waszym finałowym popisie znacznie bardziej nie spodobało się coś innego. Gdybyście chociaż zapowiedzieli, że niby to wrócicie,

powiedzmy za pięćdziesiąt lat. Choćby za sto. Gdyby ze słów Alaudy wynikało, że rozumiecie ludzi... że bodaj próbowaliście ich zrozumieć. Odjeżdżalibyście stąd w przyjemniejszych nastrojach, a skutek waszego podstępu byłby jeszcze lepszy.

Bo teraz wyszło tak, jakby zdaniem supermądrych mieszkańców kosmosu nie było już dla tego naszego biednego świata żadnej nadziei? A to przecież fałsz. Gdybyście wy sami uważali, że na Ziemi nie da się już niczego naprawić, to nie budowałibyście tekturowych spodków ani przemysłnych reflektorów, tylko leżelibyście na ciepłym piasku i radowali się, że dzień jest ładny, bo skoro wszystko ma pójść w drzazgi, to pozostaje jedynie cieszyć się tym dzisiejszym dniem. Zapomnieliście o innych ludziach, myślących i czujących podobnie jak wy. Jest ich mnóstwo. Spróbujcie działać razem z nimi, a nie sami, z ukrycia, w obcej skórce. I nigdy nie starajcie się zabijać w człowieku nadziei... Przepraszam — dziadek odetchnął. — Strasznie się rozgadałem...

Reksio stał ze spuszczoną głową i słucał. Jego koledzy zakończyli zwijanie obozu. Cała czwórka „kosmitów” stanęła teraz w równym szeregu przed pniem pełniącym rolę ławki.

Pierwszy podniósł się Paweł, dając przykład innym. Naprzeciw jednego szeregu ustawił się drugi, jak do uroczystej zmiany warty.

Opuszczający Górek sprawcy nieziemskich awantur mieli na sobie jedynie spodniki kąpielowe. Tym śmieszniej wyglądała olbrzymia broda, którą przyniósł Mały.

— Bądźcie zdrowi, chłopcy — zaczęła pani Helena. — Jeszcze raz gorąco wam dziękuję za Mirę i za Łukasza.

Mały wystąpił z szeregu i wręczył zaskoczonemu Łukaszowi fałszywą brodę. Chłopiec przyjrzał się pożegnalnemu upominkowi z niepewną miną.

— Nie będzie mi już potrzebna — wyjaśnił były szpieg. — W nocy muszę tu jeszcze po cichu wrócić, żeby pościagać z drzew nasze głośniki.

Nie do wiary, jak bardzo broda przeszkadza w chodzeniu po drzewach...

— Ciekawe — zdziwił się pan Klemens. — Są stworzenia...

— Mówiłem o brodzie. Nie o sierści — ubiegł dziadka Mały.

— Prawda.

Paweł zrobił jeszcze jedno zdjęcie. Następnie powiedział: — Ja też wam dziękuję... i chciałbym spytać... chciałbym... no, czy my się jeszcze kiedyś zobaczymy?

— Co roku przyjeżdżamy nad to jezioro. Może... — Reksio poruszył bezradnie ramionami.

— W takim razie do widzenia — rzekł dziadek Klemens. — I tego... w gruncie rzeczy miła z was banda.

„Kosmici” zrobili w tył zwrot.

— Panie Alauda! — zawołał za nimi pan Marek.

Japończyk zatrzymał się.

— Czy panu także podoba się u nas w Górku?

— Bardzo. Ciemu pan o to pyta?

— Gdyby pana ojciec przyjechał znowu do Polski, niech go pan zaprosi w naszym imieniu. W domu jest dosyć miejsca. Będzie nam miło gościć was tak długo, aż się wam nie znudzimy.

— Najmocniej dziękuję. Napisie do ojca.

— Tylko niech go pan nie prosi o nowego robota — mruknął dziadek.

Ciężko wyładowana łódź powoli odpływała od brzegu.

— Do widzenia! — Mira zerwała się i podbiegła na krawędź niewysokiego

urwiska. — Do widzenia! Naprawdę przyjedźcie! Wszyscy! Koniecznie!

— Dziękujemy — odpowiedział z jeziora męski kwartet.

— Dziękuję — dodatkowo ćwierknął solo Alauda.

Alauda znaczy przecież: skowronek.

Za skałą, zamykającą kotlinkę od strony Górka, zachrobotwały kamienie. Wysoki mężczyzna wstał, otrzepał spodnie i poszedł w stronę brzegu. Przez chwilę odprowadzał wzrokiem znikającą w błękicie łódkę, po czym odwrócił się. Z długiego pnia spojrzano na niego siedem par oczu.

Jedno z nich mrugnęło.

— Ścierpły panu nogi? — spytał współczującym tonem dziadek Klemens.

— Ścierpły.

— Długo pan siedział za tym kamieniem i podsłuchiwał?

— Długo.

— Czemu pan siedział za kamieniem i podsłuchiwał? — pani Helena popatrzyła na przybysza z łagodnym wyrzutem.

— Ponieważ albo ja przyszedłem za wcześnie, albo oni odpłynęli za późno — wyjaśnił pan Adam Nowak. — Nic dziwnego. Na ich miejscu także bym się nie śpieszył, gdyby mi ktoś tak pięknie i mądrze tłumaczył, żebym nie tracił nadziei. A potem zapraszał do siebie na zachwycające wakacje.

— Dlaczego pan do nas po prostu nie poszedł? — nadal nie rozumiała pani Helena.

— Ten pan jest osobą urzędową — rzekł dziadek. — Gdyby przypadkiem spotkał oszustów, podających się za kosmitów, musiałby ich natychmiast aresztować. Za naruszenie porządku, niepotrzebne alarmowanie władz i opinii publicznej... Za mnóstwo różnych rzeczy. A tak, co może zrobić? Spóźnił się, nieborak. Uciekli. Nie ma kogo wsadzić do ciupy. Pech.

— Panie profesorze, pan mnie wpędzi do grobu. I wtedy wreszcie zaaresztują pana.

— Zostawię testament...

— Niech ojciec tak nie żartuje... — zorientowała się w końcu pani Helena. — Proszę pana — uśmiechnęła się do tajemniczego mężczyzny — jest pan bardzo miłym, dobrym i mądrym człowiekiem.

— Co znowu! — zmieszał się Nowak. — Nawiasem mówiąc, z tego, że teraz tak się haniebnie spóźniłem, nic jeszcze nie wynika. Niestety, wiem, gdzie ich szukać...

— I co? Będzie ich pan szukać? — spytał pan Marek.

Mężczyzna westchnął.

— Proszę mnie nie ciągnąć za język. Ja także nie działam bez porozumienia z milicją, jak pewien profesor. W tym wypadku oznacza to, że podzielę odpowiedzialność z moimi przełożonymi. Oni zadecydują.

— Słusznie — powiedział dziadek, posuwając się na pniu, żeby zrobić mu miejsce.

— Wobec tego teraz przestańmy już tłuc się myślami między Alaudą a kryminałem. Niech pan siada i patrzy. Nadchodzi ta jedyna pora między zachodem a zmierzchem. W dole jezioro nie ma już w ogóle dna. W górze słońce i noc bawią się w chowanego, a przy okazji przewracają na siebie buteleczki z farbami. Cienie wędrują po brzegu i zgarniają skały coraz ciaśniej wokół nas...

— Prawda — mruknął cywil siadając obok dziadka. — Zapomniałem na chwilę, że pan pisze książki.

— Tego, o czym mówiłem nie napiszę, bo tego nie da się napisać. Raczej namaluje to moja synowa. Ale to jest. I my to widzimy.

My to widzimy — rzekł sobie w duchu Łukasz.

Księżyc świecił jak oszalały.

Mira kichnęła.

Paweł wstał, wziął od mamy sweter i podał go siostrze.

— Nie chcę — mruknęła i znowu przesunęła się kawałeczek w stronę Łukasza.

Paweł spojrział teraz na niego wzrokiem, jakim porozumiewają się mężczyźni, kiedy rzecz rozbija się o kobiecy upór.

— Niech ona to włoży — powiedział.

Łukasz odebrał od niego sweter i zarzucił go Mirze na plecy. Dziewczyna nawet nie drgnęła.

Zresztą noc była cudownie świeża, ale nie zimna.

Nikommu nie śpieszyło się do domu.

Obok Łukasza poruszyła się czarna główka.

— O czym myślisz?...

Chłopiec od razu przestał myśleć. Zerwał się z pnia, odbiegł kilka kroków, stanął profilem i przyłożył sobie do twarzy szpiegowską brodę.

Broda była wewnątrz lepka od kleju i miała gumkę przytrzymującą ją na głowie. W nocnej scenerii, na tle księżycy, brodaty Łukasz wyglądał jak praojciec wszystkich czarnoksiężników. Wzniósł w górę ramiona i zawołał: — Tu Łukaś z Planety Tsieciej! Pozdrawiam was, gwiazdy! Niech ktoś psijedzie od was do Górka i zobaci, jak tu ślićnie!

Paweł na wszelki wypadek pstryknął. Ciemno, bo ciemno, ale a nuż coś wyjdzie. Przepuścić taką okazję?

Chwilę później nadarzyła się mu okazja jeszcze rzadsza, jeśli nie zgoła jedyna.

— Daj — Mira wyciągnęła rękę, zabrała Łukaszowi pożegnalny prezent Małego i wypróbowała go na sobie.

— Gdyby było mniej świadków — odezwał się dziadek Klemens — Łukasz, ponieważ jest z natury rycerski, powiedziałby zapewne: „Dziewczyno, podobasz mi się wszędzie i zawsze, bez brody i z brodą”. Ale ja w moim wieku, mogę sobie pozwolić na szczerość. Dziewczyno, oświadczam ci, że wyglądasz paskudnie.

Mira natychmiast zdjęła brodę, a Łukasz pomyślał, że dziadek nieco przecenił jego rycerskość. Przenigdy nie powiedziałby Mirze, że mu się podoba z brodą. No, chyba że wyrosłaby jej naprawdę. Nad nieszcześciem na pewno by się ulitował.